

Jakub Jakubik:
Nikt inny nie mógłby zagrać mojego ojca ▶ 28



Tomasz Terlikowski:
W jakiego Boga wierzę ▶ 4



WYSOKIE OBCASY

Żartuje z matek dzieci z ADHD. Czyli z siebie.
Rozmowa z Karoliną Plutą

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

MAGAZYN **wyborcza** wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

AGNIESZKA CHYLIŃSKA

Kariera jak kobieca historia III RP

▶ 24



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Wydanie Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



Czas singlozy
Bez treningu społecznego nie ma podrywu ▶ 13

Bob Dylan
nie ma za co przepraszać ▶ 16

Jazda bez trzymanki
Czy da się podróżować bez smartfona ▶ 34

Obsesja Kate
13 tys. km w drodze po cudowny lek ▶ 46

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Agnieszka
Kublik



Wspólnik jest bezkarny

Gdzie jeszcze na świecie istnieje koncesjonowana stacja telewizyjna, która chlubi się pomocą w ucieczce byłemu ministrowi sprawiedliwości przed organami sprawiedliwości? Tomasz Sakiewicz śmieje się premierowi Tuskiemu w twarz. Jego TV Republika przezywa szefa rządu „kryptodyktatorem”, jego gabinet to „reżim”, a Polska to „państwo policyjne”.

Nie jest jasne, jaką rolę odegrała TV Republika w ucieczce Zbigniewa Ziobry z Budapesztu do Ameryki, ale jest pewne, że wspiera byłego ministra w ucieczce przed procesem w Polsce. Jej właściciel stał się współnikiem zbiega.

A Sakiewicz już obiecał, że będzie nadal „udzielać wsparcia osobom, których prawa będą zagrożone”. Jest bezkarny. Generalnie, nie tylko w tym przypadku.

Przecież TV Republika nie zapłaciła na czas rocznej raty za koncesję, a domaganie się tych pieniędzy nazywa „represjami” – i jest bezkarna.

Sakiewicz pluje na rząd Tuska na swoich paskach, przekraczając granice dziennikarskiej krytyki. Ponad dwa miesiące temu złożyłam w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji skargę w tej sprawie. Bo czy legalny jest pasek: „Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców na miliardy euro”? Skarga wciąż nie została rozpatrzona, łajdackie paski pojawiają się cały czas. TV Republika pozostaje bezkarna.

Czy legalny jest pasek w TV Republika: „Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców na miliardy euro”?

Dziennikarze stacji od dawna skarżą się, że nie dostają pensji na czas i w całości. To łamanie prawa pracy. TV Republika pozostaje bezkarna.

KRRiT w sprawie TV Republika nie kiwnie palcem, bo to ona dała stacji koncesję, choć nie powinna, co potwierdził Wojewódzki Sąd Administracyjny.

Każda próba skontrolowania TV Republiki przez jakikolwiek państwowy urząd skończy się rozpięciem międzynarodowej hysterii, że reżim Tuska chce zniszczyć – jak szefowie stacji sami o sobie w świecie mówią – „najchętniej oglądaną telewizję informacyjną o profilu konserwatywnym w Europie”.

Im bardziej TV Republika atakuje rząd Tuska, tym bardziej premier jest w pułapce, bo wszystko, co zrobi, stacja nazwie odwetem, zemstą i atakiem na jedyne wolne media.

Teraz prokuratura sprawdza, czy zatrudnienie Ziobry przez Sakiewicza to poplecznictwo, czyli pomoc w uniknięciu odpowiedzialności karnej. Dlatego Sakiewicz podważa wiarygodność prokuratury.

Stacja czeka na wyrok NSA odnośnie osądu WSA, że koncesja TV Republiki ma być uchylona. Dlatego Sakiewicz powtarza tezę o braku w Polsce „niezawisłego sądu”.

Czy szef Republiki i jego nowy pracownik, korespondent z USA Zbigniew Ziobro będą bezkarni? Czy oczekiwanie, że koncesjonowana telewizja nie będzie pomagać zbiegowi, jest wygórowane? A oczekiwanie, że jeśli pomaga, to koncesję powinna stracić? ●

Andrzej rysuje



Ceremonia państwowa w Iranie Ślub męczenników



Teheran. Ślub jednej z tysiąca irańskich par, które zdecydowały się przystąpić do ceremonii powiązanej z państwową inicjatywą „Jan-Fada” – „Tych, którzy chcą oddać życie”. Małżonkowie, którzy do ślubu jadą udekorowanym pojazdem wojskowym, deklarują, że są gotowi chwycić za broń i poświęcić życie, aby bronić Republiki Islamskiej.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

30

– do tyłu dni – z 60 – władze Tajlandii ograniczyły prawo pobytu bez wizy obywatelom 93 państw świata (w tym z unijnej strefy Schengen). Powodem są przestępstwa popełniane przez turystów

Archeologiczne śledztwo Lekarz spod Wezuwiusza

Mężczyzna, który zginął podczas erupcji Wezuwiusza w 79 r. n.e., miał przy sobie torbę z wyposażeniem medycznym. Archeolodzy prześwietlili gipsowy odlew ciała. Ofiara była jedną z kilkunastu osób, które znalazły się w winnicy nazwanej później Ogrodem Uciekinierów (Orto dei Fuggiaschi). Wszyscy prawdopodobnie szukali schronienia przed katastrofą. Zginęli, gdy przez miasto przeszły fale gorącego popiołu i gazów. Ostatnie gesty mieszkańców Pompejów, układ ich ciał i próby ochrony najbliższych zachowały się w słynnych odlewach, wykonanych w 1863 r. przez archeologa Giuseppe Fiorellego. Podczas prac konserwatorskich przy jednym z odlewów badacze natrafili na ślady przedmiotów ukrytych w jego wnętrzu. Badacze wykonali tomografię gipsowej sylwetki oraz stworzyli komputerowe modele 3D. Na obrazach zobaczyli nie tylko szczątki kostne, lecz także coś, co przypominało niewielkie etui z przegródkami. Dostrzegli również mechanizm zamknięcia, prawdopodobnie zębatą blokadę.

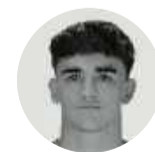
Kolejne skany i modele 3D pozwoliły zidentyfikować zawartość torby. Były w niej cienkie metalowe narzędzia o regularnych kształtach, drobne in-



strumenty przypominające narzędzia chirurgiczne oraz kamienna tabliczka, która mogła służyć do przygotowywania leków na bazie miodu, wina, octu czy ekstraktów roślinnych, powszechnie stosowanych w medycynie rzymskiej. Według badaczy układ przedmiotów odpowiada znanym z archeologii rzymskim zestawom medycznym. Na tej podstawie wysunęli hipotezę, że zmarły prawdopodobnie był lekarzem. W odlewie znajdowała się także sakiewka z monetami, widoczna jako skupisko krążków o jednolitej gęstości. Mogły to być zarówno oszczędności, jak i zapłata za wcześniejszą pracę. Po raz pierwszy jedna z ofiar Pompejów przestała być anonimową sylwetką uwiecznioną w gipsie. ●

Joanna Bujakiewicz

Cytat tygodnia



Jestem wylewnym facetem, zawsze wszystkich ściskam i całuję. Taki mam charakter. Robert pewnie był zaskoczony, kiedy go przytulilem

GAVI

pomocnik Barcelony w rozmowie o Robertcie Lewandowskim z dziennikiem „Mundo Deportivo”

Wyższy drugi próg. Dobry pomysł w złym czasie

Premier zjada wszystkie ciastka

Założę się, że propozycje Pełczyńskiej-Nałęcz i Czarzastego, które premier dziś blokuje, przejmemy w czasie kampanii wyborczej – śmieje się poseł Koalicji Obywatelskiej

GRUSZCZYŃSKI



Połowa kwietnia, gabinet premiera w Alejach Ujazdowskich. Trwa spotkanie jeden na jeden Donalda Tuska z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz. Chwilę przed rozmową kelnerzy dowożą na małych wózkach świeże ciasteczka i wodę mineralną, potem serwują kawę.

Kierownik trzymał liderkę Polski 2050 przez wiele tygodni w czyszcju: ministra prosiła o spotkanie od dnia, kiedy została przewodniczącą partii, ale premier nie miał czasu. A tak naprawdę nie miał ochoty rozmawiać z Pełczyńską-Nałęcz poza „formatem koalicyjnym”. Czyli oficjalnymi spotkaniami piątki liderów: Tuska, Pełczyńskiej-Nałęcz, Pauliny Henning-Kłoski, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego.

Mała koalicyjantka – klub parlamentarny Polski 2050 ma obecnie 15 posłów, wystarczy jedna zdrada i staje się kołem poselskim, tym samym tracąc wicemarszałka Sejmu – rozmawia z premierem głównie o koalicji. Do dziennikarzy trafia parę spinów, czyli kontrolowanych przekazów: że rozmowa była stanowcza i dotyczyła głównie przyszłości Hennin-Kłoski, separatystki, która rozbiła Polskę 2050. „Zółci” – jak mówi się w Sejmie o partii założonej przez Szymona Holownię – straszili, że nie udzielą wotum zaufania byłej koleżance. Skończyło się na medialnym szantażu.

Ale jednym z ważniejszych tematów rozmowy Tuska z liderką Polski 2050 był projekt ustawy podwyższający drugi próg podatkowy ze 120 do 140 tysięcy złotych. – Kaśka, z dobrego serca ci radzę: wycofaj się z tego pomysłu – miał powiedzieć premier ministrze funduszy i polityki regionalnej. Ale ona nie usłuchała i kilkanaście dni później obleciała wszystkie media z opowieścią o swoim pomysle.

Propozycja Polski 2050 jest prosta: skoro od pewnego czasu znaczna część klasy średniej w trzecim kwartale roku wpada do drugiego progu, co oznacza, że wyższy podatek płacą – niczym do niedawna menedżerowie i informatycy – nawet nauczyciele czy pielęgniarki, to państwo powinno delikatnie podnieść próg. – Myśmy to dokładnie wyliczyli: kosztowałoby nas to rocznie 8 miliardów. A przypominę, że niezrealizowana obietnica premiera Tuska o podniesieniu kwoty wolnej od podatku z 30 do 60 tysięcy miała kosztować budżet ponad 50 miliardów – przekonywał mnie ostatnio jeden z polityków Polski 2050.

Moi rozmówcy w Sejmie przekonują, że pomysł Polski 2050 „idealnie odpowiada aspiracjom uboższej klasy średniej”. – A przecież o tych wyborców walczą i KO, i Polska 2050. Poza tym coś będziemy musieli przed wyborami rzucić wyborcom, a to byłby najlepszy pomysł – uważa poseł „Zółtych”.



• Premier Tusk i ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Posiedzenie rządu w Kancelarii Premiera RM, 12.08.2025

I trzeba przyznać mu rację. Pomysł Pełczyńskiej-Nałęcz jest zwyczajnie dobry na dwóch poziomach: i korzyści w bieżącej polityce, która stała się transakcją między władzą a obywatelami, i łagodzenia skutków błyskawicznej przemiany technologicznej, którą trapią się wszyscy poza menedżerami big-techów.

Skoro politycy nie skupiają się dzisiaj na reformie państwa, tylko na punktowych transferach socjalnych i redystrybucji, to Tusk i cała Koalicja 15 Października dzięki zmianom podatkowym poszerzyliby grupę winnych wyborców znacznie poza pulę tożsamościową i anty-PiS. To mógłby być *game changer* na miarę 500+. Jarosław Kaczyński, wypłacając 500 plus wszystkim dzieciom w Polsce, zyskał przychylność klasy ludowej i średniej niższej, dzięki czemu w 2019 roku mógł liczyć na 45 procent w wyborach europejskich. Prezes PiS nie przewidział jednak, że przekazanie gotówki rodzinom, które nie były ani biedne, ani bogate, ale nie mogły sobie pozwolić na wakacje i małe oszczędności, sprawi, że z biegiem lat zaczną aspirować do klasy średniej. Dzisiaj ci wyborcy chętniej oglądają się na partie, które mogą reprezentować ich interesy.

Upraszczając: fryzjerka i magazynier z dwójką dzieci dzięki 500+, a także sukcesywnym podwyżkom pensji minimalnej, weszli do klasy średniej. Są więc potencjalnymi wyborcami Koalicji 15 Października, która ma ambicje wzmocnienia nowego mieszczaństwa i rodzin korzystających z sukcesu gospodarczego.

Ale jest jeszcze drugi poziom: to sztuczna inteligencja, która w bliskiej przyszłości doprowadzi do głębokiego przeorania rynku pracy. Usługi, handel, programowanie, księgowość, operacje bankowe, analiza danych, logistyka, grafika, produkcja filmów i reklam, podstawowe czynności prawne – ludzi w tych sektorach może za chwilę zastąpić AI. Nie przypadkiem sama Dolina Krzemowa już teraz apeluje o wprowadzenie dochodu gwarantowanego. Inżynierowie i programiści spoza big-techowego topu dysponującego unikatowymi kompetencjami oraz opcjami na akcje ich pracodawców, wiedzą po prostu, co się za chwilę stanie w największych firmach i korporacjach.

Postanka KO: „My się dziwimy w partii jak to jest, że nasza wiceministra finansów dla Beaty Szydło znajdowała pieniądze na każdą bzdurę, a dla nas tej kasy nie ma”

Pomysł Pełczyńskiej-Nałęcz rzecz jasna nie wynika wprost z tak szerokiego, cywilizacyjnego myślenia, niemniej jej kierunek myślenia o roli państwa łączy się z zapowiedziami płynącymi z oceanu: niech klasa średnia oswoja się z myślą, że w najbliższych latach zubożeje.

Zatem: dlaczego Donald Tusk nie popiera postulatu Polski 2050? – Bo nie jest projektem rządowym – śmieje się poseł KO. – I założę się, że za rok premier na którymś ze spotkań z wyborcami rzuci tę propozycję, Sejm szybko uchwali zmiany i Tusk będzie miał łatwy sukces.

Mniej więcej to samo słyszę od innych posłów, z różnych części i kątów koalicji rządzącej. – Proszę spojrzeć na zakaz telefonów w szkołach: przecież od początku do końca to był pomysł Szymona Holowni. Tusk odczekał, ludzie przynieśli mu badania, że Polakom podoba się zakaz i przedstawił go jako własny – wspomina mój rozmówca z Polski 2050.

Oficjalnie politycy Koalicji Obywatelskiej dystansują się do pomysłu Pełczyńskiej-Nałęcz. Ale w nieoficjalnych rozmowach przyznają rację „zółtym” kolegom: ten projekt jest prosty, tani i gwarantujący sukces. – Wszystko blokuje Andrzej Domański, a właściwie zastępczyni ministra finansów Hanna Majszczyk, która pracowała też dla PiS. My się dziwimy w partii: jak to jest, że pani Majszczyk dla Beaty Szydło znajdowała pieniądze na każdą bzdurę, a dla nas tej kasy nie ma – mówi mi jedna z posłanek KO.

Uczciwie dodajmy, że obecna wiceministra opuściła rząd Zjednoczonej Prawicy wcześniej, już w 2017 roku. Coś jednak jest na rzeczy, skoro wielu posłów koalicji rządzącej narzeka na Domań-

skiego. – Ciągłe słyszymy, że musimy wydawać pieniądze na zbrojenia. I wszyscy to rozumiemy. Ale nie możemy zostać w innych sferach życia, takich jak choćby zdrowie. Musimy udowodnić ludziom przed wyborami, że nie pomylili się 15 października trzy lata temu – denerwuje się mój kolejny rozmówca z KO.

A na stole leży jeszcze jedna propozycja, która poprawiłaby notowania rządzących. Lewica proponuje reformę składki zdrowotnej, precyzyjniej: obłożenie podatkiem zdrowotnym firm, które miałyby – tak jak wszyscy obywatele – dokładać się do Narodowego Funduszu Zdrowia. Włodzimierz Czarzasty chciałby również obłożyć producentów przetworzonej żywności dodatkowym podatkiem, a także wprowadzić jednolitą akcyzę, która w 80 procentach zasilalaby NFZ. W ciągu 10 lat do kasy państwa trafiłyby dodatkowe 2 biliony złotych na zdrowie.

I znowu: dlaczego premier nie daje zielonego światła tym zmianom? – Tusk boi się reform, które kojarzą się źle wszystkim rządzącym, bo oznaczają chaos – słyszę. To po pierwsze. Po drugie – obłożenie dodatkowym podatkiem przedsiębiorców fatalnie odbierze ta grupa wyborców, dla których wolność gospodarcza jest świętością. I po trzecie: w rządzie tak naprawdę nikt nie wierzy, że ochronę zdrowia uda się uzdrowić.

– Premier mógłby oddać lewicę resortu zdrowia, obiecać wdrożenie podatku zdrowotnego i w razie czego zrzucić całą winę na mniejszego koalicyjanta. Szczególnie że posłanka Joanna Wicha, była pielęgniarka i polityczka lewicy, chciałaby przejąć tekę ministrowi – słyszę od ważnego posła KO. Wicha mówi o tym publicznie, a otoczenie premiera zaczyna poważnie zastanawiać się nad przywróceniem politycznego charakteru ministerstwa zdrowia. Dzisiaj jego kierownictwo jest w pełni technokratyczne.

Ograniczając sprawczość koalicyjantów, premier popełnia strategiczny błąd. Koalicja Obywatelska najprawdopodobniej będzie potrzebowała partnerów do stworzenia rządu w 2027 roku, a odbierając tlen Polsce 2050 i lewicy, Tusk skazuje się na zasiadanie w ławach opozycji.

„Kierownik” woli wykonywać bezpieczne symboliczne gesty. Premier w ciągu kilkunastu dni najpierw spotkał się z Watykanem z papieżem Leonem XIV, złożył kwiaty na grobie Jana Pawła II, przeżegnał się w Bazylice Świętego Piotra, a następnie przyznał, że małżeństwa jedнопłciowe zawierane za granicą będą legalne w Polsce.

Tusk wysłał więc dwa komunikaty do dwóch grup wyborców: do miękkich konserwatystów osieroconych przez Holownię, było nie było katolickiego celebrytę, noszącego przy sobie różaniec, który był dwa razy w nowicjacie dominikanów, oraz do wielkomiejskiej lewicy, dla której małżeństwa jedнопłciowe są ważną częścią światopoglądu i stylu życia.

Wszystkie ciastka zjada więc premier. • **Arkadiusz Gruszczyński**

Kościół przestał słuchać

Opowieści o przemocy nie tylko w Kościele,
ale w rodzinie, wśród rówieśników,
totalnie zmieniły moją perspektywę.

Z DZIENNIKARZEM I PUBLICYSTĄ **TOMASZEM TERLIKOWSKIM** *
ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**
ZDJĘCIE **DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL**

TOMASZ TERLIKOWSKI: – Wie pan, ja mam łatkę fanatyka. Jak rozmawiałem ze znajomym i powiedziałem, że w obecnym Sejmie nie będzie związków partnerskich, to od razu tak mnie zasufladkowali. A nie powiedziałem, czy jestem za czy przeciw, po prostu spojrzałem na to, jak wygląda Sejm. No i nie myliłem się [Rząd nie jest w stanie przeforsować ustawy o związkach partnerskich, ministrowie Kotuli udało się przygotować jedynie kompromisowy projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku].

SEBASTIAN SŁOWIŃSKI: Ale kiedyś był pan fanatykiem. Pamiętam swoje gimnazjalne czasy, kiedy mówiło się o panu jako „katotalibie”. Był pan głosem zamkniętego, agresywnego katolicyzmu, a dziś mówi pan całkiem inaczej. Co się zmieniło od pana pierwszej, wydanej w 2004 roku książki pt. „Tęczowe chrześcijaństwo. Homoseksualna herezja w natarciu”?

– Precyzyjnie rzecz ujmując, byłem krytyczny wobec przemian kulturowych, ale od zawsze byłem też bardzo krytyczny wobec hierarchii Kościoła katolickiego. Rzadko się pamięta, że sprawa abp. Stanisława Wielgusa to efekt mojego tekstu.

W 2007 roku ujawnił pan na łamach „Rzeczpospolitej”, że abp. Wielgus był tajnym współpracownikiem SB. W rezultacie duchowny zrezygnował z objęcia funkcji metropolity warszawskiego.

– Rzadko pamięta się też, że jak Ekke Overbeek [holenderski dziennikarz mieszkający w Polsce, autor m.in. publikacji „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”] wydał pierwszą w Polsce książkę, „Lękajcie się; ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią” (2013), to na okładce jako blurb zamieszczony był fragment mojego tekstu. Po tekście, który się tam znalazł, kard. Stanisław Dziwisz wymusił na franciszkanach odwołanie rekolekcji akademickich, które miałem prowadzić w Krakowie. Łatwo się pamięta o tym pierwszym wizerunku, o tym drugim już trudniej. Nie zapominajmy też, że nawet w okresie swojego najtwardszego okresu publicystycznego rozmawiałem ze wszystkimi... także z „Gazetą Wyborczą”. Mówię to gwoli uzupełnienia, bo to nie jest tak, że kiedyś broniłem Kościoła, a teraz go atakuję.

Racja, ale ciekawi mnie, co takiego się w panu zmieniło.

– Wiele rzeczy. Wtedy miałem trzydzieści kilka lat, a teraz mam pięćdziesiąt kilka. Moje dzieci dorosły i w tej chwili mają wiele do powiedzenia w dynamicznym dialogu ze mną. Przemieniło mnie na pewno doświadczenie komisji dominikańskiej [grupa ekspertów pod przewodnictwem T. Terlikowskiego, badająca przypadki przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej, jakich miał dopuszczać się zakonnik o. Paweł M.], ale jeszcze bardziej spotkania z ludźmi.

To wcale nie jest tak, że najistotniejsze są problemy wewnętrzne Kościoła. Oczywiście są ważne, ale ważniejsze są historie ludzi, one mnie bardzo dotknęły. Opowieści o przemocy nie tylko w Kościele, ale w rodzinie, wśród rówieśników, totalnie zmieniły moją perspektywę. To też kwestie pokoleniowe, które widać świetnie i w debacie w Kościele, i, żartobliwie mówiąc, w tekstach publicystycznych w „Wyborczej”. Wrażliwość na przemoc seksualną jest zupełnie inna w pokoleniu 60-latków niż w pokoleniu 20-30-latków.

Te spotkania mnie odmieniły, ale zawsze podkreślałem, że byłem i jestem człowiekiem wierzącym, byłem i jestem katolikiem, myślę, że byłem i jestem osobą o poglądach dość konserwatywnych, choć na pewno inaczej rozumie ten konserwatyzm. Prowadzę też bardzo podobne życie, zresztą mając żonę i piątkę dzieci trudno prowadzić inne.

A jeszcze co do zmian, rozmowy z ofiarami przemocy uświadomiły mi również, że model mojego pisania i sposób komunikacji, bardzo skuteczny jeśli chodzi o dotarcie, bo jedno czy dwa mocno podkreślone zdania bardzo podnosiły cytowalność...

...o tak! Nie czytałem pana w gimnazjum, a dobrze wiedziałem, jakie ma pan poglądy. Jako nastoletni gej byłem nimi przerażony.

– No właśnie. Ale było to kompletnie nieskuteczne komunikacyjnie na głębszym poziomie, bo te dwa zdania przesłaniały całą resztę. Było to krzywdzące dla wielu ludzi, którzy zresztą mi to później mówili. Więc ten sposób wyrażania opinii też się zmienił.

Był pan w awangardzie antygenderowej polityki, która skrytykowała się w 2013 roku po liście Konferencji Episkopatu Polski o zagrożeniach wynikających z „ideologii”. Bał się pan, że „straszny gender” wywróci porządek metafizyczny i antropologiczny? A to po prostu badanie społeczno-kultu-





Jan Paweł II został w Polsce sprowadzony do nauczania wyłącznie w kwestii aborcji czy antykoncepcji

rowej płci człowieka i jego orientacji psychoseksualnych.

– Jeśli chodzi o „gender”, to moje stanowisko zmieniło się na różnych poziomach. Po pierwsze dlatego, że lektura kolejnych tekstów z zakresu gender studies i zetknięcie się z przemocą, której doświadczyli ludzie, sprawiło, że dużo mocniej rozumiem kontekst tych badań i kulturowe umocowanie doświadczania płci. Lepiej rozumiem też powody, dla których tego typu model myślenia był potrzebny. Nie uważam też tego za ideologię, natomiast według mnie część środowisk politycznych, która posługuje się teoriami z zakresu gender studies, idzie za daleko. Nie zgadzam się z tezą, że płeć jest uwarunkowana tylko kulturowo, bo ma także wymiar biologiczny. Ostrożnie podchodzę do koncepcji wielości płci, większość ludzi przeżywa płeć w jeden z dwóch sposobów, ale nie kwestionuję tego, że są osoby, które przeżywają płeć inaczej.

Po drugie – spotkania. Radykalnie zmienił się mój stosunek do transpłciowości, bo osobiście poznałem transpłciowe osoby, które opowiedziały mi swoje historie. Być może dla mojej zmiany kluczowe było także rozpoznanie, że transpłciowość jest zjawiskiem bardzo szerokim w środowiskach katolickich. Moja dobra i długoletnia znajoma, Maria Jadwiga Minakowska, jest przecież osobą transpłciową, i to starszą ode mnie.

To wszystko uświadomiło mi, jak szerokie to zagadnienie, a Kościół jest na samym początku rozpoznawania tej sprawy. Ale o ile moje poglądy polityczne i społeczne ewoluują, nie oznacza to całkowitej zmiany stanowiska.

Interesuje mnie raczej zmiana tego, co Wilhelm Dilthey nazywa światopoglądem, czyli czymś dużo głębszym niż przekonania polityczne. W dzisiejszym świecie bardzo trudno jest zmienić światopogląd, a jeszcze trudniej jest, co pan zrobił, powiedzieć „przepraszam, myliłem się”. Gdy opowiedziałem przyjacielowi o rozmowie z panem, powiedział, że w panu zaszła zmiana odwrotna niż w abp. Jędraszewskim. Ten z pozycji szanowanego powszechnie księdza intelektualisty, zajmującego się Emmanuelem Lévinasem, a więc jednym z najważniejszych filozofów dialogu i spotkania z innym, przeszedł na pozycję zaangażowanego prawicowego aktywisty, który sęczy nienawiść. On zaczął mówić o „tęczowej zarazie”, pan przestał.

– Cóż, ja się nigdy Lévinasem nie zajmowałem, choć na studiach go zawzięcie czytałem. Moja droga do tego silnego publicystycznego zaangażowania była specyficzna. Pracę magisterską i doktorską pisałem z Lwa Szestowa, irracjonalistycznego filozofa rosyjskiego. Wiele można o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, że to był sługa jakiejś ideologii. To trochę taki współczesny Sokrates.

Z kolegami tworzyłem potem portal ekumenizm.pl i, także w „Gazecie Wyborczej”, publikowaliśmy pierwszy sprzeciw wobec chrześcijańskiej homofobii. Potem miałem wrażenie, że katolicyzm potrzebuje twardej jednoznaczności, to znaczy stanowczego opowiedzenia się po którejś ze stron. Wierzyłem, że znajdujemy się w jakimś etapie starcia cywilizacji. Stałem w rozkroku, bo z jednej strony byłem mocno zaangażowany w jedną ze stron tego konfliktu, a drugiej byłem tą osobą, która rozmawiała ze wszystkimi. Obawiałem się, że chrześcijański uniwersalizm, który miałby objąć wszystkich, stanie się tylko jedną ze stron debaty i przyczyni się do polaryzacji. Gdy po zwycięstwie PiS-u w 2015 roku przyszedł do mnie dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, a byłem wtedy naczelnym TV Republika, spytał mnie, kim chciałbym być w państwie PiS, a ja odpowiedziałem, że nikim. I w pewnym sensie mi się to udało. Orderów i funkcji nie dostałem.

Ale sam pan przyznaje, że był mocno zaangażowany po jednej ze stron i stał się pan głównym wojownikiem tej kulturowej wojny.

– Po tej konserwatywnej stronie było wówczas poczucie, że jesteśmy spychani na margines, że jesteśmy w mniej-

szości i musimy zdecydowanie bronić swoich wartości, przeciwstawiając się liberalnym propozycjom. Oczywiście teraz nic takiego nie ma miejsca, ale kiedy zaczynałem karierę, to trochę tak było, byliśmy na kulturowej kontrze. Wydawało mi się, że chcemy stworzyć drugą nogę tego konfliktu, zrównoważyć debatę. Nie chciałem burzyć komitetów i redakcji, tylko zbudować coś nowego. Okazało się, że spora część moich kolegów nie chciała tylko budować, tylko zburzyć stare. Gdy się zorientowaliśmy, że to o to chodzi, to niespecjalnie mi to pasowało.

Wspominał pan, że dużą rolę w pańskiej przemianie odegrały rozmowy z ofiarami przemocy seksualnej i z osobami transeksualnymi oraz homoseksualnymi. Trochę nie wyobrażam sobie sytuacji, w której taka osoba podchodzi do Tomasza Terlikowskiego i dzieli się swoją historią.

– Ja znam osoby homoseksualne od dawna. Zdarzało się, że moi przyjaciele geje czy lesbijki w okresie mojej najostrzejszej publicystyki dzwoniли do mnie i mówili, że przegrzewam. Dostawałem od nich łomot. Inne spotkania wychodziły przy okazji, osoby te najpierw mówiły o tym, jakiej krzywdy doznały, a dopiero później opowiadały o swojej tożsamości płciowej czy orientacji seksualnej. Czasem ktoś dzwonił i prosił o spotkanie; wiele razy

ca. To jest bardzo dojmujące doświadczenie. Stopniowo zmieniało się więc moje podejście, z czasem przestał mnie interesować Kościół i to, czy się oczyści. Tylko te osoby. To jest dla mnie fundamentalna zmiana: nie chodzi już o instytucję, ale o człowieka.

Zmieniło się też moje podejście do konwencji stambulskiej, która mówi o przemocy w rodzinie, ponieważ uważam, że nie wymyślono lepszego modelu formacyjnego niż rodzina, ale wiem też, jak wiele zła i przemocy dzieje się w rodzinie. I znów: wiem to dzięki tym rozmowom. I dlatego nie bronię ślepo rodziny, tylko dobra jednostek, które wchodzą w jej skład. Tu nie ma jednoznacznych rozwiązań. Nie uważam, że trzeba skasować rodzinę i pozwoić państwu na interwencję w każdym momencie, ale mam też świadomość, że państwo musi czasem wkraczać i że przy wielu jasnych stronach, które niesie ze sobą rodzina, ma ona też ciemne strony. To jest istota zmiany: redefinicja i ponowne przemyślenie podstawowych kwestii.

Czy dwójka kochających się kobiet może stworzyć rodzinę?

– Może i wiele takich par tworzy. Możemy prawnie się spierać, czy pary homoseksualne mogą być uznawane za małżeństwa, ale nie mam wątpliwości, że to są pełnowartościowe rodziny. Jeżeli ludzie żyją razem i się wspiera-

wodem tych sytuacji ma być katolicyzm. Pytam: czy to naprawdę jest katolicyzm? Bardzo łatwo jest głosić tezy o homoseksualności i o Kościele, ale trudniej zapamiętać, że ten sam Kościół mówi, że ważniejsza od racji jest relacja... Miłość do dzieci i relacja z nimi, także dorosłymi, są jednymi z fundamentalnych obowiązków. Oczywiście niektórym osobom chodzi o to, aby w ten sposób „naprostować” swoje dzieci... Czym zatem jest miłość? Deklaracją czy relacją? Jest powiedzeniem: „Bardzo cię kocham, więc zrywam z tobą relację” czy jednak powiedzeniem: „Bardzo cię kocham, chcę być z tobą blisko, nawet jeśli nie rozumiem, czy nawet jeśli jest to dla mnie trudne”.

Jest jeszcze inna kwestia. Rodzice tych osób często tracą miejsce w Kościele, w którym sami byli, tak jak pewnie ja byłem, homofobiczni czy transfobiczni. W każdym razie ci rodzice byli w pewnej wspólnoty i przez osmozę byli także uprzedzeni. I raptem dowiadują się, że ich dzieci, osoby, które kochają najbardziej na świecie, są homoseksualne lub transpłciowe. Nagle tracą zakorzenienie we wspólnoty, nie wiedzą, jak się przyznać, a jeśli to robią, bardzo często spotykają się albo z odrzuceniem, albo z wezwaniem do odrzucenia swoich dzieci. Nie mają narzędzi, żeby sobie z tym poradzić.

Ja nie doświadczyłem tej drogi. Moje dzieci, choć czytałem to o nich w mediach społeczno-

katolickim, który mówił, że ma we wspólnocie dziewczyny będące w związku lesbijskim. I kiedy u jednego z ich znajomych ze wspólnoty wykryto nowotwór, najzarliwiej modliła się w jego intencji jedna z tych dziewczyn. Włożyła w to wiele siły i dokonał się tam jakiś cud, choć w znaczeniu przyziemnym; nastąpiła remisja, on się później oczywiście dalej leczył, to nie tak, że wymodliła zanik choroby. Niemniej ten ksiądz wyznał mi, że kim on jest, żeby mówić, kogo Pan Bóg ma słuchać, a kogo nie. Jej wysłuchał, ten ksiądz był o tym przekonany. I co? Ma ją wyrzucić ze wspólnoty, bo nie spełnia jakichś kryteriów Kościoła? Ostatecznie nikt nie spełnia tych kryteriów.

Nam w Polsce brakuje takiego wyczucia. To też moje doświadczenie, że tak chcemy być ortodoksyjni w znaczeniu litery prawa, że zapominamy, że poza literą jest człowiek. Nie człowiek jest dla szabatu, a szabat dla człowieka.

Na niedawny list Konferencji Episkopatu Polski z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w Rzymskiej Synagodze Większej wierni zareagowali oburzeniem, bo biskupi podjęli temat relacji katolików z Żydami i potępiili antysemityzm. Wygląda na to, że Kościołowi religia wymyka się z rąk, skoro wierni mają wrażenie, że list polskiego episkopatu jest niezgodny z ich wiarą. Tak jak pan powiedział wcześniej, że „wydaje się”, jakie jest stanowisko Kościoła. Ludzie mają pewne tożsamościowe wyobrażenie o Kościele, a wiara staje się dla nich moralną legitymizacją ich poglądów.

– Tu jest kilka kwestii. Czasem w każdym z nas jest potrzeba potraktowania religii jako zastępczego kregosłupa moralnego, źródła pewności. A wiara nie jest kwestią wyznawania, lecz ufania, tak jak dziecko ufa rodzicowi. W nas, ludziach wierzących, we mnie kiedyś też, pojawia się czasem fałszywa świadomość, że tak bardzo chcemy wygonić z siebie wszystkie wątpliwości, że zamykamy się w fałszywej religijności, chcemy tylko pewności – nie ma miejsca na pytania i wątpliwości. A każdy system opiera się na wątpliwości, nie ma takiego, który by się jej wymykał. Nie poddaję im się tylko teorie spiskowej.

Polski Kościół nie próbował nauczać katolików w inny sposób, niż tylko przedstawiając wąskie koncepty moralne. To znaczy, że Jan Paweł II został w Polsce sprowadzony wyłącznie do nauczania w kwestii aborcji czy antykoncepcji. Efekt jest taki, że jak biskupi wydali wspomniany list, który w większości składa się z cytatów z Jana Pawła II, to polscy katolicy zawyli, bo nie wiedzieli, że Jan Paweł II nauczał o pojednaniu między katolikami a Żydami, wzmacniał dialog. Wierni nie byli w stanie tego pojąć i przerzucili odpowiedzialność za przesłanie tego listu na kardynała Rysia. Kościół w Polsce nie prowadzi debaty teologicznej, bo, zdaniem Kościoła, debata taka szkodziłaby spójności wiary. Kolejnym efektem braku tej debaty jest dosłowność rozumienia Biblii. Pierwsze trzy rozdziały Księgi Rodzaju – stworzenie świata, opis Edenu i grzech Adama i Ewy – są mitem, co z perspektywy bibliistyki jest oczywistą tezą!

Dla wielu katolików to, co pan mówi, jest kontrowersyjne, jeśli nie heretyckie.

– Tak, ale z perspektywy katolickiej błędem jest dosłowne, literalne rozumienie tych trzech rozdziałów. Mówił to już św. Augustyn. Traktowanie wiary jako czegoś stałego i niepodważalnego uniemożliwia nam jej świadome przeżywanie. Żyjemy w płynnym świecie i jeśli twierdzimy, że ten jeden wymiar naszego życia jest stały, oszukujemy samych siebie. Po wiem więcej, tak rozumiana wiara uniemożliwia kontakt z Panem Bogiem, bo jak On ma do mnie trafić, jeśli stworzyłem sobie fałszywy obraz religii i w związku z tym i siebie?

Jest jeszcze inny przykład, który pokazuje to mocniej. Jak kardynał Ryś – notabene teologicznie bezspornie – na pytanie Bogdana Rymanowskiego, czy miał czasem wątpliwości co do istnienia Boga, po dłuższym milczeniu powiedział: „Aż tak to nie”, wybuchł skandal,

Empatia i bycie z nami jest istotą Boga. On jest z nami w każdej ciemności i najgłębszym cierpieniu, a nie w tym, że jest wszechmocny i wszystko może załatwić. W takiego Boga nie wierzę

słyszałem, że nie da się mnie czytać, a w rozmowie fajny ze mnie facet. To otwierało ludzi, a mnie zmieniało. Ta maska, czy raczej morda, którą sobie nałożyłem, była niespójna z tym, kim jestem. Chciałem nad tym popracować. To wszystko działo się albo w trakcie, albo już po komisji dominikańskiej, w której badałmy sprawę Pawła M. Ludzie już wtedy widzieli moją zmianę.

Zmiana pańskiego światopoglądu szła równoległa do zmiany stosunku do Kościoła katolickiego?

– Szła równoległe, ale tak naprawdę nie chodzi o Kościół. O skandalach seksualnych i wyzwaniach, jakie stoją przed Kościołem, zacząłem pisać w 2005 roku. Tylko wtedy moja perspektywa była taka, że trzeba oczyścić Kościół, żeby był wiarygodny. Była to troska o instytucję. W momencie, w którym ludzie Kościoła i hierarchowie patrzą na te moje działania nieprzychylnie, to osoby z drugiej strony, skrzywdzone przez Kościół, zaczynają przychodzić i opowiadać swoje historie.

Nigdy nie zapomnę tych pierwszych rozmów. Pewien mężczyzna, z którym rozmawiałem, nagle zaczął mówić jak czternastoletni. Teraz jestem w stanie to zrozumieć i nazwać, ale wtedy widziałem tylko zjawisko: czterdziestoletni postawny menedżer nagle zmienia się w czternastoletniego, skrzywdzonego chłop-

ją, są rodziną. Niektóre homoseksualne pary wychowują nawet dzieci i uważam, że mają do tego prawo. I znów, możemy się spierać, czy dopuścić do adopcji dziecka przez parę jednopłciową, ale są już takie pary, które wychowują dzieci adoptowane przez jednego z partnerów.

To się dzieje i to są dzieci tych ludzi, mają prawo je wychowywać. Osobną kwestią jest też przysposobienie [prawna procedura uznania dziecka za własne] dziecka z poprzedniego związku jednego z partnerów. To, moim zdaniem, dla dobra dziecka powinno być możliwe.

Ale dla takich rodzin nie ma miejsca w Kościele.

– Niedawno po spotkaniu autorskim podszła do mnie kobieta, która powiedziała: „Panie Tomku, mój syn jest gejem. Kiedy Kościół zacznie traktować takie osoby normalnie?”. I opowiedziała, jaka reakcja ze strony księży spotkała ją i kilka jej koleżanek, które też mają homoseksualne dzieci. Mówimy o miejscowości, w której większość stanowią katolicy. Włosy stanęły mi dęba na głowie, jak usłyszałem, że ksiądz jednej z nich miał poradzić, żeby córkę lesbijkę wypędzić z domu. To chore.

Innym razem usłyszałem, że rodziny dwóch mężczyzn, którzy są razem od wielu lat, nigdy się ze sobą nie spotkały. Dlaczego? Bo są religijne. Przeraża mnie to, zwłaszcza dlatego, że po-

ściowych, nie są transpłciowe czy homoseksualne. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Powiedziałyby panu, gdyby były?

– Mam nadzieję, że tak. Bardzo dużo i bardzo szczerze ze sobą rozmawiamy.

Niektórzy rodzice, i mówię tu o doświadczeniu swoich bliskich, mogą pomyśleć, że to jest choroba, bo tak powiedzą im księża.

– Tak. I ci rodzice nie mają pojęcia, co zrobić, a Kościół im nie pomaga. Pojawiają się oczywiście pierwsze sygnały, że można inaczej, na przykład Mateusz Filipowski, karmelita, który próbuje robić rekolekcje dla rodziców osób homoseksualnych – i jest gigantyczne zapotrzebowanie na to, aby wierzącym rodzicom powiedzieć, że są w sercu Kościoła i nikt ich nie może wyrzucić z tej wspólnoty. Nawet my z żoną dostaliśmy kiedyś propozycję zrobienia rekolekcji. Wymyśliliśmy, że zrobimy rekolekcje dla rodziców osób transpłciowych. Powiedziano nam wtedy, że musimy tylko jasno powiedzieć, jakie jest stanowisko Kościoła w tej sprawie. Odmówiliśmy, bo oni doskonale wiedzą, jakie ono jest, a jak mamy zrobić rekolekcje, to bez oceniania, z przestrzeżeniem na modlitwę i rozmowę. Ciągłe przypominanie rodzicom osób transpłciowych i homoseksualnych, jakie stanowisko ma Kościół w tej sprawie lub jakie wydaje im się, że Kościół ma, jest formą przemocy. Nie potrzebują takich rekolekcji.

Czym innym jest doświadczenie samych osób homoseksualnych i transpłciowych w Kościele, którzy mają autentyczną potrzebę religijności. W dużej mierze spotykają się oni z poczuciem odrzucenia przez wspólnotę. Ja sam, po rozmowach z tymi osobami, czułem się wzmożony w wierze. Ale tak, Kościół w Polsce nie ma dla nich propozycji. Tymczasem na świecie jest różnie. Są wspólnoty chrześcijańskie, które zajmują zupełnie odmienne stanowisko niż Kościół katolicki. Nigdy nie zapomnę rozmowy z pewnym holenderskim księdzem

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczczyńska, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
redakcyjnych
materiałów
publicystycznych
bez zgody wydawcy
jest zabronione.



bo ludzie pomyśleli, że podważa istnienie Boga. Oczywiście on tego nie powiedział, ale ludzie się oburzyli, że kardynał sygnalizuje jakąkolwiek wątpliwość. W takich sytuacjach przypomina mi się Thomas Merton, amerykański pisarz, poeta i duchowny, który w „Dzienniku azjatyckim” napisał: „Jak ktoś mówi, że on nie wątpi, to ja twierdę, że on nie wierzy”.

Dlatego mówi pan czasem o słabym Bogu?

– Mówię o słabym Bogu, ponieważ jednym z pierwszych pytań, które sobie zadałem jako licealista podczas rekolekcji, było: jak to możliwe, że skoro Bóg jest wszechwiedzący, pozwolił Adamowi i Ewie na grzech. Bóg musiał o tym wiedzieć, więc nie rozumiałem, czemu ich ukarał. Jak możliwe jest zło w świecie stworzonym przez Boga? Przekonuje mnie koncepcja kenotyckiego, słabego Boga, która mówi, idąc trochę za Kabałą, a trochę reinterpretując wołanie Chrystusa z krzyża: „Boże, czemuś mnie opuścił”, że Bóg, aby dać nam wolność, cofnął się ze swojej wszechwiedzy.

Druga kwestia to teologia krzyża, który symbolizuje Boga bezsilnego. Przesłaniem, które niesie krzyż, nie jest to, że Bóg musiał skazać swojego syna na śmierć, żeby odkupić dług, który my zaciągnęliśmy. Przesłanie jest zgoła inne: niezależnie od tego, w jakim jesteśmy cierpieniu, Bóg jest w nim z nami, bo poszedł na krzyż. Jest takie opowiadanie Eliego Wiesela „Noc”. Z obozu koncentracyjnego ucieka 10 mężczyzn i za karę naziści 10 innych skazują na śmierć przez powieszenie. Wśród tych osób jest mały chłopiec, który jest tak lekki i wygłodniały, że sznur nie łamie mu kręgu szyjnego, a chłopiec zaczyna się wic i dusić. Wtedy ktoś z tłumu krzyczy: „Gdzie jest Bóg teraz?”, a ktoś inny odpowiada, że „jest tam”, wskazując na chłopca.

Oczywiście dla Wiesela ten obraz ma inne znaczenie. On jest Żydem i mówi, że Bóg umarł w Auschwitzu. To polemika z Bogiem. Ja jako chrześcijanin odbieram to inaczej, widząc

*Tomasz Terlikowski

• Rocznik 1974. Doktor filozofii, dziennikarz i publicysta. Prowadzi Poranne Rozmowy w RMF FM i program Dwie Strony w TVN24. Regularnie pisuje w „Plusie Minusie Rzeczpospolitej” i Wirtualnej Polsce. Wcześniej współpracował m.in. z „Newsweekiem”, TVP, ale także z prawniczym wówczas tygodnikiem „Ozon”, „Froncą” czy „Gościem Niedzielnym”. Przez wiele lat związany z Telewizją Republika, której był redaktorem naczelnym w latach 2014-2017. Zajmuje się problemem pedofilii w Kościele, w 2021 roku był przewodniczącym komisji do zbadania o. Pawła M. w zakonie dominikanów. Ostatnio napisał biografię św. Pawła z Tarsu, „Szawel. Historia prawdziwa” (Wydawnictwo Literackie).

Boga, który jest z nami w cierpieniu. Nie chcę powiedzieć, że to ma zawsze nadawać sens naszemu cierpieniu. To każdy musi zrobić sam i może nie widzieć sensu... Może zawsze krzyżać do Boga. Ale myślę, że ta empatia, to bycie z nami, jest istotą Boga. On jest z nami w każdej ciemności i najgłębszym cierpieniu, a nie w tym, że jest wszechmocny i wszystko może za nas załatwić. W takiego Boga nie wierzę.

Znów: część katolików uzna to za herezję.
– Radzę sobie z tym.

Ale to nie sprawia, że czuje się pan źle w Kościele?

– W Kościele, w którym jestem, wciąż są ludzie, którzy myślą podobnie. Znam ich, jestem z nimi blisko. Są też tacy, którzy ze mną polemizują. Ale kościelna wspólnota nie polega na tym, że się zgadzamy. Chodzi o to, by współ-

tworzyć wspólnotę, która, lepiej lub gorzej, ale idzie do przodu i jest w stanie z pokolenia na pokolenie przekazać coś wartościowego o człowieku i świecie. Mówię „lepiej lub gorzej”, bo im dłużej studiuję historię Kościoła, tym bardziej mam wrażenie, że Kościół często nie przekazuje wszystkiego dobrze. Bywa, że najpierw świecki świat coś zauważy, a Kościół nie. Bywa też na odwrót, w kwestii eugeniki wydaje się, że rację miał Kościół; w kwestii przemocy seksualnej i przemocy wobec kobiet – odwrotnie.

Często zapominamy, że pójście za Jezusem w życiu każdego nie zawsze oznacza to samo, za bardzo skupiamy się na ocenianiu. Dla mnie w tej wspólnocie najważniejsza jest wspólna droga. Nie ma jednej normy, która by wszystkich podciągnęła; a jeśli ktoś do owej miary nie pasuje, to będziemy go ciąć, żeby się wpasował. Takie myślenie to błąd, o czym też zapomnieliśmy. Dlaczego? Bo w płynnym świecie chcemy mieć coś stałego, ale Kościół tak rozumianej stałości nie oferuje.

Pan wyraźnie odróżnia instytucję od ludzi, ale czy nie jest tak, że ludzie tracą wiarę, bo tracą zaufanie do Kościoła?

– To jest bardziej skomplikowane, bo są tacy, którzy zachowują wiarę, a odchodzą z Kościoła, i tacy, którzy zostają w Kościele, choć tracą wiarę. Niewątpliwie Kościół instytucjonalny przeżywa kryzys wiarygodności. To nie tylko kwestia skandali seksualnych, ale też faktu, że jakiś czas temu Kościół przestał słuchać. Jesteśmy tak pochłonięci udzielaniem odpowiedzi i dawanym pewnością, i tak przekonani, że znamy te odpowiedzi, że nie zauważyliśmy, że ludzie przestali zadawać pytania. A część z naszych odpowiedzi opiera się na fałszywej, sfalsyfikowanej (na przykład przez psychologię czy neurologię) wizji świata.

Potrzebujemy się zatrzymać i usłyszeć ludzi. Papież Franciszek podszedł do tego cie-

kawie, pisząc na zupełnie inny temat: dlaczego księża i klerycy powinni czytać literaturę współczesną. Zdaniem Franciszka literatura współczesna to przestrzeń, w której słyszymy autentyczne pytania ludzi. Gdyby więc jakiś duchowny chciał zrozumieć sytuację młodej osoby homoseksualnej wewnątrz restrykcyjnej moralnie wspólnoty chrześcijańskiej, powinien przeczytać książki Jeanette Winterson. Nie trzeba się z nimi zgadzać, ostatecznie nie można się zgodzić lub nie z czymś przeżywanym światem. Ale powinniśmy się zatrzymać i posłuchać. Wierzę, że ciągle mamy, przynajmniej kilka, odpowiedzi na pytania, które zadaje współczesność, tylko one są inne niż te, które dajemy teraz. Tak więc Kościołowi, poza wiarygodnością, brakuje słuchu społecznego.

Trzeci problem jest bardzo polski. Kościół w Polsce jest w żalobie po utracie potęgi. Duchowni byli prześladowani, a komuniści ograniczali prawa Kościoła, ale ten zdobył wówczas gigantyczny rząd dusz i przełożył to całkiem konkretnie na wymiar społeczny i polityczny w latach 90. Nigdy nie było tyle powołań kapłańskich i zakonnych, nigdy nie było tyle świątyni i nigdy Kościół nie miał takiego wpływu na politykę. I to się skończyło, teraz trwa głęboka laicyzacja; wpływy polityczne, w porównaniu z tym, co było, są minimalne. Biskupi nie wzywają polityków, żeby się dogadali, teraz raczej politycy wzywają biskupów. Parasol medialny, który był nad Kościołem, został mocno zwinięty.

Żaloba powinna doprowadzić do odnalezienia się w nowej sytuacji, ale w naszym wypadku to wygląda tak, że w ogóle nie dopuszczamy do wiadomości tego, co się stało. Zaprzeczymy i przekonujemy się, że to chwilowe, to da się odwrócić. Otóż nie, nie da się. Jak zaczniemy słuchać rzeczywistości i pogodzimy się z tym, co się stało, możemy odnaleźć dla siebie nową drogę. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414016

GAZETA
wyborcza

Kto zostanie

Człowiekiem Roku

W PIĄTEK OD 17.30 NA WYBORCZA.PL

- Oglądaj rozmowę Adama Michnika i Anne Applebaum: Zmierzch populizmu czy zmierzch demokracji?
- Sprawdź wyniki plebiscytu Czytelników i wybór redakcji

REKLAMA

MECENAS
STRATEGICZNY



PATRON
MEDIALNY



Twardy jak Polak

Dzisiaj brutalność, twardość i pogarda nie są po prostu emocjami, ale trenowanymi cechami charakteru.



Marcin Matczak

Twardniejemy. W tym sensie, w jakim stare powiedzenie głosi, że trzeba być twardym, a nie miękkim. Nie chodzi jednak o to, żeby być twardym wobec siebie – wytrzymałym i zdyscyplinowanym – ale o to, żeby być twardym wobec innych. Brutalnym, bezkompromisowym, agresywnym i przede wszystkim pogardzającym.

Coraz mocniej jesteśmy przekonani, że jedno z najbardziej kuszących kłamstw jest prawdą. To mianowicie, że jeśli jesteś tolerancyjny, to znaczy, że zbyt słabo wierzysz w swoje wartości.

W pewnym sensie przyzwyczailiśmy się do tego na prawicy. Pamiętamy słynną „piątkę” Sławomira Mentzena z 2019 roku – „nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej – która niezależnie od późniejszych wyjaśnień funkcjonowała jako świadomie prowokacyjny komunikat polityczny. Rozumiemy, że to samo zrobił Braun swoją gaśnicą wymierzoną w chanukową menorę w Sejmie: to nie był wybrzyk, ale teatralna, symboliczna agresja i rytuał publicznego upokorzenia.

Prawdziwy Polak jest twardy

Nie tylko Konfederacja brutalność i pogardę zaprojektowała jako polityczny produkt.

PiS od 2015 roku grał w tę samą grę: Kaczyński straszący „pasożytami i pierwotniakami” przywożonymi przez uchodźców, narracja o „zdradcach” i „ludziach gorszego sortu”, jego towarzysze broni, systematycznie ośmieszający „lemingów”, „warszawkę” i „unijczyków polskiego pochodzenia”.

Bo Polak prawdziwy ma być Polakiem twardym. Miłosierdzie jest słabością, współczucie dla obcego – zdradą. Brutalność awansowała do poziomu waloru, zdolność do pogardy stała się cnotą. Filozof Alasdair MacIntyre pisze, że cnoty zawsze funkcjonują wewnątrz jakiejś tradycji i służą jakiejś wizji człowieka. Greckie cnoty służyły eudajmonii. Chrześcijańskie – świętości. Liberalne – wolności i godności. Ale, jak zauważył już Nietzsche, można te całe systemy przewartościować: to, co było wadą, ogłosić cnotą; to, co było cnotą – zniewieściałą resztką dawnego porządku.

Być może nie stajemy się dziś mniej moralni, ale po prostu zmienia się idea człowieka dobrego: nie takiego, który przebacza, ale takiego, który nie odpuszcza. Nie takiego, który rozumie przeciwnika, lecz takiego, który potrafi go upokorzyć.

Bo dzisiaj brutalność, twardość i pogarda nie są po prostu emocjami, ale trenowanymi cechami charakteru. Mają realizować wizję człowieka bezwzględniego, który jest dzięki temu „silny”, „prawdziwy” i „nieugięty”. Filozoficzny patronat sprawują nad tą wizją współcześni kontynuatorzy Nietzschego: autorzy związani z krytyką liberalnego uniwersalizmu, od Dugina po część myślicieli Nowej Prawicy.

W Polsce ta nowa antropologia ubiera się dodatkowo w język chrześcijański. Mamy jednocześnie Kościół, który głosi: „Miłujcie nieprzyjaciół” i „Byłem przybyszem, a przyjęli-

ście mnie” oraz różaniec na granicy jako rytuał wykluczenia, nie modlitwy.

Popularność pogardy

Ktoś powie – szaleńcy i radykałowie. Ale problem zaczyna narastać, gdy także strona liberalna czuje, że jak nie stwardnieje, to przegra. Stąd bierze się pogarda dla „ciemnogrodu” i „moherowych beretów”, stąd wypowiedź Hillary Clinton z 2016 roku o „koszyku godnych pogardy” (basket of deplorables) odnosząca się do wyborców Trumpa.

U nas Donald Tusk w październiku 2024 roku ogłasza „czasowe terytorialne zawieszenie prawa do azylu” – co według Amnesty International, Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka HFPC i dużej grupy prawników, w tym prof. Ewy Łętowskiej, rodzi poważne wątpliwości co do zgodności z konwencją geneńską, Powszechną Deklaracją Praw Człowieka i prawem UE. Dlaczego tak robi? Bo też czuje, że musi być twardy i bezwzględny.

Podobnie Joe Biden, który meksykański mur Trumpa najpierw potępiał, a potem zaakceptował kontynuację jego finansowania. Podobnie Keir Starmer, którego Partia Pracy w 2025 roku zapożyczyła część retoryki Reform UK w sprawie migracji. To ta sama logika: skoro pogarda dla innego jest popularna, trzeba ją sobie przyswoić.

Jest też i lewicowa odmiana twardości: pogarda wojująca w obronie wartości. Przekonanie, że bezwzględność jest jedyną adekwatną odpowiedzią, bo „z faszystami się nie rozmawia”, „neutralność jest po stronie ciemności”, a wymóg cywilizowanej dyskusji jest sam w sobie formą opresji. Z tej logiki bierze się „TERF” (Trans-Exclusionary Radical Feminist, radykalny feminizm wykluczający osoby trans), „transfob”, „rasista” rzucane nie jako diagnozy, ale jako akty wykluczenia, stąd fizyczne uciszenie mówców i język siły: „Eat

the rich, bash the fash” („Bogatych zeżryj, faszystów grom”), a także swojskie „wypierdalać” rozciągane nie tylko na polityków.

Spirala jednokierunkowa

A przecież nie zawsze tak było, bo oprócz tradycji jakobińsko-bolszewickiej, w której twardość jest cnotą rewolucyjną, na lewicy jest tradycja Gandhiego czy Kuronia. Ale ci boomerzy wydają się wielu z nas współcześnie nie tyle idealistami, ile wręcz leśnymi dziadkami.

Liberalowie i lewicowcy, walcząc o duszę wyborcy, przechodzą od tradycji dialogu do tradycji wojującej, podobnie jak walka o duszę polskiego katolicyzmu przesuwają się od miłosierdzia do potwierdzenia tożsamości. Po obu stronach pogarda staje się narzędziem konsolidacji wspólnoty.

Rozwija się nam coś w rodzaju rywalizacji w twardości i agresji, a okrucieństwo wobec drugiego staje się powszechną strategią polityczną, jak pisał Adam Serwer w „The Atlantic”. Wspólne dla wszystkich stron jest to samo głębokie przekonanie, że „my” jesteśmy moralni i sprawiedliwi, a „oni” – diaboliczni i do głębi zakłamani. Dlatego ten, kto wzywa do umiaru, jest od razu podejrzewany o zdradę. A ponieważ nie jest ani zimny, ani gorący, tylko obrzydliwie letni, od razu się go wypłukuje.

To prawda, że skala i intencja prawicowej kampanii pogardy jest większa, lepiej zorganizowana, świadomie wspierana filozoficznie. Ale jeśli liberalna i lewicowa odpowiedź ma polegać na takiej samej pogardzie, tyle że w drugą stronę, to znaczy, że kierunek tej spirali jest tylko jeden – głęboko w dół.

Nietzsche bał się „człowieka ostatniego” – słabego, łagodnego, bez ambicji. Być może jednak to nie miękkość nas zgubi, ale obsesja na punkcie twardości. I niedługo wszyscy uznamy, że dobry człowiek to po prostu ten, który umie gardzić właściwymi ludźmi. ●

Pięć „twarzy” prezydenta

Płotkarski portal poinformował kiedyś, że „Anna Mucha została twarzą butów”. Ostatnio marketingowa „twarz” wkroczyła (jeśli twarz może kroczyć) do języka polityki.



Michał Rusinek

Pod koniec lat 90. pojawiło się w języku polskim nowe znaczenie słowa „twarz”. Zostało ono zaczerpnięte z języka angielskiego, a ściślej z języka agencji reklamowych, które posługują się pojęciem „brand face”, oznaczającym „twarz” jakiejś marki, czyli najczęściej jej ambasadora lub ambasadorkę. Zaczęto pisać o aktorach/aktorkach i celebrytach/celebrytkach, że zostali „twarzą marki X”. W 2010 roku tak rozumiana „twarz” weszła na stałe do slangu

marketingowego oraz influencinowego (ponoć jest już takie słowo). W branżach tych o „twarzach” mówi się nawet podobno pieszczotliwie „skalpy”.

Pisałem kiedyś na łamach Wyborczej o dość niefortunnych użyciach „twarzy”. Pewien płotkarski portal poinformował niegdyś swoich czytelników, że „Anna Mucha została twarzą butów”, choć właściwie powinna była zostać ich stopą, natomiast jakiś czas temu na billboardach w Krakowie przeczytać można było, że Robert Makłowicz „ręczy twarzą”, iż bodajże cukier w jakiejś sieci hipermarketów jest najtańszy. „Ręczyć” oznacza historycznie „podawać rękę na znak gwarancji”, natomiast „ręczyć głową” oznacza „dać sobie głowę uciąć”. Tutaj miejsce głowy zajęła twarz, czyli przednia część głowy, co oczywiście – w razie gdyby cukier w innej sieci hipermarketów był tańszy – mogłoby sprawdzić na Roberta Makłowicza nie-szczęście. Wprawdzie połowiczne, ale lepiej go sobie nie wizualizować.

Marketingowa „twarz” wkroczyła (jeśli twarz może kroczyć) ostatnio do języka polityki. Zrobiła to nawet krokiem poniekąd marszowym, bo pojawiła się w przemówieniu prezydenta Karola Nawrockiego wygłoszonym w Lublinie, a skierowanym do funkcjonariuszy Straży Granicznej z okazji ich niedawnego święta. Prezydent zwrócił się do nich następującymi słowami: „To wy byliście twarzą człowieczeństwa, dobrego sąsiedztwa i solidarności po tym, jak Rosja zaatakowała Ukrainę. Ale też to wy byliście także twarzą powagi państwa polskiego i siły państwa polskiego, gdy rozpoczynała się wojna hybrydowa i atak na nasze granice. Byliście i twarzą człowieczeństwa, gdy trzeba, i twarzą siły, obrony i powagi Rzeczypospolitej Polskiej, gdy atakowano nas ze wschodu”. Rozumiemy, o co chodziło panu prezydentowi i zapewne funkcjonariusze też to zrozumieli.

Posługiwanie się metaforami jest jednak obciążone pewnym ryzykiem, z którego pan prezydent powi-

nien sobie zdawać sprawę, zwłaszcza że akurat „twarz” ma kilka znaczeń. W tym przypadku chodziło zapewne o „ludzką twarz” instytucji (swoją drogą, jest to klasyczny pleonazm, bo twarz to przednia strona wyłącznie ludzkiej głowy), a nie o tę marketingową (która też jest podszta pleonazmem, choć „człowieczeństwo” to abstrakcja, więc nie tak oczywistym). Metafory, nawet te zleksykalizowane, nie mogą dotyczyć tego, co konkretne, bo wypowiedź staje się mimowolnie komiczna (lub makabryczna), jak w przypadku „twarzy butów” oraz sformułowania z pewnej sali sądowej: „choćre płuca siostry postanowiła wziąć na swe wątle barki”. Gdyby wzięła na swe barki chorobę (czyli abstrakcję), byłoby w porządku. Także dla siostry.

Prezydent Nawrocki słusznie posłużył się abstrakcjami: człowieczeństwem, dobrym sąsiedztwem, solidarnością, a także siłą, obroną i powagą. O ile jednak trzy pierwsze pojęcia mniej lub bardziej do twarzy pasują (na pierwszej polskiej twarzy, jaką widzieli uchodźcy

z Ukrainy na granicy z Polską malowały się wtedy uczucia pozytywne: współczucia i solidarności; była to twarz dobrego sąsiada), o tyle „twarz siły”, czy „twarz obrony” brzmią już nawet nie jak slang marketingowy, ale sportowy, może nawet bokserski.

Największy kłopot nastęrcza „twarz powagi”, bo powaga nie jest abstrakcją, tylko czymś, co może się całkiem dosłownie malować na twarzy i nawet jeśli jest to „powaga Rzeczypospolitej Polskiej”, a więc abstrakcyjny autorytet instytucji, to pojawia nam się obraz czyjejs poważnej miny. I zaczynamy w ogóle myśleć o funkcjonariuszach Służby Granicznej jako o ludziach posługujących się szerokim repertuarem mimicznym. A stąd już tylko krok do Gombrowicza oraz uduchowionych, szlachetnych i buntowniczych min Syfona i Miętusa.

Tak oto pan prezydent, postanawiając w chwili patetycznego wzmożenia sięgnąć po ryzykowny język marketingu i influencingu (ponoć naprawdę jest już takie słowo), wsadził funkcjonariuszy Straży Granicznej na minę. Minę groteski. ●



Wyjątkowy prezent na Dzień Matki

Roczna prenumerata
wysokieobcasy
extra

Zamów na:
prenumerata24.pl



Dlaczego rządzący reformują służbę zdrowia tak, jak gdyby byli grupą rekonstrukcyjną lat 90.

Bo pacjent

CHODZI i NADUŻYWA

Z DR MARIĄ LIBURĄ*
ROZMAWIA DOMINIKA TWOREK

Dopiero co Polska żyła charytatywnym streamingiem Łatwoganga. Jeden młody youtuber zebrał prawie 300 milionów złotych na leczenie dzieci chorych na raka. Ten festiwal pomocy podzielił Polaków. Jedni zachwycają się naszą narodową dobroczynnością, inni krytykują, że „polska zbiórkoza” spycha z horyzontu sedno sprawy – rolę państwa w pomocy chorym.

– Zbiórki na leczenie tworzą swoisty rynek cierpienia. Łatwiej zebrać na dziecko niż na staruszkę, liczy się to, kto bardziej wzbudzi litość, a nie obiektywne potrzeby medyczne. Dlatego ich miejsce jest na marginesie systemu – jako rozwiązanie wyjątkowe, stosowane na przykład wtedy, gdy dane leczenie nie podlega refundacji. Mogą też pełnić rolę uzupełniającą w finansowaniu badań nad nowymi terapiami.

Jednocześnie wśród dużej części Polaków dominuje przeświadczenie, że publiczna służba zdrowia to dziś kompletna ruina. Rzeczywiście jest tak źle, że gorzej już być nie może?

– Gorzej może być zawsze. Wystarczy spojrzeć na kraje, w których publiczne i powszechne systemy nie funkcjonują. Sam fakt, że mamy Narodowy Fundusz Zdrowia – niezależnie od licznych zastrzeżeń dotyczących jego funkcjonowania – daje nam jako obywatelom ogromne przywileje. Porównajmy się choćby z Amerykanami.

Prawo do ochrony zdrowia to dorobek naszej cywilizacji. Powinniśmy walczyć o to, by było skutecznie realizowane przez państwo. Inaczej chorzy muszą konkurować

o litość i uwagę publiczności w chwili, gdy i tak nie mają siły i są w ogromnym stresie.

Według badań CBOS-u 70 procent Polaków negatywnie ocenia publiczną służbę zdrowia. Tymczasem w przychodniach wielkich kolejek – a przynajmniej takich, jak jeszcze 10-20 lat temu – nie ma. Do specjalistów w szpitalu też w większości nie czeka się już latami. W publicznej ochronie zdrowia pracują świetni lekarze. Dlaczego więc ludzie – w szczególności przedstawiciele klasy średniej – tak narzekają na NFZ?

– To jest o tyle ciekawe, że jednocześnie w ankiecie NFZ 87 procent pacjentów poleciłoby swojej rodzinie lub znajomym szpital, w którym byli hospitalizowani. Trzeba pamiętać, że w mediach, o serwisach społecznościowych nie mówiąc, istnieje tendencja, żeby wszystkie ekstremalne głosy amplifikować. Negatywne doświadczenia bardzo łatwo niosą się dalej, natomiast jeżeli jest dobrze, to jest „normalnie” i nikt o tym nie pisze.

Więc to może być kwestia dostępności poznawczej tego przeciętnego doświadczenia. Jak jest dobrze, to o tym nie mówię, chyba że ktoś wprost poprosi nas o opinię. Za to źle chcemy odreagować. Do tego z telewizorów i telefonów dowiadujemy się o patologii w jakiejś przychodni i błędach lekarskich, bo dobra informacja się nie klika. Oczywiście, im bardziej system słabnie, tym tych negatywnych doświadczeń jest więcej.

Odnoszę wrażenie, że NFZ został w naszych oczach kompletnie zdemonizowany. Osoby, które tylko mogą sobie na to pozwolić, często z góry wybierają komercyjne usługi, nawet nie sprawdzając oferty swojej lokalnej przychodni.

– Żeby zrozumieć zjawisko demonizowania NFZ, musimy wrócić do czasu po transformacji ustrojowej.

W 1999 roku wchodzi w życie ustawa powołująca kasy chorych. Podejmuje się wówczas różne decyzje wbrew istniejącej już i łatwo dostępnej wiedzy o systemach ochrony zdrowia – przede wszystkim ustala się składkę zdrowotną na bardzo niskim poziomie 7,5 procent, co było dość zaskakujące, zwłaszcza że reformę tę popierały również związki zawodowe. NSZZ „Solidarność” postulował składkę na poziomie 11 procent, a z wyliczeń rządowych wynikało, że powinna wynosić nawet 12-14 procent.

Wychodziliśmy z komunizmu i panowało przekonanie, że musimy się trochę sprężyć, a nawet poświęcić, żeby za jakiś czas było lepiej. Społeczeństwo dobrze rozumiało, po co są usługi publiczne. Chciało czegoś, co wówczas nazywano społeczną gospodarką rynkową. Przyjęto jednak kierunek na „obniżanie kosztów pracy”, aby przyciągać inwestycje zagraniczne, co przełożyło się na bardzo radykalne ograniczenie zabezpieczenia społecznego w ogóle, a w szczególności na utrzymanie niskiego poziomu składek w systemie ochrony zdrowia. Mówimy więc o ogromnej straconej szansie.

Czyli od początku wrzucono do systemu za mało pieniędzy. Jednocześnie w całym pokoleniu zaszczepiono myślenie, że państwo nic ci nie da – musisz sam sobie na wszystko uciąć?

– Akurat to myślenie nie było oderwane od rzeczywistości. PRL-owska ochrona zdrowia – wbrew deklaracjom – wcale nie była systemem powszechnym, sprawiedliwym, ani tym bardziej dobrze wyposażonym i dofinansowanym. Osoby uprzywilejowane – na przykład należące do partii – mogły znacznie łatwiej z niej korzystać. Pa-

cji byli nierówno traktowani. To nie przypadek, że ekonomiści wykształceni w PRL-u z amerykańskim szlifem, tacy jak Leszek Balcerowicz, zlekceważyli europejski egalitaryzm w ochronie zdrowia, walcząc o niższe nakłady na kasy chorych, niż to wynikało z ekspertyz. Skrzyżowali patologie PRL-u z amerykańską wiarą w rynek. Z tej pułapki do dziś nie potrafimy się wydostać.

W PRL-u powszechne było na przykład „dawanie w łapę”.

– Jeśli dostęp do poprawy zdrowia w sytuacjach dramatycznych jest reglamentowany, siłą rzeczy pojawiają się różne mechanizmy omijania tej reglamentacji. Kiedyś, również w wolnej Polsce, była to głównie korupcja – słynne koperty zostawiane przez pacjentów w gabinetach. Po 1999 roku, kiedy system publiczny został programowo niedofinansowany – otrzymał jedynie nieadekwatną kropłówkę finansową – założenie było wręcz takie, że część opieki pacjenci kupią sobie na rynku, w szczególności wizyty u specjalistów.

Można powiedzieć, że to nowa forma łapówki?

– Dawne koperty były patologią widoczną i nielegalną. Dziś część podobnych napięć została wpisana w samą konstrukcję systemu. Pacjent często ma poczucie, że musi zapłacić za komercyjną wizytę czy badanie, jeśli chce skrócić drogę do świadczeń teoretycznie dostępnych na NFZ. A to podważa zaufanie do całego systemu. Dlatego w wielu systemach wprowadza się istotne ograniczenia dotyczące łączenia praktyki komercyjnej z pracą w systemie publicznym, ale także te dotyczące łączenia różnych źródeł finansowania przez samych świadczeniodawców.

Mamy więc dość powszechną sytuację: wizytę u lekarza na NFZ dostaniemy za kilka miesięcy, ale jeśli zapłacimy temu samemu specjalistce, przyjmie nas jutro. Właśnie ten nasz polski mieszmaz rodzi duże społeczne oburzenie.

– Jedną z cech tego systemu jest właśnie wytwarzanie społecznego oburzenia. Ono jest potrzebne po to, żeby nie się nie zmieniło. Teraz na przykład mamy wytwarzanie oburzenia na placu lekarzy, które przykrywa odpowiedzialność instytucji publicznych za sposób kształtowania systemu, w tym zachęty do kontraktowania lekarzy w modelu B2B. Wraz ze zbyt wysoką wyceną niektórych świadczeń – którą też ustala państwo – ten model wręcz generuje kominy placowe. Ale główny problem nie jest w graczach, ale w regulach gry.

Państwo nadal – póki NFZ jest dominującą instytucją – może kształtować rynek. Ale kiedy wszystkie nasze emocje kanalizujemy w stronę konkretnej grupy zawodowej albo placówek, czyli oburzamy się na lekarzy lub szpitale, nie widzimy państwa jako regulatora.

Gdy czytamy w poważnych mediach, że niektórzy lekarze zarabiają nawet 300 tysięcy złotych miesięcznie, mamy w głowie figurę pazernego egoisty w kitlu, który zapomniał o przysiędze Hipokratesa.

– To tym bardziej niebezpieczne, że cała praktyka medyczna opiera się na zaufaniu. Jeżeli państwo z jakiegoś powodu – na przykład w obawie przed konsekwencjami politycznymi – nie używa instrumentów, którymi dysponuje, żeby ten rynek sensownie regulować, a zamiast tego widzimy nieustanne próby spychania odpowiedzialności na jakieś grupy, skutkiem jest utrata zaufania.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego dziś państwo, zamiast uregulować wytycznymi stosowanie tomografii komputerowej, komunikuje społeczeństwu, że tnie wyceny nadwykoniań, by chronić pacjentów przed promieniowaniem. Jeśli z tego nie powstanie fala radiologicznej fobii wśród pacjentów, to będzie cud.

Dziś w Polsce rośnie problem tak zwanego alt-medu, czyli stosowania różnych pseudoterapii.

– To zjawisko napędza również szerszy kryzys zaufania do nauki jako takiej, ale owszem, nie jest całkowicie odrwane od stanu naszej ochrony zdrowia. Już sama nieufność do lekarza czy strach przed leczeniem mogą wypychać ludzi w objęcia szarlatanów.

W systemach finansowo ryzykownych dla pacjenta – na przykład w słynnym systemie amerykańskim – obserwujemy wysyp nie tylko tak zwanych terapii alternatywnych, ale też sekt, które obiecują, że jeśli porzucisz „chemię” i skupisz się na swojej psychice, wyleczysz nowotwór. A przy okazji przepisz majątek na guru, przeciętnie cię uzdrowi i nie skorzysta. Ludzie w to idą, bo potrzebują nadziei. Jeżeli tracą zaufanie do profesji medycznych, a do tego muszą długo czekać w kolejce, albo płacić miliony monet, wybiorą instagramowe remedia, by nie czuć się całkiem bezradnie.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego dziś państwo, zamiast uregulować wytycznymi stosowanie tomografii komputerowej, komunikuje społeczeństwu, że tnie wyceny nadwykoniań, by chronić pacjentów przed promieniowaniem

„W ostatniej dekadzie stosunkowo dobre oceny NFZ zarejestrowaliśmy podczas pandemii w czerwcu 2020 roku, w kolejnych latach uległy one pogorszeniu” – zauważyli badacze CBOS-u. Być może moment pandemii był tym, w którym Polacy po prostu w większym stopniu zetknęli się z publiczną ochroną zdrowia i okazało się, że wcale nie jest aż tak źle, jak sobie wyobrażaliśmy?

– Nasz system nie jest idealny, ale jednocześnie – przy tak niskich nakładach przez wiele lat – i tak dostarczał bardzo dużo. Nie działa tak, jak by mógł. On ma potencjał, ale do tego potrzebne są i pieniądze, i ogromna zmiana w organizacji. Można powiedzieć, że zmarnowana została pocovidowa szansa, kiedy ludzie zaczęli dostrzegać, że ten system to coś ważnego i wcale nie tak złego.

Ledwie polskie społeczeństwo uwrażliwiło się na problemy służby zdrowia, to zaraz się odwróciło?

– To nie jest takie jednoznaczne. Tyle lat straszono nas wysoką składką zdrowotną jak żelaznym wilkiem, a przecież rok temu udało się zablokować kolejną obniżkę składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Ku zdziwieniu wielu środowisk prowadzących badania fokusowe na terenie polityków, okazało się, że ludzie wcale nie chcieli takiej zmiany. Wbrew opiniiom radykalnie wolnorynkowych publicystów zawetowanie tej ustawy przez prezydenta Andrzeja Dudę wcale nie pogrzebało kandydata jego formacji.

Z jakich powodów następuje ta zmiana?

– Głównie na skutek pauperyzacji abonamentów medycznych, które na początku były dobrem luksusowym, a dziś właściwie każdy większy pracodawca zapewnia taki czy inny pakiet. Ludzie zaczęli doświadczać tego, co znamy z systemów silnie skomercjalizowanych. Coraz częściej zdarzają się sytuacje takie jak ta, w której jedna z dużych firm abonamentowych wypowiada umowy, gdy pacjent kończy 70 lat, bo tak jest zapisane w umowie.

Z punktu widzenia biznesowego ma to sens – wiadomo, że taka osoba będzie częściej chorować, bo wiek jest głównym czynnikiem ryzyka wielu ciężkich i kosztownych chorób. Dziś już zdaliśmy sobie sprawę, że kiedy coś jest komercyjnym biznesem, to działa jak komercyjny biznes.

Doświadczenia z abonamentami w wielkich prywatnych medycznych sieciówkach są bardzo różne. Jedni chwalią sobie szybką opiekę podstawową – „dzwonię i na jutro mam termin do okulisty”. Inni narzekają, że opłacają abonamenty, a mimo to czekają w długich kolejkach albo wręcz „przez najbliższy miesiąc żadnego dermatologa, a dalej grafików nie ma”. Często słyszę, że jest gorzej niż w państwowej przychodni, a za wiele usług i tak trzeba dopłacać. No a jeśli zapadnie na naprawdę poważną chorobę, pozostaje nam jedynie NFZ.

– Te abonamenty mogły stać się tanie i docierać do takich rzesz ludzi między innymi dzięki temu, że istnieje NFZ. Gdyby jednego dnia – za sprawą czarodziej-skiej różdżki – zlikwidować Narodowy Fundusz Zdrowia, abonamenty natychmiast poszybowałyby w górę. Bo gdy nie ma gdzie odsyłać bardziej skomplikowanych pacjentów, trzeba zupełnie inaczej kalkulować ryzyko, a więc również stawki za ubezpieczenie.

Warto przypomnieć, że powszechny system ochrony zdrowia wymyślił w XIX wieku Otto Bismarck dla klasy robotniczej jako sposób na utrzymanie mas pracujących we względnie dobrym nastroju. „Żelazny kanclerz” nie był socjalistą, wręcz przeciwnie. Chciał mieć społeczeństwo, które się nie radykalizuje, nie doprowadzi do rewolucji – za to dostarczy i żołnierza, i górnikowi do kopalni na Śląsku. Chciał mieć spokój. To on zauważył, że warto ubezpieczać tych, których nie stać na zapłacenie za wizytę u lekarza. Mówimy tu tylko i wyłącznie o gospodarczym punkcie widzenia, pomijając zupełnie perspektywę praw człowieka.

Tak więc historia powszechnego ubezpieczenia zaczyna się od klasy robotniczej. Miało to o tyle sens, że technologie medyczne były wówczas tak mało zaawanso-

wane, iż leczenie biedniejszych można było zaopatrzyć składką dzieloną z pracodawcą, a zamożniejsze osoby były w stanie w dużej mierze same kupić to, co było dostępne. Ale z postępem nauki to się mocno zmieniło. Dziś, nie licząc garstki ultrabogactw, nawet bardzo zamożna osoba nie jest w stanie wyłącznie komercyjnie zapewnić sobie nowoczesnych technologii i skomplikowanej opieki medycznej związanej na przykład z celowaną terapią choroby nowotworowej.

Mówimy o chorobach, których leczenie może kosztować rocznie ponad milion złotych, a takie terapie trwają kilka lat.

– Pomijając kwestie finansowe, te nowoczesne terapie nie są „eliksirami”, jak z bajek, po które wyrusza najmłodszy syn, szukając wody z cudownego źródła, która po podaniu matce przywróci wszystko do normy. One wymagają działania całych rozbudowanych zespołów.

Podanie określonej technologii lekowej wiąże się z wykonaniem szeregu różnych badań, które pozwalają postawić diagnozę, a potem monitorować stan pacjenta. Czyli potrzebujemy nie jednego lekarza, u którego można kupić wizytę nawet za tysiąc złotych, tylko sprawnego zespołu medycznego, który nieustannie się uczy i współpracuje. Współczesna medycyna postępuje tak szybko, że obserwujemy sieciowanie ośrodków zajmujących się pacjentami z określonymi chorobami.

Dotyczy to praktycznie każdej dziedziny. Wizja lekarzy jako „wolnych elektronów”, gabinetów z tabliczką „praktyka medyczna doktora Takiego a Takiego” i pacjenta, który sam sobie kupuje wizytę, staje się coraz bardziej archaiczna.

Potrzebujemy systemu, który potrafi w inteligentny sposób wprowadzić pacjenta na właściwą ścieżkę leczenia. Potrzebujemy integracji nie tylko w ramach jednej placówki. Szpital musi wiedzieć, do którego innego ośrodka odesłać pacjenta, bo tam mają większe doświadczenie w leczeniu danego problemu. Nowoczesna medycyna wymaga bardzo dobrej koordynacji działań – nie tylko na poziomie jednego zespołu, ale wielu różnych zespołów medycznych. Lecz świadomość tego w społeczeństwie jest bardzo niska.

Czy my aby nie funkcjonujemy w systemie, który działa dokładnie na odwrotnej zasadzie – wzajemnej konkurencji?

– Niestety, ciągnie się za nami ten długi cień lat dziewięćdziesiątych – koszmarny błąd tego, jak rozumiemy konkurencję. A rozumiemy ją jako rywalizację szpitali i poradni o środki z NFZ. Wciąż mamy takie sytuacje jak w Warszawie, gdzie powstaje supernowoczesny ośrodek neurochirurgii dzieci i młodzieży, a inny szpital „przyjmuje” całą załogę do siebie. W efekcie mamy nowoczesny blok operacyjny, do którego szpital próbuje na łapu capi znaleźć specjalistów, żeby nie stracił kontraktu z NFZ. Systemowo produkujemy takie napięcia zamiast współpracy. Ale nie ma się co oburzać na szpitale – powtórzmy, problem nie jest w graczach, ale w regulach gry.

Jednocześnie nieustannie marnujemy szanse na systemowe zmiany. Najświeższy przykład to sposób, w jaki wprowadzono podwyżki dla medyków. Można było wykorzystać tę sytuację do zwiększenia udziału pracy u jednego pracodawcy oraz do zmiany modelu organizacji pracy. Bo inaczej trudno tworzyć zespoły, które potrafią współpracować. Ci ludzie muszą się spotykać, muszą się znać – to oczywiste.

W korporacjach, gdy chce się zbudować dobrze działający zespół, inwestuje się dzięki pieniądzu w wyjazdy integracyjne. A my zakładamy, że lekarz pracujący na B2B, dojeżdżający na dyżur z innego miasta, często po innym dyżurze, wykona równie dobrą pracę jak lekarz związany z danym ośrodkiem, który się z nim identyfikuje i zna cały zespół.

Tu pojawia się problem kultury zarządzania – wielu lekarzy obawia się takich zmian, bo doświadczyło „folwarcznych” stosunków pracy. To też trzeba zmienić, by praca na etat nie kojarzyła się pańszczyźnianym przywiązaniem chłopów do ziemi.

Obecny rząd wprowadza limity na badania w tych samych polach – na przykład diagnostyki – w których kiedyś zostały one zniesione, co znacznie poprawiło sytuację pacjentów, właściwie zlikwidowało kolejki.

– Można odnieść wrażenie, że dzisiejsza rzeczywistość polityczna w obszarze ochrony zdrowia przypomina grupę rekonstrukcyjną lat dziewięćdziesiątych. Nie możemy robić reformy przy pomocy tak tępych narzędzi, jak cięcie wycen nadlimitów. Natomiast to, co widzimy w Ministerstwie Zdrowia, to ogromne przywiązanie do idei tak zwanego fee-for-service, czyli płatności za świadczenie.

◀ **Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Lublinie. Prezentacja robota chirurgicznego Da Vinci 5, którego zakup (22,5 mln zł) sfinansowano z budżetu samorządu (13.02.2026)**

FOT. JAKUB
ORZECHOWSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL



*Maria Libura

• doktor nauk medycznych i nauk o zdrowiu, ekspertka do spraw opieki zdrowotnej Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego i Polskiej Sieci Ekonomii.

Widzimy też, że ten system nie uczy się na własnych błędach. Bo przy uwolnieniu limitów nagle okazało się, że szpitale są w stanie wykonać znacznie więcej badań niż wcześniej. Zobaczyliśmy, że ograniczają je wyłącznie finanse. Znosimy limity, płacimy za nadwykonania i nagle się okazuje, że istnieje potencjał organizacyjny wywołany bodźcem finansowym i można zrobić więcej, jeśli są pieniądze. Ale nie ma jasnych wytycznych ze strony systemu publicznego, kiedy i u kogo te badania stosować. Więc część placówek zaczyna robić je na akord, także w wątpliwych wskazaniach.

U nas wciąż mówi się o pokusie nadużycia, czyli tak zwanym hazardzie moralnym. Ale wyłącznie w kontekście pacjenta.

Jeśli pacjent ma wszystko za darmo, to będzie chodził od lekarza do lekarza i nadużywał świadczeń?

– Dokładnie. Natomiast równie ciekawy jest hazard moralny po stronie świadczeniodawców. Czyli jeśli państwo dobrze płaci za jakieś świadczenie, należy się spodziewać, że placówka będzie chciała wykonywać dużo tych świadczeń. Tylko kto pociąga za sznurki? Instytucje publiczne, które kształtują wyceny tych świadczeń.

To jest bardzo trudne do opowiedzenia, bo każdy rozumie, czym jest kolejka, ale trudniej powiedzieć: „hej, państwo źle płaci placówkom, doświadczenie z uwolnieniem limitów pokazało, że nasze placówki ochrony zdrowia mają potencjał, żeby robić więcej, ale teraz państwo powinno sprawić, żeby one robiły więcej, zgodnie ze współczesną wiedzą, jak to robić”.

Ale wiemy, co należy zrobić?

– Tak. Przede wszystkim wprowadzić szersze modele płatności, które nie dotyczą pojedynczego świadczenia. Zacząć płacić za pakiety świadczeń, opiekę koordynowaną nad pacjentem z daną chorobą, a tam, gdzie się da – za jakość.

Polska już raz – w sposób spektakularny – ćwiczyła to w kardiologii. Kiedyś wyceniono bardzo dobrze kardiologię interwencyjną, bo mieliśmy fatalne wyniki na tle Europy. I nagle okazało się, że możemy ratować zawały. Tylko że potem i tak traciliśmy tych ludzi, bo pacjent był zostawiony sam sobie – nie dostawał ani rehabilitacji, ani instrukcji, że powinien zmienić dietę czy styl życia. Wtedy zadaliśmy sobie pytanie: „Co z tego, że lepiej wyglądamy w międzynarodowych tabelkach pod względem jednego wskaźnika, skoro de facto wydaliśmy dużo pieniędzy bez uzyskania długoterminowej poprawy zdrowia tego człowieka?”. Polska nauczyła się, że jednak trzeba wprowadzić opiekę koordynowaną – to się nazywa „KOS-zawał”. Czyli już nie płacimy za punktową interwencję, tylko za pewną ścieżkę opieki dla pacjenta.

Dlaczego nie potrafimy tego przenieść na inne obszary? Dlaczego tnemy równo nadwykonania w diagnostyce, zamiast połączyć kropki na tym rysunku we właściwy sposób i powiedzieć: „Dobrze, macie potencjał, potraficie, super, to teraz musimy to wykorzystać do maksymalizacji zdrowia ludzi”?

Oprócz cięcia kosztów na badania mamy dziś gigantyczny problem zamykanych na prowincji porodówek.

– Porodówki są trochę innym casusem. Ukazują ukrytą mizoginię polityki zdrowotnej. Tak, dzietność spada nam na łeb, na szyję. Ale odpowiedzią nie może być po prostu ukaranie młodych kobiet z prowincji za błędy polityki społecznej sprzed 30 lat. To tylko wzmocni niekorzystne trendy ich ucieczki do miast. One powinny usłyszeć, jak dokładnie zapewni się im bezpieczną ciążę i poród. Dlaczego na przykład nie wykorzystuje się potencjału położnych?

Na to wszystko nakładają się problemy – nie bójmy się tego słowa – klasowe. Starsze kobiety na wsiami przez brak komunikacji publicznej często nie mogą dotrzeć nawet do lekarza rodzinnego. W tym wymiarze cierpią zresztą

nie tylko kobiety: słaby stan zdrowia mężczyzn z niższym wykształceniem przekłada się na ich statystycznie dramatycznie krótsze życie.

Nasz system zdrowia jest naraz mizoginistyczny i mizoandryczny?

– Historycznie na świeczniku stało zawsze zdrowie zamożnych mężczyzn. To, że tak prężnie rozwijały się badania nad chorobami serca i układu krążenia, zawdzięczamy głównie temu, że były to choroby kojarzone z mężczyzną w garniturze. Choć dziś wiemy, że dotyczą także kobiet. Z kolei dolegliwości związane z menopauzą relatywnie niedawno zaczęły być uważane jako problem.

W Polsce nadal systematycznie lekceważą się zdrowie kobiet. Nie zauważamy, że choć żyją one dłużej, to jest życie w samotności i niepełnosprawności, szczególnie w przypadku kobiet uboższych. Z kolei problemy zdrowia psychicznego u mężczyzn z klasy ludowej częściej podlegają kryminalizacji – gdy brakuje wczesnej interwencji, zauważane są dopiero wtedy, gdy stają się problemem społecznym.

Porodówki ukazują ukrytą mizoginię polityki zdrowotnej. Tak, dzietność nam spada na łeb, na szyję. Ale odpowiedzią nie może być po prostu ukaranie młodych kobiet z prowincji za błędy polityki społecznej sprzed 30 lat

Zwijanie z mapy Polski porodówek jest też o tyle absurdalne, że dokonuje tego partia mająca na sztandarach hasła związane z prawami kobiet.

– Pomiędzy sam spór o aborcję – który jest bardzo poważnym sporem etycznym wpisanym w spory polityczne – popatrzymy jedynie na logikę tego, co się wydarzyło w tym polu. Kobiety protestujące przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego zostały użyte jako paliwo do silnika politycznego. A kiedy odegrały swoją rolę, powiedziano im „pa, pa” – teraz będziemy hamletyzować, nikomu nie będziemy się narażać. Kobiety zostały potraktowane całkowicie instrumentalnie.

Z drugiej strony, gdzie jest solidarność warszawskich kobiet z tymi z prowincji, którym zamyka się porodówki?

– Od czasu słynnej próby politycznej Manueli Gretkowskiej z partią reprezentującą kobiety można mieć duże wątpliwości co do zdolności zgromadzenia się pod sztandarem sprawy kobiecej. Kobiety nie są odrębnym lobby spójnym wyraźnym grupowym interesem jak hodowcy zwierząt futerkowych czy rolnicy. Nie skupiają się wyłącznie na paru kwestiach równościowych czy obyczajowych, bo i na nie mają różne poglądy. Są po prostu obywatelkami, mają poglądy polityczne w innych kwestiach i dlatego pozostają w naturalny sposób mocno podzielone, jeżeli chodzi o wybory partyjne.

Ciekawsze, że będąc już u władzy, nawet polityczki progresywne, u których prawa kobiet są istotną częścią działalności, nie potrafią przepchnąć kobiecej agendy. Nawet na tak odcinkach tak niewrażliwych i społecznie wybuchowych, a jednocześnie niebudzących kontrowersji ideologicznych, jak porodówki. To wydaje się potwierdzać, że status społeczno-ekonomiczny wygrywa w polityce z płcią. Może to tłumaczyć, dlaczego neoliberalka ze stolicy czy innego Trójmiasta nie walczy jak lwica o ciche, starsze panie spod Elku, które nie mają jak dojechać nawet do lekarza PO-Z-u ze swojej wsi.

Jak to jest, że władza w ogóle może sobie na coś takiego pozwolić? Czy chodzi o to, że obecni rządzący wiedzą, że problem nie dotyczy ich wyborców, bo ci mieszkają w dużych miastach i korzystają głównie z komercyjnych usług medycznych, więc służba zdrowia to nie jest temat, który ich „uwali”?

– Ja bym nie była pewna, że ta sytuacja radykalnie się nie zmieni. Owszem, dotychczas te wszystkie trudności w systemie ochrony zdrowia dotyczyły głównie osób mniej zamożnych i mieszkających poza największymi ośrodkami. Lecz to, co się teraz dzieje, zaczyna dotyczyć także ludzi mieszkających w dużych miastach. Zamykają się nie tylko porodówki na prowincji, ale też te, które były bardzo wysoko w rankingu Fundacji Rodzić Po Ludzku. Ostatnio w serwisach społecznościowych pojawił się wpis Ministerstwa Zdrowia, że cięcia dotyczące diagnostyki nie będą dotyczyć onkologii. Szczerze mówiąc, zafrapowało mnie to.

Że rząd jako sukces podaje, że zachowa status quo?

– Sama znam kilka osób z klasy średniej z podejrzeniem nowotworu, które są w wieku produkcyjnym. Zgłosiły się do wiodącej placówki i usłyszały, że termin na pierwszą wizytę, po której dopiero zaczyna się diagnostyka, to 3-4 miesiące. Ci ludzie mają zasoby, znaleźli szybsze terminy w sąsiednich ośrodkach. Więc jak ja słyszę, że się nic nie zmienia, to mówię sobie, że to źle, że się nic nie zmienia, bo wcale nie jest dobrze.

Pacjent, który ma czekać trzy miesiące na pierwszą wizytę, to jest pacjent, który albo „zeshwiruje” od zastanawiania się co mu tam rośnie, albo – jeśli okaże się, że nowotwór jest agresywny – może znaleźć się w sytuacji, w której stracił tak cenny czas. Albo idzie do alt-medu, bo musi sobie jakoś psychicznie poradzić z tą sytuacją, w której nie ma poczucia sprawczości.

Czyli brakuje nam nie tyle kasy, ile narzędzi, żeby ten system zreformować?

– Czasem się zastanawiam, czy mi ich nie mamy, czy nie chcemy mieć. Chwalimy się, że nasz system jest relatywnie całkiem niezłe zinformowany. Same dane Narodowego Funduszu Zdrowia pozwalają na wyciągnięcie bardzo wielu ciekawych wniosków.

Do tego potrzebny jest potencjał analityczny. I tu dochodzimy do jednego z największych problemów naszego systemu – jego niedofinansowania na poziomie administracyjnym. Narodowy Fundusz Zdrowia jest jedną z najtańszych – jeśli nie najtańszą – instytucją zarządzającą dużym systemem na świecie.

Intuicja przeciętnego Kowalskiego jest taka, że mamy rozrośniętą biurokrację, a urzędnicy „biorą pensje i pierdzą w stolki”.

Tymczasem mówimy o kosztach w okolicach 1 procenta.

– To zdecydowanie za mało. Ten system nie ma prawa być sprawny, jeżeli NFZ nie jest instytucją zwinną, zdolną do reagowania na to, co się dzieje. Ale żeby był taką instytucją, on musi być inaczej pomyślany.

Czego potrzebujemy?

– Potrzebujemy środków – niekoniecznie ze składek – na przeprowadzenie gruntownej reformy. Bo nie da się zrobić reformy bez kasy. Jeśli komuś się wydaje, że system sam się fajnie zreformuje, jeśli obetniemy finansowanie świadczeń, to ja nie wiem, co to jest za szkoła zarządzania. Dzięki cyfryzacji możemy na bieżąco analizować, co się dzieje w systemie, co w nim szwankuje, albo czy wprowadzane zmiany dają korzystne efekty. Ale do tego potrzebny jest potencjał analityczny i sprawność regulacyjna, czyli sprawna administracja.

Niektórzy lewicowi działacze społeczni – na przykład Piotr Ikonowicz – twierdzą, że chodzi o to, żeby system usług publicznych kompletnie rozwalić, a potem go sprywatyzować.

– Słynny amerykański filozof i lingwista Noam Chomsky już dawno opisywał, że jeżeli chcesz zniszczyć usługi publiczne, to musisz po prostu przestać je dofinansowywać, żeby one działały poniżej oczekiwań. Wtedy wytwarzasz społeczną zgodę na to, żeby je zlikwidować. Co ciekawe, dziś można usłyszeć takie teorie także z ust ludzi o liberalnych poglądach. Nawet eksperci generalnie przyjaźni obecnej koalicji rządzącej łapią się za głowę.

Jednak można przypuszczać, że wcale nie kryje się za tym jakiś wielki plan, a zwykła nieudolność w rządzeniu.

– Też wolę proste życiowe wyjaśnienia od teorii spiskowych. Tylko jakie ma znaczenie, czy ministra zdrowia wierzy, że jej działania przyniosą znakomite efekty i będziemy żyć w krainie mlekiem i miodem płynącej, czy kierującą inną intencją? Liczy się efekt.

Wystarczy porozmawiać z dyrektorami szpitali, którzy mówią, że w związku z limitami musieli dzwonić do pacjentów i przekładać ich wizyty o kilka miesięcy. Co nam po intencjach, skoro są ludzie, którzy badanie diagnostyczne będą mieć wykonane nie w maju, lecz w listopadzie? I to nie według jakiegoś klucza medycznego, który pozwala uporządkować pacjentów na tych wymagających pilnego badania i tych, którzy mogą poczekać. Tylko w kluczu tego, że ministerstwo powiedziało, że zapłaci mniej za nadwykonania.

W dodatku obserwujemy ciągle przerzucanie się odpowiedzialnością: ministerstwo mówi, że to przeciw szpitalom podjęły takie decyzje. W efekcie zamiast troski o to, by dostępne środki poszły na maksymalizację efektów leczenia, mamy zabawę w „do kogo przyklei się odpowiedzialność”.

Jakby zapomniano, że zdrowie jest częścią szerszego systemu społecznego, nie tylko systemu ochrony zdrowia.

– O systemie ochrony zdrowia ciągle mówimy tak, jakby to był jakiś system charytatywny, trochę taka Wielka Orkiestra Państwowej Pomocy, a nie system, który jest – taką samą jak energetyka czy kolej – krytyczną infrastrukturą zapewniającą spójność społeczną i bezpieczeństwo państwa.

Mamy starzejące się społeczeństwo z fatalnymi wskaźnikami demograficznymi, a jednocześnie odpuszczamy system ochrony zdrowia jako strukturę, która ma ogromne i – ze względu na postęp technologiczny – rosnące znaczenie w utrzymaniu ludzi w zdrowiu. Nie przygotowując się na to, nie wzmacniając i nie reformując publicznego systemu ochrony zdrowia, prowadzimy do pelzającej katastrofy humanitarnej.

Nawet jeżeli wygraliśmy los na puli genetycznej i dożyjemy setki, to będziemy żyć w bardzo niefajnym społeczeństwie, jeśli zwinimy usługi publiczne. System ochrony zdrowia i inne usługi publiczne to nie jest wymysł pięknoduchów. To jest mega pragmatyczne myślenie, że nie warto mieć nierówności, bo one prowadzą do zaognienia konfliktów.

Co oznacza nie tylko ludzkie nieszczęścia, ale i twarde konsekwencje. Ekonomiczne – jeszcze większe koszty – i polityczne.

Gniew społeczny odreagowany w głosowaniu na populistycznych radykałów.

– Natomiast my w tej chwili jako państwo przeprowadzamy bardzo ryzykowny eksperyment – tnemy koszty i zastanawiamy się, jak daleko zajędziemy na oparach benzyny, zanim znajdziemy inne paliwo.

Czy wkrótce będziemy obserwowali bunt klasy średniej?

– Ceny na rynku komercyjnym szybką. Jak pokazują dane GUS, rosną szybciej niż inflacja. Krótkowzroczna polityka oszczędności na ochronie zdrowia może się na rządzących zemścić, bo już zaczyna oddziaływać na wielkomiński elektorat. ●

CZY POSIADANIE CHŁOPAKA TO OBCIACH?

Pokolenie Z tylko pozornie koncentruje się na drugiej osobie, tak naprawdę tonąc w introspekcji, co pogłębia pęknięcie między płciami.



FOT. PHILIPPE TURPIN/GETTY IMAGES

Kamil Fejfer

W szkole średniej – jestem rocznik 1985 – nie wszyscy mieliśmy dziewczynę czy chłopaka, ale na początku studiów większość z nas była już w stałej relacji. Rzadziej niż dzisiaj byliśmy „poszukujący”, „rozważaliśmy opcje”, a popularny dziś termin „situationship”, czyli relacja o nieustalonym statusie, w zasadzie nie istniał. Owszem, rozstawaliśmy się i wracaliśmy do siebie, ale związki 20-latków sprzed półtora czy dwóch dekad były częstsze niż obecnie. I mimo emocjonalnych rollercoasterów wydawały się też bardziej stabilne. Mało kto mówił: „Wiesz, nie jestem gotów na coś poważnego, ale możemy się dalej spotykać, up to you”.

Tyle moja pamięć. Może zawodna? Psychologia ma świetnie rozpoznany fenomen fałszywych wspomnień, upiększania przeszłości i formowania jej pod obecne poglądy. Czy faktycznie w kwestii relacji męsko-damskich wydarzyło się jakieś gwałtowne przeobrażenie? Taką tezę od pewnego czasu stawia publicystyka: epoka samotności, niemożność odnalezienia drugiej połówki, singloza.

Sięgnijmy do danych. To one więcej mówią o rzeczywistości niż okrutne wspomnienia.

Historie małżeńskie

Zmapowanie relacji romantycznych nie jest łatwe. Nie ma przecież oficjalnego spisu singli. Weźmy więc na tapet małżeństwa. Te da-

ne też nie są proste w interpretacji. Możemy śledzić coroczną liczbę zawartych formalnie związków oraz rozwodów, ale bez odniesienia do grup wiekowych i wielkości populacji niewiele nam to powie.

Główny Urząd Statystyczny (GUS) przekazał mi dane na temat stanu cywilnego Polaków i Polek z dwóch spisów powszechnych – z 2011 i 2021 roku. Zawęziłem populację do osób w wieku 25-44 lat – ludzi na tyle dojrzałych, że mogliby wchodzić w związki małżeńskie, jednocześnie nie na tyle leciwych, żeby zauważalną zmienną w mapowaniu sprawy była śmierć współmałżonka.

W 2011 roku osób w związkach małżeńskich w grupie 25-44 lat było 7 311 917.

Dekadę później już tylko 6 630 883, czyli niemal 10 proc. mniej. Ale też w ogóle zmniejszyła się liczba osób w tym wieku – ubył ich ponad 140 tys.

Z tą korektą w 2011 roku w analizowanej grupie wiekowej w związku małżeńskim pozostawało 63 proc. osób.

W 2021 było to 58 proc.

W tak dużych procesach społecznych różnica 5 punktów proc. na dekadę to sporo.

Nie ma świeższych danych, jeżeli jednak tendencja byłaby liniowa, to w kolejnych pięciu latach odsetek osób w małżeństwach powinien spaść o następne 2,5 punktu proc.

W niezawieraniu małżeństw przodują młodsze roczniki.

W 2011 roku w grupie 15-19 lat było dokładnie 9347 mężów i żon.

W 2021 roku analogiczna liczba wyniosła niecałe 7 tys.

To raczej syndrom postępu – nie ma potrzeby ubolewać nad tym, że nastolatki zawierają małżeństwa rzadziej niż kiedyś.

Ale wyraźne tendencje spadkowe widać i w kolejnych grupach wiekowych.

Dla grupy 20-24 lata jest to – w 2011 roku ponad 331 tys. osób w związkach małżeńskich i nieco ponad 180 tys. dziesięć lat później.

Dla 25-29 latków – 1,4 mln vs. 870 tys.

Według GUS w 2000 roku mediana wieku kobiet wychodzących po raz pierwszy za mąż wynosiła 23,2 roku.

W roku 2024 było to niemal 28,3 roku. Dla żeniących się mężczyzn było to odpowiednio 25,2 oraz 30,4, a w miastach 31 lat.

Przypomnijmy, że mediana to wartość dzieląca zbiór danych na równe połowy. Czyli połowa osób po raz pierwszy wchodziła w związki małżeńskie przed osiągnięciem wspomnianego wieku, a połowa po tym.

Przesuwa się też wiek narodzin pierwszego dziecka. Według danych z portalu CiekaweLiczby.pl – w 1995 roku dla kobiet (średnio) wynosił 23,7 roku. W 2022 – było to 28,2 roku.

Seks prawicowców i lewaczek

To, że małżeństw jest mniej, nie musi oznaczać, że ludzie singlują. Być może odsetek osób w sformalizowanych relacjach uległ zmianie, ale nie zmienił się odsetek osób pozostających w związkach w ogóle?

Tej sprawie przyjrzał się niedawno CBOS.

W 2025 roku grupie wiekowej 18-44 lata – 71 proc. osób pozostawało w związku małżeńskim bądź nieformalnym;

– 35 proc. pozostałych szukało partnera/rki na stałe. Czyli bez przesady z singlozą.

Ale kiedy schodzimy z analizą głębiej, sprawa zaczyna się komplikować.

„Sytuację osobistą badanych różnicuje ich wiek – w pokoleniu Z (18-29 lat) odsetek respondentów niebędących w związkach sięga

44 proc., a wśród millenialsów (30-44 lata) już tylko 21” – czytamy w opracowaniu CBOS.

I coś się zmienia w relacjach erotycznych. Według CBOS: 1/3 osób w wieku 18-24 lata w ciągu roku ani razu nie uprawiała seksu.

Brak aktywności seksualnej jest częstszy wśród najmłodszych mężczyzn niż wśród najmłodszych kobiet.

„Wśród mężczyzn to aż 38 proc. wobec 28 proc. wśród ich rówieśniczek” – czytamy w opracowaniu CBOS. Zostawmy to w pamięci, za chwilę będzie ciekawy zwrot akcji.

Ośrodek „tnie” próbę młodych nie tylko przez płęć, ale dodaje jeszcze aspekt poglądów politycznych.

Okazuje się, że w grupie 18-24 lata seksu co najmniej przez ostatnie uprawiało: 40 proc. mężczyzn o poglądach prawicowych i 34 proc. kobiet o poglądach lewicowych.

Byłbym jednak ostrożny w szukaniu tutaj przyczynowości. Zjawisko jest złożone.

Po feministycznej stronie czasem słyszy się, że mężczyźni nie są wybierani na partnerów do łóżka właśnie dlatego, że mają prawicowe przekonania.

Może być jednak tak, że przekonania przynajmniej części z nich podróżują w prawą stronę, bo nie mogą znaleźć partnerki do fizycznego zbliżenia. A prawicowe zaułki internetu suflują im – często fałszywe – wyjaśnienia, dlaczego tak się dzieje.

Moim zdaniem główną przyczyną leży gdzieś indziej. Chodzi o edukacyjno-lifestylowe pęknięcie, do którego jeszcze wrócę.

A dlaczego w kontekście seksu piszę głównie o mężczyznach? Bo to u nich brak tej aktywności wywołuje większą frustrację. Kobiety bardziej frustruje to, że nie mogą znaleźć kogoś odpowiedniego do związku.

Nie mamy dobrego materiału porównawczego w CBOS sięgającego w przeszłość. „Dobrego”, czyli zadającego te same pytania od lat tej samej grupie wiekowej. Mamy jednak pewne tropy. Dogrzebałem się do ich badań z I połowy lat 90. Respondentami były osoby w ostatnich klasach szkół średnich.

W 1988 roku „dość regularnie” oraz „od czasu do czasu” – można założyć, że częściej niż raz w roku – seks uprawiało 22 proc. pytanych. Przy czym odpowiedzi odmówiła jedna piąta ankietowanych.

W 1994 roku seks „dość regularnie” lub „od czasu do czasu” uprawiało już 34 proc. pytanych. Zaledwie 6 proc. mniej niż obecnie w grupie 18-24 lat! A przypomnijmy, że chodzi tylko o osoby w okolicach 18. roku życia.

Gieroję i zdziiry z lat 90.

Interesująco przedstawia się sprawa z perspektywy genderowej. Wcześniej wspomnianym o zwrocie akcji. Oto on.

W 1994 roku 45 proc. uczniów ostatnich klas szkół średnich twierdziło, że uprawiało seks. Z drugiej strony do takiej aktywności przyznawało się 22 proc. uczennic.

Odszetek respondentów, którzy odmówili odpowiedzi, był bardzo podobny u obu płci.

W ciągu trzech dekad proporcje odpowiedzi się odwróciły – dzisiaj to młode kobiety twierdzą, że uprawiają więcej seksu.

Pamiętajmy oczywiście, że grupy wiekowe się nie pokrywają!

Jeżeli odpowiedzi z dawnego badania CBOS byłyby prawdziwe, oznaczałoby to, że albo duża część chłopców uprawiała seks z małą grupą dziewczyn, albo że uprawiali seks z dziewczynami spoza tej grupy wiekowej, albo że uprawiali seks między sobą.

Najbardziej prawdopodobne jest, że zarówno chłopcy, jak i dziewczyny trochę kłamali.

Chłopcy zapewne zaliczali do seksu coś, co w latach 90. pismo „Bravo” określało wspólnym eufemizmem „petting”. Albo zmyślali, żeby wypaść na „gierojów”.

Część dziewczyn zaśmogła kłamać, że nie uprawiały seksu, żeby nie wyjść na „zdziiry”.

Wróćmy do najnowszego opracowania CBOS. „Zasadnicze pytanie badawcze, jakie postawiliśmy, dotyczyło tego, czy w Polsce – podobnie jak w wielu krajach rozwiniętych – obserwujemy wśród młodych ludzi trudności w nawiązywaniu relacji towarzyskich, przyjacielskich, romantycznych czy erotycznych.

Jako że był to pierwszy taki pomiar prowadzony wśród Polaków od 18. do 44. roku życia,

nie dysponowaliśmy danymi z ubiegłych lat pozwalającymi zidentyfikować jednoznacznie zmiany, ale mogliśmy oprzeć się z jednej strony na zestawieniach z danymi zagranicznych ośrodków, a z drugiej – na porównaniach między pokoleniami lub węższymi grupami wiekowymi” – piszą eksperci w opracowaniu.

„Nasze ustalenia trudno jednoznacznie wpisać w publicystyczną narrację o postępującej alienacji młodzieży czy też o »antyspołecznym stuleciu«, choć niewątpliwie natrafialiśmy od czasu do czasu na ślady tendencji opisywanych w Stanach Zjednoczonych, zachodniej Europie czy bogatych krajach wschodniej Azji” – dodają.

Inaczej – choć nie mamy adekwatnych i porównywalnych danych odnoszących się do singlowania w Polsce, to istnieje przesłanki wskazujące, że w tym aspekcie naprawdę coś się dzieje. Zwłaszcza jeśli chodzi o najmłodszych dorosłych.

Uff, nie mylą mnie więc wspomnienia, że na piwo w okolestudenckim okresie życia częściej chodziliśmy parami. Albo że kolega, z którym się szło do pawilonów na tyłach Nowego Świata, musiał dostać pozwolenie od swojej dziewczyny.

Zastanówmy się nad powodami tej zmiany kulturowej.

Podzielmy je na twarde, takie, które można wyczytać z danych, oraz miękkie, tj. oparte na intuicji i obserwacji trendów kulturowych.

Wykształceni i niewykształceni

Nie będzie zaskoczeniem, jeżeli zaczniemy od social mediów.

Na smartfonizację życia, która kradnie nam czas na bezpośrednie interakcje, od lat zwraca uwagę m.in. psycholożka z Uniwersytetu w San Diego prof. Jean Twenge. W artykułach i książce „Pokolenia” podkreśla, że uwiad relacji face to face dokłada się do kryzysu zdrowia psychicznego młodych.

Jednym z efektów zjawiska jest to, że młodzi mają mniej czasu na trening społeczny, który jest niezbędny m.in. do podrywu. Mniej umiejętności podrywania – mniej relacji.

Kolejna z ważnych przyczyn, którą pośrednio można z tego wyczytać: dzisiaj młodzi w ogóle dłużej pozostają młodzi niż poprzednie pokolenia. Dłużej się uczą, później podejmują „poważne” prace, później wchodzą w poważne związki i decydują się na dziecko.

Na początku lat 90. mieliśmy do czynienia z gigantycznym boomem edukacyjnym.

O ile w 1990 roku w grupie 19-25 lat studiowało ok. 15 proc. kobiet i 13 proc. męż-



Kobiety uważają, że mężczyźni cierpią z powodu nieprzepracowanych traum. Mężczyźni – że kobietom się „odkleiło”, bo nie potrafią już mówić normalnym językiem

czyn, to w 2010 roku było to już odpowiednio – 65 proc. i 45 proc.

Coraz więcej osób mogło sobie pozwolić na to, żeby nie mieć „pełnej pensji” od razu po skończeniu szkoły średniej. Tendencja wzrostu liczby osób studiujących jest widoczna zresztą w całym rozwiniętym świecie od dekad. Podobnie jak wydłużające się okresy kolarzone kiedyś z „niedojrzałością”.

Studiowanie to rodzaj przygotowania czy też wprawki przed tzw. „prawdziwym życiem”. Dopiero rozpoznajemy rynek pracy, zmieniamy pomysły.

Podobnie dzieje się z naszymi relacjami – studia to okres prób, nie tylko, jeśli chodzi o zatrudnienie. Dłuższe singlowanie jest jednym z przejawów tego trendu. Ale na tym sprawa się nie kończy.

Wzrost osób studiujących może dokładać się do zjawiska rosnącej liczby singli i singlek w inny sposób. Ale też do rozjazdu między kobietami i mężczyznami – to zdecydowanie częściej panie są beneficjentkami boomu edukacyjnego. Młodzi panowie częściej wybierają pracę zawodową od razu po szkole średniej.

W dzisiejszym świecie studia to oznaka wyższego statusu społecznego.

Tymczasem kobiety – na co jest wiele dowodów naukowych – preferują mężczyzn

o zbliżonym lub nieco wyższym statusie społeczno-ekonomicznym niż ich własny. Mówi się, że w poszukiwaniu partnerów rzadko lub nigdy nie spoglądają w dół drabiny społecznej. Mężczyźni tę kwestię niemal pomijają – oni preferują młodość i urodę. Jeżeli więc mężczyźni rzadziej są wykształceni, co jest oznaką statusu, to są też rzadziej wybierani.

Własny pokój

Kolejnym paradoksalnym tropem, na który warto zwrócić uwagę, jest to, że na młodych spoczywa coraz mniejsza presja ekonomiczna. Bezrobocie jest rekordowo niskie.

W tym czasie widocznie wzrosły też płace po korekcie na inflację. Czyli za średnią i medianą (ale i za minimalną) płacę możemy kupić znacznie więcej niż kilkanaście lat temu. To prowadzi do zaskakującej rzeczy. Otóż coraz więcej osób mieszka samotnie.

Według GUS w 2010 roku było 18 proc. jednoosobowych gospodarstw domowych

W 2024 roku było ich już ponad 26 proc. Oznacza to wzrost o 44 proc.

Podobne dane podsuwa nam Eurostat.

W 2006 roku w Polsce samotnie, bez dzieci, mieszkało 2,4 mln ludzi.

W 2024 było to już 5,1 mln.

REKLAMA

Kraj/34423354



NOWA KSIĄŻKA MARTYNY WOJCIECHOWSKIEJ
20. ROCZNICA ZDOBYCIA MOUNT EVERESTU

PRZESUNĄĆ HORYZONT
20 LAT PÓŹNIEJ

To najbardziej szczerą opowieść
w moim życiu

Martyna Wojciechowska

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo
Agora

Tu jednak trafiamy na problem podobny, co przy małżeństwach – nie wiemy, jaka część samotnego mieszkania jest związana np. z owdowieniem. Pamiętajmy, że nasze społeczeństwo się starzeje.

Na szczęście w Eurostacie można przesłać wyniki. Jeżeli zawężymy kategorię wieku do grupy 25-44 lata, to okazuje się, że:

w 2006 r. w tej kohorcie samotnie mieszkających było 464 tys. osób;

a w 2024 – ok. 1,9 mln. Wzrost o 300 proc.!

Niektórzy mogą powiedzieć, że rosnąca liczba osób mieszkających samotnie to pochodna rosnącej liczby rozwodów. Jest w tym trochę prawdy, ale to mylenie korelacji z przyczynowością. To trochę jakby powiedzieć, że deszcz bierze się stąd, że ludzie chodzą po ulicach z otwartymi parasolami.

Przeciwko „rozwodowej hipotezie” świadczą co najmniej dwie przesłanki.

Po pierwsze, jeżeli ludzie po prostu by się rozwodzili i nie byłoby ich stać na oddzielne mieszkanie, to albo mieszkaliby z dawnymi partnerami, albo wynajmowaliby pokoje ze współlokatorami.

Po drugie, ponaddwukrotnie wzrosła liczba osób najmłodszych (18-25lat) żyjących samotnie. Z 98 tys. w 2006 r. do 216 tys. w 2024 r.

Coraz większa część z nas może mieszkać w pojedynkę, bo na wynajem lub kupno mieszkania po prostu nas coraz częściej stać.

Obstawiałbym wręcz, że część rozwodów mogła się dokonać dlatego, że małżonkowie – prawdopodobnie głównie kobiety – uniezależniły się finansowo od partnerów na tyle, że mogli/mogły pójść na swoje.

Kiedy spojrzymy na dane GUS, dzisiejszy „uśredniony Kowalski” ma dochód pary Kowalskich sprzed 20 lat, oczywiście mężczyźni zarabiali więcej. Jakby to cynicznie nie brzmiało, jednym z argumentów przemawiających za utrzymywaniem się związków była wzajemna współzależność finansowa.

Hipermarket z kochankami

Przejdźmy do hipotez kulturowych. Tutaj grunt jest bardziej grząski, bo opiera się na intuicjach, które trudno poprzeć danymi.

Najmniej kontrowersyjne zdaje się obstawienie Tindera oraz innych aplikacji randkowych jako przyczyny coraz trudniejszego zawiązywania trwałszych relacji.

Powszechnie mówi się, że modele biznesowe aplikacji randkowych opierają się nie na tym, żebyśmy kogoś znaleźli na stałe, tylko żebyśmy ciągle szukali. Apki zarabiają na cza-

się, który na nich spędzamy, a nie na tym, że znajdujemy mężów i żony.

To część problemu, ale ja bym obstawił inne wyjaśnienie, niezbyt oryginalne: sama architektura aplikacji randkowych, które są swego rodzaju hipermarketem matrymonialnym, utrudnia podjęcie decyzji.

O ile w spożywczości nie jest trudno podjąć decyzję, bo konsekwencje nie są donośne – najwyżej nie będzie nam smakować jeden z kilkudziesięciu dostępnych jogurtów, tak w życiu uczuciowym konsekwencje „nieoptymalności” są znacznie większe – klótnie, kiepski seks, męczące niedopasowanie na poziomie celów i wartości.

Hipermarketyzacja potencjalnych partnerów terroryzuje osoby korzystające z apek nieskończonym wyborem, który często jest opisywany słowami: „a co, jeśli za rogiem czai się lepsza partia”?

Kolejną rzecz nazwałbym „subkulturyzacją płci”. Częścią zjawiska jest tzw. manosfera – ciemny zaułek internetu zaludniony przez młodych mężczyzn, którzy mają – delikatnie mówiąc – bardzo pesymistyczne spojrzenie na relacje męsko-damskie.

Jednym z najbardziej rozpoznawalnych i najbardziej kontrowersyjnych guru manosfery jest Andrew Tate, człowiek, przeciwko któremu toczą się postępowania o handel ludźmi i gwałt.

Manosfera jest dość dobrze zmapowanym zjawiskiem. Niedawno ukazał się ciekawy dokument na Netflixie „Louis Theroux: W głębi manosfery” portretujący ważne postacie tego nurtu. Nie będę więc rozwijać tego wątku.

Po co randkowanie z chłopakiem?

To, o czym się rzadko mówi w wielkomiejskiej bańce (a jeśli czytacie te słowa, to z dużym prawdopodobieństwem do tej grupy się zaliczacie), to kobieca część tej układanki. Nie chcę być źle zrozumiany – nie twierdzę, że „męskosceptyczne” treści tworzone przez kobiety są równie nienawistne, co te ze skrajów manosfery. Nie twierdzę też, że jej przedstawicielki są zdolne do tak radykalnej przemocy, co najbardziej zradyzalizowani mężczyźni.

Twierdzę, że również kobiety budują narracje antagonistyczne wobec płci przeciwnej.

Jednym z takich trendów jest choćby „decentracja mężczyzn”. O co chodzi?

Niech za przykład posłuży post polskiej instagramerki dolcevitalhunter, w którym autorka pisze: „Przestałam stawiać relacje romantyczne w centrum mojego życia i zrobiłam miejsce na pasję, doświadczenia, a na-

wet więcej pieniędzy”. „Ostatnie 15 lat mojego życia kręciło się wokół myślenia o faceciach, czekaniu, aż odpiszą, czekaniu, aż podejmą jakieś działanie, tłumaczeniu ich beznadziejnych zachowań i lizaniu ran”.

Post ma 7,5 tys. polubień.

„Decentracja mężczyzn” oznacza po prostu odpuszczenie ich sobie, przesunięcie na dalszy plan.

Z jednej strony wydaje się to dość niewinna postawa, być może nawet uzasadniona w skomplikowanym świecie współczesnego randkowania zapośredniczonego przez aplikacje. Ale przecież i dla altrightujących mężczyzn manosfera wydaje się rozsądną odpowiedzią na rosnące wymagania kobiet wobec nich.

Z drugiej jednak strony trudno nie zauważyć „męskosceptycznego” sentymentu.

Felietonistka Kyndall Cunningham w magazynie VOX pod koniec zeszłego roku zauważyła, że na TikToku ogromną furorę zrobił felieton z Vogue’a pod symptomatycznym tytułem „Is Having a Boyfriend Embarrassing Now?” („Czy posiadanie chłopaka to obciach?”), o tym, że „w niektórych kręgach posiadanie chłopaka jest uważane za regresywne, a nawet »republikańskie«”.

„Na TikToku powstał w zasadzie dokument o horrorze heteroseksualnego randkowania” – stwierdza Cunningham. W domyśle – horrorze dla kobiet. Można oczywiście mówić, że to odnosi się do feeda samej Cunningham, którą z jakiegoś powodu takie treści przyciągają. Ale o tym właśnie mówię. O subkulturyzacji płci.

Jeśli mamy – z grubsza – dwie subkultury mówiące innymi językami, eksplorujące inne wartości i, co chyba najważniejsze, czujące, że są wobec siebie antagonistyczne, to nic dziwnego, że ich członkowie i członkinie nie bardzo chcą ze sobą tworzyć stałe relacje.

Zetki toną w introspekcji

Najbardziej kontrowersyjne hipotezy zostawiam na koniec.

Pierwsza to rozdarcie, jakie generuje kultura terapii. Tą wydają się częścię przesiąknięte dobrze wykształcone kobiety z wielkich miast niż gorzej wykształceni mężczyźni. Kulturę terapii widzę jako coś znacznie więcej niż tylko „normalizację” zwracania się do specjalistów po pomoc w przypadku kłopotów psychicznych.

Jakie to może mieć przełożenie na „single’kę”? Każda kultura ma swój język, swoje normy właściwego zachowania, swój uniwersalizm, swoje tabu. Nie inaczej jest z kulturą terapii.

Do języka terapeutycznego zaliczam zwroty w stylu „posiadanie zasobów”, „self-care”, „dbałość o granice”, „kontakt z ciałem”, „rozpoznanie własnych emocji”. Ten dyskurs zawiąza w sobie pewne założenie, że oto wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mają nie tylko tę samą paletę emocji, ale również w ten sam sposób ich doświadczają. Do tego powinni nauczyć się o nich mówić tym językiem.

Jeśli mężczyźni nim nie władają biegle, to prawdopodobnie coś z nimi nie tak – nie odrobili lekcji, nie mają dostępu do swoich emocji, nie przepracowali traum.

Tymczasem nic z tego nie musi być prawdą – ani to, że ludzie mają dokładnie ten sam pakiet odczuć, ani to, że odczuwają je tak samo, ani to, że muszą do nich „docierać”.

A już z pewnością nie ma potrzeby, żeby komunikowali je tym dziwnym językiem o granicach, zasobach i napięciach w ciele.

Kultura terapii jest więc kolejnym polem sporu i niedopasowania między płciami. I podobnie jak subkulturyzacja płci generuje ona napięcia i wzajemną nieufność.

Kobiety uważają, że mężczyźni cierpią z powodu nieprzepracowanych traum.

Mężczyźni z kolei uważają, że kobietom się „odkleiło”, ponieważ nie potrafią już mówić normalnym językiem.

Druga rzecz: ruch #metoo.

„Bezsprzecznie niezbędny, zasiał powszechne niepokój zarówno wśród młodych mężczyzn, jak i wśród kobiet” – pisze w kontekście recesji seksualnej w „New York Timesie” Christine Emba, autorka książki „Rethinking Sex: A Provocation”.

„Dla młodszych dorosłych romans stał się tematem rozważań, teoretyzowania i optymalizacji. Nie jest on jednak przedmiotem faktycznego zaangażowania” – dodaje.

I stwierdza, że pokolenie Z tylko pozornie koncentruje się na drugiej osobie, tak naprawdę tonąc w introspekcji, co pogłębia pęknięcie między płciami.

Wiele z trendów niemal na pewno będzie postępować – segmentacja edukacyjna i geograficzna płci, a niektóre trudno będzie zatrzymać: social media. Dlatego trudno wyobrazić sobie powrót do świata związków, jakie znamy z przeszłości.

Raczej powinniśmy się przyzwyczaić do wizji, że coraz więcej z nas będzie mieszkać samotnie. To nie znaczy, że będziemy nieszczęśliwi. Być może dopiero wtedy, kiedy przyjdzie do latania systemu emerytalnego, ale to temat na inny tekst... ●

REKLAMA

Kraj/34434538



SIKORSKI. GIERTYCH. RZYM.
Wieczne Miasto i rozmowa, która
przywraca znaczenie słowom.

ŚWIAT

Nie Kocham nikogo. Daj buziaka

„Blowin’ in the Wind” śpiewał bardzo, bardzo dawno, dziś śpiewa „Jestem jak Anne Frank, jak Indiana Jones”. Co Bob Dylan ma nam do powiedzenia w 85 urodziny

Jan Radomski

Urodziny nie powinny być celebrowaniem tego, kim ktoś był – od tego jest stypa – lecz okazją do tego, żeby się dowiedzieć, kim jest.

W tę niedzielę Bob Dylan kończy 85 lat. W tym roku mija też dekada od przyznania mu literackiego Nobla. Najważniejszy z poetów folku i rocka nie stał się nobliwym dinosaurem, pamiętanym i fetowanym jedynie w okolicy ważnych rocznic. Nie tylko za sprawą odkrycia go przez późne zetki i pokolenie alfa za sprawą filmu z Timothyem Chalameitem – Dylan wciąż koncertuje, wciąż jest aktywnym muzykiem, występuje jak za młodu co 2-3 dni. I jak za młodu kalendarz ma wypełniony miesiące do przodu.

Tylko głos zabiera jeszcze rzadziej niż wcześniej. Wielu uważa, że zdradził – jakąś – sprawę. A może właśnie milczenie jest najgłośniejszą rzeczą, jaką mówi?

Okolicznościowy tekst o Bobie Dylanie można byłoby zacząć w kilku momentach jego biografii.

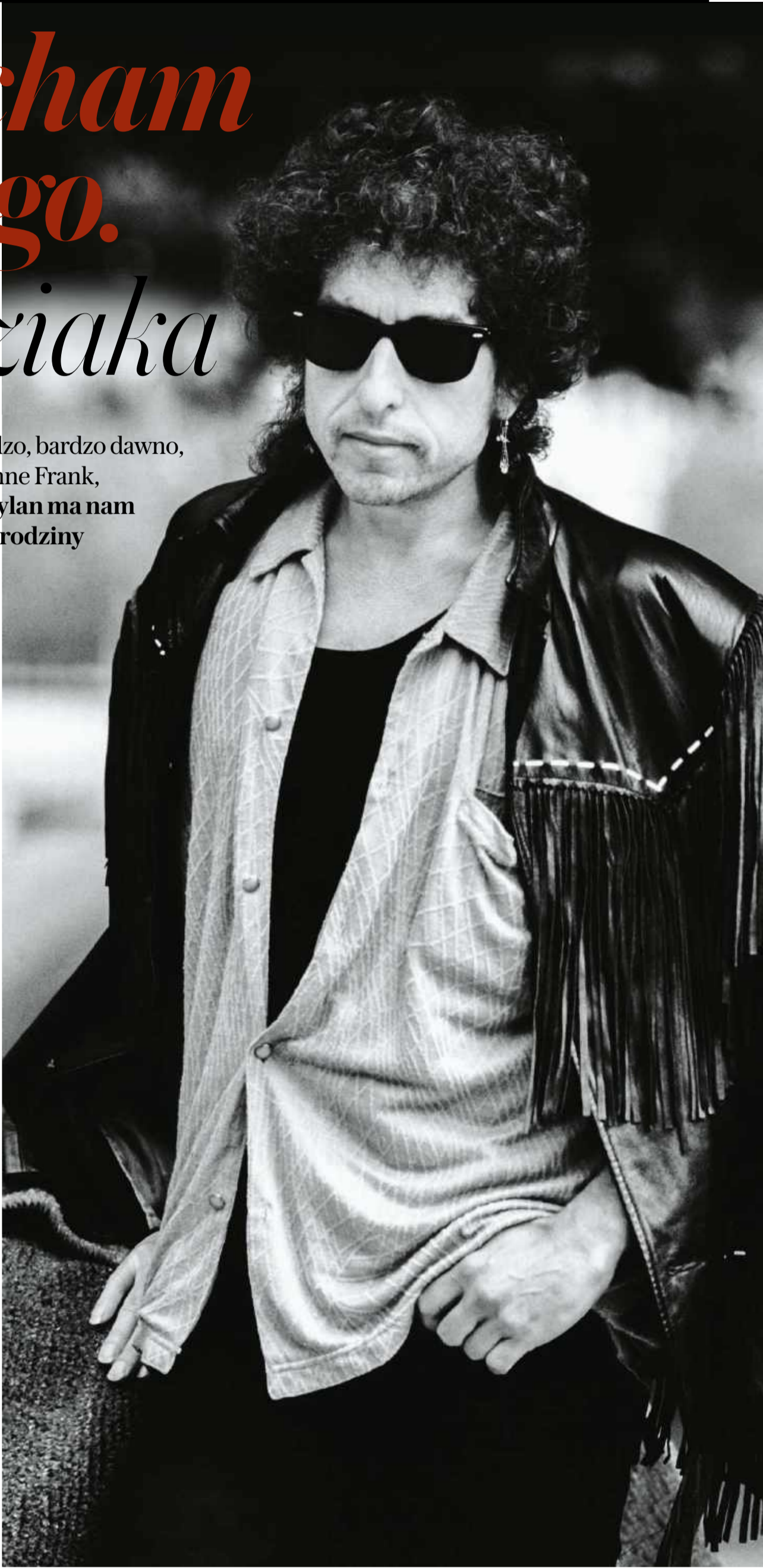
Można po bożemu opowiedzieć o chłopcu, który urodził się 24 maja 1941 roku jako Robert Allen Zimmerman w żydowskiej rodzinie, zmuszonej w początkach wieku do ucieczki z terenów obecnej Ukrainy i Litwy ze względu na biedę i antysemitizm.

Dzieciństwo spędzał w Duluth, mieście, które na ekonomicznej mapie Stanów Zjednoczonych widnieje jako punkt przeladunkowy dla rudy żelaza wydobywanej w pobliskich kopalniach. Dzięki Drodze Wodnej Świętego Wawrzyńca do miasta mogą wpływać statki z Atlantyku, co sprawia, że Duluth jest najgłębiej położonym oceanicznym portem na świecie.

Rodzice Roberta spacerowali z nim, obserwując potężne statki i surowy, industrialny krajobraz, który dzisiaj bardziej niż z ciężką pracą kojarzy się z modnymi loftami. A zimą okropnie marzli, ponieważ wiatry znad Wielkich Jezior sprawiają, że w Duluth potrafi być przeroźliwie zimno.

Można byłoby zacząć nieco później i opowiedzieć, jak sześciolatek Robert się przeprowadza, gdy jego ojciec otrzymuje diagnozę: polio. Rodzice podejmują decyzję o powrocie do rodzinnego miasta matki – Hibbing. Niedaleko od Duluth, zaledwie półtorej godziny jazdy na północ.

Hibbing to Ameryka w pigułce – Ameryka górników, związków zawodowych, a przede wszystkim Ameryka żelaza, któremu w tym regionie podporządkowane jest absolutnie wszystko. Nie ma w tym krzty przesady: gdy w 1915 roku odkryto, że złoża rudy znajdują się pod centrum miasta, niemal 200 budynków przeniesiono o kilka kilometrów. Użyto do tego koni i traktorów, budynki przesuвано na rolkach i kłodach, a jeśli były zbyt duże – rozcinano je na kilka części. Całą inwestycję sfinanso-



• Bob Dylan na zdjęciu wykonanym prawdopodobnie w roku 1985

FOT. DAVE HOGAN/
GETTY IMAGES

wała kompania Oliver Mining Company, jeden z filarów słynnej spółki US Steel, która sprawiła, że Andrew Carnegie, kapitan przemysłu ery pozłacanej, Gilded Age, stał się obok J.P. Morgana i Rockefellera symbolem oligarchicznego kapitalizmu, plutokracji i filantropii naraz.

W mieście znajduje się największa na świecie odkrywkowa kopalnia rudy żelaza. Pięć kilometrów długości, trzy szerokości i ponad sto sześćdziesiąt metrów głębokości – to tak, jakby na obszarze całego warszawskiego Śródmieścia zrobić wykop tak głęboki, żeby na wysokość zmieścił się w nim Pałac Kultury. Od 1895 roku wydobyto stamtąd 2,2 miliarda ton rudy żelaza i materiału opadowego. Kilkukrotnie więcej, niż waży cała ludzkość. A wszystko musiało zostać wysadzone, wykopane, przetworzone i przewiezione.

Młody Robert spaceruje więc pośród ogromnych odkrywek, obserwuje wszechobecne ciężarówki wielkości domów i znoj robotników. Wiele lat później powie w wywiadzie dla „Playboya”: „Urodziłem się i dorastałem w miejscu tak obcym, że nie da się sobie tego wyobrazić, trzeba tam było być”.

Oczywiście można tę historię zacząć od momentu, gdy Robert Allen Zimmerman staje się Bobem Dylanem.

Dziewiętnastolatek z miasta-kopalni postanawia wyjechać do Nowego Jorku. Niekoniecznie ze sprecyzowanym marzeniem o karierze, raczej po to, by uciec od świata, który jednocześnie go ukształtował i przyniósł.

„Jedynie, co można było tam zrobić, to zostać górnikiem, a nawet o to było coraz trudniej. Kopalnie po prostu umierały. Wszyscy w moim wieku stamtąd wyjechali. Nie było to nic romantycznego. Nie wymagało to wielkiego namysłu ani indywidualnego geniuszu” – opowiadał w 1966 roku młody, lecz już symbolizujący generacyjny bunt i przełamywanie schematów gwiazdor „Playboyowi”. Równie elektryzującemu, młodzieńczo bezczelnemu i symbolizującemu nowe czasy nie tylko za sprawą roznieglizowanych, już wtedy budzących kontrowersje „króliczków”.

Tak zaczyna się biograficzny film sprzed dwóch lat „Kompletnie nieznanymi” w reżyserii Jamesa Mangolda. Na Manhattanie pojawia się nastolatek, który ma jedno naiwne marzenie – jego idolem jest Woody Guthrie i chce po prostu spotkać legendę folku.

Znamienne, że zaledwie kilka lat później na Manhattanie inny młody amerykański Żyd o podobnej historii rodzinnej również będzie się zastanawiał nad tym, jak się wyrwać z rodzinnej biografii, jak porzucić ciężar własnego pochodzenia – lub jak uczynić z bagażu atut. Philip Roth opisze żydowskość nie tyle jako tożsamość, ile jako napięcie: coś, co jednocześnie daje język, pamięć i wspólnotę, ale też uwiiera, krępuje i domaga się opowiedzenia na nowo. Tak narodził się „Kompleks Portnoya”.

Dylan i Roth symbolizują nowoczesną amerykańską tożsamość rozdartą między dziedziczeniem a ucieczką, między lojalnością a buntem. Bob szwendał się z gitarą po tych ulicach, po których w tym samym czasie spacerował nieco starszy Philip. Grał w szemranych klubach, pokątnie spał w cudzych mieszkaniach, na kolanie pisał własne utwory.

Właśnie wtedy młodzieńczo prowincusz robi – do dziś nie wiadomo, czy intuicyjnie, czy z premedytacją – coś, co później stanie się jego konsekwentną strategią: nie buduje kariery, lecz tworzy opowieść o sobie samym. Zmyśla, miesza fakty, konfabuluje. Robert Zimmerman powoli znika, z jego cienia wylania się Bob Dylan.

„Z jakiegoś powodu nigdy nie widziałem siebie jako Roberta Allena Zimmermana. Niektórzy ludzie rodzą się z niewłaściwymi nazwiskami. To się zdarza” – powiedział w programie „60 minutes” w 2004 roku. Można wreszcie zacząć jeszcze później, opowiadając o tych wszystkich słynnych momentach, które sprawiły, że Bob Dylan przeszedł do historii światowej kultury.

O 1963 roku, gdy wspólnie z Martinem Lutherem Kingiem i dziesiątkami tysięcy ludzi dobrej woli maszerował na Waszyngton, domagając się prawdziwego, stulecie po wojnie secesyjnej, równouprawnienia czarnych Amerykanów.

O 1965 roku, gdy na scenie Newport Folk Festivalu zagrał na gitarze elektrycznej, dziwnym instrumencie, którego jego fani nie rozumieli. I uznali nie tylko za zdra-



• **Prezydent Barack Obama dekoruje Dylana Medalem Wolności. Ceremonia odbyła się 29 maja 2012 r. w Białym Domu**

FOT. CHARLES DHARA-PAK/AP/EAST NEWS

• **Bob Dylan i Joan Baez (równolatka Dylana) podczas wspólnego występu na Newport Folk Festival w 1963. Muzycy przez kilka lat byli parą także poza sceną**

FOT. ROWLAND SCHERMAN/GETTY IMAGES

dę gatunku, ale wręcz za porzucenie całej podszytej nostalgii walki o duszę ludowej, rustykalno-wyrobniczej klasy na rzecz symbolizowanej przez rock wielkomięskiej nowoczesności. Z jej wszystkimi atrybutami, którymi gardzili.

O 1966 roku, gdy miał wypadek motocyklowy, który nieco zatrzymał jego karierę. A może wypadku wcale nie było, a Dylan go wymyślił, bo chciał mieć święty spokój? Do dzisiaj nie wiadomo, w archiwach policji nie ma o nim żadnej wzmianki.

Tylko gdzie w tym wszystkim jest współczesny Bob Dylan? Albo – co z tego wszystkiego zostało we współczesnym Bobie Dylanie?

W przypadku Boba Dylana wręcz narzuca się, żeby sięgnąć po przeszłość, a samego artystę umieścić w micie, który jest dla niego tak wygodny. Lecz wówczas opowiadalibyśmy historię wielokrotnie opowiedzianą, taką, która niewiele wymaga i od bohatera, i od nas jako odbiorców. Z gatunku tych, które dają komfort i bezpieczeństwo poznawcze, ale niczego nie kwestionują, nie rzucają na nic żadnego nowego światła.

Urodziny nie powinny być celebrowaniem tego, kim ktoś był – od tego jest stygła – lecz, zwłaszcza w przypadku artysty wciąż tak aktywnego, okazją do tego, żeby się dowiedzieć, kim jest. Dlatego warto się nie ograniczać tylko do klasyków – nawet jeśli są kamieniami milowymi – takich jak „Blowin’ in the Wind”, „Desolation Row” czy „Like a Rolling Stone”, ale zmierzyć się z tym, co muzyk ma do przekazania w ostatnich latach.

Cofnijmy się więc nie kilkadziesiąt lat, ale zaledwie o dekadę i zaczynajmy 13 października 2016 roku, gdy Akademia Szwedzka ogłosiła, że Literacką Nagrodę Nobla otrzymuje Bob Dylan. Uzasadnienie tej decyzji – jak za-

On, który w latach 60. wspierał działaczy socjalistycznych i amerykańskich komunistów, on, diagnosta dusz i charakterów, ikona kontrkultury, która uczyniła psychoanalizę elementem naszego życia, dziś śpiewa o „jednych z największych wrogów ludzkości – panu Freudzie i panu Marksie”

wsze – było krótkie i podniosłe, bard rocka otrzymał najwyższe wyróżnienie za „tworzenie nowych form poetyckiej ekspresji w ramach wielkiej tradycji amerykańskiej pieśni”.

Od razu zaczynają się tak zwane kontrowersje. Salman Rushdie i Stephen King gratulują, ale Pierre Assoline, jeden z najszacowniejszych twórców kręgu kultury francuskiej, uznaje to za żart, a później nazywa „pogardą dla pisarzy”. O tym, jak odważna była ta decyzja, świadczy to, że do dzisiaj wywołuje emocje – co roku w okolicach literackiego Nobla w mediach i serwisach społecznościowych wybucha dyskusja, czy to jeden z najlepszych lub przynajmniej najciekawszych, czy najgorstych Nobli w historii.

Tego samego dnia Bob Dylan gra koncert w Las Vegas. Nie mówi ani słowa na temat nagrody. Za to podnosi elektryczną gitarę i gra na niej pierwszy raz od kilku lat. Robi to podczas „Simple Twist of Fate”.

Utwór wydany w 1975 roku na słynnej płycie „Blood on the Tracks” to historia o przypadkowym spotkaniu dwojga ludzi – ich krótkiej relacji i późniejszym rozminięciu się losów. Narrator snuje historię o hotelowym pokoju, nocnych spacerach po mieście, samotności po rozstaniu. Za wszystkim stoi poczucie, że życie potoczyło się inaczej przez drobny, niemal niezauważalny moment, właśnie ten „simple twist of fate”, prosty kaprys losu.

Przywołując ten utwór i grając go w taki, a nie inny sposób, Dylan skomentował decyzję podjętą po drugiej stronie świata: z jego perspektywy to kolejny kaprys losu. Co tu komentować.

Ale świat uparcie jakiegoś komentarza żądał. I im bardziej Dylan nie wypowiadał się publicznie, im bardziej nie odbierał telefonów od Akademii Szwedzkiej, tym bardziej był oburzony. Kilka dni później Per Wästberg, członek Akademii, publicznie nazwał takie zachowanie „nieuprzejmym i aroganckim”. Nie zdarzyło się dotąd, by stonowana Akademia wypowiedziała się o jakimś laureacie w ten sposób.

W 1963 roku Bob Dylan wydał album „The Freewheelin’ Bob Dylan” – pierwszy, który zawiera w pełni autorski materiał. „Blowin’ in the Wind” czy „A Hard Rain’s a-Gonna Fall” z tego krążka przeszły do historii muzyki, ale po latach wiemy, że o samym Dylanie więcej mówi zamykający płytę niepozorny utwór „I Shall Be Free”.

Tytuł nawiązuje do „We Shall Be Free”, utworu, który w latach 40. wydał Lead Belly. Jeden z najsłynniejszych czarnych muzyków swój tekst oparł na motywach zwanych *spirituals*. Ów chrześcijański gatunek muzyki związany z kulturą czarnych Amerykanów wywodził się z pieśni plantacyjnych, które z czasem przekształciły się w muzykę religijną, a następnie rozrywkową. Treści *spirituals* wykorzystywały motywy religijne, ale jednocześnie opisywały doświadczenia niewolników. Belly wykorzystał ten gatunek nieco przewrotnie – patetycznie wzywał do wolności w wymiarze religijnym i społecznym, ale wprowadził do tekstu elementy komiczne, takie jak bójka karnodziej z kogutem.

Dylan umieszcza ten utwór w Ameryce lat 60., a jego głównym bohaterem czyni siebie. Opisuje się jako nieco żenującego pijacka, erotomana, oszusta, pogubionego człowieka, który staje się ofiarą rozmaitych zbiegów okoliczności. Opowiada o spadającej na głowie puszcze farby oraz ucieczce podczas alarmu przeciwlotniczego, który wykorzystuje do pogoni za atrakcyjną kobietą. Obsmiewa w ten sposób mit folkowego proroka, w który go wówczas z entuzjazmem wpisywano – odmawia bycia poważnym, ponieważ powaga wiąże się z władzą, a Bob Dylan władzy nie chce.

Któregoś dnia dzwoni do niego John F. Kennedy. „Bob, mój przyjacielu, czego potrzebujemy, by nasz kraj rósł?” – zagaduje.

„John, mój przyjacielu: Brigitte Bardot, Anita Ekberg, Sophia Loren” – odpowiada prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Wymienia ówczesne symbole seksu, a zarazem kobiecego sukcesu i niezależności, by rozsądzić oczekiwania, że będzie sumieniem narodu – a jednocześnie, by pokazać, co naprawdę ważnego dzieje się w życiu społecznym.

O tym, jak niedoceniane „I Shall Be Free” jest ważne w jego twórczości, najlepiej świadczy fakt, że rok później wydał płytę „Another Side of Bob Dylan”, a na niej utwór... „I Shall Be Free No. 10”.

W tym czasie muzyk jeszcze ugruntowuje status symbolu swojego pokolenia, więc to, co chce przekazać, jest tym bardziej znaczące. Tym razem wyśmiewa to, jak jest hołubiony, deklarując, że jest już gotowy na walkę z Casusem Clayem – legendarnym bokserem, który wła-

śnie zdobył mistrzostwo świata, przystąpił do Nation of Islam i przyjął nazwisko Muhammad Ali.

I właśnie w tym utworze pada jedna z niewielu wypowiedzianych wprost deklaracji politycznych Boba Dylana: „Jestem liberałem, ale do pewnego stopnia/ Chcę, żeby wszyscy byli wolni/ Ale jeśli myślisz, że pozwolę Barry'emu Goldwaterowi/ Wprowadzić się obok i poślubić moją córkę/ To chyba uważasz mnie za wariata/ Nie pozwolilibym mu na to za wszystkie farmy na Kubie”.

Niechęć do Goldwata – gwiazdy amerykańskiej prawicy lat 60., konserwatywnego bojownika o poluzowanie regulacji i całkowitą swobodę działania korporacji, któremu po latach za przecieranie szlaków neokonserwatywnej i neoliberalnej rewolucji dziękował Ronald Reagan – jest jednak w tym fragmencie równie istotna, co wytknięcie hipokryzji tym, którzy uważają, że można kochać wszystkich.

Równocześnie Dylan pod koniec pierwszej zwrotki rzuca: „Nie ma sensu do mnie gadać/ To tak samo, jakbyś gadał do siebie”. Zdaje się, że Per Wästberg tego fragmentu twórczości świeżo upieczoności noblisty nie znał.

W końcu po dwóch tygodniach Bob Dylan skontaktował się z Akademią Szwedzką, która w krótkim komunikacie poinformowała, że muzyk przekazał ówczesnej sekretarz Akademii Sarze Danius, że „wiadomość o Nagrodzie Nobla odebrała mu mowę”. Jednocześnie zadeklarował, że nie wie jeszcze, czy weźmie udział w ceremonii. Ostatecznie trzy tygodnie później stwierdził, że nie dotrże do Sztokholmu ze względu na wcześniejsze zobowiązania – a opinia publiczna w pierwszej chwili zinterpretowała to jako gest pod adresem kulturalnego establishmentu, ale zaraz doszukała się czegoś więcej.

Bo w międzyczasie wiele się zdarzyło. 8 listopada 2016 roku odbyły się wybory, które wyłoniły 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dość niespodziewanie został nim Donald Trump, który pokonał Hillary Clinton, zdecydowaną faworytkę, której przegrana do samego końca była trudna do wyobrażenia nie tylko dla liberalnej opinii publicznej, ale nawet dla wielu Republikanów i ich wyborców.

Nic dziwnego, że zaczęto oczekiwać, że Bob Dylan zabierze głos. Przecież muzyk od zawsze kojarzony był z postępową częścią sceny politycznej, kilka lat wcześniej odebrał Medal Wolności z rąk Baracka Obamy. Nagroda Nobla wydawała się świetną okazją do wygłoszenia politycznego statementu odnoszącego się do szokującej mainstream politycznej zmiany w najważniejszym państwie świata.

Adam Gopnik, pisarz i liberalny publicysta związany z „New Yorkerem”, już w dniu ogłoszenia laureata zauważał, że oczekiwanie, iż Bob Dylan w jakiś sposób się zaangażuje, jest płonne. Trafnie przewidywał, że można „zardrzeć na myśl” o jego reakcji na Nobla, i przypomniał, co się wydarzyło, gdy w 1970 roku Dylan otrzymał swój pierwszy doktorat honoris causa na Uniwersytecie Princeton.

Tak tę historię opisuje David Crosby – ten Crosby, legendarny folkrockman z Byrds oraz Crosby, Stills and Nash – który tego dnia towarzyszył młodszemu o parę miesięcy koledze: „Upaliłem Boba jakimś niesamowicie mocnym ziołem. Odwiedzałem wtedy jego i Sarę... Sara chciała przekonać Boba, żeby pojechał do Princeton. Bob nie chciał. Powiedziałem: »No dalej, to zaszczyt«. Sara i ja długo musieliśmy nad nim pracować. W końcu się zgodził. Na zewnątrz miałem samochód – wielką limuzynę, co było pierwszą rzeczą, która mu się nie spodobała. Po drodze zapaliliśmy jeszcze jednego jointa i zauważyłem, że Bob robi się przez to paranoiczny. Kiedy dotarliśmy do Princeton, zaprowadzono nas do małego pokoju i poproszono Boba, żeby założył togę i biret. Kategoriecznie odmówił. Powiedzieli: »Nie wręczymy ci dyplomu, jeśli tego nie założysz«. On odparł: »Świetnie, i tak o to nie prosiłem«. Powiedziałem mu: »No dawaj, ci ludzie zadali sobie



• Dylan podczas występu nie-spodzianki na charytatywnym koncercie z cyklu Farm Aid w Noblesville w Indianie

FOT. GARY MILLER/GETTY IMAGES

mnóstwo trudu«. W końcu go przekonaliśmy. Kiedy wszystko się skończyło, od razu się stamtąd zmyśliśmy”.

Na albumie „New Morning” znajdzie się utwór, w którym Bob Dylan opisze to wydarzenie. Ostatnią zwrotkę „Day of the Locusts”, czyli „Dnia szarańczy”, zakończy wersem: „Byłem szczęśliwy, że udało mi się stamtąd żywcem wyjść”.

Może więc Dylan przelamałby swoją przekorę i niechęć do celebry i poleciałby do Szwecji, gdyby akurat znalazł się ktoś, kto by mu wręczył wystarczająco mocnego skręta.

Tak więc 10 grudnia 2016 roku w Sztokholmie odbyła się ceremonia, podczas której Pat Smith zaśpiewała „A Hard Rain's A-Gonna Fall”. Do historii przeszło to, że piosenkarka w pewnym momencie ze zdenerwowania przestała wykonywać utwór, po czym poprosiła orkiestrę, aby zaczęła grać od nowa.

Bliska przyjaciółka Boba Dylana w przeciwieństwie do niego jest niezwykle aktywna politycznie. Tylko w ostatnich kilku latach angażowała się – przez ekologiczno-kulturowo-etniczny projekt Correspondence – w ochronę klimatu, wielokrotnie opowiadała się po stronie Ukrainy i Palestyny, a także ostro krytykowała Trumpa. Głos, który wtedy ugrzązł jej w gardle podczas wykonywania utworu ze słowami „Spotkałem człowieka zranionego niewiścią/ And it's a hard, it's a hard, it's a hard, it's a hard, it's a hard rain's a-gonna fall”, stał się mimowolnie najlepszym symbolem bezradności liberalnej części Stanów Zjednoczonych.

Ale to nie koniec perypetii Akademii Szwedzkiej z Dylanem. Ciąg dalszy zszedł nieco drugi plan, bo wydarzył się kilka miesięcy później, gdy świat żył wychodzącą na jaw ingerencją Rosji w amerykańskie wybory i pierwszymi prowokacyjnymi wyskokami Trumpa w rodzaju zapowiedzi obciążenia Meksyku kosztami budowy muru granicznego.

Na początku kwietnia 2017 roku Dylan formalnie odebrał medal i dyplom podczas kameralnego spotkania w Sztokholmie. Wciąż

jednak musiał wygłosić wykład noblowski, aby otrzymać nagrodę pieniężną w wysokości 8 milionów koron szwedzkich, czyli ówczesnych 900 tysięcy dolarów. Zgodnie z regulaminem Fundacji Noblowskiej termin dostarczenia odczytu upływał dokładnie sześć miesięcy po oficjalnej ceremonii, czyli 10 czerwca 2017 roku. Dylan dostarczył nagranie audio z wykładem... 5 czerwca, czyli pięć dni przed ostatecznym terminem. Tak jakby nie był laureatem najbardziej prestiżowej literackiej nagrody na świecie, ale leniwym uczniem, który zwleka do ostatniej chwili z oddaniem eseju.

Przesada? Nie do końca.

Na początku wykładu Bob Dylan wspomina swoją młodzieńczą fascynację muzyką, opowiada o tragicznej śmierci pioniera rock'n'rolla Buddy'ego Holly'ego, a następnie przechodzi do analizy trzech książek, które wywarły na nim największy wpływ w młodości: „Moby Dick”, „Na Zachodzie bez zmiany” oraz „Odysei”. Analizy momentami dość dziwnej, nadmiernej skupionej na szczegółach fabularnych, która wyraźnie na siłę uzasadnia główną, dość banalną, tezę o związkach literatury i muzyki. Wykład kończy się czupurnym stwierdzeniem, że piosenki są do słuchania, a nie czytania: „Mam nadzieję, że część z was będzie miała okazję wysłuchać tych tekstów tak, jak miały być słyszane: na koncercie, na płycie lub w jakikolwiek sposób, w jaki ludzie dziś słuchają piosenek”.

Kilka dni po opublikowaniu wykładu pisarz Ben Greenman zauważył, że Dylan użył w opisie „Moby Dicka” cytatu, którego w powieści nie ma. Greenman sprawdził w kilku wydaniach: Melville czegoś takiego nie napisał. Ten trop podchwyciła Andrea Pitzer z serwisu Slate i zaczęła porównywać wykład z innym źródłem – SparkNotes, internetowym serwisem ze streszczeniami lektur, współczesnym odpowiednikiem bryków. Okazało się, że wiele zdań, którymi Dylan omawia „Moby Dick”, wykazuje uderzające podobieństwo do tekstu ze SparkNotes, a kluczowe frazy wspólne dla obu tekstów w ogóle nie pojawiają się w samej powieści. Profesor literatury Juan Martinez z Northwestern University skomentował krótko: „Gdyby Dylan był moim studentem i złożył esej z takimi plagiatami, oblałbym go”.

Akademia Szwedzka zachowała spokój. Sekretarz Sara Danius, komentując wykład na swoim blogu, opisała go jako „piękny” i „retorycznie kompletny”.

Cała sytuacja – od kilkutygodniowego milczenia po ogłoszenie werdyktu, przez nieobecność na oficjalnej ceremonii, aż po wykład przepisany z uczniowskiego bryka – mówi wiele o Bobie Dylanie. Trochę o lekceważeniu spraw, które uznaje za nieistotne – co jego krytycy uważają za arogancję, może nawet narcyzm – więcej o charakterystycznej przekorze. Bard pokazał Akademii i wszystkim na-

maszczonym autorytetem, co sądzi o próbach wtłoczenia go w ramy Wielkiej Nagrody. Zamiast głębokiej intelektualnej uczytę dał im fast food, tak jakby chciał powiedzieć: „Chcieliście? No to macie”.

Zważywszy na wszystko, co śpiewał, i na to, jak reagował na wcześniejsze oficjalne honory, plagiat ze SparkNotes ewidentnie nie jest przejawem lenistwa lub arogancji, lecz ostatecznym zagranem na nosie tym, którzy po raz kolejny szukają w nim proroka.

O wszystkich tych kontekstach należy pamiętać, gdy zastanawiamy się, kim Dylan jest dzisiaj, gdy kończy 85 lat.

Leń lekceważący innych? Sędziwy muzyk wciąż koncertuje. Od pięciu lat jest w nieprzerwanej trasie, którą co kilka miesięcy przedłuża – wiosną i latem występuje w Stanach Zjednoczonych, a jesienią w Europie.

Polityczny sfinks? To jak najbardziej. Recenzenci i słuchacze zwracają uwagę na to samo: na scenie milczy, pomiędzy utworami nie wypowiada ani słowa, mimo że wokół świat płonie. Trump przegrywa i wygrywa wybory, zaczynają się i kończą wojny.

Nie brakuje ludzi, którzy chcieliby usłyszeć, co Bob Dylan ma na to wszystko do powiedzenia. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że dla wielu osób jego ogląd byłby ważniejszy niż George'a Clooneya, a nawet głos papieża.

Lecz wiele wskazuje na to, że właśnie cisza jest odpowiedzią. Nie dlatego, że noblista nie ma zdania albo woli je zachować dla siebie, bo to, co sądzi, stoi w rażącej sprzeczności z poglądami większości jego słuchaczy. On po prostu na wszystkie najważniejsze tematy – wolność, prawa człowieka, wojna, przemoc, niesprawiedliwość – wypowiedział się już lata temu.

Milczenie nie jest więc przypadkiem czy unikiem, ale konsekwencją całego życia, świadomym wyborem oraz komunikatem – że Bob Dylan nadal odmawia bycia tym, kogo chcą w nim widzieć inni. Nadal gra na własnych zasadach. I nadal, gdy świat żąda od niego słów, odpowiada muzyką – bo zawsze uważał, że to ona mówi więcej.

Posłuchajmy więc.

W 2020 roku wydał album „Rough and Rowdy Ways”, jak dotąd ostatni z w pełni autorskim materiałem.

Niektóre piosenki z tej płyty gra niemal na każdym koncercie. Skoro zaśpiewał je w ostatnich pięciu latach niemal 300 razy, mamy prawo wyciągać z nich wnioski i co do jego oglądu rzeczywistości, i co do stanu ducha.

W „I Contain Multitudes” stwierdza: „jestem pełny sprzeczności”. To ni tylko podsuumowanie życia, ale także opowieść o tożsa-

Któregoś dnia dzwoni John F. Kennedy. „Bob, mój przyjacielu, czego potrzebujemy, by nasz kraj rósł?” – zagaduje. „John, mój przyjacielu: Brigitte Bardot, Anita Ekberg, Sophia Loren” – odpowiada Dylan prezydentowi

mości, o tym, że nikt nie jest konsekwentny. Bob Dylan rozlicza się ze swoim długim życiem, i osobistym – wznosząc toast za kochankę partnerki – i artystycznym: „maluję i pejzaże, i akty”. W pewnym momencie rozbrzmiewa wers tak kontrowersyjny, że za każdym razem wybija z komfortu słuchania: „Jestem jak Anne Frank, jak Indiana Jones”.

Dylan nie szokuje dla samego szoku, to nie leży w jego naturze, no i przecież nie potrzebuje rozgłosu. Zauważa po prostu, że wszyscy żyjemy w kulturze, gdzie te obrazy istnieją obok siebie bez hierarchii. W jednej chwili płacemy nad tragedią ofiar, a chwilę później świetnie się bawimy. Niby taka natura życia, zawsze tak było, karuzele kręciły się obok murów gett – ale nigdy największa groza nie przeplatała się z akrobacjami na nartach, absurdalnymi monologami nastolatków oraz AI slopem z popisami zwierzątek.

Po czym w tym samym utworze Dylan stwierdza wprost: „Nie mam za co przepraszać”.

W „False Prophet” pieśniarz mierzy się z obciążeniem, jakim jest niechciany status proroka. Kolejny raz, bo ludzie nie słuchali w 1980 roku, gdy na koncercie w Omaha mówił do publiczności: „Lata temu mówili, że jestem prorokiem. Odpowiadałem im: »nie, nie jestem prorokiem«. A oni odpowiadali: »tak, jesteś prorokiem«. Mówiłem: »nie, to nie ja«. A oni dalej: »oczywiście, że jesteś prorokiem«. Ani w 2004, gdy wywiadzie wzruszał autoironicznie ramionami: „Nigdy nie chciałem być prorokiem ani zbawicielem. Może Elvisem. Ale prorokiem? Nie”. Ciekawe, czy był oburzony niczym więk-

szczość dziennikarzy i fanów, czy raczej zadowolony, kiedy „tak zwanym prorokiem” określił go kardynał Joseph Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI, gdy sprzeciwiał się występowi Dylana przed Janem Pawłem II.

Teraz Dylan śpiewa: „Nie jestem fałszywym prorokiem/ po prostu wiem to, co wiem”. Czy więc podtrzymuje, że nie jest prorokiem żadnego rodzaju? A może zmienił zdanie i mówi, że jest prorokiem, ale nie fałszywym? Nie dostajemy rozwiązania zagadki, wręcz przeciwnie, Dylan tylko wprowadza jeszcze więcej zamieszania: „Jestem pierwszy wśród równych, ostatnim z najlepszych”.

Po czym w „My Own Version of You” wybiera się na przechadzkę po kostnicach i klasztorach, zbierając części ciała, wierzeń i języków – bo chce stworzyć istotę złożoną z fragmentów cudzych żyć, cudzych tradycji, cudzych głosów. Robi to nie z pychy, ale z lęku, ponieważ chce, aby twórczość go przeżyła. A poza tym przecież taka jest jego muzyka i nasza kultura: Frankenstein sklejoną z Szekspira, Biblii i dokonaniań wędrownych muzyków.

Następnie wytrąca nas z poznawczego komfortu, gdy oznajmia, że w piekle widzi „jednych z największych wrogów ludzkości – pana Freuda i pana Marksa”. On, który w latach 60. wspierał działaczy socjalistycznych, związkowców i sekowanych amerykańskich idealistycznych komunistów? On, wnikliwy diagnosta dusz i charakterów, a przede wszystkim ikona kontrkultury, która uczyniła psychoanalizę naturalnym elementem naszego życia?

Dylan stwierdza po prostu, że piekło jest dla tych, którzy interpretują innych. Dla tych, którzy myślą, że mają klucz do cudzej duszy. A najbardziej dla tych, którzy usiłują według swoich interpretacji urządzać cudze życia albo i świat. Więc mówi do swojego stworzenia: żaden system nie ma prawa wiedzieć lepiej, kim jesteś, niż ty sam.

Lecz być może najważniejszym utworem na albumie jest monumentalne „Murder Most Foul”. Przez 17 minut Dylan w pierwej z reporterską dokładnością opisuje śmierć Johna F. Kennedy’ego, po czym pozornie ucieka w chaotyczny strumień odniesień do popkultury – piosenek, filmów, nazwisk.

Utwór wyróżnia nie tylko długość, ale i miejsce: zamyka płytę, a może i, zważywszy na wiek oraz koncertową intensywność, być może całą autorską twórczość Dylana. Portret Kennedy’ego zdobi tył okładki, a w wersji CD piosenka jest wyróżniona tak, że bardziej już nie można – na osobnym krążku.

Nie sposób odczytać tego utworu bez kontekstu biograficznego. Trzy tygodnie po zabójstwie Kennedy’ego Dylan odebrał Tom Paine Award – nagrodę organizacji broniącej swobód obywatelskich w czasach maccartyzmu. Jego przemówienie stało się legendą: zamiast podziękować publiczności, stwierdził, że wolałby jej tam nie widzieć, skrytykował zinstytucjonalizowany ruch praw obywatelskich, wsparł komunistycznych aktywistów, a na końcu odniósł się bezpośrednio do śmierci prezydenta.

I oznajmił, że w Lee Harveyu Oswaldzie – mordercy Kennedy’ego – „zobaczył coś z siebie”. Liberalna publiczność zareagowała zdumieniem i gniewem, a prowokacyjne zdanie ciągnęło się za nim przez całe życie.

Tymczasem Dylan wyraził w ten sposób frustrację i ambiwalentne uczucia swojego pokolenia wobec administracji Kennedy’ego – dającej nadzieję, stylem i sposobem myślenia bliższej młodemu pokoleniu niż tradycyjnemu establishmentowi, lecz krytykowanej za eskalację konfliktu w Wietnamie, imperialistyczną politykę wobec Kuby i powolność w przepychaniu praw obywatelskich. W liście skierowanym do Emergency Civil Liberties Committee – organizacji, która przyznawała nagrodę

– bard tłumaczył, że „kiedy mówię o łysych głowach, mam na myśli łyse umysły”, a także odniósł się do mordercy prezydenta: „kiedy mówiłem o Lee Oswaldzie, mówiłem o czasach, nie o jego czynie”.

W „Murder Most Foul” znów rozlicza się z tamtej uwagi. W pewnym momencie dedykuje Jacqueline Kennedy słynny utwór „Please Don’t Let Me Be Misunderstood”, tak jakby chciał pokazać, że ma świadomość, że to, co mówił, mogło ją zabołec. W najbardziej przejmującym momencie zwraca się bezpośrednio do Johna Kennedy’ego: „Nie martw się, panie prezydencie, pomoc jest już w drodze”.

Ale z niczego się nie wycofuje. Tak jak pisał w liście, gdy miał dwadzieścia dwa lata: „nie, nie przepraszam za to, że jestem sobą ani za żadną część siebie”. Nie ma w tym utworze ani żalu, ani przeprosin, jest coś trudniejszego: próba zrozumienia, co tamta śmierć zrobiła z Ameryką i z nim samym.

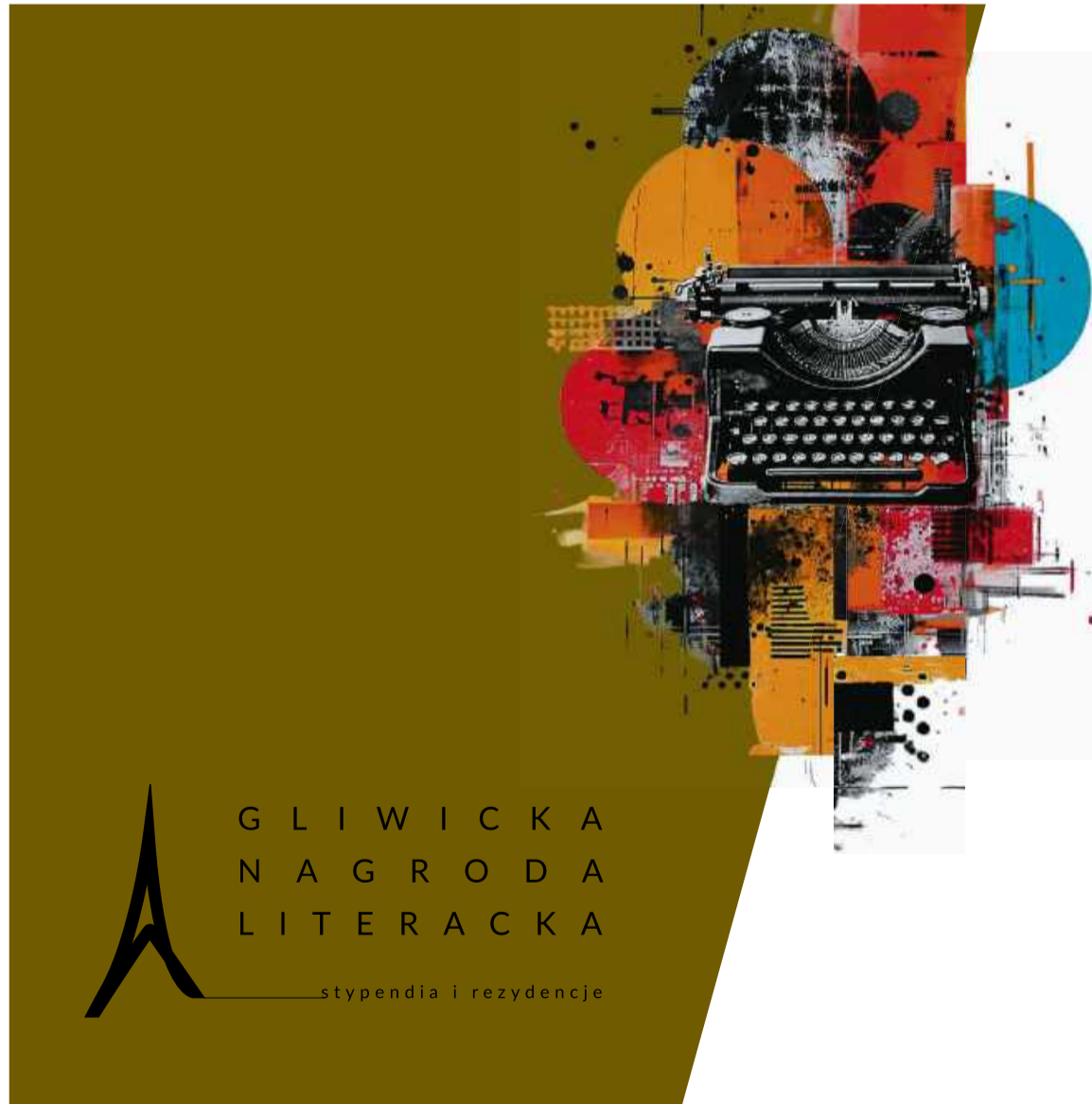
Wreszcie może porozmawiać z JFK na poważnie, a nie tak jak w „I Shall Be Free”, gdy robił sobie z niego żarty. Może dlatego, że jako 80-latek wie, że koniec końców wszyscy są równi. Patrzy na Kennedy’ego nie jak na polityka, nie jak na bohatera historycznego, postać z podręczników, ale jak na człowieka, który towarzyszył mu od początku – w roku, gdy Kennedy został prezydentem, Dylan nagrywał swój pierwszy album.

Czy to oznacza, że Bob Dylan zmiękł? Niekoniecznie. W „Key West (Philosopher Pirate)”, dziwnym utworze będącym trochę satyrą na amerykańskość, a trochę kolejnym rozliczeniem własnego życia, Dylan deklaruje wprost: „Słyszałem wiadomości/ słyszałem twoją ostatnią prośbę/ nie kocham nikogo/ daj mi buziaka”.

Co to była za wiadomość? Od kogo? To bez znaczenia. Bob Dylan i tak jej nie skomentuje. ●

REKLAMA

Kraj/34435397



GLIWICKA
NAGRODA
LITERACKA

stypendia i rezydencje

Gliwicka Nagroda Literacka

projekt stypendialno-rezydencjalny
dla osób przed i po debiucie

Projekty utworów w kategoriach:
proza, poezja, esej i reportaż
przyjmujemy do 31 maja 2026

Nagrodami są stypendia
połączone z dwutygodniową rezydencją
artystyczną w Gliwicach

Regulamin konkursu na stronie gnl.biblioteka.gliwice.pl



• Pieter Bruegel Starszy
„Pejzaż z upadkiem Ikarą” (1558 r.)
w zbiorach Królewskich Muzeów
Sztuk Pięknych Belgii w Brukseli

CZY JESZCZE POTRAFICIE MARZYĆ

Nawet gdyby Amerykanie znowu chcieli dbać o wartości, normy i sojusze, już nie będą w stanie

Z **MARKIEM LEONARDEM**, BRYTYJSKIM
POLITOLOGIEM, DYREKTOREM ECFR
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Żyjemy w czasach końca? Jeśli wsłuchać się w dyskurs obu szeroko rozumianych stron sporu politycznego, można odnieść wrażenie, że nadchodzi koniec świata. Dla lewicy to katastrofa klimatyczna, dla liberalistów – upadek powojennego porządku międzynarodowego, dla prawicy – brak dzieci i niż demograficzny.

– Nie nazwałbym tych czasów czasami „końca”, apokalipsą, bo to oznacza brak nadziei.

Często spotykam się z opinią, że przechodzimy przez okres łamania zasad porządku międzynarodowego albo przez jakąś formę bezkrólestwa pomiędzy tym, co było, a czymś nowym, co jeszcze nie przyjęło ostatecznego kształtu. Obie te ramy interpretacyjne są błędne, bo wcale nie opisują tego, co naprawdę się dzieje teraz na świecie.

Opowieść o łamaniu zasad nie jest przydatna, bo sugerowałaby, że mimo wszystko wciąż istnieją jakieś zasady, z którymi większość państw się zgadza, tylko ktoś je narusza. A tak przecież nie jest, nie mamy już jed-

nego punktu odniesienia dla wszystkich. Co więcej, przez ostatnie kilkadziesiąt lat funkcjonowaliśmy w systemie, którego stabilność gwarantowały Stany Zjednoczone. Nawet gdyby Amerykanie chcieli nadal pełnić rolę strażnika tych norm, nie będą w stanie. Wewnątrz amerykańskiego społeczeństwa nie ma już zgody na odgrywanie tak ważnej roli na arenie międzynarodowej. Nie mówiąc o tym, że inni gracze nie zaakceptowałyby już amerykańskiej hegemonii. Są też tacy, którzy otwarcie bronią się przed amerykańskimi wpływami – i nie są tak bezsilni, jak w czasach zimnej wojny czy w latach 90.

A czemu bezkrólestwie też jest nieodpowiednią metaforą?

– Bo sugeruje, że wcześniej świat funkcjonował w sposób uporządkowany i po zakończeniu obecnego okresu przemian nadal taki będzie, choć pewnie w innej formie. A nie ma pewności, że tak będzie. Zmiany, przez które przechodzimy, są gwałtowne, wybuchowe. To brak jakiegokolwiek porządku, a nie chwilowe załamanie zasad.

Proszę zauważyć, że w ostatnim czasie zanikł całkowicie wspólny, ogólnoswiatowy sposób opowiadania o sprawach międzynaro-

wych, swego rodzaju wspólne spojrzenie mimo różnic interesów czy poglądów – nawet w kwestiach tak fundamentalnych, jak wojna. Porównajmy amerykańską inwazję na Irak w 2003 roku z obecną wojną z Iranem. To najlepsza ilustracja różnic pomiędzy zwykłym naruszeniem powszechnych zasad a ich całkowitym brakiem. Wtedy, 23 lata temu, Amerykanie naprawdę zrobili dużo, żeby zalegitymizować swoją inwazję w oczach świata. Próbowali uzyskać mandat od Narodów Zjednoczonych, przekonać sojuszników z NATO. Naruszyli zasady, naciągnęli lub sfabrykowali uzasadnienia interwencji, ale przynajmniej starali się usprawiedliwić ofensywę, wytłumaczyć ją sojusznikom.

Dzisiaj nie ma ani jednej osoby w Białym Domu, Pentagonie czy w izraelskiej administracji, która myślałaby o prawie międzynarodowym. Ta rama postępowania, przez dekady niezależnie od całej hipokryzji rządów powszechnie uznawana, jeśli nie z przekonania, to chociaż dla zachowania pozorów, już nie obowiązuje, nikogo nie obchodzi.

Rzecz w tym, że nie mamy żadnej pewności, że ten okres przejściowy zakończy się powstaniem jakiegoś nowego powszechnego systemu. W najnowszej książce wielokrotnie

używam skrótu C4 – czyli symbolu potężnego materiału wybuchowego, w którym dostrzegłem świetny akronim dla opisu czterech rzeczy, które przyczyniają się do eksplozji starożytnego porządku.

Pierwszą jest kapitalizm i zmiany w doktrynie gospodarczej, która dominuje w naszych społeczeństwach. Zwłaszcza z powodu rewolucji technologicznej utrzymanie kapitalistycznych gospodarek w takiej formie, w jakiej funkcjonowały od drugiej wojny światowej, będzie prawdopodobnie niemożliwe, bo sztuczna inteligencja może doprowadzić do olbrzymiej koncentracji kapitału i wielkiego bezrobocia.

Drugim elementem jest zmiana klimatyczna, która też odbija się na gospodarkach, chociażby z powodu kryzysów energetycznych i sposobu, w jaki zasilamy nasz przemysł. Nie wspominając o migracjach i konkurencji do kurczącego się zasobu dobrze płatnej pracy.

Trzeci to czipy i związana z ich dostępnością możliwość rozwoju własnych modeli sztucznej inteligencji. Którą mimo świadomości ryzyka z punktu pierwszego kraje i bloki polityczne muszą rozwijać, żeby nie zostać w tyle za rywalami czy przeciwnikami, bo wtedy będzie jeszcze gorzej.

Czwarta – to cywilizacja, czyli pytanie o to, jak będzie wyglądać nasz świat, kiedy rze- czywście starych ludzi będzie znacznie wię- cej niż młodych. Bo przecież wizje przyszo- ści, uwarunkowania psychologiczne i potrze- by tych dwóch grup są kompletnie różne, czę- sto wręcz sprzeczne.

Sumując te zjawiska, doszedłem do wnio- sku, że za mojego życia nie doświadczę już powrotu do normalności – rozumianej ja- ko okres względnej stabilności, w której przys- zołość jest, niezależnie od nieuniknionych do- tkliwych, lecz przejściowych kryzysów czy lo- kalnych wojen, w miarę przewidywalna.

Spodziewam się, że będziemy wszyscy przechodzić od jednego kryzysu do drugie- go. Żeby przetrwać w takim świecie, musimy skupić się na tych nielicznych rzeczach, któ- re wciąż nas łączą – nawet jeśli pełnego zesta- wu powszechnych zasad już nie mamy. Tyle tylko, że to będzie wymagało kompletnie in- nego podejścia do rzeczywistości niż to, które dominuje wśród dzisiejszych elit. Nie stać już nas na to, żeby myśleć wyłącznie w perspek- tywie jednej kadencji czy cyklu wyborczego. Potrzeba zmian radykalnych, często ustrojow- ych, związanych z fundamentami funkcyj- nowania naszych państw i gospodarek – a nie da się do nich zabrać, jeśli przez cały okres urzędowania jest się sparaliżowanym patrze- niem na słupki. Wielkim problemem naszych demokracji jest po prostu fakt, że są dostosowa- ne do czasów, które już nie istnieją.

Tylko czy ktokolwiek jest tak naprawdę świadom skali tego wyzwania? Nasi liderzy zrozumieli, że nie ma powrotu do tego, co było? Dla wielu osób kompasem stało się wystąpienie Marka Carneya z Davos, gdzie mówił o „pęknięciu, a nie przemianie” w stosunkach Ameryki z resztą świata.

Ale pan niedawno w rozmowie z cenionym brytyjskim politologiem Davidem Runcimanem stwierdził, że elity, zamiast iść, czego próbuje Carney, do przodu, reanimują trupa starego porządku.

– Dalej tak uważam. Na płaszczyźnie reto- rycznej być może zaakceptowaliśmy już wszy- scy, że powojenny liberalny system jest mar- twy, ale czy to uwewnętrznił? Nasze dzia- łania wskazują raczej, że mamy nadzieję na jego wskrzeszenie. Carney bardzo klarownie udowodnił, że mamy do czynienia z gwałtown- ym pęknięciem, a nie zwykłą zmianą w sto- sunkach transatlantycznych czy w podejściu USA do sojuszników. Ale proponowane przez niego rozwiązanie jest nierealistyczne.

Dlaczego?

– Carney proponuje, żeby potęgę średniego- szczebla zjednoczyły się w czymś na kształt pragmatycznego sojuszu handlowego, dzięki czemu byłyby w stanie podtrzymać stary sys- tem i w nim przetrwać. Ale wbrew przekonani- u Carneya to niemożliwe bez uczestnictwa Stanów Zjednoczonych.

Same średnie państwa niczego nie osią- gną. Nie jesteśmy w stanie odblokować cieśni- ny Ormuz ani zakończyć wojny z Iranem, choć ona uderza w stabilność gospodarczą wła- śnie tych państw, które miałyby tworzyć ten pragmatyczny sojusz silnych średniaków: Eu- ropy, azjatyckich demokracji, krajów Zato- ki Perskiej. Można powiedzieć, że Ameryka- nie też nie są w stanie. Tylko że są – po prostu nie chcą angażować całej swojej potęgi, by nie brnąć w koszty ekonomiczne i ludzkie. Z woj- ną w Ukrainie jest to samo – jako sojusz demo- kratycznych mocarstw średniej wielkości nie potrafimy zatrzymać wcale nie najsilniejszej Rosji. Nasza sprawczość jest praktycznie zero- wa. No a Ameryka nie jest ani trochę zaintere- sowana byciem dobrodusznym hegemonem jak 30 czy 40 lat temu. Kółko się zamyka.

Wiemy chociaż, czego nam brakuje, żeby tę naszą sprawczość zwiększyć?

– Nie samowiedza jest tu problemem, ale za- rządanie naszymi zasobami, skierowanie ich na właściwe tory. Europejczycy powin-

ni skupić się na tych obszarach życia publicz- nego i polityki międzynarodowej, w których nasz kontynent może coś zmienić, mieć na coś wpływ.

To na co Europa ma wciąż wpływ?

– O świecie można myśleć na dwa sposoby, które oznaczają dwa rodzaje ról odgrywanych przez państwa w stosunkach międzyrodo- wych. To architektki i rzemieślnicy.

Architektami nazywam kraje, które two- rzyły całe systemy międzynarodowe i ich za- sady – oczywiście głównie po to, żeby same mogły czerpać z nich korzyści. Tak zachowy- wały się Stany Zjednoczone i kraje Europy Za- chodniej po drugiej wojnie światowej.

Z kolei rzemieślnicy nie mają wpływu na układ sił, więc się do niego dostosowu- ją. Improvizują, uczą się, robią wszystko, że- by przetrwać. To opowieść o Chinach, które przez długi czas nie były w stanie dostosować systemu międzynarodowego do własnych po- trzeb, więc brały jego elementy i przetwarza- ły je tak, żeby mogły się rozwijać gospodarczo i społecznie.

Dla Europy nadszedł czas, żeby zachowy- wać się tak, jak Chiny w minionym ćwierćwie- czu. Musimy się dostosować, bo wpływu na całość systemu już nie mamy.

Dwa największe kryzysy, z jakimi zma- ga się teraz Europa, to kryzys suwerenności i kryzys sprawczości. Żeby móc decydować samodzielnie o własnym losie, musimy cał- kowicie zredefiniować naszą politykę energe- tyczną, żebyśmy przestali zależeć od dostaw z Zatoką Perskiej, Rosji czy skądkolwiek. Mu- simy też na nowo zaprojektować naszą poli- tykę technologiczną, w tym jej twardą tech- niczną stronę – zaopatrzenie w minerały ziem rzadkich czy półprzewodniki.

Tylko jak to osiągnąć, skoro nie zawsze jesteśmy w stanie jako Europa porozumieć się co do wspólnego kierunku rozwoju, a nawet wspólnych interesów.

– Nawet jeśli nie wiemy, co jest w naszym in- teresie, to bez trudu powinniśmy zrozumieć, co w nim na pewno nie leży. Wojna w Ukra- inie najlepszym przykładem.

Trudno mi sobie wyobrazić bardziej ab- surdalaną konfigurację niż to, co miało miej- sce przez ostatni rok. Europa liczyła na Trum- pa, żeby to on doprowadził do zakończenia rosyjskiej inwazji. Mieliśmy świadomość, że priorytety Białego Domu są przeciwieństwem priorytetów Europy, a mimo to czekaliśmy, żeby Amerykanie rozwiązali za nas nasz wła- sny egzystencjalny problem.

Teraz powinniśmy bardziej koncentrować się na własnych priorytetach i zbudować re- lacje międzynarodowe na własnych warun- kach. Europa powinna skupić się na sobie sa- mej. Bardzo wiele z naszych priorytetów znaj- duje się tutaj, na Starym Kontynencie.

Choć teoretycznie mamy wspólny rynek w Unii Europejskiej, pomiędzy krajami człon- kowskimi wciąż istnieją bariery handlowe, które działają jak wieloprocentowe cla. To jest proste do wyeliminowania i przyniosłoby re- alną zmianę w życiu obywateli.

Zamiast pomstować na rzeczy, na któ- re nie mamy wpływu – jak amerykańska po- lityka zagraniczna – skupmy się na praktycz- nych rozwiązaniach.

Pandemia koronawirusa pokazała, że w momencie kryzysu potrafimy szybko się dostosować – uruchomiliśmy wspólne bada- nia, kupiliśmy razem szczepionki i zaszczepi- liśmy sporą część populacji.

Po wybuchu wojny w Ukrainie zmienili- śmy system zaopatrzenia energetycznego, a jednocześnie całkiem szybko zorganizowa- liśmy finansowanie i sprzętowe wsparcie Ukraińców. W wielu obszarach możemy po- wtórzyć te sukcesy.

Jeśli to takie proste, to czemu jest takie trudne? Dlaczego mamy tak wielkie problemy z mentalnym porzuceniem starego porządku?

Dla Europy nadszedł czas, żeby zachowywać się tak, jak Chiny w minionym ćwierćwieczu. Musimy się dostosować, bo wpływu na całość systemu już nie mamy

– Bo to był nasz porządek! To my go stworzyli- śmy i my na nim korzystaliśmy. Naturalne, że pojawia się w nas żaloba.

Żaloba czy może jednak wyparcie?

– Nie przypadkiem relacje pomiędzy USA i Europą porównuje się do związku czy nawet małżeństwa, a przecież w trakcie rozstania przechodzi się przez różne etapy. Najpierw jest wyparcie, żaloba następuje potem i z re- guły trochę trwa.

Tylko czy mamy radę być tymi rzemieślnikami, którzy się dostosują? Z Runcimanem stwierdził, że demokracja musi zacząć się zmieniać, eksperymentować, bo zmieniły się warunki, w których funkcjonuje. Ale polityczne eksperymenty są domeną autorytaryzmów, jak chiński, albo spółek technologicznych, które dosłownie eksperymentują na ludziach. A największe demokracje świata, od których najwięcej zależy, zastygły. Niby diagnozują, co poszło nie tak i co robić, ale w głębi duszy liczą, że pożyjemy, zobaczymy, może jakoś to będzie.

– Ale w nich pojawiają się elementy ekspery- mentalne! Francja cały czas używa zgroma- dzeń obywatelskich na poziomie samorządow- ym, gdzie ludzie po prostu przynoszą swo- je skargi do władz i one są dyskutowane. Więc czemu nie spróbować tego poszerzyć, rze- nieść na kolejne szczeble demokracji?

Oczywiście to wyzwanie, ale nie natury in- stytucjonalnej, tylko dla wyobraźni politycz-



FOT. IMPACT

Mark Leonard

- Roczniak 1974. Brytyjski politolog, współ- założyciel i dyrektor Europejskiej Rady Spraw Międzynarodowych (ECFR). Zali- czany do grona najbardziej wpływowych myślicieli geopolitycznych, regularnie publikuje m.in. w „The Guardian” i „Foreign Affairs”. Autor bestsellerów „Why Europe will run XX1st century”, „What does China think?” i „The Age of Unpeace”. Właśnie wydał kolejną książkę, „Surviving Chaos. Geopolitics when the rules fail”.

- Mark Leonard był gościem między- narodowego kongresu Impact’26, który 13-14 maja br. odbywał się w Poznaniu. Od 10 lat to jedno z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie, w którym biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

- Wyborcza.pl, Wyborcza.biz oraz WysokieObcasy.pl miały patronat medial- ny nad wydarzeniem.

nej. Problem w tym, że jej brakuje nam w de- mokracji najbardziej.

Jedynym miejscem, gdzie jej chyba nie brakuje, jest reakcyjna prawica.

– Wielu polityków czy aktywistów alt- i far- righu chciałoby całkowitego odrzucenia stare- go porządku, bez żadnych wyjątków. To nie jest dobry pomysł, zaprowadzi naszą cywili- zację w bardzo złe miejsce, ale trzeba przy- znać, że reakcyjna prawica dobrze identyfikuje emocje społeczne. Oni jako pierwsi zorien- towali się, że to, co liberalowie nazywają sta- tus quo, już przynosi korzyści dla bardzo wie- lu części społeczeństwa – i od razu zademon- strowali gotowość do wdrożenia naprawdę radykalnych rozwiązań. A główny nurt – cen- tryści, liberalowie, obóz progresywny, chade- cja, konserwatywna prawica – zamiast odpo- wiedzieć: szach mat! swoimi propozycjami, ustawił się w pozycji obronnej.

Trump mimo całej destrukcji przydał nam się, bo zmusił nas do myślenia o tym, co do tej pory było nie do pomyślenia – jak zwiększe- nie wydatków na obronność i militarna samo- dzielność Europy. Czasem nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele się już w tej kwestii zmieni- ło. Niemcy zniosły ograniczenia w długi pub- licyzacji, żeby dofinansować wojsko – a prze- cież dla ich świadomości społecznej to praw- dziwa rewolucja.

Mówimy o pojedynczych przykładach zmiany. A ja mam wrażenie, że potrzebuje- my rewolucji znacznie wyżej, na poziomie całego aksjomatu politycznego.

Ostatnie wielkie progresywne projekty polityczne, które budowały optymistyczną wizję, to New Labour Blaira i Browna, a potem koalicja wokół Baracka Obamy.

Dzisiaj opowieść o dobrym życiu i przyszłości słychać tylko na prawicy – wśród religijnych fundamentalistów, techno-faszystów, w manosferze.

Dlaczego liberalizm już nie produkuje świeżych, nowych pomysłów na dobrą przyszłość, tylko mówi niczym niektórzy starzy ludzie: przyszłość będzie dobra, gdy będzie jak za naszych czasów.

– A co innego robi prawica? Ich wizja to nie jest jakaś nowa dobra przyszłość, to powrót do dobrej przeszłości. To pada na podatny grunt właśnie dlatego, że ludzie marzą o spo- kojności, stabilności – a to często znajduje się już wyłącznie w ich wspomnieniach.

To czemu ich nostalgiczna wizja trafia na podatny grunt, a nasza nie?

– Bo oni odwołują się do innej przeszłości. My mówimy: żeby było jak we wspaniałych latach 90., czasie nieograniczonych możliwo- ści. Oni mówią: żeby było jak wtedy, gdy za- trudnienie było stabilne i wszyscy na swojej ulicy się znali.

Dlatego partie liberalne i lewicowe mu- szą znaleźć język z tymi, którzy na globaliza- cji stracili w minionych dekadach. Ich lęki, frustracje, niepewność materialna – to realne problemy. Tym wyborcom trzeba zapewnić bardziej stabilną sytuację ekonomiczną. Jed- nocześnie trzeba jakoś postawić własną infra- strukturę cyfrową. Przeprogramować naszą sieć energetyczną – w taki sposób, żeby po- szkodowanych nie obciążać jeszcze bardziej.

Ale nawet jeśli zdołamy to zrobić, nie wszyscy wrócimy do optymistycznych lat 60. A ludzie to wiedzą. Po wielopokoleniowym doświadczeniu globalizacji, która wbrew obietnicom nie była dobra dla wszystkich, nie wszystkim przyniosła poprawę warunków by- towych, trudno będzie ich przekonać, że mo- żemy przeprowadzić naprawdę radykalne re- formy, na których nikt nie straci.

Stąd musimy odnieść się do tych lęków, powiedzieć ludziom, że ich rozumiemy – ale jednocześnie przekonać, że oglądanie się za siebie to strata czasu. Bez względu na co się oglądamy, czy na liberalne status quo, czy na jakiś archaiczny porządek z minionych stuleci. ●

Polska ma więcej sojuszników niż tylko USA

Lukę po Amerykanach trzeba zapełnić

Trzeba się będzie pogodzić z faktem, że na polskim terytorium będzie kilka tysięcy żołnierzy mniej. Paradoksalnie może być z tego pewien pożytek.

Wielński



Nic nie wskazuje na to, że Pentagon zmieni decyzję o wstrzymaniu przeliczenia do Polski liczącej ok. 4 tys. żołnierzy 2. Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej, choć trwają o to intensywne zabiegi dyplomatyczne przy wsparciu rozczłonowanych na administrację Donalda Trumpa republikańskich kongresmenów.

Prezydent Karol Nawrocki wprawdzie sprawę oddał walkowerem i nie prowadzi żadnych działań, ale na rozmowach w Waszyngtonie będzie też kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Patrząc na sposób, w jaki Amerykanie zakomunikowali (a właściwie nie zakomunikowali) Polakom decyzję o wycofaniu wojsk, można wyciągnąć wnioski, że nasze zdanie w tej sprawie ich nie obchodzi. Może na otarcie lez przetrzucią jakichś żołnierzy z Niemiec? To też nie jest takie pewne, bo w Niemczech amerykańskie wojsko ma stałe bazy, na miejscu są rodziny wojskowych. W Polsce amerykańska misja ma rotacyjny charakter.

Słowem, trzeba się będzie pogodzić z faktem, że na polskim terytorium będzie kilka tysięcy żołnierzy mniej. Paradoksalnie może być z tego pewien pożytek.

20 krajów NATO w Polsce

Od lat mówimy – niezależnie od sygnałów płynących z USA – że Europa musi w większym stopniu dbać o swoje bezpieczeństwo. Dyskutujemy o jakimś zacieśnieniu, z którego w przyszłości mogłoby wyrosnąć coś, co można by uznać za europejski kontyngent wojskowy wchodzący w skład NATO. Słowa prezyden-



• Amerykańscy żołnierze na ćwiczeniach NATO Defender Europe 2022 w okolicach Nowogrodu (19.05.2022). FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

ta Francji Emmanuela Macrona sprzed sześciu lat o śmierci mózgowej Sojuszu Północnoatlantyckiego poszły w niepamięć. Dziś rozmawiamy o propozycji Macrona, by francuskim parasolem nuklearnym objąć Polskę, Niemcy i inne kraje UE. Rozpętana przez Putina zbrodnicza wojna w Ukrainie wybiła Europę z uśpienia. Zbroimy się na potęgę, co m.in. poprzez program SAFE finansuje Unia Europejska. W jej historii to przełomowa inicjatywa. Unia, by wesprzeć obronność, zadłużyła się jako wspólnota. A teraz czas zrobić kolejny krok.

USA to główna siła wojskowa NATO, ale przecież nie jedyna. Załatanie luki, która powstała po wstrzymaniu ro-

Polska potrafiła przekonać partnerów w UE do programu SAFE, wierzę, że możemy zainicjować kolejny przełom w europejskim myśleniu o obronności

tacji amerykańskich żołnierzy w Polsce przez Europejczyków, byłoby takim jednoznacznym sygnałem.

Kraje NATO mają bogate doświadczenie w tworzeniu wielonarodowych kontyngentów. W latach 90. XX w. w ten sposób rozpoczęto stabilizację powojennej Bośni czy Kosowa. Po rosyjskiej aneksji Krymu i oderwaniu części Donbasu w krajach bałtyckich i w Polsce powstały wielonarodowe natowskie bataliony. W ich skład wchodziły oddziały z różnych krajów Sojuszu. Gdy Rosja w 2022 r. rozpoczęła pełnoskalową wojnę z Ukrainą, a do NATO weszły Szwecja i Finlandia, międzynarodowe siły NATO w podobny sposób rozpoczęły wzmocnienie obrony północnego krańca wschodniej flanki, czyli liczącej ponad 1,3 tys. km granicy fińsko-rosyjskiej. Powstały dowodzone przez szwedzkiego pułkownika wysunięte Siły Lądowe, w skład których wchodzi żołnierze ze Szwecji oraz z Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Grupa ta w czasie kryzysu ma rozrosnąć się do rozmiaru brygady, czyli do ok. 5 tys. żołnierzy.

W Polsce służą obecnie żołnierze z aż 20 krajów NATO. Oczywiście to za ma-

siły, by obronić nasz kraj w razie wybuchu pełnoskalowej wojny. Znane opinii publicznej założenia planów obronnych zakładają na taki wypadek ściąganie posiłków z innych europejskich krajów NATO oraz Kanady i USA. Ich zadaniem jest odstraszać agresorów i zaznaczać teren, tak jak to było w przypadku brygad armii USA, Wielkiej Brytanii i Francji, które w czasach zimnej wojny stacjonowały w Berlinie Zachodnim. Atak na miasto oznaczał wojnę światową.

Pół miliarda złotych za kontyngent

Stacjonowanie amerykańskich wojsk w Polsce nie wynika ze szczególnej łaski, jaką okazali nam poprzedni prezydenci USA. Polska płaci średnio 15 tys. dolarów za żołnierza rocznie. W sumie wychodzi pół miliarda złotych z kontyngentu.

Skoro płacimy za Amerykanów, możemy płacić za stacjonowanie żołnierzy innych sojusznicznych krajów. Szkoda, by bazy w Świętoszowie czy Żaganii były niewykorzystane, poligon w Drawsku Pomorskim, na którym ćwiczyli Amerykanie, czeka. Część kosztów sformowania, uzbrojenia i utrzymania nowej wielonarodowej grupy bojowej, która wojskowo podlegałaby NATO, mogłaby w jakiejś części ponosić Unia Europejska.

Polska potrafiła przekonać partnerów w UE do programu SAFE, wierzę, że możemy zainicjować kolejny przełom w europejskim myśleniu o obronności. To nie byłoby spełnienie kolejnej polskiej zachcianki, tylko inwestycja we wspólne bezpieczeństwo. Gdyby doszło do konfliktu, to Polska będzie bronić przed Rosjanami dostępu do krajów Europy Zachodniej.

Europejski kontyngent w Polsce byłby jednoznacznym sygnałem dla Waszyngtonu, jak i dla Moskwy, że Europejczycy poważnie traktują swoje bezpieczeństwo i są w stanie o nie zadbać nawet wtedy, gdy wsparcie ze strony USA słabnie. ● **Bartosz T. Wielński**

REKLAMA

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ PORADNIK

10 DLA SERCA

Sprawdzamy ankietę w aplikacji mojejKP. Jak w kilka minut sprawdzić, czy grozi nam zawał czy udar?

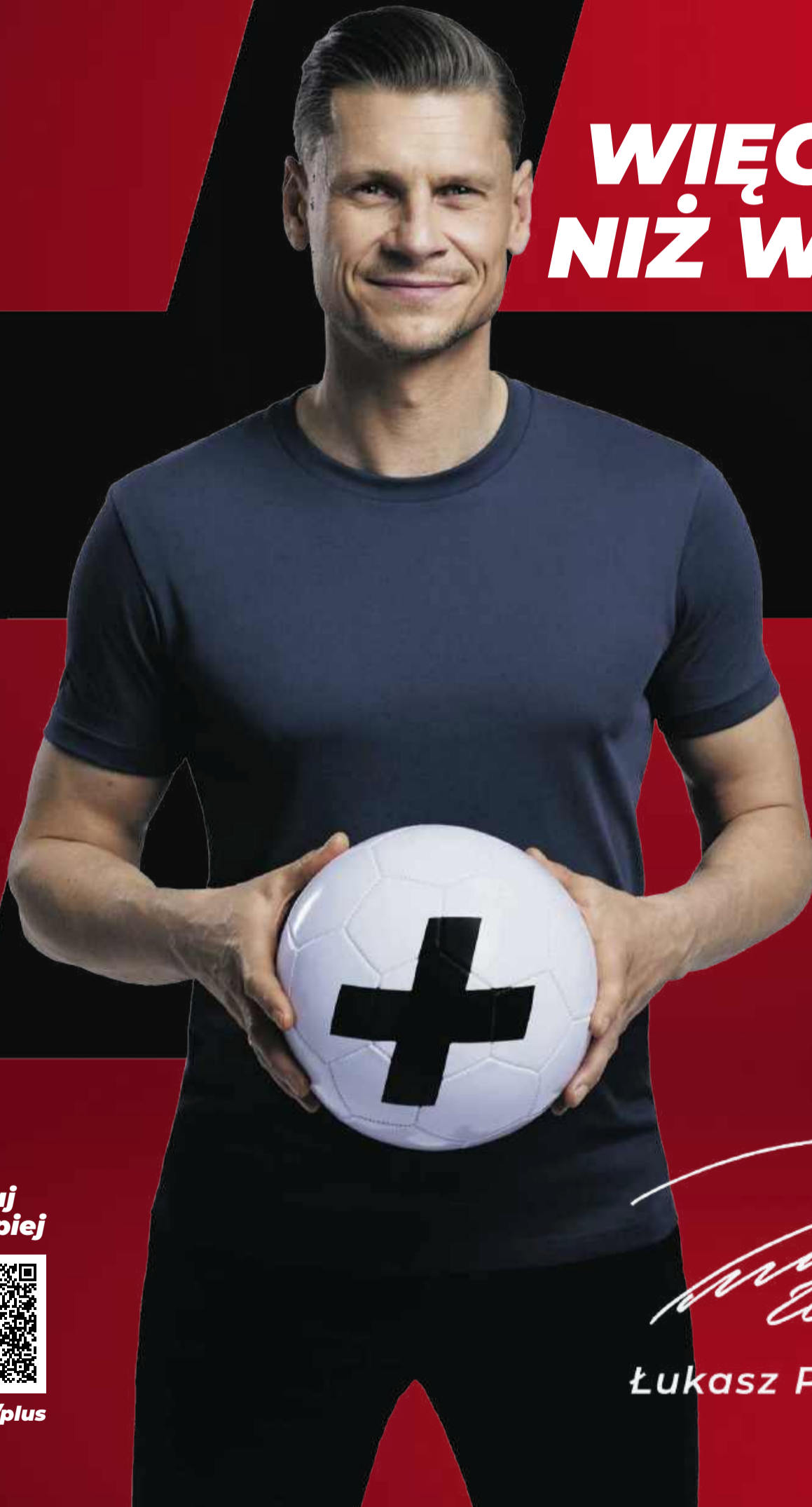


**PORADNIK
ZDROWOTNY**



SPORT.PL+

**WIĘCEJ
NIŻ WYNIK**



**Poznaj
nas lepiej**



sport.pl/plus

A handwritten signature in white ink, appearing to read 'Lukasz Piszczek'.

Łukasz Piszczek



Ostatnia,

CO TAK POLONEZA WODZI

Potrafi być jednocześnie bezczelna i krucha, ironiczna i wzruszająca, totalnie kontrolująca sytuację, a chwilę później mówiąca o lęku, dzieciach czy samotności.

Agnieszka Chylińska kończy 50 lat. I nieodmiennie wymyka się gotowym rolom.

Krystyna Romanowska

Jest rok 1994, Aldona ma siedemnaście lat. Sala w Centrum Kultury w Starogardzie Gdańskim jest pełna nastoletnich emocji i lekkiego prowincjonalnego zadęcia. Trochę nudno i cikliwie, bo to Konkurs Piosenki Francuskiej.

Sytuacja się zmienia, kiedy na scenę wchodzi dziewczyna: wysoka, postawna, ubrana na czarno („chyba miała jakąś tunikę”).

– Darła buzię mocno – wspomina Aldona. – Tak, że pobudziła wszystkich, którzy przysypiali na smętnych paryskich kawalkach. Chyba śpiewała coś Edith Piaf i wygrała wtedy ten konkurs głosami publiczności. Ja i moja kumpela głosowałyśmy na nią.

Potem zwyciężczyni konkursu zaczyna przyjeżdżać do Starogardu na próby z lokalnymi muzykami. Widzą ją ludzie, jak idzie z dworca do sa-

li prób. Wśród nastolatków krążą kasety z nagraniami jej pierwszego zespołu, odtwarzane na magnetofonach i przegrywane z ręki do ręki na osiedlach. Jeden z sąsiadów Aldony gra w tym składzie na gitarze.

– Mam te kasety do dziś. Jakbym dobrze poszukała, to pewnie bym je jeszcze znalazła – śmieje się Aldona. – Boże, jak się ten zespół nazywał?!

Zespół nazywał się Second Face i to właśnie od tamtych koncertów liczy się początek kariery Agnieszki Chylińskiej. Choć – inaczej niż pamięta Aldona – nie wygrała wtedy konkursu, bo zajęła „tylko” trzecie miejsce, to było jasne, że coś zaczyna się wokół niej dziać.

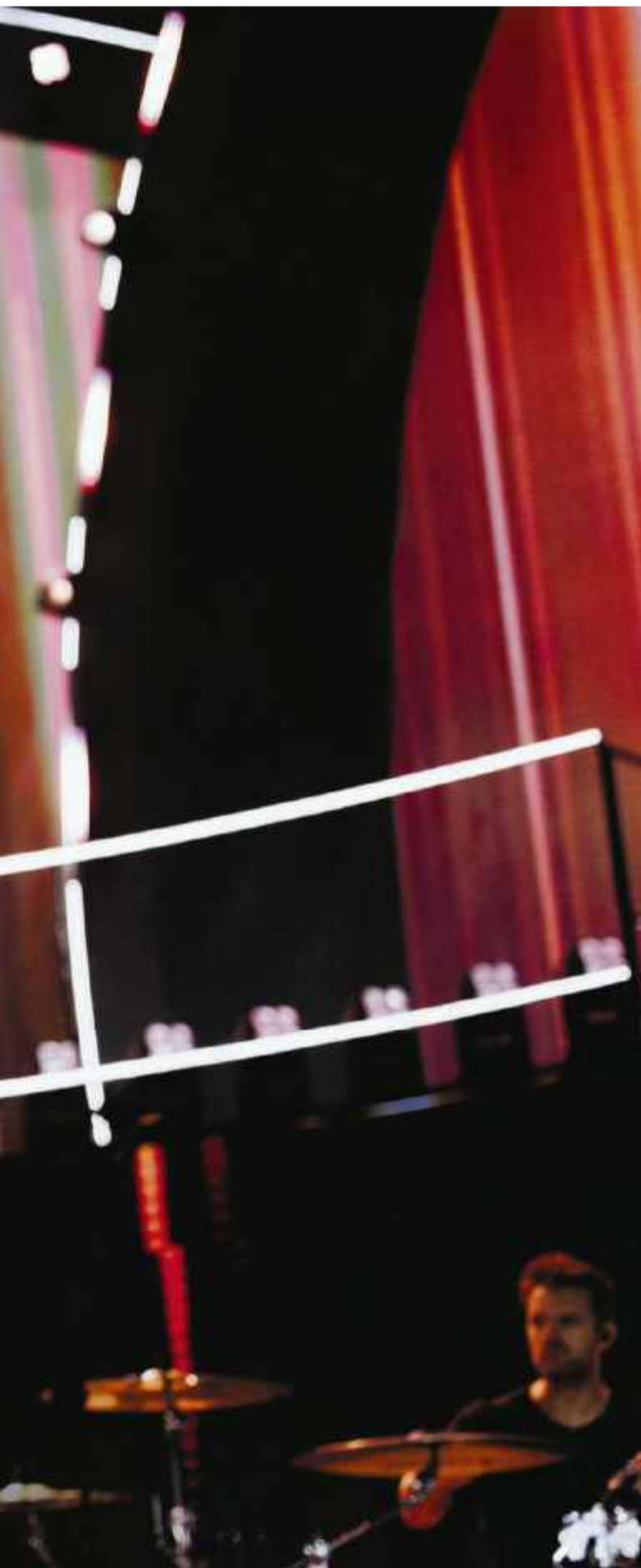
Rok później Chylińska z zespołem O.N.A. wyda „Modliškę”. Dwa lata później odbierze dwa Fryderyki i wypowie ze sceny zdanie o nauczycielach, które przejdzie do popkulturowej historii III RP, niestety już nie jako gest buntu młodej wokalistki, lecz jeden z symboli społecznej pogardy wobec nauczycieli i wygodne usprawiedliwienie lekceważenia tego zawodu.

Poświęciłam dla śpiewania wszystko, naprawdę wszystko

„Ja bardzo chciałam być doceniona, bardzo chciałam być kochana, bardzo chciałam, żeby ludzie mnie poznali od tej strony, że śpiewam. Ten moment, kiedy podjęłam decyzję; dobra, rzucam szkołę, był bardzo trudny, bo trzeba było mierzyć się z reakcją rodziców i ludzi wokół. Ale ja się po prostu na to uparłam i muszę dzisiaj szczerze powiedzieć, że poświęciłam dla śpiewania wszystko, tak naprawdę wszystko.”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Dorotą Wellman i Marcinem Prokopem, 2024)

Kariera Agnieszki Chylińskiej wygląda z perspektywy czasu jak zapis emocjonalnej kobiecej historii III RP. Gdy pojawia się w połowie lat 90. jako wokalistka O.N.A., kraj jest jeszcze surowy, niedokończony i nerwowy. Oficjalna narracja transformacji opowiada o sukcesie wolnego rynku, nowych możliwo-



ściach i „doganianiu Zachodu”, ale codzienność wygląda inaczej: bazary pod blokami, prowizoryczny kapitalizm, bezrobocie, tanie papierosy, blokowiska pełne ludzi oszłomionych dziejącymi się zmianami.

W telewizji triumfuje, zgrzebna, bo zgrzebna, ale estetyka sukcesu, a Chylińska wchodzi na scenę cała na czarno, z rozmazanym makijażem i growlowym nieustawianym głosem. Media wariują, zaliczając najwyższy stopień dezorientacji. Nie dziwi to dr Magdaleny Rosochackiej-Gmitrzak, socjolożki rodziny z Uniwersytetu Warszawskiego.

– W XIX wieku kobiecie śpiew był osadzony przede wszystkim w tożsamości narodu bez kraju na mapie, kultywowaniu tradycji i wspólnoty. Lata powojenne aż do transformacji 1989 roku przyniosły szczególne kobiece narracje o trudnej codzienności oraz uwięzieniu w tradycyjnych rolach żony i matki odpowiedzialnej za dom. Później pojawiły się XX-wieczne tradycje wokalne z liryczną budowaną wokół pułapek paradygmatów „matki” oraz „kochanki”, przepelnionych tęsknotą czy emocjonalnym bólem – mówi dr Rosochacka-Gmitrzak.

– I wtedy „wjeżdża” Agnieszka Chylińska z bardzo osobistą perspektywą, która dla mnie zamyka się w jednym słowie: WALKA. Ballada „Kiedy powiem sobie dość” powstała równo trzydzieści lat temu, kiedy problematyka granic, psychicznej wytrzymałości czy, jak dziś często mówi się, niestety, rezylencji – nie była jeszcze tak popularnym schlagwortem kobiecej ekspresji. Elementy składowe jej tekstów są zapisem autobiograficznym, o czym sama mówi wprost. Trudno więc dziwić się jej popularności wśród kobiet 50+, a właściwie

kobiet w każdym wieku – zauważa dr Rosochacka-Gmitrzak.

W latach 90. polska kultura popularna wciąż ma problem z kobietą, która nie chce być ani elegancka, ani uwodzicielska, ani „sympatyczna”, a jednak ma ten cholerny nieokiełznany seksapil. Chylińska przeklina publicznie, mówi agresywnie, bywa „niekontrolowalna” w wywiadach. Wyglądała bardziej jak ktoś gotowy rzucić krzesłem w studiu telewizyjnym niż jak nowa gwiazda rynku muzycznego. Dla części młodych kobiet była pierwszą osobą w mainstreamie, która nie próbuje łagodzić własnego gniewu ani tłumaczyć się z emocjonalnego przeciążenia.

– Jako jedna z pierwszych pokazała, że „grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne tam, gdzie chcą”, chociaż nikt jeszcze wtedy nie znalazł tego zwrotu. Każda z nas w głębi duszy zazdrości jej do tej pory tej łatwości mówienia o pewnych rzeczach na głos i tego, że... tak pięknie bluźni. Ja zazdroścę jej tego bardzo – mówi Katarzyna Fiolek, pisarka. – Pamiętam, że razem z kuzynką, kiedy byliśmy młodsze, bawiliśmy się w grę: „Kim sławnym chciałabyś być?”. Gosia zawsze chciała być Agnieszką Chylińską, bo „ona mówi to, co myśli”. Kobiety podziwiała jej odwagę, beczelność i to, że nie bała się zajmować miejsca.

Polska w okresie transformacji była krajem permanentnego wysiłku. Chylińska nie śpiewała o abstrakcyjnych emocjach; jej teksty brzmiały jak zapis życia ludzi, którzy czuli, że codzienność ich psychicznie przerasta. – Jej songi odzwierciedlają przecież doświadczenia tylu innych kobiet, tych niezwiązanych ze sceną, „zwykłych” Kryś czy Magd. Deklarują: „Hej, nie jesteś sama”, przynoszą komfort przynależności do trudnej prozy życia, są empatyczne, przede wszystkim łączą – wylicza dr Rosochacka-Gmitrzak.

Chylińska nie daje instrukcji sukcesu, tylko poczucie, że ktoś jeszcze czuje podobnie. Wychodzą prawie rok po roku płyty: „Bzzzzz” (1996), „T.R.I.P.” (1998), „Pieprz” (1999), „Mrok” (2001). Ich tytuły mówią same za siebie, zwłaszcza ten ostatni.

– Fenomen talentu bywa niezależny od warunków zewnętrznych, ale fenomen popularności Chylińskiej w latach 90. na pewno był efektem czasów: rockowych składów szukających, ze względu na koniunkturę na ten rodzaj muzyki, młodych, zdolnych wokalistek. W tym sensie podobny do przypadku O.N.A. i Chylińskiej był przypadek Dody i Virgin. Przy znaczących różnicach, choć obie zrobiły własne kariery, również telewizyjne – uważa Bartek Chaciński, krytyk muzyczny, wicenaczelną i szef działu kultury „Polityki”.

Ciało obce wrzucone do nowego świata

„Trudno jest być tą samą osobą w momencie, kiedy patrzy na ciebie 80 tysięcy ludzi. Trudno jest usiąść wtedy w kapiach i się do nich uśmiechnąć. A z kolei trudno jest wziąć te 80 tysięcy do domu i podać wszystkim herbatę. Kiedy się wyrzeszczałam i wszystko z siebie wywalilam, to naturalnie potrzebuję nalałowania baterii i jestem cicha, spokojna. I ludzie się dziwią: „To Chylińska taka spokojna?”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Dorotą Wellman i Marcinem Prokopem, 2024).

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych sytuacja zaczyna się zmieniać. Jest już MTV Polska, pojawiają się pierwsze wielkie galerie handlowe, aspiracje klasy średniej rosną. Wizerunek sukcesu robi się coraz bardziej wygładzony, a Chylińska nadal funkcjonuje jak ciało obce wrzucone do nowego świata. I właśnie dlatego jest tak atrakcyjna – jej bunt można doskonale sprzedać, bo kontrkultura szybko staje się elementem marketingowym na rynku. O.N.A. jest jednocześnie autentyczne i doskonale medialne.

W 2003 roku zespół się rozpada. Rok później wchodzimy do Unii Europejskiej i wybuchają kariery korporacyjne ludzi z pokolenia Chylińskiej. To też moment, w którym generacja transformacji, której dzieciństwo i młodość przypadły na ustrojowy przelom, czuje pierwsze oznaki zmęczenia własnym entuzjazmem. Rozpad O.N.A. idealnie wpisuje się w ten klimat schyłkowości, kończy się bowiem projekt oparty na emocjonalnej intensywności, a zaczyna rzeczywistość bardziej profesjonalna, chłodniejsza i podporządkowana logice rynku.

Dance nie do wybaczenia

„Ja mam w sobie taki mechanizm, że nawet jak wszystko się wali, to muszę wstać i iść dalej. Nie wiem, skąd to się bierze. Może z uporą, może z lęku przed zatrzymaniem

◀ **Koncert „Otwarta Scena” na festiwalu Top of the Top 2025 w Sopocie. Agnieszka Chylińska w żywole scenicznym**

FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

się. Ale zawsze było we mnie coś takiego, że choćby nie wiem co się działo, trzeba iść”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Magdą Mołek, 2016).

Najbardziej symbolicznym momentem całej kariery Chylińskiej jest rok 2009 i album „Modern Rocking”. To czas Polski po wielkim awansie: kredyty hipoteczne, „malle” handlowe w każdym mieście, coachingowy optymizm, telewizje śniadaniowe i wiara, że „już jesteśmy normalnym krajem”.

I nagle dawna rockowa outsiderka zaczyna śpiewać electro-pop. Dla części fanów to niemal bluźnierstwo. – Na chwilę naprawdę obraziłam się na Chylińską. Pomyślałam sobie: „Chryste, jaki dance! Zdradziła gatunek!”. Nie mogłam wejść w te wszystkie rytmy, bo dla mnie ona była wcześniej tą rockową, niepokorną dziewczyną z glanami i buntem w głosie. Odstawiłam ją wtedy trochę na półkę – opowiada Katarzyna Skrzyńska, fanka polskiej muzyki. – Później wróciłam do niej chyba ze zdwojoną siłą i zaczęłam doceniać nawet te rzeczy, o które wcześniej byłam zła. Dzisiaj myślę, że właśnie to jest w niej niezwykle: ona nigdy nie została w jednym miejscu. Mogła do końca życia śpiewać buntownicze rockowe kawałki i odcinać kupony od dawnego wi-

„Darla buzię mocno. Tak, że pobudziła wszystkich, którzy przysypiali na tych smętnych paryskich kawałkach. Chyba śpiewała coś Edith Piaf”

zerunku, ale wciąż szukała czegoś nowego. A kiedy poszła w bardziej popowe czy dance’owe rzeczy, nadal była sobą. Nigdy nie miałam poczucia, że się sprzedawała albo coś udaje. To cały czas była ta sama Agnieszka, tylko w innym momencie życia.

Chylińska robiła wówczas dokładnie to, co ogromna część polskiej klasy średniej: zamieniała gniew transformacji na marzenie o stabilizacji i mainstreamowym sukcesie. W dodatku w teledysku „Nie mogę cię zapomnieć” wygląda wprost nieprzyzwoicie zmysłowo.

„Modern Rocking” – oto Polska zdejmując glany i bierze (o zgrozo!) kredyt we frankach. Potem Polska tych kredytów pożałuje, ale Chylińska nie pożałuje densów, bo zdaje się, że nie żałuje w życiu niczego.

Dziewczyna od wzruszeń

„Czy ty zrobisz tak, czy siak, i tak dostaniesz w dupę. I tak ktoś cię znienawidzi, i tak ktoś ci zarzuci, że się sprzedawała albo że jesteś nie taka, jak trzeba. Ja się tego musiałam nauczyć. Że nie da się żyć pod cudze oczekiwania, bo wtedy człowiek przestaje istnieć.”

(Agnieszka Chylińska u Kuby Wojewódzkiego, 2016).

W 2008 roku TVN rusza z „Mam Talent!” – talent show opartym na brytyjskiej licencji. Chylińska znów okazuje się idealnie zsynchronizowana z epoką. Show przestaje być wyłącznie programem rozrywkowym. Staje się narodową terapią grupową, opowieścią o „zwykłych ludziach”, których ktoś wreszcie widzi i słucha. Ciekawszy od „Rozmów w Toku”, bo można przy okazji postukać nóżką, a i tak o ludziach dowiedzieć się mniej więcej tyle samo.

– Interesujące wydawało mi się to, że Agnieszka Chylińska nie jest przywiązana do jednej stylistyki muzycznej, było ich po drodze kilka. Ale momentem przelomowym okazało się dla niej wejście do grona jurorskiego popularnego talent show. W roli osobowości telewizyjnej odnalazła się na tyle dobrze, że kariera muzyczna w ogóle zeszała – przynajmniej momentami – na drugi plan – uważa Chaciński.

Dawna „dziewczyna od krzyku” zamienia się w „osobę od wzruszeń”. Ale nie traci swojej nieprzewidywalności. Nadal mówi zbyt ostro jak na telewizję śniadaniową i zbyt mainstreamowo jak na ortodoksyjny rock. Na początku programu wpada na plan jak wkurzona punkowa z rockowego koncertu: krótkie, czarne, ostro wycieniowane włosy, ciężki makijaż, skórzane stylówki i spojrzenie mówiące: „Spróbuj mnie przekonać”. Siedzi wtedy nabuzowana, surowa i sprawia wrażenie, jakby była tam głównie po to, żeby brutalnie wyłapywać fałsz.

Później jest bardziej kolorowo, ale i chaotycznie: zaskakujące łagodne blondy, mocne stylizacje. Częściej się śmieje, wygłupia, płacze. Ostra, ale już cieplejsza. Final form Chylińskiej to znów powrót mocniejszego, mroczniejszego image’u: czarny irokez, wyrzasty makijaż i energia. Już bardziej legenda rocka, może przypad-

kiem posadzona przy stole TVN-u? Placze, kiedy 14-letni raper Bartek Wasilewski śpiewa o swojej mamie. Nawet nie wyciera łez.

Na zawsze dziecko

„Bardzo mocno i kurczowo trzymam się tego, żeby nie robić z rzeczy prywatnych pretekstu do promowania siebie. Odkąd mam dzieci i rodzinę, mam co chronić. To, że jestem szczerą ze słuchaczem i mówię mu, że nie jest za fajnie, nie oznacza jeszcze, że zapraszam wszystkich do swojego domu i swoich trosk.”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Magdą Motek, 2016).

W 2016 roku pojawia się płyta „Forever Child” z singlem „Królowa lez”. Na okładce naga wytatuowana Chylińska w konwencji znanej z debiutanckiej płyty „Modlishka”, tylko wyraźniej. Zamiast gniewu pojawiła się melancholia, zmęczenie i emocjonalna kruchość. To dlatego „Królowa lez” działa tak mocno, zdaje się piosenką dla kraju, który przestaje wierzyć, że wszystko będzie coraz lepsze, ale nadal desperacko szuka autentycznych emocji.

Chylińska robi przemarsz przez media, które ciągle ją kochają i dają się jej okręcać wokół palca. – Z takiego kaczątka wyrosła nasza piękna „Królowa lez” – mówi wzruszona Joanna, zwana „Czekoladą”, „fanka od zawsze” („Jak Aga to przeczyta, będzie wiedzieć, o kogo chodzi”). Fandom Agnieszki Chylińskiej to spora rodzina kobiet z niewielką obecnością mężczyzn („jak to w rodzinie, zdarzają się kłótnie, grupy i podziały”), które dorastały razem z jej muzyką, przeżywały przy niej pierwsze bunty, miłości, rozstania i życiowe kryzysy. Dla wielu z nich koncerty Chylińskiej są czymś więcej niż wydarzeniem, to raczej spotkanie z kimś, kto od lat daje im siłę, wzruszenie i poczucie, że nie są same. Terapia? Prędzej poczucie wspólnoty.

Dr Magdalena Rosochacka-Gmitrzak zwraca uwagę, że ta emocjonalna więź z odbiorczyniami nie jest przypadkiem ani czystą strategią marketingową. – Możemy to oczywiście nazywać naukowo efektem zbieżności obrazu własnej osoby (fachowo: self-congruity effect), co sprytnie wykorzystuje marketing czy w ogóle biznes, ale trzeba pamiętać o intencji Agnieszki Chylińskiej: artystka chce naprawdę nawiązać tę więź z odbiorczyniami tekstów i muzyki.

Dlatego Chylińska nie została odebrana jako całkowicie „sztuczna” nawet wtedy, gdy weszła do telewizyjnego mainstreamu. – Jest jedną z nas dzięki temu, jak ratyfikuje doświadczenia kobiet. Polki przeglądają się w jej doświadczeniach, bo artystka ukazuje w nich swoją bezbronność, ale waleczną, co jest ponadczasowe. To raz. A dwa: dostarcza ujścia dla emocji, dlatego bywa katartyczna, także w arystotelesowskim rozumieniu dramatu czy „dramy” – analizuje dr Rosochacka-Gmitrzak. – Historia muzyki zna przypadki przesady z autobiografowaniem tekstów, można stracić zaufanie odbiorców, gdy dochodzi do „oversharingu” czy narracja jest zbyt dosłowna. Chylińska wydaje się bardzo świadoma tych niuansów i świetnie nawiguje po tych wodach: nie przytłacza, oscyluje między cieniem, welonem niedomówienia a krzykiem.

„Nic, słucham sobie muzyki”

„W imieniu wszystkich fanów, których masz tu w Krakowie – tych młodych i tych starszych – chciałam ci powiedzieć, że cię kocham”

(Agnieszka Chylińska do Anny Dymnej podczas koncertu w Krakowie, 2024).

Koncert z okazji 30-lecia kariery na krakowskiej TAURON Arenie ma ogromną energię: Chylińska jest żywiołowa, żartuje, publiczność śpiewa z nią każdą piosenkę. W pewnym momencie na scenie pojawia się Anna Dymna. Robi się się cicho. Dymna patrzy na Chylińską i mówi jej: „Bo Ty jesteś naprawdę. Jak krzyczysz, to pomagasz tysiącom ludzi, którzy krzyczą razem z to-



• Z Grzegorzem Skawińskim podczas koncertu w katowickim Spodku, rok 1996. O.N.A. u szczytu formy

bą. Jak mówisz, że masz pęknięte serce, pomagasz wszystkim ludziom, którzy mają pęknięte serca”. Chylińska próbuje się uśmiechać i żartować, ale wzruszenie autentycznie odbiera jej mowę. Publiczność wstaje i zaczyna bić brawo.

Joanna „Czekolada” była, oczywiście, na tym koncercie, stała tuż przed sceną (zawsze stara się być jak najbliższej). Oczywiście, że płakała.

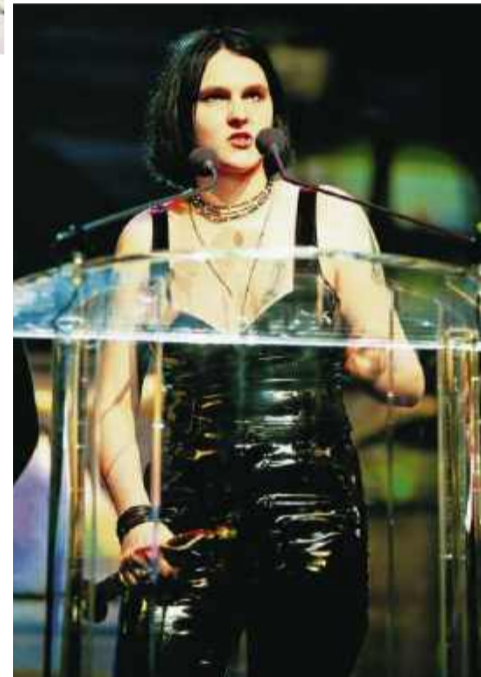
Wspomina rok 1997 i ukwiecony balkon u ciotki w Gorzowie. – Miałam wtedy prawie dwadzieścia lat, byłam zbuntowana, patrzyłam z góry na świat. Paliłam papierosa, obok na stoleczku stał magnetofon – jamnik z kasetą O.N.A., z którego leciało: „Kiedy powiem sobie dość”. Ciotka spytała: „Co ty tam robisz na tym balkonie?” A ja: „A nic, słucham sobie muzyki” – opowiada Joanna. – Wtedy pierwszy raz poczułam, że ktoś śpiewa dokładnie o mnie.

Fandom Agnieszki Chylińskiej: od dwudziestolatek, które poznały niedawno jej muzykę, po pięćdziesięciolatki (i plus), które dorastały, słuchając jej kolejnych płyt, i dziś często przywołują na koncerty własne dzieci (i wnuki). Jeżdżą za Chylińską po całej Polsce (niektóre nie opuszczają choćby jednego przystanku w trasie), godzinami stoją pod sceną, robią transparenty, organizują wspólne akcje i wyjazdy, a koncerty traktują trochę jak coroczny rytuał i spotkanie „swoich ludzi”. W ich opowieściach fandom nie jest tylko grupą fanów muzyki, ale przestrzenią wsparcia, emocji i kobiecej solidarności: miejscem, gdzie można się wypłakać, posmiać i poczuć, że ktoś naprawdę rozumie to, co przeżywasz.

– Moi rodzice czasami nie wytrzymują: „stara baba jeździ za drugą starą babą” – śmieje się Agnieszka z Krakowa, rocznik 1975. W jej domu Chylińska „była non stop”, a „Modlishka” stała się „świętą rzeczą”. Zaczynała jak wiele z fanek: od fascynacji buntem, niepokornością, energią dziewczyny, która wchodziła na scenę i wyglądała, jakby niko się nie bała. Ale potem przyszło życie: dzieci, praca, choroby, pogrzeby rodziców. I nagle okazało się, że Chylińska dojrzeła razem z nimi. Że z dziewczyny wrzeszczącej „Nie trzeba mi twoich lez” zmienia się w kobietę śpiewającą o zmęczeniu, macierzyństwie i lęku.

– Razem dojrzewamy – mówi Agnieszka. – Razem dorastamy, idziemy ramię w ramię. Opowiada, że ich pierwsze naprawdę ważne spotkanie wydarzyło się podczas promocji płyty „Forever Child” w Krakowie. Chylińska powiedziała do niej: „Ja cię pamiętam. Ciebie się nie zapomina”. Dla fanki był to moment niemal przelomowy: „w moim życiu się wszystko przewróciło”, bo zrozumiała, że dla Chylińskiej ludzie spod sceny nie są anonimowym tłumem.

„Czekolada” miała kiedyś dłuższą przerwę w koncertach. Ale w końcu pojechała do Rawicza. – Aga, jak mnie zobaczyła w tłumie, zrobiła taką genialną minę, ktoś nawet uchwycił to na zdjęciu. Pokazywała palcami,



• Chylińska na gali Fryderyków '96 w Sali Kongresowej w Warszawie (5.04.1997). To wtedy padły słynne słowa „Nauczyciele, fuck off, nienawidzę was!”

cieszyła się, że znowu jestem pod sceną – opowiada Joanna. – Innym razem zmieniłam oprawkę od okularów i pojechałam na koncert do Żar. Stoimy przy barierze, a Aga nagle pokazuje gestem, że widzi te nowe okulary. Dla kogoś to może być nic wielkiego, ale ja wtedy pomyślałam, że ona naprawdę pamięta swoich ludzi i zauważa takie drobiazgi. Fotograficzna pamięć.

Edyta: – Moja córka miała trzy lata i znała na pamięć „Winnę”. Na pierwszy koncert pojechałam dopiero w 2022 roku. Popłakałam się. Kiedy syn zobaczył, ile to dla mnie znaczy, na święta kupił mi bilet na kolejny. To było dla mnie bardzo wzruszające. Jestem raczej zamknięta w sobie i zwykle jeżdżę na koncerty sama, ale pod sceną człowiek nagle czuje się częścią czegoś większego. Z Agnieszką jest inaczej niż z innymi artystami. Ona nie robi z siebie gwiazdy. Wychodzi, gada z ludźmi, żartuje, tańczy, rzuca tekstami i człowiek ma poczucie, że jest zauważony. Kiedy miałam gorszy czas, dużo chorowałam, w kółko słuchałam „Kiedy powiem sobie dość”. Żeby uwierzyć, że dam radę. Przy jej muzyce człowiek ma poczucie, że nie jest sam.

„Czekolada” potrafiła „zrobić” dwadzieścia pięć koncertów w sezonie. – No jest wa-

Na okładce naga wytatuowana Chylińska w konwencji znanej z płyty „Modlishka”, tylko wyraźniej. Zamiast gniewu pojawiła się melancholia

riactwo, ale to jest takie zdrowe hobby – mówi. – Jadę sama, czasem nocą, mąż tylko mówi: „Zadzwoń, jak dojedziesz”. Już się przyzwyczaił, że ma w domu wariatkę od Chylińskiej. Płyty stoją na półce jak relikwie, koszulki koncertowe mają osobne miejsce w szafie. To kawał mojego życia – opowiada. – Moi rodzice kiedyś w ogóle nie mogli zrozumieć „tej mojej Agnieszki”, więc powiedziałam: „To może chcecie bilet na koncert pod choinkę?”. Wrócili pozytywnie zaszokowani. Tym, jak ona rozmawia z ludźmi, jaki ma kontakt z publicznością. Przyznali, że czegoś takiego się nie spodziewali.

Dziewczyna od kościoła

Tak jak odblokowało mi się pragnienie oddania się komuś w miłości, tak samo nadeszła tęsknota za tym, żeby poszukać Boga. Nie określonego w jakiejś religii, tylko jako absolutu. W trakcie nagrywania pierwszej edycji „Mam talent!” poznałam Szymona Hołownię. Było to jedno z najważniejszych spotkań w moim życiu. Nic tego nie zwiastowało. Przeciwnie, przyszedł z nastawieniem: „Aha, to jest ten gościu, ten niewiedzony”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Katarzyną Montgomery w „Zwierciadle” 2012)

Agnieszka (fanka) wspomina, że kiedy po dłuższej przerwie pojawiła się znowu na koncercie, Chylińska od razu zauważyła: „Było cię mało”. Zaczęła się tłumaczyć, że opuściła część koncertów, bo córki miały komunie i bardziej skupiła się wtedy na rodzinie. Aga zapytała wtedy: „Posłaś?”, a kiedy usłyszała „Tak”, dopytała: „Czyli wierzysz?”. „Wierzę” – odpowiedziała Agnieszka. Usłyszałam od niej: „To przelóż ten swój krzyż w swoją siłę”.

Edytce z kolei nie po drodze z kościółkowaniem idolki. – Bardzo się z nią utożsamiam, ale jedyne, czego chyba nie mamy wspólnego, to ta jej wiara w Boga. Ona o tym mówi otwarcie, a ja jestem trochę z tym na bakier – przyznaje.

Chylińska: „Jest taka zasada, żeby jednak świadczyć swoim życiem. Żeby nie pierdolić, tylko żyć”. Jej duchowa przemiana zaczyna się początkowo bardziej jako tęsknota i szukanie niż deklaracja wiary. Ale kilka lat później ten proces wybrzmiewa już bardzo mocno przy okazji płyty „Pink Punk”, najbardziej osobistej i emocjonalnie obnażonej w jej karierze. Udziela też słynnego „wywiadu życia” (rozmawia z Kubą Wojewódzkim, Edwardem Miszczakiem i Marcinem Prokopem), w którym mówi: „Teraz jestem lajdakiem, który przychodzi do Pana Jezusa. Przychodzi jak łobuz i pytam: czy taką mnie kochasz? (...) Ja przyszedłam i powiedziałam: wszystko zjechałam. Nie wiem, przytul mnie. Nic nie mów. Kochaj mnie”.

Bardzo silny jest jej odbiór duchowy wśród fanów. Niektórzy po raz pierwszy słyszą język wiary, który nie brzmi jak kościelna formułka. Dla wielu to jest ważne, bo Chylińska nie mówi z pozycji „nawróconej świętej”, tylko osoby nadal poranionej i pogubionej. Ludzie przyjmują z ulgą poczucie, że można wierzyć i jednocześnie być nieuprządkowanym emocjonalnie, mieć depresję, czuć gniew.

Co ciekawe, religijność Agnieszki Chylińskiej różni się od tej kojarzonej np. z Dariuszem Malejonkiem – publicznym świadectwem, które jest wspólnotowe, uporządkowane, a nawet ewangelizacyjne. U Chylińskiej to raczej prywatny kryzys i szukanie ratunku. Ona nie mówi jak ktoś „nawrócony”, tylko raczej jak ktoś poraniony. Nie moralizuje ani nie naucza, bardziej opowiada o własnym chaosie i potrzebie miłości. Dlatego jej religijność wielu ludzi odbiera jako bardziej autentyczną – bo nie jest triumfalna ani „kościelna”, tylko pełna pęknięć i wątpliwości.

Joanna mówi o wierze Agnieszki Chylińskiej bez ironii czy dystansu, choć odrobinę sceptycznie, bo sama podchodzi do religii niejednoznacznie. – Jestem bardziej lub mniej wierząca, może mniej praktykująca. Ale nie

przeszkadza mi to, że Chylińska coraz częściej publicznie mówi o Bogu czy kończy koncerty słowami „z Bogiem”. Nie wzoruje się na nikim – mówi. Jej zdaniem w przypadku Chylińskiej religijność nie jest pozą ani próbą moralizowania fanów, tylko kolejnym etapem dojrzenia.

Można powiedzieć, że powrót do Boga Chylińskiej dobrze pokazuje przemianę polskiej duchowości po 1989 roku: odejście od religii jako instytucji i zwrot ku wierze jako osobistemu doświadczeniu kryzysu, samotności i szukania sensu. To nie jest wiara „pompkowa” ani narodowo-katolicka, tylko bardzo prywatna. Dlatego tak rezonuje z pokoleniem wychowanym po transformacji, ludźmi zmęczonymi moralizowaniem, ale nadal szukającymi czegoś większego od siebie.

Inność jest super

„Rośnie mi takie cudowne młode pokolenie fanów. Takich, wiesz: zapuszczają włosy, słuchają Metalliki i są przekonani, że właśnie odkryli ten świat po raz pierwszy. To jest przepiękne. Jak podchodzi do mnie czternastolatek i pyta: »Kojarzy pani Slipknota?«, to ja mam z tego gigantyczną radość.”

(Agnieszka Chylińska w rozmowie z Dorotą Wellman i Marcinem Prokopem).

Po latach buntu i scenicznego krzyku Chylińska zaczyna opowiadać o dzieciach, lęku i codziennym chaosie w sposób, który wiele kobiet odbiera niemal osobiście. – Jak się jej urodziły dzieci, pomyślałam: „Załamka. Dzieci porodziła i co teraz z jej karierą?” – wspomina Joanna. – A potem sobie uświadomiłam, że poradzi sobie z tym, jak każda z nas w jej sytuacji: wywróci jej życie, ale je odchowa.

Chylińska wychowuje trójkę dzieci, przy okazji pisząc cykl książek o Zezi i Gilercie i kilka innych historii dla dzieci. Wszystkie niosły przesłanie akceptowania innego. – Zgrabnie napisane książki dla dzieci z cyklu „nurtu codzienności” – ocenia Marta Lipczyńska-Gil, właścicielka wydawnictwa „Hokus-Pokus”, wydawczyni literatury dziecięcej, zresztą fanka pogardzanej płyty „Modern Rocking”. – Smaku dodawało, że napisała to „drapieżna Chylińska”, która się z książkami dla dzieci nie kojarzyła.

Książki miały fatalne ilustracje, ale mimo to rodzice je polubili, tym bardziej że w czasie lockdownu w ramach akcji #zostanwdomu Chylińska czytała ich fragmenty na Instagramie.

Agnieszka (fanka): – Kiedy moje dziewczynki były małe, miały po 3, 3,5 roku, zaczęłam za-



FOT. JAKUB OCIEPA / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Agnieszka Chylińska z Małgorzatą Foremniak i Agustinem Egurrolą podczas nagrania odcinka „Mam Talent!” w Teatrze Słowackiego w Krakowie (2014 r.). Chylińska pozostaje jedyną jurorką, która wystąpiła we wszystkich edycjach show

bierać je na koncerty i spotkania z Chylińską. One też ją poznały, poznały Joasię, jej mendedżerkę, i mam wrażenie, że rośnie już kolejne pokolenie fanek. Pamiętam jeden koncert, byłam wtedy po śmierci taty, po drodze jeszcze miałam wypadek samochodowy i kompletnie się rozsypałam. Aga wtedy mnie przytuliła i powiedziała: „Teraz czas się nie liczy”. A kilka miesięcy później okazało się, że pamięta nawet taki drobiazg: zapomniałam dziewczynom słuchawek ochronnych pod scenę. Spotkałyśmy się znowu, a ona mówi do mnie: „Wiesz, że miałam cię zjebać z tej sceny? Co ty żeś odwalila? Dzieci bez słuchawek na koncercie?”.

Prawdziwiek

„Ja uczyłam się na płytach. Nikt mnie tego nie uczył. Jestem samoukiem w tym wokalnie”

(Agnieszka Chylińska, rozmowa dla TVP Polonia, 1995).

Jest taka kapitalna scena z 1998 roku, kiedy w programie Tomasza Raczka jeden z gości (rozpoznajemy w nim młodego Tomasza Piątkę) zdobywa się na analizę

postaci Chylińskiej. Mówi z półśmiechem: „Pani Agnieszka (...) wyraźnie wymawiała wszystkie spółgłoski, ale głos mimo to jej się łamał. Jest to typowe dla osób, które mają dosyć niskie poczucie własnej wartości i muszą przez cały czas utwierdzać się w przekonaniu, że są wiele warte (...) Mówiła bardzo rzeczowo, używała matematycznych metafor, chciała pokazać, że jest osobą konkretną i się nie rozkleja (...). Przypuszczam, że pani Agnieszka bardzo ciężko przeżywa pierwszy kontakt z nieznanymi ludźmi, ale później udaje jej się nawiązać pozytywny kontakt”.

Ona bez problemu podejmuje tę grę i kwituje diagnozę Piątkę słowami: „Zgadza się, wszystko się zgadza”. A nic się nie zgadza i wszystko się zgadza jednocześnie.

Media, tak wtedy, jak i dzisiaj, nie radzą sobie ze zjawiskiem „Agnieszka Chylińska”, za to ona świetnie sobie radzi z mediami. Obojętnie, czy jest to „Wywiad, jakiego jeszcze nie było” u Kuby Wojewódzkiego z 7,5 mln wyświetleniami, rozmowa sprzed lat z Wojciechem Jagielskim czy spotkanie z Magdaleną Molek, Chylińska zawsze wymyka się goto-

wym rolom. Potrafi być jednocześnie bezczelna i krucha, ironiczna i wzruszająca, totalnie kontrolująca sytuację, a chwilę później mówiąca o lęku, dzieciach czy samotności z rozbrajającą szczerością. Zazwyczaj przejmując kontrolę nad rozmową, odpowiada ironicznie i świadomie. Jej szczerość to bardzo sprytny mechanizm: Chylińska daje emocjonalną prawdę, ale nie daje pełnego dostępu. Mówi „czuję”, „boję się”, „nie daję rady”, ale rzadko mówi dokładnie, co się wydarzyło. Dzięki temu odbiorcy mogą się w niej przegłębiać: każda fanka trochę dopisuje własną historię do jej piosenek i wypowiedzi. Ta szczerość jest więc jednocześnie autentyczna i kontrolowana. Nie polega na ekshibicjonizmie, tylko na umiejętności stworzenia wrażenia absolutnej prawdy bez rezygnowania z granic.

Ostatecznie wiemy tylko tyle, ile sama decyduje się odsłonić. Być może właśnie to jest najważniejsze: że najbardziej chce pokazać nie siebie, lecz swój głos. Bo to on pozostaje sednem jej opowieści: najprawdziwszym językiem emocji, buntu i wrażliwości.

– Agnieszka Chylińska jest prawdziwym, absolutnym samoukiem. Ma growlowe brzmienie, głęboki, fajny głos, w którym naprawdę brzmi autentycznie – mówi Anna Grabowska, pedagog i trenerka emisji głosu, specjalizująca się w pracy z aktorami, wokalistami i mówcami scenicznymi, zwracając uwagę, że siła Chylińskiej nigdy nie polegała na perfekcyjnej technice, tylko na prawdzie i charakterze jej śpiewania.

Anna Grabowska podkreśla, że dziś coraz więcej młodych wokalistów uczy się przede wszystkim naśladowania: „Wszyscy chcą brzmieć jak ktoś, np. jak Adele”. – Ja, w pracy z ludźmi nad emisją głosu, zawsze podkreślałam, że najważniejsza jest ich interpretacja, ich emocje, ich wrażliwość – mówi.

W tym sensie Chylińska staje się dla niej symbolem artystki „sprzed epoki kopiowania” – osoby, która nie bała się śpiewać chropowato, ostro, czasem wręcz nieidealnie, ale zawsze po swojemu. – Nie widzę dziś następczyni Chylińskiej. Może Kaśka Sochacka? – zastanawia się Anna Grabowska. – Mam wrażenie, że jest jedną z ostatnich artystek, które naprawdę „poloneza wodzą” po swojemu. W czasach, gdy wszyscy próbują brzmieć jak ktoś, ona przez całe życie brzmiała przede wszystkim jak swoja własna historia. ●

*Postanowiłam, że w tym tekście wszystkie bohaterki, podobnie jak ta główna, będą w okolicach pięćdziesiątki. I słowa dotrzymałam.

REKLAMA

Kraj/34432512

66. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
66th KRAKOW FILM FESTIVAL

INSIDER

TWOJA PODRÓŻ DO ŚWIATA FILMU

31.05 – 7.06.

KRAKÓW

krakowfilmfestival.pl

ORGANIZATOR



WSPÓLORGANIZATOR



WSPARCIE FINANSOWE

Projekt współfinansowany ze środków Miasta Krakowa



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

FilMOTEKA Narodowa Instytut Audiowizualny

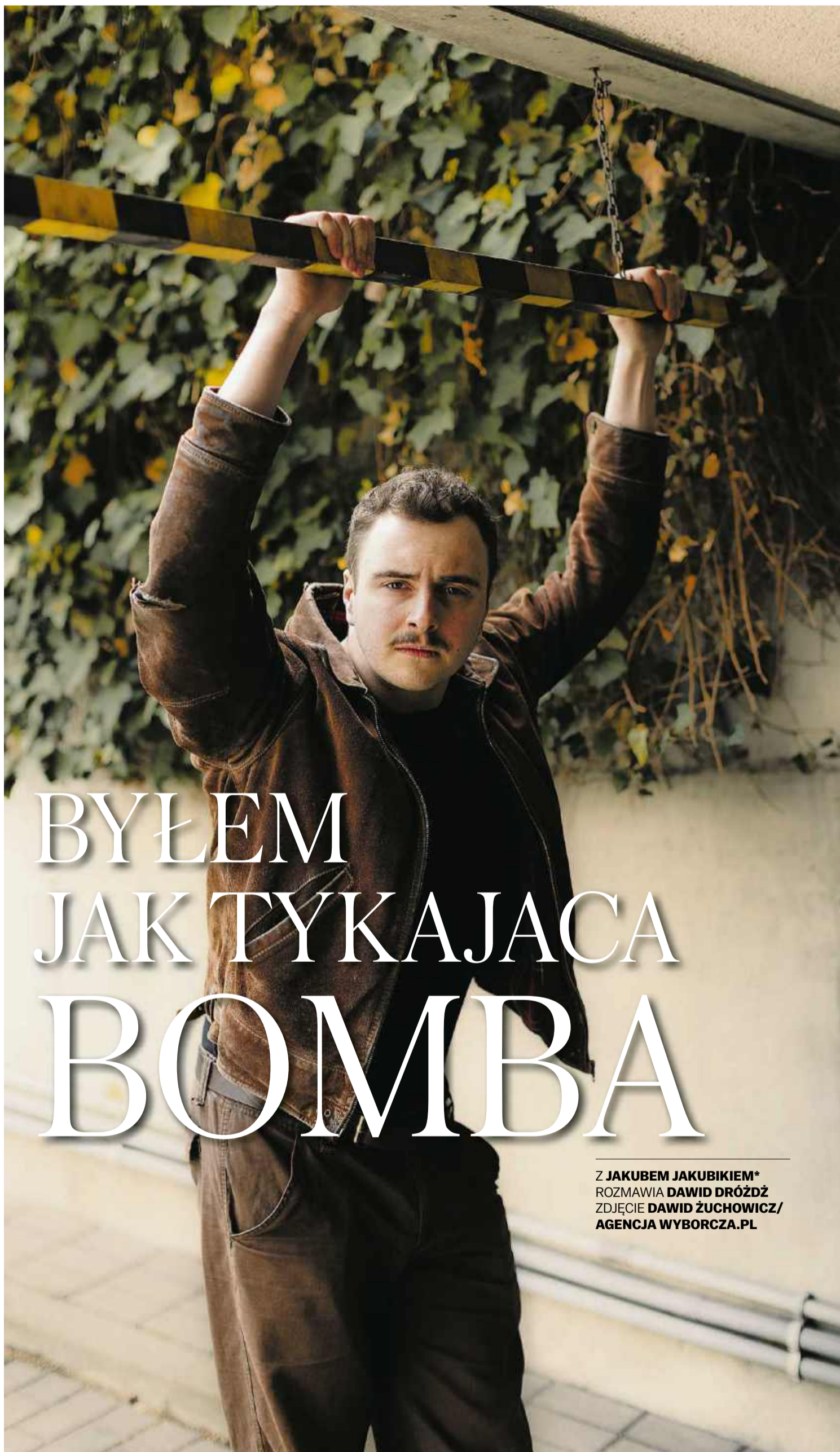
Projekt współfinansowany przez Unię Europejską



PARTNER



Agencja Wyborcza



BYŁEM JAK TYKAJĄCA BOMBA

Z **JAKUBEM JAKUBIKIEM***
ROZMAWIA **DAWID DRÓDZ**
ZDJĘCIE **DAWID ŻUCHOWICZ/**
AGENCJA WYBORCZA.PL

Ojciec powiedział, że chyba mnie powaliło. Nie rozumiał, dlaczego odsłaniam intymne sfery rodziny.

Kiedy mówisz, słyszysz głos twojego ojca. Jesteście do siebie podobni?

– Obaj jesteśmy zodiakalnymi Koziorożcami. Mama śmieje się, że jesteśmy uparci. Ale pod wieloma względami się różnimy. Mamy inne gusta, często ścieramy się w tematach dotyczących muzyki czy kina. Staram się czerpać od ojca to, co w nim najlepsze.

Mamy coraz więcej okazji, żeby razem pracować. Zagrał w moim krótkometrażowym filmie „Archiwum rodzinnego końca świata”, a w „Naszej Rewolucji” Piotra Domalewskiego wcielam się w Macieja Kuronia, syna Jacka Kuronia, którego gra mój ojciec.

Twoi rodzice – Arkadiusz Jakubik i Agnieszka Matysik – oraz brat Jan są aktorami. Jak to właściwie jest wychowywać się w rodzinie aktorskiej?

To wymagający zawód: ciągła praca na emocjach i wyjazdy na plany zdjęciowe.

– Mielśmy bardzo normalne, zdrowe wychowanie. Gdy pojawiały się jedynki w szkole, były krzyki. A gdy osiągaliliśmy dobre wyniki, panował spokój. Ojca rzeczywiście często nie było w domu, ale starał się to nadrabiać. Podczas nieobecności rodziców opiekowały się nami babcia i ciocia.

Rodzice nie byli częścią warszawskiej sceny kulturalno-politycznej. Wycofali się z show-biznesu, dzięki czemu uniknąłem programów śniadaniowych czy pozowania na ściankach podczas festiwali. Jestem im za to wdzięczny. Mogliśmy z bratem spokojnie skończyć szkołę i pójść na studia.

Mielśmy wiele przywilejów, których nie mieli nasi rówieśnicy, na przykład dostęp do kultury. Rodzice nauczyli nas jednak, że do wszystkiego trzeba dojść ciężką pracą. Pochozą z biednych rodzin spoza Warszawy. Ojciec został wychowany przez moją babcię, która nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Legendy o ich trudzie głęboko w nas wsiąkły.

W „Archiwum rodzinnego końca świata” z rodzicami oraz bratem odgrywacie rodzaj rodzinnej psychodramy.

– Chciałem przepracować pewne doświadczenia z okresu dojrzewania. Gdy dorosłem, pomyślałem, że wypadaloby przeprosić rodzinę za to, jaki byłem. Wydaje mi się, że robiąc taki film, warto wziąć na siebie odpowiedzialność i przyznać, że to ja jestem czemuś winny, a nie wszyscy wokół.

Zacząłem myśleć o scenariuszu tuż po wybuchu wojny w Ukrainie. Pomagałem wtedy na dworcach, docierały do nas kolejne informacje o spadających rakietach. Mielśmy poczucie, że świat zaraz się skończy. Uznałem, że to ostatni moment, żeby zrobić taki film. Postanowiłem zrealizować go w konwencji kina katastroficznego.

Inspirowałem się takimi filmami jak „Cztery córki” Kaouther Ben Hani czy „First I” Kantemira Bałagowa, w których świat fikcji i dokumentu się przenika. Mając ograniczenia budżetowe, możemy osiągnąć efekt immersji poprzez dokumentalne wstawki. Już w poprzednim moim filmie „Lament No. 1” opowiadającym o żalobie po śmierci najbliższej osoby ta granica między fikcją a dokumentem zaczęła się zacierać. Mój młodszy brat Janek zagrał główną rolę, oboje przepracowaliśmy traumę po śmierci ukochanej babci.

W „Archiwum rodzinnego końca świata” wcielasz się w głównego bohatera, który wraca do domu po odwyku narkotykowym. W scenie otwierającej widzimy nagranie archiwalne. Wpadasz w szal, nazywasz

rodziców „potworami”. Czy to prawdziwe nagranie archiwalne?

– Tak, to nie jest sztuczna inteligencja.

Byłem trudnym dzieckiem – najbardziej wybuchowym, emocjonalnym i krzykliwym elementem rodziny. Na początku ten film miał być zatytułowany „Zaraz wybuchnę”, bo byłem jak tykająca bomba, która eksplodowała kilka razy dziennie. W końcu zdałem sobie sprawę z tego, że w pewnych sytuacjach nie miałem racji i powinienem posłuchać kogoś starszego.

Poczułem, że jestem winien przeprosiny moim rodzicom, ale także bratu Jankowi, który – jak na złość – był idealnym synem. Po zobaczeniu nagrań archiwalnych zrozumiałem, że on także przeżywał moje wybuchy. Pomyślałem: „Boże, biedny chłopczyk, musi na to patrzeć”. Jak wychowywać się w takich warunkach?

Dlaczego ojciec nagrywał te wybuchy?

– Ojciec przez pewien czas nagrywał wszystko, co się działo wokół. Przypuszczam, że w ten sposób radził sobie z tą sytuacją. Tak naprawdę te nagrania są dość zabawne, gdy ogląda się je z perspektywy dorosłego. Nie ma tam skrajnej przemocy, tylko rozhisteryzowane dziecko.

Odwyk narkotykowy to także twoje doświadczenie?

– W filmie jest wiele prawdy, ale to nie jest dokument. Gdy byłem nastolatkiem, mocno imprezowałem. Nie brałem narkotyków, ale piłem sporo alkoholu. Miałem typową odłękę. Rodzice próbowali przemówić mi do rozsądku, kontrolowali mnie, kupili nawet alkohol. Na szczęście nigdy nie musiałem iść na odwyk.

Napisałem ten wątek, aby nadać scenariuszowi odpowiednią konstrukcję. Chciałem, aby bohater wracał do domu z miejsca odizolowania. To czarna owca, syn marnotrawny, który prosi o przebaczenie w obliczu końca świata.

Wcześniej zdarzało ci się przeproszać rodziców?

– Swego czasu nadużywałem słowa „przepraszam”. Wydawało mi się, że jeśli przeproszę, to wszyscy dadzą mi spokój. Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam...

A później pewnie robiłeś to samo.

– Dokładnie.

Teraz różnica polega na tym, że przeproszam jako osoba dorosła, mająca pełną świadomość znaczenia tych słów. W czasie pandemii i po wybuchu wojny w Ukrainie zrozumiałem, że rodzina jest wartością nadrzędną. W obliczu tak trudnych wydarzeń bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

Krećiliście w waszym prawdziwym domu?

– Nie. Rodzice się na to nie zgodzili. To byłaby przesada. Razem z producentem Michałem Sadowskim znaleźliśmy podobny dom na wsi. Scenograf Tomasz Rolniak wniósł do niego wiele naszych rzeczy. Znajomi w pierwszym momencie się nie orientują, że krećiliśmy gdzie indziej.

Dlaczego zdecydowałeś się obsadzić swoją rodzinę?

– Nie chcieliśmy zasnianić się aktorami.

Kiedyś mówiłem sobie, że nie skorzystam z mojego ojca, dopóki nie będę miał projektu, w którym będzie mógł zagrać tylko on. W jego wieku jest wielu wspaniałych aktorów, więc byłoby to nie w porządku. „Archiwum rodzinnego końca świata” jest jednak filmem autobiograficznym. Nikt inny nie mógłby zagrać mojego ojca.

Jak rodzina zareagowała na ten pomysł?

– Z mamą i bratem pracowałem już przy moim poprzednim projekcie pod tytułem „Lament No. 1”, więc miałem przekonanie, że się zgodzą.



• Wigilia w rodzinie Jakubików. Kadr z filmu „Archiwum rodzinnego końca świata” FOT. 66. KFF

Film robi się nie tylko dla siebie, ale też dla widza. Zależy mi na tym, żeby ktoś po obejrzeniu „Archiwum rodzinnego końca świata” porozmawiał ze swoimi rodzicami, a może ich przeprosił

Trudniej było z ojcem, który powiedział, że chyba mnie powaliło. Nie rozumiał, dlaczego chcę zrobić film, w którym odsłaniam intymne sfery rodziny.

Proces przekonywania go trwał dwa lata. Nie dawałem za wygraną, podsyłałem mu kolejne wersje scenariusza. W końcu zaczął ze mną o tym rozmawiać i uznał, że to wcale nie jest taki głupi pomysł.

Rodzice są wymagającymi współpracownikami?

– Wszyscy jesteśmy profesjonalistami, więc wiedzieliśmy, co mamy robić na planie. Był to jednak projekt wymagający emocjonalnie. Wydaje mi się, że największą kosztował mojego brata. Musiał wcielić się w bohatera, który odrzuca własnego brata. Sięgaliśmy po prawdziwe emocje. Podczas kręcenia ostatniej sceny poczułem, że wszyscy się posypaliśmy. Wyjście z tego stanu trwało kilka dni.

Po czasie zaczęliśmy żartować z tego, co się wydarzyło, a wizję końca świata obracaliśmy w żart. Można powiedzieć, że praca nad tym filmem pomogła nam lepiej radzić sobie z rzeczywistością, która tak często straszy nas końcem.

Ten film był rodzajem terapii?

– Teraz lepiej rozumiemy siebie nawzajem. Ale film robi się nie tylko dla siebie, ale też dla widza. Zależy mi na tym, żeby ktoś po obejrzeniu „Archiwum rodzinnego końca świata” porozmawiał ze swoimi rodzicami, a może ich przeprosił.

Niektóre dzieci znanych aktorów nie chcą być kojarzone z rodzicami. Ty przeciwnie – krećisz ze swoją rodziną filmy.

– Wypieranie się swoich korzeni jest ściemą. Przecież wszyscy wiedzą, że jestem synem Arka Jakubika. W Tate Modern była niedawno wystawa Tracey Emin; artystka wyeksponowała swoje prywatne rzeczy – łóżko, krzesło, biurko. Zastanawiała się, czym jako artystka

może się podzielić z drugim człowiekiem. Co jest prywatne, a co publiczne.

Cale moje doświadczenie jest związane z rodziną. Ucieczka od tego tematu byłaby zakłamywaniem rzeczywistości. Wychowałem się w rodzinie aktorskiej i uważam, że mam coś ciekawego do powiedzenia na temat tego doświadczenia – tak jak ktoś, kto wychował się w rodzinie górniczej, ma coś ciekawego do powiedzenia o tamtej rzeczywistości.

Wraz z bratem podążacie śladami rodziców i zaczynacie karierę filmową. Ukończyłeś scenariopisarstwo i reżyserię, a Janek – aktorstwo. Nie chcieliście spróbować czegoś innego?

– Rodzice próbowali nas zniechęcić do kina, mówiąc, że to straszny zawód. Początkowo im uwierzyliśmy. Janek przez rok studiował informatykę, a ja marzyłem o zostaniu historykiem. W liceum zostałem laureatem olimpiady historycznej, chciałem pisać książki jak Norman Davies i pracować w archiwach w Oksfordzie. Szybko zorientowałem się jednak, że zawód historyka w Polsce wygląda nieco inaczej – wiele publikacji powstaje na polityczne zamówienie.

Pozostało ci kino.

– W drugiej klasie liceum zgłosiłem się do konkursu 48 Hour Film Project, który polega na nakręceniu filmu w dwie doby. Wtedy postanowiłem zdawać do Szkoły Filmowej w Łodzi. Poszedłem na scenariopisarstwo, a w mojej pierwszorocznej etudzie zagrał Janek. Niestety, tak mu się to spodobało, że postanowił rzucić informatykę i zdawać na aktorstwo. Zamieszkaliśmy razem przy ulicy Struga. Było wspaniale.

Warto mieć alternatywę, będąc dzieckiem znanych osób – po to, aby udowodnić sobie, że można robić w życiu coś innego. Gdybym od razu poszedł w kierunku kina, mógłbym mieć kompleksy i mierzyć się z opiniami, że wszystko załatwili mi rodzice. Teraz mam

komfort, że jeśli chciałbym zrezygnować z robienia filmów, mogę pójść na studia historyczne.

Nazwisko Jakubik w szkole filmowej pomagało czy przeszkadzało?

– Rodzice twierdzili, że przeszkadzało, bo w polskim kinie jest wiele napięć i animozji. Ja jednak nigdy nie odczułem, żeby ktoś miał problem z tym, że jestem synem znanych aktorów. Wszyscy mieli świadomość, że egzaminy są bardzo wymagające i osoby przypadkowe szybko odpadają.

Poczułeś ulgę po nakręceniu „Archiwum rodzinnego końca świata”?

– Tak. To nie była łatwa praca, ale jestem wdzięczny Szkole Filmowej w Łodzi, że miałem możliwość zrealizowania takiego filmu. Przeszło mi przez myśl, że chciałbym nakręcić pełnometrażowy film o mojej rodzinie realizowany przez kilka lat, w stylu filmu „Boyhood”. Na razie jednak muszę odpocząć od grania. Chcę skupić się na reżyserii. ●

*Jakub Jakubik

• Rocznik 1997. Syn aktorów Agnieszki Matysiak i Arkadiusza Jakubika, brat aktora Jana Jakubika. Absolwent scenariopisarstwa i reżyserii w Szkole Filmowej w Łodzi. Za krótki metraż „Lament No. 1” dostał nagrodę specjalną na 49. FPFF w Gdyni, a projekt dokumentu „Klątwa” został wybrany na DOC.LAB GO. Jego dyplomowy, krótkometrażowy film fabularny „Archiwum rodzinnego końca świata” znalazł się w Konkursie Polskim 66. Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

• 66. Krakowski Festiwal Filmowy w kinach od 31 maja do 7 czerwca oraz od 5 do 19 czerwca online na KFF VOD. Karnety (od 149 do 419 zł) do kupienia na krakowfilmfestival.pl.



PAŁACNA PAŁACU

Sintra to miejsce bajkowe. Z okien jednego zamku widać okna i wieże kolejnego. Każdy otacza park, jak ogród botaniczny. Każdy ma swoją ciekawą historię.

Tekst i zdjęcia **Anna Żabińska**

Przewodnicy i influencerzy zgodnie mówią, że to „idealne miejsce na jednodniowy wypad z Lizbony”. I kiedy już się tutaj dotrze, to istotnie ma się wrażenie, że większość ludzi posłuchała tej rady. Wpadają tu koło południa, oglądają góra dwa miejsca i wracają do stolicy przed kolacją. Poza tym największe tłumy są w najbardziej rozreklamowanym, kolorowym i najlepiej prezentującym się na zdjęciach obiekcie – Palacio Nacional da Pena.

Ale Sintra zasługuje na więcej uwagi. W żadnym razie nie powinna być dodatkiem do Lizbony, tylko głównym celem wycieczki. Da się ją też zwiedzić bez oddechu innych turystów na plecach. Chociaż rzeczywiście jest ich tu sporo.

Trele w zielonym gaju

Sintra – miasto i gmina – to tereny na północny-zachód od Lizbony. Ze stolicy Portugalii można tu dojechać pociągiem w pół godziny. Nieduże, ale gęsto zaludnione i malownicze miasto leży u podnóża gór Serra de Sintra. Natomiast sama gmina Sintra ciągnie się aż do wybrzeża Atlantyku i jej ogromną część zajmuje Park Przyrodniczy Sintra-Cascais.

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



Ja przyjechałam do Sintry autobusem. Mój hotel od dworca dzieliło 20 minut, więc wybrałam spacer, zwłaszcza, że według Google Maps miało być „przeważnie płasko”.

Oczywiście, nie było. Wpadłam w typową portugalską zasadzkę – dystans krótki, ale pod górę. Z trudem ciągnęłam walizkę, a ludzie patrzyli na to z politowaniem. Jednak warto było się zmęczyć. Bujna zieleni, widoki i śpiew ptaków miały mi towarzyszyć aż do końca pobytu.

To pełne wyzwań położenie miasta miało oczywiście wpływ na jego losy.

Pierwsze ślady osadnictwa w tej okolicy datuje się na wczesny paleolit, ale prawdziwa historia Sintry zaczyna się w VIII w., gdy na Półwyspie Iberyjskim rozgościli się Maurowie. Wybudowali tu fortecę, która służyła im aż do II połowy XI w. Miasto i twierdzę próbowano zdobyć w czasie rekonkwisty i ostatecznie udało się to w 1147 r. Alfonsowi I Zdobywcy, pierwszemu królowi Portugalii. Przez kolejne wieki Sintra była letnią rezydencją portugalskich władców, bo jej położenie sprawia, że jest tu chłodniej niż w Lizbonie.

Teraz to uroczyste miasto pełne kolorowych willi, splecionych uliczek i zieleni. Parque de Liberdade to tak naprawdę otwarty dla wszystkich ogród botaniczny z rzadkimi roślinami, romantycznymi ścieżkami i posagami.

Zanim wybierzemy się na dalsze zwiedzanie, to w centrum trzeba koniecznie spróbować jednego z lokalnych smakołyków. Oryginalne *travesseiros* (ciasto francuskie z masą z żółtek, migdałów i cukru – zabójczo słodkie) serwowane są w cukierni Casa Piriquita, założonej w 1982 r. Żeby uniknąć kolejki warto pójść do jej filii – Piriquita 2, oddalonej o dwie minuty, ale mniej obleganej. Drugim

tutejszym przysmakiem jest *queijada* (babeczka z serem) – moim zdaniem smaczniejsza (i mniej słodka) opcja.

Jednak to nie malownicze uliczki czy słodkie sprawyły, że Sintra stała się tak popularna. W 1995 r. Krajobraz Kulturowy Sintry (regionu) wpisano na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO jako przykład XIX-wiecznej architektury romantycznej i krajobrazowej. Głównie z powodu tutejszych zamków i pałaców.

Okrety i łabędzie na suficie

Zaczynam od **Pałacu Narodowego w Sintrze** (*Palacio Nacional de Sintra*) w centrum miasta. W porze obiadowej nie było tam prawie niko. Imponujący, biały budynek ma dwie stożkowate wieże wysokie na 33 metry. Tak naprawdę to kominy zbudowane w XV w. nad kuchniami królewskimi. Są tak wielkie, bo na rusztach trzeba było piec w całości np. dziki czy jelenie dla setek gości dworu.

Za panowania Maurów stał tu inny pałac. W XII w. mieszkał w nim król Alfons I Zdobywca, ale w XV i XVI wieku został gruntownie przebudowany na polecenie królów Jana I i Manuela I. Budynek jest ciekawym połączeniem kilku architektonicznych stylów: gotyckiego, manuelińskiego i mudejar. We wnętrzach można podziwiać przepięknie sufitu z namalowanymi na nich łabędziami, srokami i okrętami.

Jednak największe wrażenie robi duża Sala Herbowa (*Sala dos Brasões*) z drewnianym, złożonym, kasetonowym sufitem, który zdobiją m.in. 72 herby króla i najważniejszych portugalskich rodów szlacheckich (herb rodziny Távora został usunięty za karę, bo spiskowali przeciwko królowi Manuelowi).



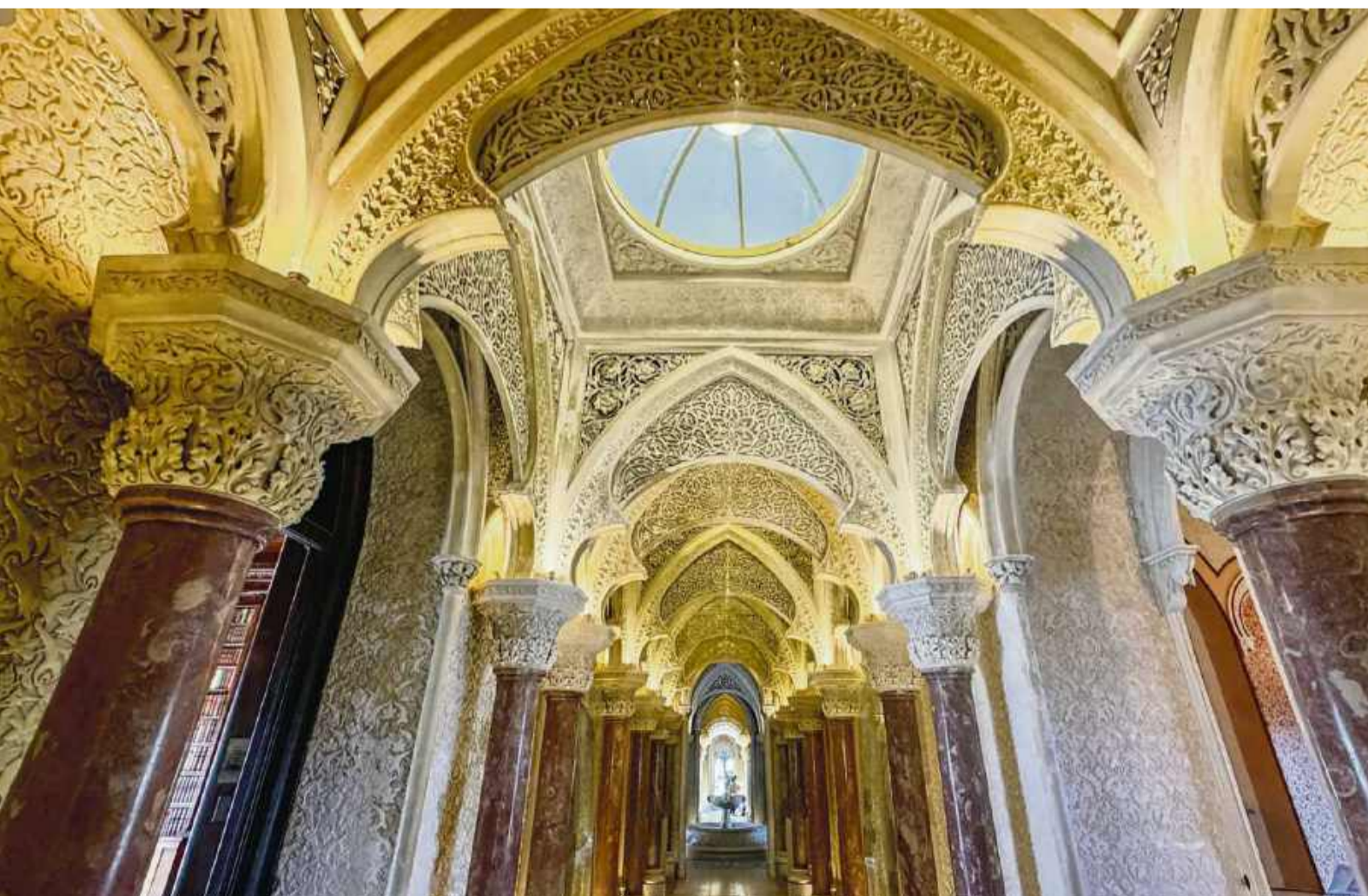
• Najczęściej fotografowany zabytek Sintry: **Palacio da Pena.** Fantazja króla wizjonera Ferdynanda II. W środku wygląda tak, jakby król nadal tu mieszkał

Atrakcje Sintry i okolic



© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

• **Castelo dos Mouros** czyli **Zamek Maurów** – najstarsza twierdza w okolicy ze świetnie zachowanymi murami obronnymi



• **Palacio de Monserrate (Pałac Monserrate).** Rozmach tych wnętrz i dbałość o każdy detal jest niezwykła. W ogóle nie przeszkadza to, że w pałacu nie ma mebli. Po obejrzeniu trzeba koniecznie zwiedzić otaczający go, nie mniej imponujący, ogród botaniczny

Architektura przywodzi na myśl kubkę – przestrzeń utworzoną z sześcianu (symbolizującego Ziemię) pokrytego hemisferą (reprezentującą niebo) – koncepcję odziedziczoną po architekturze islamskiej. Ma pokazać spotkanie mocy ziemskiej z boską. Reszta pokoju wykończona jest biało-niebieskimi azulejos, które dodano tu dopiero w XVIII w.

Portugalscy władcy lubili ten pałac i każdy dodawał tam coś od siebie. Ale dla jednego z nich pałac zamienił się w więzienie. W latach 1676-83 z powodu rzekomych zaburzeń psychicznych Alfonsa VI zamknął w nim jego brat Pedro. Dodatkowo żona króla, Maria Franciszka Sabaudzka zarzuciła mu impotencję i ślub anulowano. Skończyło się tym, że Pedro jako Pedro II poślubił szwagierkę i razem rządzą krajem, a Alfons samotnie zmarł w pałacu.

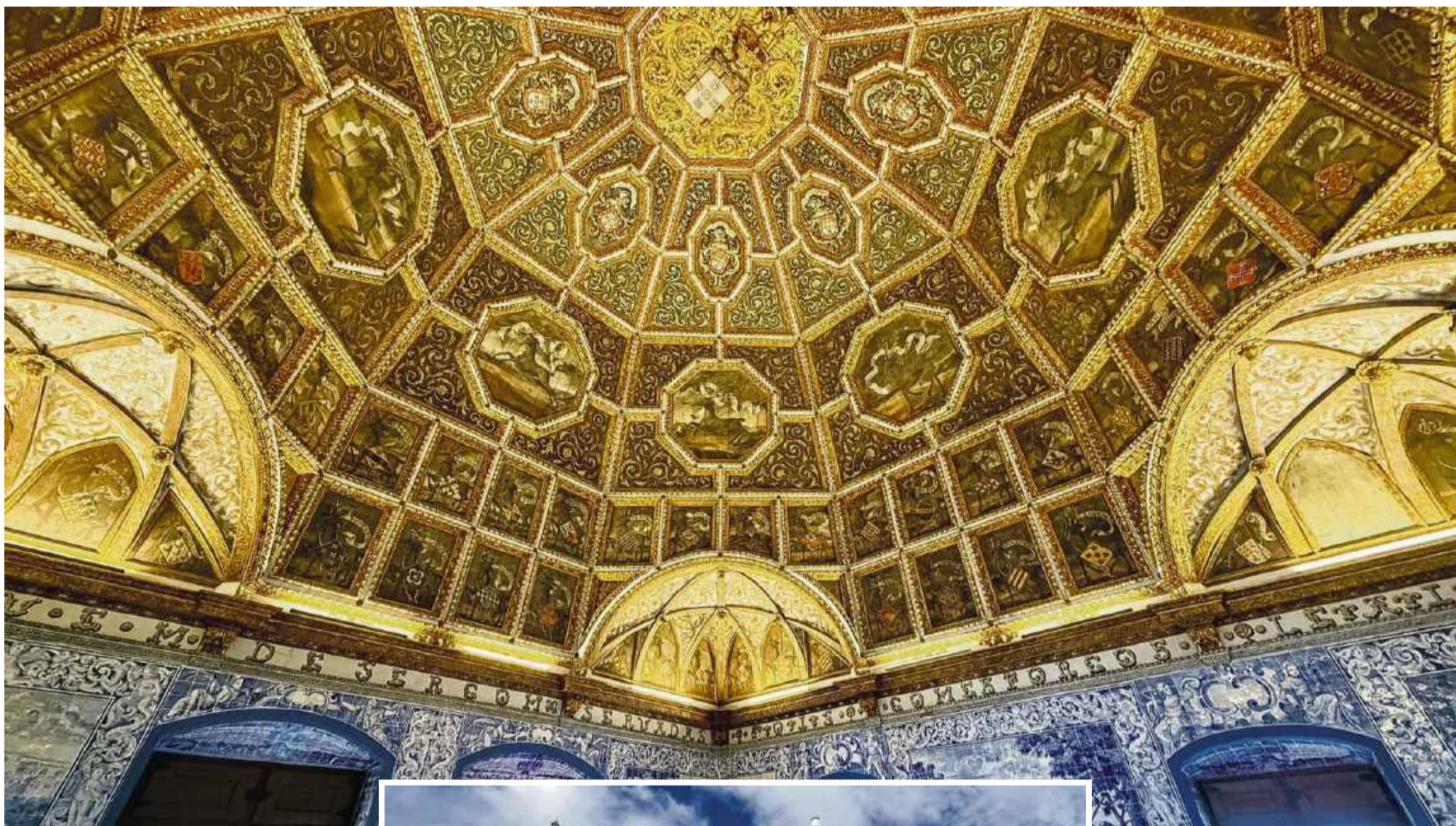
Najstarsza część budynku, czyli kaplica jest obecnie remontowana. Po zwiedzeniu wnętrz warto przejść się po ogrodach tarasowych (lub wrócić później – wstęp nie wymaga biletu).

Jedyna w swoim rodzaju

Do **Quinta da Regaleira** najlepiej wybrać się z rana lub na 2-3 godziny przed zamknięciem (ja wybrałam drugą opcję), żeby obejrzeć to szczególne miejsce w spokoju. Najłatwiej dostać się tam na piechotę z centrum miasta.

Nazwa posiadłości pochodzi od nazwiska jednej z pierwszych właścielek tej ziemi – wicehrabiny da Regaleira. W 1892 r. kupił ją Antonio Augusto Carvalho Monteiro (1848-1920), pochodzący z Brazylii biznesmen, prawnik i entomolog. Bardzo ciekawa postać.

Odkrył wiele gatunków roślin i owadów, zwłaszcza motyli, w Brazylii i Portugalii. Jego prywatna biblioteka liczyła ponad 30 tys. to-



mów, poświęconych głównie kulturze i historii Portugalii oraz przyrodzie Brazylii. Kolekcjonował też dzieła sztuki, instrumenty i dorobek Luísa Vaza de Camõesa, którego uważał za najwybitniejszego portugalskiego pisarza.

Ogromny majątek odziedziczył – rodzina Monteiro dorobiła się za oceanem na handlu kawą i kamieniami szlachetnymi. Był tak bogaty, że nazywano go Monteiro dos milhões (Monteiro milioner), ale umiał się dzielić – był też znany ze swej dobroczynności i hojności. Uważany jest za jedną z najbardziej wpływowych europejskich postaci końca XIX w.

Co bardzo istotne w kontekście Quinta da Regaleira, Monteiro był również ekscentrykiem i masonem z zamiłowaniem do ezoteryki i mistycyzmu. Chciał by jego posiadłość była wyjątkowa i tajemnicza jak jego zainteresowania.

Zatrudnił więc zdolnego włoskiego architekta Luigię Maniniego i razem stworzyli ten niezwykle czterohektarowy kompleks, na który składają się: pięciopiętrowy pałac i kaplica oraz park pełen tuneli, stawów, wiozyczek, fontann, wodospadów oraz mnóstwa enigmatycznych budowli. Wszędzie też są ukryte symbole związane z alchemią, masonerią, templariuszami i różokrzyżowcami.

Sekrety odwróconej wieży

W swoich projektach Manini nawiązywał do stylów rzymskiego, gotyckiego, renesansowego i manuelińskiego. Budowa trwała sześć lat i skończyła się w 1910 roku. Całość wygląda pięknie i trochę dziwnie. Zachwycają misterne zdobienia i rzeźby, mozaiki w pałacu, tajemnicze ścieżki, a przede wszystkim przyroda. Po tym parku można chodzić bez końca.

Najważniejszym punktem jest jednak Studnia Inicjacji (*Poço Inicial*) – to odwrócona wieża schodząca spiralnie 27 metrów pod ziemię. Jej 9 pięter ma symbolizować 9 kręgów piekła znanych z wizji Dantego.



Na samym dole widnieje kompas z krzyżem templariuszy. Dalsza droga prowadzi przez podziemne tunele i grotty.

Studnię wykorzystywano podobno w czasie ceremonii inicjacji nowych członków Loży Masońskiej. Schodzili oni po schodach z związanymi oczami, a potem musieli odnaleźć właściwą ścieżkę w korytarzach. Ciemność i dezorientacja, żeby na końcu odnaleźć światło i duchowe odrodzenie.

Po śmierci Monteiro posiadłość otrzymał jego syn, ale w 1942 r. sprzedał ją bogatemu właścicielowi ziemskiemu Waldemarowi d'Orey, który przez ponad 40 lat mieszkał tam ze swoją liczną rodziną. Był ostatnim prywatnym właścicielem Quinty. Potem kupił ją pewna japońska korporacja, ale przez lata nic się tam nie działo. Miasto Sintra odkupiło ją dopiero w 1997 r. i po roku renowacji udostępniło zwiedzającym.

Manini zaprojektował też grobowiec, w którym spoczął Monteiro na lizbońskim cmentarzu Prazeres. Wygląda jak masońska świątynia ozdobiona licznymi symbolami np. pszczoły – oznaczają pracowitość, z której znani byli człon-

◀ **Obelisk na Cabo da Roca – najdalej na zachód wysuniętym przylądkiem Starego Kontynentu. Na nim cytą z eposu „Luzjady” poety Luísa de Camõesa: „Tu, gdzie ląd się kończy, a morze zaczyna”**

▲ **Palacio Nacional de Sintra – imponujący biały budynek w środku miasta. Z tyłu fragment kominów dawnej kuchni królewskiej**

▲ **Sala Herbowa w Palacio de Sintra. Misternie rzeźbiony sufit z herbami szlacheckimi i fragment ścian z błękitno-białymi azulejos, na których są sceny z życia arystokracji**

kowie Loży, sowy odnoszą się do ich mądrości a maki oznaczają wieczny sen. Co ciekawe, grobowiec i pałac Quinta da Regaleira otwierał ten sam klucz.

Romantyczna ruina

Stojąc na murach **Castelo dos Mouros (Zamku Maurów)** od razu wiemy, czemu Maury zbudowali tu twierdzę. Najstarsza z tutejszych atrakcji stoi na wysokości ponad 400 m n.p.m. i widać z niej całą okolicę aż po ocean. I dla obrony, i dla kontroli szlaków handlowych – miejsce na zamek było idealne.

Maury wybudowali go w VIII w., stracili po odbiciu Lizbony w 1147 r. A właściwie oddali bez walki, kiedy otoczyły go wojska chrześcijańskie. W 1154 r. Alfons I Zdobywca w specjalnym dokumencie opiekę nad zamkiem powierzył 30 wybranym mieszkańcom Sintry. Mieli odtąd żyć za jego murami, co miało zagwarantować bezpieczeństwo i rozwój regionu.

Kolejni królowie przebudowywali zamek, ale stopniowo tracił on na znaczeniu, a mieszkańcy woleli położoną niżej Sintrę. W końcu korzystano już tylko z kaplicy. W 1755 r. Lizbonę na-

wiedziło trzęsienie ziemi, straty materialne były ogromne także tutaj. Budowla popadła w ruinę.

Jej los się jednak odmienił, kiedy w 1840 r. trafił tu Ferdynand II (król-małżonek królowej Marii II), pasjonat historii, sztuki i architektury. Zachwycił się widokiem, mauretańskie ruiny pasowały do jego romantycznej natury. Zlecił prace konserwatorskie. Nowy zamek miał być ozdobą wzgórza. Umocniono mury, naprawiono wieże, zalesiono przestrzeń dookoła i wytyczono nowe ścieżki.

Odnowiono też kaplicę, a wzdłuż południowego skrzydła zbudowano pomnik, w którym zebrano kości znalezione podczas remontu. Nie wiadomo, czy były to szczątki chrześcijan, czy Maurów, dlatego na grobowcu widnieje inskrypcja: „Co człowiek złączył, tylko Bóg może rozdzielić”.

W tej chwili idealnie wpisane w krajobraz mury ciągną się na długości 450 metrów. Widok rekompensuje trudy wspinaczki, chociaż nie polecam tej wyprawy przy gorszej pogodzie – nie tylko dlatego, że jest wysoko, ale po deszczu jest tu bardzo ślisko, a w wielu miejscach nie ma barierek.

Do zamku dojeżdża autobus z centrum, prowadzi też malowniczy, choć wymagający szlak Caminho de Santa Maria.

Nutka egzotyki

Kolejny na liście jest **Palacio de Monserrate (Pałac Monserrate)**, atrakcja oddalona nieco od innych. Jego historia zaczyna się w roku 1540, kiedy to brat Gaspar Preto kazał tu wybudować kaplicę ku czci Matki Boskiej z Monserrate. Ziemia należała wówczas do Szpitala Wszystkich Świętych, którego brat Gaspar był rektorem.

W XVII wieku ziemię otrzymał Caetano Mello e Castro, wicekról Indii i postanowił, że jego rodzina nigdy jej nie sprzeda. Spadkobiercy będą mogli tylko wydzierżawiać posiadłość. W 1789 r. zrobił to Gerard de Visme, kupiec na stałe mieszkający w Wielkiej Brytanii, który wybudował pierwszy neogotycki pałac i stworzył tu ogród. Po nim dobra przejął brytyjski arystokrata William Beckford. Zostawił je jednak w 1795 r. w oplakany stan.

Posiadłość nawet w lekkiej ruinie, zachwycała przyjezdnych. Opisał ją np. Lord Byron

Podcast „Poznajmy naszą Europę” o Portugalii

• Alicja Dąbrowska z „Wyborczej” rozmawia z Izą Klementowską, autorką książek m.in. o Portugalii i o Mozambiku, byłej portugalskiej kolonii. Jak dyktatura Antonia Salazara wpłynęła na współczesnych Portugalczyków? Jak Portugalia układała (i układa) swoje relacje z byłymi koloniami? Jaką rolę odgrywa dziś kościół katolicki i na czym polega fenomen Fatimy? I wreszcie – jacy są Portugalczycy? Co ich wyróżnia spośród innych nacji? Jak uczują i dlaczego tak ważne jest dla nich podziękowanie za jedzenie?



w jednym ze swoich poematów. To jak wygląda dzisiaj zawdzięczamy także Brytyjczykowi, sir Francisowi Cookowi, który w 1841 r. odwiedził Sintrę w czasie podróży poślubnej. Tak mu się Monserrate spodobała, że przez 10 lat próbował ją kupić. Gdy w końcu się udało od razu przystąpił do przebudowy.

Wykorzystując pierwotny układ architektoniczny wzniesiono pałac, który różnił się od wszystkiego, co istniało w ówczesnej Portugalii. Architekt James Thomas Knowles postawił na eklektyzm: wpływy gotyckie, indyjskie i mauretańskie, egzotyczne motywy roślinne. Dbal o detale jest niezwykła. Trudno oderwać wzrok od misternego wykończenia wnętrz. Wspaniały jest Pokój Muzyczny, ulubione miejsce Cooków, w którym przyjmowali goście. U podstawy spektakularnej kopuły znajdują się popiersia Apollina, muz i św. Cecylii (patronki muzyki).

Pałac otacza imponujący ogród botaniczny, w którym posadzono rośliny z całego świata, ale uporządkowane według obszarów geograficznych. Np. na rabatach meksykańskich znajdziemy agawy i juki, a w ogrodzie japońskim – kamelie, rododendrony i bambusy.

Po śmierci Cooka, posiadłość odziedziczył jego syn, a potem wnuk sir Herbert Cook. Jednak Wielki Kryzys z 1929 r. mocno nadwyrężył jego finanse i ostatecznie musiał wystawić spuściznę na sprzedaż. Kupiec znalazł się jednak dopiero po II wojnie światowej.

Meble i dzieła sztuki wyprzedano. Teraz spaceruje się po pustym pałacu, ale trwają poszukiwania tego cennego wyposażenia.

W tej chwili jest remontowana elewacja pałacu, ale wnętrza można zwiedzać bez problemu. Warto, bo panuje tu cisza i spokój. Większość turystów chyba pomija to miejsce.

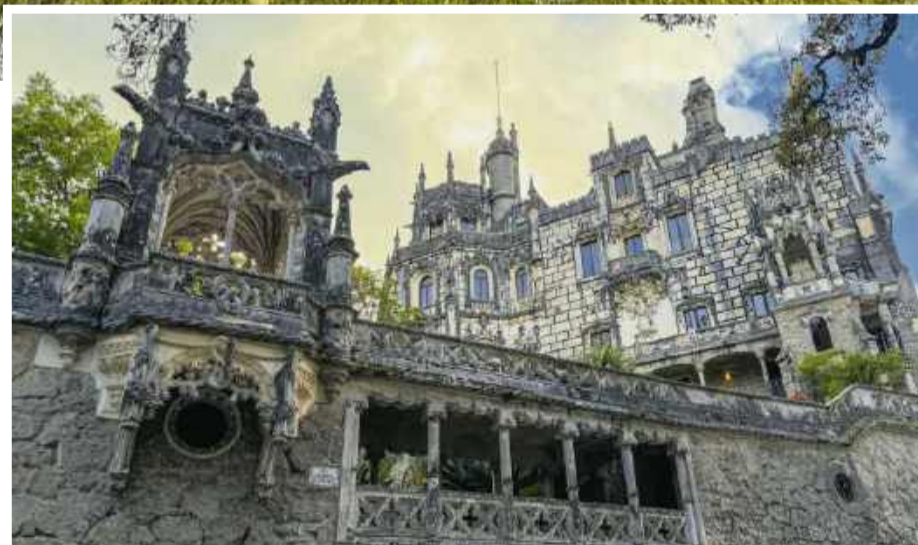
Fantazja króla Ferdynanda

Na koniec **Palacio Nacional da Pena (Pałac Narodowy Pena)**, najbardziej oblegany zabytek Sintry. Informacje o kolejkach i o tym, że wnętrza zwiedza się gęsiego wcale mnie nie zachęcały. I choć wybrałam się tutaj już późnym popołudniem, nadal były tłumy.

Pałac na wzgórzu, niedaleko Castelo dos Mouros, widać z daleka. Wszystko przez krzykliwe kolory jego fasady – połączenie żółtego, czerwonego i niebieskiego.

Na miejscu obecnego pałacu stał kiedyś klasztor kongregacji eremitów, wybudowany na polecenie króla Manuela I w 1503 r. Przez lata Pena była skromnym zgromadzeniem dla 18 mnichów. W XVIII wieku najpierw trzęsienie ziemi, a potem uderzenia piorunów zniszczyły budynki. Została tylko kaplica, reszta marniała, zwłaszcza po kasacji zakonu w 1835 r. i wyprowadzce mnichów.

I znowu na scenie pojawia się Ferdynand II, który postanowił ruiny zamienić w letnią rezydencję. Prace trwały od 1842 do 1854 roku. Pałac Pena to kolejna eklektyczna budowla (styl neogotycki, neomanueliński i neorenesansowy), charakterystyczna dla epoki romantyzmu. Wygląda bardzo fantazyjnie – wykorzystano dawny klasztor, ale dodano



bogatą ornamentykę, wieżyczki, łuki, tarasy, płaskorzeźby i krużganki. Ogarnięcie całości wymaga od zwiedzającego jednak dłuższej chwili.

Udostępnione do oglądania wnętrza są idealnie zachowane i sprawiają wrażenie jakby ktoś nadal tu mieszkał.

Tryton trzyma okno

Chociaż za projekt odpowiadał baron Wilhelm von Eschwege (mineralog i inżynier), król miał swoje pomysły. Pałac i park były jego oczkiem w głowie – często pojawiał się na budowie, zamawiał witraże, kupował nasiona egzotycznych roślin. To z jego inicjatywy powstał nieco

przeróżający *Pórtico do Tritão* (Portyk Trytona nad głównym wejściem).

Tryton – pół człowiek, pół ryba – podobnie jak brama dzieli świat na wodny i lądowy.

Pierwszy znajduje się na niższym poziomie: neogotycki łuk zdobią koralowce podtrzymujące trzy muszle, na jednej siedzi stwór.

Powyżej przechodzimy do świata lądowego: widzimy drzewo wyrastające z głowy Trytona, osadzone w winorośli oplatającej całe wystające okno, które podtrzymuje postać.

Na spacer po parku należy zarezerwować kilka godzin – jest ogromny (200 hektarów) i bardzo ciekawy. Można zwiedzać z mapą, by nie przegapić żadnej z atrakcji. Można też zgu-

Praktyczne rady

• Do odwiedzenia Sintry zachęcam każdego, sama też będę tam wracać. Oto kilka wskazówek, żeby uniknąć stresu:

1. Bilety do atrakcji trzeba kupić przez internet, żeby nie stać w kolejkach. Do najbardziej popularnych: Palacio da Pena i Quinta da Regaleira – wchodzi się na konkretną godzinę (warto kupić z dużym wyprzedzeniem, by móc wybrać godziny bliżej otwarcia/zamknięcia). Do reszty obiektów – na wybrany dzień.
2. Ceny biletów: 12-20 euro. Jeśli kupimy więcej niż jeden – będzie mała zniżka.
3. Po Sintrze i jej atrakcjach najlepiej poruszać się autobusami (ok. 10 euro kosztuje bilet całonocowy). Dobrą opcją jest też Uber – zaskakująco tani w całej Portugalii. Można też wskoczyć do tuk-tuka, ale tylko licząc się z tym, że przepłacamy. Poruszanie się własnym autem to strata czasu.
4. Ruch w porze lunchowo-obiadowej jest duży, trzeba zawsze mieć bufor czasowy na dojazdy. Większość ulic jest jednokierunkowa, nawet Uber nie ucieknie z korków.
5. W niedzielę wszyscy Portugalczycy mają wstęp wolny do zabytków. Spodziewajcie się większego ruchu.

◀ **Quinta da Regaleira i jej Poço Inicial (Studnia inicjacji) – wieża schodząca spiralnie 27 metrów pod ziemię. Ma 9 pięter, jak 9 kręgów piekła które opisał Dante**

▶ **Quinta da Regaleira to symboliczny „teatr idei”. W kompleksie ukryto odniesienia m.in. do masonerii, templariuszy i mistyki. Dlatego bywa nazywany „najbardziej tajemniczym pałacem Portugalii”**

bic się na krętych ścieżkach i zdać na przypadek. Tak czy siak, będzie super. Ferdynand II, zapalony kolekcjoner, posadził w parku gatunki drzew ze wszystkich kontynentów. Zaprotektował też punkty widokowe, egzotyczne gaje i pawilony.

Na szczególną uwagę zasługuje Chalet hrabiny Edli – dwupiętrowa budowla inspirowana stylem alpejskim wybudowana dla drugiej żony Ferdynanda, śpiewaczki operowej, Elise Hensler.

Koniec Europy

Chociaż ta ilość pałaców i imponujących ogrodów może przytłoczyć, to tylko główne zabytki Sintry. Miejsc do odwiedzenia jest tu więcej. I tak, część z nich to kolejne pałace.

Należą do nich:

- **Palácio Biester** (prywatny pałac z freskami w stylu Art Nouveau)
- **Villa Sassetti** (XIX-wieczna rezydencja)
- **Convento dos Capuchos** (zabytkowy Klasztor Kapucynów)

– **Palácio Nacional de Queluz** (pochodzący z XVIII wieku pałac królewski nazywany „portugalskim Wersalem”)

Koniecznym jednak trzeba zobaczyć jeszcze jedno miejsce – **Cabo da Roca**, czyli najdalej wysunięty na zachód punkt Europy. Malowniczy przylądek leży na 144-metrowych klifach opadających do oceanu.

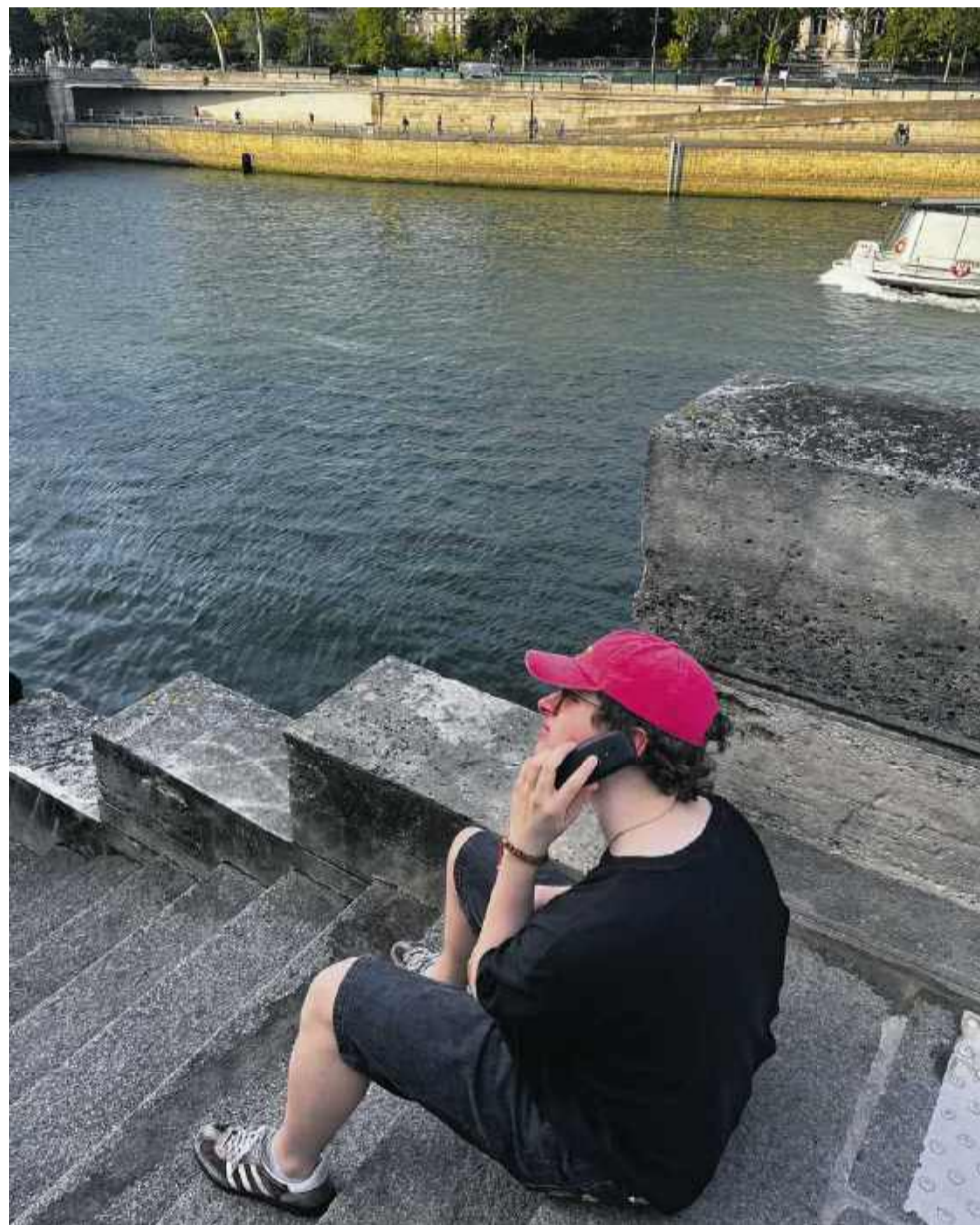
Znajduje się tu latarnia morska z XIX w. i obelisk z cytatem z eposu „Luzjady” portugalskiego poety Luísa de Camõesa: *Aqui, onde a terra se acaba e o mar começa* („Tu, gdzie ląd się kończy, a morze zaczyna”). Niedaleko jest też piękna dzika plaża (Praia da Urça).

Nie muszę dodawać, że najlepiej przyjechać tu przed wieczorem – zachód słońca na końcu Europy robi wrażenie. ●

ADIEU, SMARTFONIE!

**Niedogodności zaczęły się jeszcze w Polsce.
Pozbawiony smartfona nie mogłem skorzystać z Ubera,
więc po raz pierwszy od dawna zamówiłem taksówkę.**

Franciszek Badziak



• Paryż 2026 z nokią. Autor tekstu na bulwarze nad Sekwaną FOT. Z ARCHIWUM FRANCISZKA BADZIAKA

Skanowanie Nokii nie miało sensu. Z pomocą przyszedł schowany telefon Mileny, która nie odważyła się zostawić go w Warszawie

nie dowiedziałem. Sprzedawca w Tabac, czyli miejscowej trafice, na pytanie o mapę – zadane zarówno po angielsku, jak i francusku – zrobił wielkie oczy, po czym potrząsnął głową, jakby moje życzenie było mocno niestosowne.

Wreszcie się udało. Mapa miała rozmiar kartki A6 i dobre 30 stron, z których na każdej znajdował się wybrany fragment Paryża ułożony według klucza znanego tylko autorowi. Cena? 12 euro. I tu znów zaczęły się schody. Mając codziennie do dyspozycji aplikację

bankową w telefonie i dobrą ofertę przelewów wewnętrznych, doraźnie przenoszę potrzebne środki na kartę. Tego rodzaju operacja była w mojej sytuacji możliwa jedynie po wyciągnięciu laptopa i znalezieniu bezpiecznego wi-fi, z czego zdążyłem sobie sprawę, przykładając chip karty do terminala.

Od tego momentu zacząłem skrzętnie zapisywać wydatki.

Rower za cenę złota

Z nieocenioną pomocą papierowej mapy udało nam się ostatecznie odnaleźć mieszkanie, z laptopa odczytaliśmy pobraną instrukcję zameldowania i weszliśmy. Na ścianie przy drzwiach wisiał kod QR, którego zeskanowanie umożliwiło poznanie szczegółów pobytu – hasła do wi-fi, ciszy nocnej i innych ważnych informacji...

Skanowanie Nokii nie miało sensu. Z pomocą przyszedł dotychczas schowany telefon Mileny, która także zdecydowała się ograniczyć użytkowanie smartfona, ale nie odważyła się zostawić go w Warszawie. Mieliliśmy już wi-

ak większość osób, nie tylko moich rówieśników, korzystam ze smartfona za często i zbyt długo. A przynajmniej więcej, niżbym chciał. Nieco pomogło mi usunięcie z telefonu serwisów społecznościowych – przecież na niektóre platformy mogę wejść przez przeglądarkę – ale wciąż znacznie łatwiej jest rzucić palenie niż smartfona.

Postanowiłem sprawdzić, czy da się spędzić majówkę, nie używając smartfona. Detoks zaordynowałem sobie podczas wypadu do Paryża. Z jednej strony to spore utrudnienie, ale z drugiej – myślałem – miasto znam na tyle, że powinienem odnaleźć się nawet bez mapy, nie jechałem też sam, ale z moją dziewczyną Mileną; wziąłem ze sobą jedynie starą Nokię, której używałem przed laty. Byłem przekonany, że bez trudu dam sobie radę.

Tym bardziej że zdecydowałem się wziąć ze sobą laptopa. Wyboru zresztą nie było. Tanie linie lotnicze, których byłem klientem, jasno komunikują, że jeśli chce się dokonać boardingu z wyprzedzeniem większym niż jeden dzień, to trzeba ekstra zapłacić. Jak ognia unikam tego rodzaju mikropłatności, a więc całkowita cyfrowa detoksykacja nie wchodziła w grę.

Gimnastyka lotniskowa

Niedogodności zaczęły się jeszcze w Polsce. Pozbawiony smartfona nie mogłem skorzystać z Ubera, więc po raz pierwszy od dawna zamówiłem taksówkę. Za przejazd Uberem z centrum na lotnisko zapłaciłbym o tej godzinie góra 40 zł. Taksówkarz zażyczył sobie 70 zł. Jednak podążając za radą starych podróżników, by nie przeliczać ciągle euro na złotówki, postanowiłem i tu nie przeliczać taksówek na Ubera.

Kolejnym progimem zwalnającym na mojej drodze okazały się bramki na lotnisku. By mieć bilet umożliwiający jej otwarcie, jeszcze w domu zawnazowałem jego zdjęcie swoją Nokią. Ku mojemu niewielkiemu zaskoczeniu, a ogromnemu zdumieniu pracownika Służby Ochrony Lotniska bramka uparcie nie chciała sczytać biletu.

Poddałem się chyba po dziesiątej próbie. Wyjąłem laptop i zeskanowałem PDF z biletem. Z otwartym laptopem w jednej ręce i torbą na ramieniu drugiej, popychając jeszcze walizkę nogą, przekuśtykałem przez bramkę aż do prześwietlenia, a podobną operację musiałem przeprowadzić przed wejściem do rękawa lotniczego.

Przed wejściem na pokład postanowiłem zaopatrzyć się w sklepie w gazetę (skoro nie miałem smartfona), gumę do żucia i wodę.

– Boarding pass poproszę – rzucił kasjer.

Wyszukałem więc w jeszcze skromnej galerii zdjęć to odpowiednie, pokazałem kod kreskowy, a ekspedient spróbował go zeskanować. Kiwnęliśmy do siebie porozumiewawczo, kiedy to nie zadziałało, po czym on, przyglądając się zdjęciu z takiej odległości, że na spokojnie mógł zacząć liczyć piksele, wyczytał numer biletu.

Królestwo za mapę

Sam przelot problemów nie przysporzył – za to niecodziennego doznania tak, bowiem po raz pierwszy od dawna w podróży wyłącznie czytałem – gazetę i książkę. Nie miałem rozpraszaczy w postaci różnych funkcji telefonu.

Po wylądowaniu także dotarcie do centrum miasta okazało się proste. Wiedząc, że wynajęte mieszkanie znajduje się gdzieś w okolicy dzielnicy Le Marais, wsiedliśmy pod lotniskiem w metro linii 14. Łatwiej jednak było dostać się w okolice mieszkania, niż do niego wejść. Potrzebna była dokładniejsza mapa, której poszukiwania rozpocząłem, wyszedłszy ze stacji. Myślałem, że mapy znajdę w każdym kiosku, ale nic bardziej mylnego.

W pierwszym sprzedawcy zagadnięty o mapę odparł, że znajdzie ją na ścianach stacji metra, z której właśnie wyszedłem. Jak miałbym ją zdjąć i schować do kieszeni – już się

-fi, a więc i możliwość korzystania z banku za pośrednictwem laptopa. Przeląłem dostateczne środki i ruszyliśmy zwiedzać.

Na spacerze co jakiś czas sprawdzałem swój telefon. Czekaliśmy na przybycie reszty naszej wycieczki, która miała wieczorem dolecieć późniejszym samolotem, a mieliśmy tylko jeden klucz do mieszkania. Tymczasem wieczór się zbliżał, wycieczka powinna już być we Francji, a telefon milczał. Postanowiliśmy sprawdzić, o co chodzi. Milena zadzwoniła na mój numer, ale każda próba kończyła się potęgą głosową. Do dzisiaj nie wiem, co się w niej zepsuło – być może nic, bo potem telefon działał, ale tak wolno, że od momentu wybrania numeru w smartfonie do jego reakcji mijaly dobre dwie minuty.

Podczas moich wcześniejszych wojaży po Paryżu często korzystałem z rowerów publicznych. Wynajęcie takowego odbywa się za pomocą aplikacji, ale byłem pewien, że da się to zrobić analogowo. Owszem, przy niektórych stacjach tak jest, i to w korzystnej cenie 10 euro za trzy dni! Szokował w tym, że bez aplikacji za każdy wypożyczony rower naliczana jest kaucja w wysokości... 300 euro.

Brak smartfona dawał o sobie znać także w restauracjach, gdzie często menu dostępne było przez kod QR. Bez Google Maps byłem jak dziecko we mgle, często nie wiedziałem właściwie, gdzie jestem, nie miałem dostępu do zapisanych w mapach miejsc, które chciałem odwiedzić. Musiałem zdać się na innych, bo niemal nie korzystałem już papierowej mapy i naniesionych w niej notatek. Mogłem zrobić maksymalnie 30 zdjęć, bo w telefonie nie miałem karty pamięci, więc właściwie jakiegokolwiek uwiecznianie przygody było niemożliwe.

Skupiony jak turysta

Po stronie plusów trzeba za to zapisać odczucie. Nie miałem smartfona, mogłem więc podziwiać świat niezamącony światłem ekranu. Zaprocentowało to choćby podczas zwiedzania muzeów. Na przykład paryskie muzeum kanałów, którego ekspozycję ogląda się dosłownie na kratkach ponad płynącymi paryskimi ściekami. Spędziłem ponad godzinę, podczas których z telefonem w ręku z pewnością nie przeczytałbym każdej tablicy opisującej skomplikowany proces zbierania i oczyszczania paryskich pomyj, nie skorzystał z przewodnika, tylko pewnie zajął się robieniem dziesiątek zdjęć. Od tych i innych bodźców byłem wolny – zostałem więc ja i ścieki.

Podobnie było na wystawie Caldera w Fundacji Louis Vuitton. Czytałem każdy informator i analizowałem dokładnie każdą rzeźbę. Brak telefonu pozwalał mi lepiej je poznać. Bez wyrzutów, że smartfon zajmuje mnie bardziej niż zwiedzanie.

Mimo to nie czułem się w pełni turystą. Daleko mi też było do miejscowego, więc nie do końca potrafiłem się odnaleźć. Paryskie doświadczenie nauczyło mnie, że posiadanie smartfona nie jest już moim wyborem, ale systemowo narzuconą koniecznością. Tak, da się podróżować bez niego, ale jest to bardzo niewygodne, ograniczające i wykluczające – bo nie pozwala na wiele doświadczeń. Po prostu codzienne używanie telefonu stało się wymogiem do sprawnego funkcjonowania w dzisiejszym społeczeństwie.

By mieć komfort bezsmartfonowego podróżowania, trzeba byłoby wydrukować wcześniej wszystkie bilety samolotowe i wejściówki do muzeów, pieczołowicie zaplanować każdy dzień, dokładnie wytyczyć na mapie wszystkie warte odwiedzenia miejsca, wypisać numery telefonów do restauracji, nie rozstawać się z przewodnikiem książkowym, aparatem cyfrowym, zegarkiem na rękę, gotówką...

W tym scenariuszu tak obudzony sprzętem bardziej niż zagubienia mógłbym obawiać się obrabowania. A i tak nie mam pewności, że złodziejczek, zabierając mi Nokię, nie dałby mi w nos za coś, co może mu się wydać głupim żartem. ●



Ostrzegal:
– Za frazeologią
i rekwizytornią
miłą Polakowi
czają się często
cyniczni socjotechnicy.
Patrzą, czy ryba bierze:
na ułańskie czako,
na husarskie skrzydło,
na powstańczą panterkę

Jarosław Kurski

*Nieźródlnane
nauki
Jana Józefa*

FOT. PAP/ TOMASZ MICHALAK

Pamięci Jana Józefa Lipskiego,
na stulecie urodzin

Antoni Slonimski, „Dwie ojczyzny”
W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą,
Dla zwyciężonych – wzgarda i ślina,
Gdy ich na rzeź prowadzą.

W twojej ojczyźnie, gdyś holdy składał –
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,
To krwią zbroczony.

W twojej ojczyźnie do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety –
Tom w etażerze.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?

Styczeń 1938

ie bez powodu, pisząc o eseju Jana Józefa Lipskiego (1926-91), zaczynam wierszem Antoniego Slonimskiego. Nawiązanie oczywiste. Słowa „Uwagi o megalomanii narodo-wej i ksenofobii Polaków” poprzedza u Lipskiego właśnie ów zapożyczony od skamandryty tytuł „Dwie ojczyzny”, dopełniony słowami „dwa patriotyzmy”, bo w istocie o kształt patriotyzmu tu chodzi.

Po opublikowaniu tego wiersza skrajna prawica zawyla, bo „żydowski” poeta nie będzie nas, Polaków, uczył patriotyzmu. Jednak tym razem werbalne ataki w rodzaju: „Wiersz Slonimskiego jest obelgą rzuconą w twarz Narodowi Polskiemu” przerodziły się w atak fizyczny.

Zygmunt Iphorski-Lenkiewicz, autor powyższego cytatu, zadzwonił do Slonimskiego do domu i w przytulnych słowach przedstawił się jako początkujący poeta, który chciałby mistrzowi pokazać swoje wiersze. Slonimski poprosił, by Iphorski przyszedł do Ziemiańskiej i dosiadł się do jego stolika.

Podstęp się udał. Tak oto pałkarz zyskał bezpośredni dostęp do Slonimskiego, którego spoliczkował, krzyżąc: „A masz za »Dwie ojczyzny«”. Poeta zasłonił się krzesłem. Drugiego ciosu nie było. Postawni, zaprawieni w bojach PPS-u kelnerzy Ziemiańskiej wynieśli Iphorskiego z lokalu.

Można powiedzieć: cóż, taki koloryt II RP. Ale można też powiedzieć, że wiersz Slonimskiego ujawnił zasadniczy spór o słowo „ojczyzna”, a raczej o to, co ono oznacza i dla kogo.

Już niebawem Iphorski skończy jako zdrajca zastrzelony z wyroku Armii Krajowej za współpracę z Gestapo. Slonimski zostanie wygnanym uchodźcą przed nazizmem, wraz z innym skamandrytą Julianem Tuwimem, do Rumunii i dalej na Zachód. Obaj wrócili do Polski, do swojej ojczyzny, jeden wcześniej, drugi później, ale spór o dwie ojczyzny i dwa patriotyzmy był, jest i obawiam się – na długo z nami pozostanie.

O Dekalogu zapomnieli

Można oczywiście o tym dyskutować, ale dla mnie „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy” Jana Józefa Lipskiego (setna rocz-

nica jego urodzin przypada 25 maja) to najważniejszy tekst polskiej publicystyki w XX wieku. To tekst programowy, w którym Lipski wyklada istotę patriotyzmu już w drugim zdaniu, a potem jedynie tę istotę rozwija i uzasadnia.

To, co proponuje Lipski, zawsze w Polsce było na czasie, ale dziś – w obliczu odradzającego się faszyzmu, bezkrytycznej idolatrii własnego narodu i fałszywego przekonania, że nasz naród jest największym męczennikiem spośród narodów; w dobie bezzasadnego wywyższania go ponad inne, w szczególności sąsiedzkie; w czasie pelzającego antysemityzmu i eksplozji ukrainofobii – tekst Lipskiego wręcz pali aktualnością.

Jak brzmi zatem zdanie, które jest przewrotem kopernikańskim w rozumieniu patriotyzmu? Lipski pisze, że to „od stosunku do »obcych«, bardziej niż od stosunku do »swoich«, kształt patriotyzmu zależy.

To zdanie stoi w jaskrawej opozycji do wartości reprezentowanych przez ojców polskiego nacjonalizmu: Zygmunta Balickiego, Jana Ludwika Popławskiego i Romana Dmowskiego, w opozycji do idei egoizmu narodowego, gdzie już tylko krok do szowinizmu i ksenofobii oraz idei darwinizmu w stosunkach między-narodowych, która dziś za sprawą Putina i Trumpa odradza się i święci triumfy.

Lipski uważa, że „szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego, co obce, egoizm narodowy nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego”. Patriotyzm natomiast daje się pogodzić.

Dla Lipskiego chrześcijaństwo ustanawia kodeks etyczny, który aplikować trzeba nie tylko w relacji do swoich, ale także wobec innych narodów. To deklaracja człowieka, który sam wywodził się z tradycji laickiej, ale poważnie traktował nakazy moralne wynikające z zasad Dekalogu. Lipski jest więc rzadkim przykładem „laickiego świętego” oraz jedności myśli, mowy i uczynków.

Dmowski tymczasem, choć pochodził z religijnej rodziny, już w młodości jako biolog i przekonany darwinista stał się najpewniej niewierzący, a z całą pewnością niepraktykujący. (Zmieniło się to dopiero pod sam koniec jego życia). Z całą pewnością mniej niż Jana Józefa Lipskiego obchodziły go chrześcijańskie nakazy etyczne w życiu publicznym i politycznym. Afirmował natomiast Kościół katolicki i wiarę katolicką jako nieodłączny element polskości, a wręcz jej istotę.

Nietrudno dostrzec tu pokrewieństwo z poglądami Charles’a Maurrasa, francuskiego nacjonalisty przełomu XIX i XX wieku, twórcy Action Française, który mimo że był ateistą, wierzył nie w Boga, ale we francuski Kościół katolicki. Był on dla niego ważniejszy od Boga. W Kościele właśnie widział instytucję spajającą naród, stabilną, hierarchiczną i jednoczącą. To był katolicyzm polityczny, katolicyzm Kościoła, a nie Dekalogu.

Silny naród prawdy się nie boi

Winien tu jestem czytelnikowi wyznanie, dlaczego podjąłem się napisania wstępu do nowego wydania „Dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów” Lipskiego. Powody są osobiste.

W młodych latach należałem do grupy zbuntowanej, antykomunistycznej młodzieży skupionej w Gdańsku w Ruchu Młodej Polski. Zaczytywaliśmy się wówczas w pismach politycznych Dmowskiego i identyfikowaliśmy z nimi.

Wzorem naszego patrona nasze rozumowanie – w uproszczeniu – było mniej więcej takie: zgniły moralnie komunizm w PRL-owskim wydaniu deprawuje i niszczy tkankę narodu polskiego.

Najlepszą odpowiedzią na tę opresję jest obrona Kościoła, wiary katolickiej, rodziny i narodu rozumianego jako byt historyczny, to znaczy naród jednolity etnicznie, wyznaniowo, powiązany wspólną tradycją.

W sytuacji fundamentalnego zagrożenia musimy się kierować zdrowym egoizmem narodowym i tym, co nazywamy ordo caritatis, czyli porządkiem miłosierdzia, co – jak widzę dziś – jest konceptem dość pogańskim. A więc najpierw Polska i Polacy, krzyż i Kościół, własne państwo i rodzina, a potem inni... jeśli starczy sił i czasu. Na ogół sił nie starczy, a słabsze narody muszą sobie dawać radę same.

I choć Lipski napisał swój tekst w 1981 r., to przeczytałem go ze zrozumieniem dopiero w latach 90. Wywarł na mnie piorunujące wrażenie, zmusił do refleksji nad wyborami młodości, przededefiniował poglądy. Nie chcę się nad tym rozwodzić. Opisałem to w książce „Dziady i dybuki”.

Dość powiedzieć, że lektura Lipskiego wyrwała mnie z sienkiewiczowsko-grottgerowskiego patriotyzmu, wyleczyła z megalomańskiego poczucia, że Polacy są bardziej cierpiącym i dlatego w jakimś sensie lepszym narodem niż inne – Niemcy, Czesi, Rosjanie, Ukraińcy itd.

To obraz, który nosiłem w sobie od wczesnej młodości, a utrwalały go lektury Mickiewiczowskich „Dziadów” i mesjanizm, który, o paradoksie!, promowały do spółki PRL-owska szkoła i katolicki Kościół, i co akurat przyjmowaliśmy bez zastrzeżeń.

Zamiast więc bezmyślnej miłości do wszystkiego, co polskie, Lipski zaproponował inny, o wiele trudniejszy, bardziej moralnie wymagający model patriotyzmu. Patriotyzm krytyczny, który populistyczna prawica ochrzciła wspólnie „pedagogiką wstydu”.

Lipski każdą bolesną prawdę, każdą rozdrapaną ranę uważa za akt dojrzałego patriotyzmu, za rodzaj przyznania się do odpowiedzialności i własnych grzechów w imię moralnego zdrowia narodu.

Kiedyś „narodowi komuniści”, a dziś rodzimi nacjonaliści – przeciwnie. Uważają to za akt zdrady, osłabiania moralnego, lżenia i poniżania. Wybierają wyparcie i atak na posłańców złych wiadomości, w tym wypadku krytycznych historyków, którzy pracują w osamotnieniu i podlegają miażdżącej presji większości, a niekiedy i własnego państwa. To w szczególności dotyczy polskich historyków Holocaustu, którzy badają zaniechania Polaków, przyczynienie się do Zagłady lub współudział w niej.

Otóż tylko naród słaby i wątpli moralnie przewraca się pod wpływem bolesnej prawdy o sobie. Patriotyzm krytyczny jest więc patriotyzmem odwagi.

W tekście z 1985 r. „Moralność a patriotyzm” Lipski pisał wprost, że „sama przynależność do narodu jest faktem obojętnym moralnie. Bycie Polakiem nie jest żadną kwalifikacją moralną. Nie jest lepiej moralnie być Polakiem niż Niemcem – ani odwrotnie. Przynależność do narodu pociąga natomiast za sobą zobowiązania moralne. Jest to zobowiązanie do solidarności zbiorowej”.

Zaproponował ojczyznę inkluzyjną dla innych narodowości, dla różnych grup etnicznych i różnych wyznań. Zaproponował krytyczną refleksję historyczną, pamięć o tym, że nie tylko sami byliśmy ofiarami, ale też innym narodom wyrządzaliśmy krzywdy: Żydom, Niemcom, Ukraińcom czy Białorusinom.

Lipski uważa nieustannie rozliczenia z własnymi dziejami za nieodłączny składnik tego, co wzniosłe nazywamy „miłością do ojczyzny”. Tych słów od niego jednak nie usłyszymy, bo jak pisał Jan

Kasprowicz, którego twórczość zawodowo badał:

*Rzadko na moich wargach
Niech dziś to wargę ma wyzna
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.
Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.
Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.*

Pod tym względem od czasów Kasprowicza nic się nie zmieniło.

Swoją stusnek do ojczyzny Lipski zaświadczał czynami, które i tak nie uchroniły go od zarzutów, że nie dość ją kocha, że lży ją i poniża, i sprzedaje Niemcom...

Odporny na komunizm

Jako harcerz Szarych Szeregów uczestniczył w małym sabotażu w ramach akcji „Wawer”. Jako 17-latek przeszedł do batalionu AK „Baszta”. W powstaniu warszawskim walczył na Mokotowie. Brał udział w licznych akcjach bojowych. Odpierał atak czołgu na ul. Stachewicza, uczestniczył w natarciu na Królikarnię. Nigdy nie popadał w powstańczą tromtadrację. Nie celebrował bohaterstwa. W rozmowie z Jackiem Trznadłem wyznał rzecz zaskakującą:

„Najbardziej sobie cenię akcję, nie boją, tylko ewakuację szpitala Elżbietanek. Wynika to być może z mojego charakteru - bardziej mi odpowiada ratowanie ludzi niż strzelanie czy rzucanie granatami”.

Ewakuacja bombardowanego i płonącego szpitala odbyła się 29 sierpnia 1944 r.:

„Trzeba było z noszami najpierw wskakiwać w ten dosłownie gotujący się teren, na którym bez przerwy prawie wybuchały pociski, a grupy ewakuacyjne były ostrzeliwane przez samoloty z broni pokładowej. Wskakiwało się z noszami do piwnicy, gdzie znoszono rannych. Ładowało rannego na nosze, no i trzeba było jakoś wyczekać tę chwilę, kiedy było już po salwie i kiedy pociski już wybuchły, wyskoczyć z noszami jak najszybciej i przebiec w rejon bezpieczniejszy.

Niestety, było dużo rannych i dużo zabitych (...). A to, co widziałem, były to rzeczy czasami okropne, szczególnie ludzie palący się przy wybuchu pocisków wypełnionych płynem samozapalającym. Widok takich płonących pochodni zawsze jest najbardziej deprymujący ze wszystkiego, co można sobie wyobrazić”.

Granat strzaskał mu lewą rękę, co spowodowało trwale inwalidztwo.

Za bohaterstwo w walce został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po upadku Mokotowa usiłował się przedostać kanałami do Śródmieścia. Wyszedł z grupą powstańców przy ul. Belgijkiej, tam dostał się do niewoli. Uciekł z transportu do obozu w Pruszkowie.

Mówił Trznadłowi, że po wojnie w gronie przyjaciół postanowili, że „po tym wielkim przelewie krwi i po tym strasliwym zniszczeniu właściwie tego narodu nie stać już na nic więcej, jak na to, żeby próbować odbudować swoje życie. W związku z tym nie włączmy się do konspiracji. Kto ma zawód, ten niech się bierze do pracy, kto dopiero ten zawód ma zdobywać, niech idzie do szkoły lub na studia”.

To postanowienie raz tylko się zachwiało. 7 stycznia 1949 r. podczas brutalnego śledztwa UB zamordowało Jana Rodowicza „Anodę” – legendę batalionu „Zośka”. Lipski zastanawiał się wówczas, czy aby ich, akowców, miejsce nie jest teraz w lesie.

Jacek Trznadel, autor zbioru rozmów z pisarzami pod tytułem „Hańba domo-

• Tekst to wstęp do nowego wydania eseju Jana Józefa Lipskiego „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków”, Biblioteka Instytutu Europy Środkowej, Lublin 2026.



• Bibliotekarze mogą zamać książkę w wersji papierowej drogą mailową, kontaktując się bezpośrednio z Instytutem: wydawnictwo@ies.lublin.pl.

• Publikacja dostępna jest również w wersji elektronicznej na stronie <https://ies.lublin.pl>.

• Cytowane artykuły i książki: Wyborcza.pl/magazyn



Lipski: - Szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego

wa”, próbował dojść przyczyn uwikłania czołówki polskich pisarzy w stalinizm. Lipski do nich nie należał. Przeciwnie, przez dziesięciolecia był inwigilowany i na cenzurowanym. Tym łatwiej byłoby mu wydawać sądy, potępiać i szafować moralnymi ocenami, na które liczył Trznadel. Był przecież z tradycji przedwojennego PPS-u - partii niepodległościowej i antykomunistycznej.

A jednak tego nie zrobił. Uwiedzenie komunizmem uważał za rodzaj zatrucia moralnego, za infekcję wirusem. Mówił: „amok”. Sam nigdy moralnej busoli nie utracił. Koledze z AK, który w latach 50. próbował racjonalizować sowiecki mord na polskich oficerach w Katyniu, odpowiedział: „Jurku, to tak można ludziom związanym drutem kolczastym po kolei strzelać w tył głowy, bezbronny ludzkości, to tak można?! Jurek wtedy zbladł i powiedział: nie, nie można”.

Cisi i gęgacze

Lipski uważał powstanie warszawskie za absurd, ale wziął w nim udział. Pamięć o daremnie przelanej krwi towarzyszyła mu do końca życia. W działalności opozycyjnej nie chciał więc przekroczyć granicy, poza którą sprawy mogłyby się skończyć podobną tragedią. Jednak - co za paradoks - uczestniczył w każdej niemal opozycyjnej wobec PRL-u „awanturze”, począwszy od Klubu Krzywego Koła, którego był współzałożycielem, przez Październik '56, „Po prostu”, liczne listy protestacyjne, na przykład List 34 przeciw cenzurze, Marzec '68, KOR, Latający Uniwersytet, „Solidarność”, strajk w stanie wojennym w zakładach Ursus, na Okrągłym Stole skończywszy.

Uważał, że należy na władzę wywieść nieustającą presję społeczną i szukać luk. Budować niezależne, demokratyczne organizacje. Gdzie się dało, tam próbował pozytywnie poszerzać granice wolności. Pracował w Państwowym Instytucie Wydawniczym i Instytucie Ba-

dań Literackich. Tam zainicjował pierwsze powojenne wydanie dzieł Gombrowicza i Witkacego.

Przez kilkadziesiąt lat podlegał ubeckiej inwigilacji. To były nieustanne przeszukania, które odzierały życie rodzinne z prywatności, podsłuchy, zatrzymania na 48 godzin, wyrzucanie z pracy i areszty. W stanie wojennym w poczuciu solidarności ze współoskarżonymi korowcami wrócił z leczenia po operacji serca w Londynie do PRL-u, gdzie czekało go mokotowski więzienie i proces.

W środowisku nazywany był „prezydentem opozycji”. Nie bez powodu. Satyryk Janusz Szpotarński umieścił akcję swej opery „Cisi i gęgacze, czyli bał u prezydenta” m.in. w mieszkaniu Lipskiego. Cisi to oczywiście bezpieka, a gęgacze - rozdyktowani opozycyjni inteligenci, pośród których największym gęgaczem był Jan Józef Lipski. Nie było więc opozycji demokratycznej w PRL-u bez Lipskiego. Wszystko to przy chorym sercu, przy balansowaniu między życiem a śmiercią.

Adam Michnik wspominał: „Przed laty ktoś przyszedł do Janka i powiedział: »Co ty będziesz organizował i podpisywał petycje, przecież jesteś intelektualistą z prawdziwego zdarzenia, jesteś pisarzem...«. Wtedy Janek spokojnie odpowiedział: »Co jesteśmy warci jako pisarze, to się okaże za dziesięć, może za 50 lat, a właśnie teraz się okazuje, co jesteśmy warci jako ludzie«”.

Wymyślił język dla opozycji

Kiedyś Jan Józef Lipski, który doświadczył tragizmu historii, próbował odwieść Jacka Kuronia od inicjatywy listu przeciw zmianom w Konstytucji PRL, zwłaszcza wpisaniu do niej kierowniczej roli partii i wieczystego sojuszu z ZSRR; przeszedł on do historii jako List 59. Twierdził, że „to zły pomysł, że może wydarzyć się coś, nad czym nie zapanujemy”, i że „on pamięta, jak płonęła Warszawa”.

• Jan Józef Lipski, świeżo wybrany na senatora, w Sejmie RP, sierpień 1989 r.

FOT. SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

– To znaczy, że ty, Janek, nie podpisujesz? – zapytał Kuroń.

– Ja tego nie powiedziałem – odrzekł Lipski. – Bo jeśli ty się zdecydujesz robić ten list, to ja go podpiszę! Gdy szedłem do powstania, to wiedziałem, że to jest beznadziejna impreza, ale są sytuacje, że jak inni idą, to trzeba iść.

Podobnie było przy zakładaniu KOR-u. Mimo opinii, że „to szaleństwo”, był w ścisłym gronie jego założycieli. Będąc łącznikiem między różnymi środowiskami, odegrał niezwykle ważną rolę. Ufało mu wielu: środowisko harcerzy ze związanej z warszawskim liceum Reytana Czarnej Jedyńki i środowisko pomarcowej młodzieży z dawnych drużyn walterowskich skupionych wokół Kuroń, i byli żołnierze AK, i otwarcy katolicy z warszawskiego KIK-u, i starszyzna z dawnego PPS-u, i wreszcie luminarze świata nauki i literatury.

To Lipski podsunął młodemu Michnikowi ideę utworzenia Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. „W ten sposób z piętnastolatka (...) przeobraziłem się w groźnego wroga ustroju. (...) Pomysł Jana Józefa przeraził partyjnych notabli. Nawet Władysław Gomułka grzmiał na plenum KC PZPR przeciw tej strasznej, uczniowskiej kontrrewolucji. Jan Józef był inspiratorem znakomitym: potrafił skłonić do refleksji, zapalić do pomysłu, ale nigdy nie próbował nic narzucać czy kierować z ukrycia” – wspomina Michnik.

Zaproponował też coś więcej: „Przed marcem 68 roku wszyscy byliśmy trochę jak bezdomne dzieci szukające języka dla artykulacji swojego buntu – wspomina Michnik. – Nie chcieliśmy już mówić językiem partyjnego i marksistowskiego rewizjonizmu, a innego języka dla naszej opozycyjności nie znaliśmy. Jan Józef był przeto kimś bezcennym – to on wypracowywał język obywatelskiego nieposłuszeństwa zespolonego z poczuciem odpowiedzialności”.

Niepraktyczny idealizm

Nie było mi dane poznać go bliżej. Złożyły się na to zarówno kwestie metrykalne, jak i geograficzne. Widziałem go kilka razy na spotkaniach Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Na ogół odbywały się w salach parafialnych, potem w miejscach bardziej świeckich.

Siwy, o niezwyklej łagodności, siedział zazwyczaj w bocznych ławach. Z rzadka zabierał głos, a gdy już zabrał, to bił od niego bardzo niepraktyczny idealizm wsparty wielką moralną siłą. Były to lata 1988-89. Trwały przygotowania do Okrągłego Stołu. Debatowano z grubszą o tym, jak wykołogować komunistów.

Tymczasem Jan Józef przewidywał nadszyciągającą rewolucję rynkową, bał się wyrzeczni, które świat pracy będzie musiał ponieść za lata komunizmu, bał się wysokiej ceny transformacji. Już od 1987 r. zabiegał o odrodzenie Polskiej Partii Socjalistycznej - kontynuatorki przedwojennego PPS-u. Będąc w Londynie, nawiązał przyjacielską relację z jego przywódcami – Adamem i Lidią Ciołkoszami.

Jednak nie był to czas, w którym na słowo „socjalizm” ludziom tak jak Lipskiemu drgało serce. Właśnie wychodziliśmy z socjalizmu. Realnego socjalizmu. I niewielu było chętnych na kolejny socjalistyczny eksperyment.

Partia, owszem, powstała, Lipski został przewodniczącym rady naczelnej. Szybko jednak się podzieliła, potem znów zjednoczyła i w końcu rozpadła. Jeśli napiszę, że Lipski nie nadawał się do typowo partyjnej roboty, gdzie ściągają się ludzkie ambicje i gdzie trzeba wybierać mniejsze zło, a przyjaciół wystawiać do wiatru – to uważam, że jest to

wobec niego komplement. W tym znaczeniu nie był politykiem, a jeśli chciałby za takiego uchodzić – to byłby politykiem fatalnym. Rzeczywiście jedyna próba par excellence polityczna – wskrzeszenia PPS-u – zakończyła się porażką.

Nadeszły wybory 4 czerwca. Lipski kandydował do Senatu z Radomia. Z tego samego Radomia, dla którego przesładowanych robotników i ich rodzin organizował pomoc w 1976 r. Ta właśnie pomoc dała początek Komitetowi Obrony Robotników, w którym Lipski był w ścisłym gronie założycieli. Napisał zresztą później historię KOR-u.

Formuła Komitetu była rewolucyjna w tym znaczeniu, że nikt wcześniej nie zdecydował się na jawną, opozycyjną wobec władzy działalność. Nikt z Komitetu przed bezpieczeństwem się nie ukrywał, komunikaty KOR-u były podawane do publicznej wiadomości, podobnie jak domowe adresy członków.

Kuroń wspominał, że jeśli cokolwiek w opozycji się działo, to Lipski tam był: „Gdy mnie aresztowali, Lipski powiedział, że wszystko bierze na siebie, materialną pomoc rodzinie, adwokata. Wówczas zrozumiałem, że Jan Józef to jest symbol, uosobienie tego, czym właśnie KOR był. Przecież chodziło właśnie o to, by nikogo nie zostawić samego”.

„A co takiego zrobił dla Radomia?”

Przed wyborami 4 czerwca 1989 r. Komitet Obywatelski Ziemi Radomskiej poparł wprawdzie Lipskiego, ale jego część wystawiła jednocześnie kandydata wobec niego konkurencyjnego – Jana Pająka popieranego przez miejscowego biskupa Edwarda Materskiego i Klub Inteligencji Katolickiej.

Dlaczego rozproszono solidarnościowe siły? Cóż, Lipski był agnostykiem. Lipski był socjalistą. Lipski był niesterowalny. Lipski wreszcie był masonem, chciał rozdziału Kościoła od państwa, no i był heretykiem, bo uważał, że socjalizm jest „wytworem etyki chrześcijańskiej znajdującej się u podstaw kultury europejskiej, wytworem pozytywnego reagowania na przykazanie miłości bliźniego”.

To trochę zbyt dużo jak na wytrzymłość jednego biskupa, który postanowił zrobić wszystko, by to nie Lipski został senatorem. Skutek nie kazał na siebie długo czekać. W pierwszej turze Jan Józef dostał 47,5 proc. głosów. Potrzebna była druga.

Po nieprzejmnej kampanii, w której atakowano go jako „uzurpatora żydokomuny i obrońcę Niemca”, Lipski chciał się honorowo wycofać. Jednak w drugiej turze przeszedł już gładko. Dziś jeszcze czytam w internecie niechętnie wobec niego opinie: „A co takiego zrobił Lipski dla Radomia?”.

Jak na to odpowiedzieć? Chyba tylko jękając: Mój Boże...

Wierzył w lepszą twarz polskiego Kościoła. Niestety, bez wzajemności. W 1990 r. prymas Glemp zaprosił na herbatkę partię nawiązującą do tradycji socjaldemokratycznej, ale tylko te wywodzące się z PZPR, czyli Socjaldemokrację RP Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera oraz Polską Unię Socjaldemokratyczną Tadeusza Fiszbacha.

Lipskiego z odrodzonego właśnie przedwojennego PPS-u prymas Glemp nie zaprosił, czym Jan Józef poczuł się urażony. Był antykomunistą i uważał, że PZPR po prostu ukradło PPS-owi socjalizm, wchłonęło go i zniszczyło, a działać czy zamęczyć w więzieniach.

W swoim idealizmie jednak nie zauważał, że stojąc na czele szlachetnej, dopiero odrodzonej małej partii, niewiele miał do zaferowania Kościoła-

wi. Dawni „właściciele Polski Ludowej” – jak zwykł mówić o komunistach – mieli do zaoferowania nieporównanie więcej. Szybko na przykład powołali komisję wspólną ds. zwrotu mienia kościelnego itd., itp.

Nieodwzajemniona atencja Lipskiego dla Kościoła znalazła przygnębiający finał. Jan Józef chciał, by nad jego trumną odprawiono mszę żałobną. Nie spełniono jednak ostatniej woli zmarłego. Kościół odmówił. Ten „świecki święty”, ten „chrześcijanin agnostyk” był bliżej Boga niż niejeden biskup. Zresztą nie było to aż takie trudne.

„Jest ONR-u spadkobiercą partia”

Refleksja o dwóch ojczyznach towarzyszyła Lipskiemu jeszcze przed marcem roku 1968, jakby przeczuwał, że trucizna nacjonalizmu i antysemityzmu nadal trzuwa polską duszę, że płynie niczym podziemna rzeka w kraju realnego socjalizmu. Nie mylił się.

Już w połowie lat 50. na podstawie prawicowej publicystyki lat 30. przeprowadził dogłębną analizę Obozu Narodowo-Radykalnego, organizacji młodzieży w wielkiej mierze akademickiej, skupionej wokół Bolesława Piaseckiego i pisma „Falanga”. Był to najbardziej skrajny odłam polskiego nacjonalizmu czerpiący inspirację z włoskiego faszyzmu i niekryjący zachwytów wobec nazistowskich Niemiec.

Było to środowisko totalne i głoszące totalizm, zwarte, hierarchiczne, lojalne wobec wodza, brutalne w języku i w działaniu: żyłki, pałki, kastety, noże, pistolety; burdy w salach wykładowych, napaści na żydowskich studentów, nieprzestrzegających getta ławkowego, demolarstwo żydowskich sklepów. Falanga odpowiedzialna była za kilka zabójstw, w tym żydowskiego chłopca idącego na czele pochodu socjalistycznego Bundu.

Falangści nosili opaski z symbolem zaciśniętej dłoni dzierżącej miecz Chrobrego. Można je i dziś zobaczyć na marszach skrajnej prawicy. To właśnie w środowisku Bolesława Piaseckiego narodziła się koncepcja „Katolickiego Państwa Narodu Polskiego”.

Lipski cytował, analizował, komentował: „Chociaż zapiekły antysemityzm wspólny był dla całej narodowej prawicy, środowisko »Falangi« wyróżniało się radykalizmem. Oenerowska prasa nasyciona jest niezwykłą odrazą wobec Żydów: przedstawia ich jako demoniczne wroga, robactwo żerujące na organizmie polskiego narodu”.

Publicyści spod znaku ręki z mieczem zywali do okrucieństwa i napawali się wizją zagłady żydowskiego świata. Ich przedwojenne artykuły przejmują dziś grozą.

„Nalewki czekają dezynfekcji – pisala aluzyjnie „Falanga” w 1938 r. – Całe domy, bloki, ulice trzeba burzyć (...). I wrzasku nie żalować, bo to wszystko brudne, zaplute, zażydzone i parszywe (...). A jeśli te wszystkie czarne republikany, karaluchy, demokraci chałatowe i pluskwy zechcą rozleść się po całej stolicy - dam jeszcze jedną radę: otoczyc Nalewkę wysokim murem”.

„Pięć lat po napisaniu tego nasyconego straszliwą, wizjonerską nienawiścią felietonu – podsumowuje Lipski – getto warszawskie, otoczone wysokim murem, było już morzem gruzów. Wrzasku nie żalowano – a na resztki »czarnych republikanów, karaluchów, demokratów chałatowych i pluskiew«, które zdolały mimo murów rozleść się po całej stolicy – polowały watahy szmalcowników, z których niejeden był zapewne przed wojną czytelnikiem »Falangi«. Taki to los

zgotować chcieliby swym bliźnim polscy hitlerowcy, by zbudować Katolickie Państwo Narodu Polskiego”.

Badania Lipskiego byłyby zajęciem historycznym i czysto przyczynkarskim, gdyby nie to, że Bolesław Piasecki, wódz Falangi aresztowany przez NKWD w listopadzie 1944 r., zamiast trafić do dołu z wapnem, zaproponował Sowieta, że wykona dla nich zadanie „przekonania polskiego Kościoła do socjalizmu”. Gen. Iwan Aleksandrowicz Sierow, współodpowiedzialny za mord polskich oficerów w Katyniu i podstępne aresztowanie 16 przywódców Polski Podziemnej, przystał na propozycję „młodego, zdolnego chłopca”.

Piasecki stanął więc na czele stowarzyszenia PAX, które w imieniu PZPR miało prowadzić „dialog” z kard. Wyszyńskim, czyli podjął się systemowego niszczenia Kościoła. W 1956 r. popierał twardegołowców z Natolina. Przetrawił jednak bez szwanku czas październikowej odwilży, o czym zdecydował sam Gomułka.

Wśród liberalnej inteligencji odżyły wówczas dawne lęki. Zastanawiano się, czy oto nie nadchodzi mariaż komunistycznej dyktatury z faszystowską ideologią. Czesław Miłosz pisał w „Traktacie poetyckim”: „Jest ONR-u spadkobiercą partia”.

Jednak już podczas marcowej rozprawy z Żydami Piasecki poczuł się jak ryba w wodzie, mając wpływ na partyjny beton – moczarowców. Tak właśnie umacniał się sojusz komunistyczno-faszystowski, którego Lipski obawiał się najbardziej.

Już pierwsze odczyty o ONR-ze, Falandze i Piaseckim w Klubie Krzywego Koła pod koniec lat 50. wzbudziły wściekłość koncesjonowanych katolików z PAX-u. Publikacje o radykalnej prawicy zatrzymywała cenzura. Lipski stracił wtedy pracę w PIW-ie. Całość jako „Idea Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Zarys ideologii ONR »Falanga«” ukazała się dopiero w wolnej Polsce.

W sumie trudno się cenzurze dziwić. Cytaty z faszystowskiej prasy za bardzo przypominały realia PRL-u. Jeszcze raz się okazało, że totalizm brunatny i totalizm czerwony tak bardzo są do siebie podobne: jeden naród, jedna partia, jeden wódz.

„Jan Józef sytuował się bardzo świadomie jako krytyk dwóch ekstremizmów. Komunizmu i czegoś, co nazwałbym ekstremizmem narodowo-totalitarnym – wspomina Adam Michnik. – Przewidział, że ten temat stanie się znów szalenie aktualny i że będziemy czytali jego analizy pism twórców związanych z obozem narodowo-radykalnym jako teksty współczesne. Dziś znowu pojawiają się tendencje, których Jan Józef tak bardzo się bał. Kiedyś powiedział mi, że jemu właściwie wszystko jedno – walka ras czy walka klas. Dlatego że i w jednym, i w drugim jest rys nienawiści do człowieka o innej kondycji”.

Prawdziwi Polacy w natarciu

Czas karnawału „Solidarności” ujawnił obok jasnej demokratycznej twarzy ruchu „S” jej nacjonalistyczny i antysemicki rewers.

Łukasz Garbał, biograf Jana Józefa Lipskiego i autor opracowania jego pism politycznych, sugeruje, że moment, w którym Jan Józef napisał „Dwie ojczyzny”, nie jest przypadkowy. To wówczas właśnie, w 1981 r., powstało antysemickie Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” zawiązane przez pogrobowców Mieczysława Moczara, stowarzyszenie czerpiące ze spuścizny prosowiec-



Lipski: - Gdy szedłem w Warszawie do powstania, wiedziałem, że to jest beznadziejna impreza. Ale są sytuacje, że jak inni idą, to trzeba iść

• Warszawa, jesień 1980 r., bankiet z okazji 100. publikacji Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA w mieszkaniu Elżbiety i Pawła Bąkowskich. W środku Jan Józef Lipski, na prawo od niego Jan Lityński

FOT. PAP/TOMASZ ABRAMOWICZ

kiej i narodowej. Synteza dwóch skrajności, które Lipski uważał za dwie największe trucizny moralne XX wieku – komunizm i faszyzmu.

Wiosną 1981 r., w rocznicę marca 1968 r., na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się sesja zorganizowana przez uczelnianą „Solidarność”, podczas której wystąpił uczestnik tamtych wydarzeń, relegowany wtedy z uczelni Adam Michnik. Odpowiedzią Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” był wiec pod Ministerstwem Spraw Wewnętrznych przy ul. Koszykowej, którego celem tylko z pozoru było złożenie holdu ofiarom stalinizmu, a tak naprawdę ujawnienie nazwisk sądowych zbrodniarzy i ich rodowodu, czyli żydowskiego pochodzenia.

Głównym motywem mówców było potępienie stalinowskich „syjonistów”, żydowskich szowinistów jako sprawców i winnych całego zła w najnowszej historii Polski. Przemawiający ostrzegali Polaków przed farbowanymi lisami w osobach dawnych komandosów i emigrantów Marca '68 oraz tych z Komitetu Obrony Robotników.

Oczywiście „Grunwald” w swych publikacjach zadbał też o przypomnienie sylwetki Stefana Michnika, przyrodniego brata Adama, co później latami gorliwie kontynuowały formacje uważające się za patriotyczne i antykomunistyczne.

Już niebawem, podczas I Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność”, doszło do skandalu w związku z zaproponowaną przez delegatów Regionu Ziemi Radomskiej uchwałą, która miała być podziękowaniem dla rozwiązującego się właśnie Komitetu Obrony Robotników.

Nie ma powodu wnikać tu w szczegóły. Dość, że pomysł spotkał się z protestem części delegatów Regionu Mazowsze z frakcji tzw. prawdziwych Polaków, z Pawłem Niezgódkim na czele; zło-

żył on do prezydium zjazdu własny kontrprojekt.

Na prośbę Lipskiego, który w tej atmosferze nie życzył już sobie żadnych podziękowań, Region Ziemi Radomskiej wniosek uchwały wycofał. Jednak następnego dnia dla odmiany Region Małopolska złożył własny dziękczynny wobec KOR-u projekt uchwały. Doszło więc do gorszącej plenarnej debaty.

Lipski na próżno czekał na możliwość zabrania głosu. Niestety, ubiegł go Niezgódzki. Stres i upokorzenie sprawiło, że przyplacili to zawałem serca. Z gdańskiej Hali Oliwii przewieziono go karetką wprost do szpitala Akademii Medycznej.

Już stamtąd Lipski napisał list do zjazdu, w którym dzielił się refleksją, że „bardzo duży procent delegatów uważa, iż cztery ciężkie dla moich przyjaciół i dla mnie lata – jeszcze cięższe dla naszych rodzin – to lata, które zmarnowaliśmy, gdyż jako członkowie KOR robiliśmy różne rzeczy niemające nic wspólnego ani z potrzebami Polski i robotników, ani z historią i genezą »Solidarności«”.

Muszę stwierdzić, że choćby tak sądziła większość delegatów, i tak w swoim sumieniu nie mógłbym z tym się zgodzić. Niemniej jest to dla mnie ciężki cios moralny, z którego trudno już będzie mi się pozbierać (...). Nie wytrzymuję dziś atmosfery nienawiści i podstępny, nie wytrzymuję hipokryzji i faryzeizmu”.

Uważajcie na zawrót głowy

Z czasem najbardziej zajadłymi przeciwnikami Lipskiego okazali się nie ubecy, którzy chcieli go przejechać samochodem, ale ludzie, których uważał „jeśli nie za przyjaciół – to przynajmniej za towarzyszy walki”.

Pod koniec legalnej „Solidarności”, jesienią 1981 r., Lipski znalazł się w centrum zaostających się sporów o kształt

opozycji wywodzącej się z KOR-u. O emocjach niech zaświadczy cytat. Lipski mówił wtedy:

„Mnie, żołnierzowi AK, który nigdy nie zmienił poglądu, iż Polska winna być niepodległa czy to od Niemiec, czy to od ZSRR, powiedzieć, że nie jestem w nurcie niepodległościowym tylko dlatego, że nie jestem z Macierewiczem, jest oburzające. Oburza mnie to tak dalece, że gdybym był człowiekiem bardziej porywczym, to prawdopodobnie mogłoby dojść między nami do rękoczynów”.

Jak widać, tamte podziały były już prefiguracją dzisiejszych.

Wydawać by się mogło, że najbardziej demokratyczny czas w PRL-u, czas solidarnościowego triumfu, narodowej fiesty, jest najmniej odpowiedni, by „rozdrapywać narodowe rany, by nie zablizniały się bloną podłości”. Wszak w sumie było pięknie i po co to psuć przypominaniem naszych mało chwalebnych uczynków, lepiej napawać się chwilą.

Tymczasem Lipski ostrzegał: nie popadajcie w megalomanię, uważajcie na zawrót głowy, bądźcie ostrożni, bo za rogiem czai się polski koltun. Pisał: „Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową kampanię »patriotyzmu« – jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwiwizytornią miłą przeważnie Polakowi – czają się najczęściej cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze: na ulańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę”.

I jest to coś na kształt bagniska:

Traf tam, a coraz głębiej wciska

– pisze Miłosz w „Traktacie moralnym”.

Falszywe mity narodowe

Ze wszystkich cech Lipskiego Kuroń najwyżej cenil jego „intelektualną odwagę w walce przeciw ksenofobii, nacjonalizmowi, antysemityzmowi, antyukrainizmowi, antygermanizmowi”. Kuroń dostrzegał niewątpliwie ważne zdanie „przecież występował nie tylko przeciw władzy, ale wobec olbrzymiej rzeszy ludzi”. W domyśle – także przeciw swoim.

I tu leży istota rzeczy. Konfrontując się z polskim nacjonalizmem, z megalomanią, musiał wchodzić w konflikt także z ludźmi szeroko pojętego antykomunistycznego obozu opozycji demokratycznej, z wieloma kolegami z AK, z patriotami, którzy ów patriotyzm w najlepszej wierze pojmowali inaczej niż on.

W szczególności dotyczyło to różnic w postrzeganiu naszej historii. Lipski uważał, że patriotyzm to nie tylko szacunek i miłość do tradycji. To także nieublagana selekcja elementów tej tradycji i obowiązek intelektualnego wysiłku, by nie utrwalac falszywych moralnie mitów narodowych, które karnią megalomanię narodową, by nie przemilczac ciemnych plam własnej historii.

Widzę tu ciekawą zbieżność poglądów Lipskiego z konserwatywną szkołą historyczną krakowskich stańczyków, a zwłaszcza z poglądami Józefa Szujskiego, który pouczał, że „falszywa historia jest mistrzynią falszywej polityki”, a przyczyn upadku Rzeczypospolitej szukał w nas samych, a zwłaszcza w moralnej degradacji narodowych elit.

Lipski w „Dwóch ojczyznach” robi obrachunek z naszymi falszywymi wyobrażeniami wobec innych narodów, którym my pamiętamy wyrządzone nam krzywdy, ale o krzywdach przez nas wyrządzonych pamiętać nie chcemy. Pisze o wszystkich naszych sąsiedzkich narodach, pisze o „narodzie w narodzie”, czyli o polskich Żydach. Największe wrażenie zrobił na mnie wywód, w którym charakteryzuje nasz stosunek do „odwiecznych wrogów”, do Niemców.

Gdy buldożery niszczą cmentarze

Jan Józef Lipski, odznaczony Krzyżem Walecznych za męstwo, ranny w powstaniu warszawskim, inwalida wojenny, nie ma wobec oprawców swojej ojczyzny cienia resentymetu, a cały rozdział napisany jest w duchu „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”.

Tu właśnie Lipski szczególne wystawił się na ataki reżimowej prasy, do czego przywykł. Zarzucano mu wspieranie ziomkostw i rewanżystów niemieckich, relatywizowanie niemieckich win, kwestionowanie naszych praw do ziem zachodnich... Można by w nieskończoność rozwijać listę tych propagandowych „zarzutów” formułowanych w złej wierze.

Ale Lipski musiał też konfrontować się z opinią „naszych”, na przykład z czytelnikami paryskiej „Kultury”, którzy nie byli w stanie pojąć chrześcijańskiej logiki wybaczenia i miłosierdzia, i po prostu odmawiali Lipskiemu patriotyzmu.

Tymczasem myśl autora „Dwóch ojczyzn” była prosta. Pisał Lipski: „choćbyśmy my, Polacy, mieli na sumieniu wobec któregoś narodu na ziemi małą winę historyczną – winniśmy ją sobie wytknąć i, co więcej, przyznać się do niej wobec pokrzywdzonych, a to dla własnego moralnego dobra. Choćby nawet skrzywdzony skrzywdził nas stokrotnie. Natomiast nie można usprawiedliwiać zła komuś wyrządzonego tym, że tamten skrzywdził nas stokrotnie więcej”.

Innymi słowy – krzywdy wyrządzone nam przez Niemców, choć są nieproporcjonalnie wielkie, nie wymazują krzywd wyrządzonych Niemcom przez Polaków, choćby były małe.

Lipskiemu chodziło o to, co Polacy mieszkający na ziemiach zajętych po Niemcach wyczuwali na każdym kroku. Także mieszkańcy Gdańska, z którego pochodzę. Choć to miasto hanzeatyckie, o bogatej europejskiej i kosmopolitycznej tradycji, należące przez setki lat do polskiej Korony, mimo że w okresie międzywojennym miało status Wolnego Miasta, to w istocie było to miasto niemieckie, z przytłaczającą dominantą ludności niemieckojęzycznej. Kto mieszkał w tym mieście, czuł, że mieszka „po Niemcach”, w ponemieckiej przestrzeni kulturowej.

Wysiedlenie Niemców z ich ziem, mimo że dokonało się z woli zwycięskich mocarstw i mimo że było aktem dziejowej sprawiedliwości, nie musiało być aktem sprawiedliwości indywidualnej. Było mniejszym złem, ale mniejsze zło nie przestaje być złem. Przymusowe wysiedlenie Niemców zwane przez nich „wypędzeniem” było mniejszym złem, ale złem. Napady, grabieże, gwałty polskich szabrowników na bezbronnej niemieckiej ludności przesiedleńczej były złem, a nie wyrównywaniem rachunków. Traktowanie bez szacunku niemieckiego depozytu kulturowego w Polsce było złem.

Pamiętam, jak na początku lat 70. za pomocą buldożerów splantowano w Gdańsku ponemieckie cmentarze, zamieniając je w parki. Tak, można powiedzieć, że robiła to „komuna”, ale prawda jest taka, że mało kogo to oburzało. Robiliśmy to my, Polacy, tacy wrażliwi na polski depozyt na Wschodzie, na brukanie naszych polskich cmentarzy w sowieckiej Ukrainie, Białorusi czy na Litwie.

Germanofobia ma się świetnie

I wreszcie szczególnie ważna wydaje mi się refleksja Lipskiego dotycząca kręgu Białej Róży. Przecież nie wszyscy Niemcy byli gestapowcami i esesmanami. Byli też dobrzy Niemcy. Można powiedzieć, że mało ich było, ale tym większa zasługa tych, którzy bohatercko i stracićco przeciwstawili się złu.

Młodzi chrześcijanie z tajnej organizacji Biała Róża (Weiße Rose) z Monachium podjęli w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk, walkę przeciw „swoim” w czasie toczącej się wojny. Większość rozrzuconych przez nich antyhitlerowskich ulotek została dostarczona na Gestapo. Po trwającym kilka dni procesie trójka studentów, w tym Sophie Scholl, została zgilotynowana za zdradę III Rzeszy.

Lipski stawia ważne pytanie: czy bohaterowie z Weiße Rose niegodni są nazwania patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? I odpowiada: „Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu, to oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W swych duszach nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią”.

Trzeba niekiedy wystąpić przeciw własnemu narodowi, by ratować jego godność.

Ofiara kręgu Białej Róży nie poszła na marne. Była jedną z ważnych inspiracji pojednania polsko-niemieckiego, o którym marzył Jan Józef Lipski i które zaczęło się już w 1989 r. za sprawą premiera Tadeusza Mazowieckiego. Słynne spotkanie w Krzyżowej z Helmutem Kohlem, uścisk pojednania... Wydawało się, że w tej sprawie może być już tylko lepiej.

Niestety, owoce politycznych korzyści wisiały nazbyt nisko. Sięgnęła po nie nihilistyczna, autorytarna, antyeuropejska prawica. Łatwiej bowiem grać na ksenofobii i sprawdzonych resentymetach, niż brać na siebie trud pojednania.

Kryje się tu zresztą pewien paradoks. Autorką monografii bibliograficznej pism Lipskiego była jego bliska koleżanka z Instytutu Badań Literackich PAN - Jadwiga Kaczyńska. Jej syn Lech jako prezydent RP odznaczył pośmiertnie w 2006 r. Jana Józefa Lipskiego najwyższym polskim odznaczeniem - Orderem Orła Białego. Jarosław Kaczyński zaś jako szef Kancelarii Prezydenta przemawiał w imieniu Lecha Wałęsy na pogrzebie Jana Józefa Lipskiego we wrześniu 1991 r.

Ten sam Jarosław Kaczyński jest w moim odczuciu osobiście odpowiedzialny za wieloletnie i systematyczne zatruwanie polskiego życia publicznego toksynami germanofobii. Oskarża politycznych oponentów o wysługiwanie się Niemcom, twierdzi, że chcą Polskę sprzedać Berlinowi. Tak właśnie, wskutek jakiejś moralnej deformacji, obraca się wniwecz marzenia chrześcijańskich prometeuszów, takich jak Mazowiecki czy Lipski, którzy szczęśliwie tego nie dożyli.

Nie opuszczajmy rąk

Dylemat dwóch ojczyzn i dwóch patriotyzmów jeszcze długo nie zostanie rozwiązany. Tak jak Janowi Józefowi nie sposób było identyfikować się z patriotyzmem ONR Falangi, PAX-u, Moczara czy Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, tak nam dziś nie sposób podzielać patriotyzm Braci Kamratów, Konfederacji, Radia Maryja czy pielgrzymujących na Jasną Górę kiboli.

Jak w takim razie pogodzić postulat solidarności z własnym narodem, o którym pisze Lipski, z faktem, że to istnieją dwie ojczyzny i dwa patriotyzmy?

Lipski ma na to dwojaką odpowiedź. Po pierwsze, „nie zawsze możliwy jest dialog, często sama próba podjęcia go bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z bohaterami antysemitycznych wybryków (...) dialogu być nie może – ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej ojczyzny ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle nic wspólnego”.

Zgoda, zgoda, po stokroć zgoda! Nie odczuwam żadnej wspólnoty ani

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki*

XV. Piosenka o deportacjach

*obudziłem się w nocy i odkryłem
prawdę której nie chciałem
przyjąć: to nie są moje wiersze
choć zdążyłem się zakraść*

*do szkolnych podręczników i zestarzeć
to nie jest moje miejsce
moje miejsce jest w Wólce Krowickiej
i w sąsiedniej Borowej Górze*

*skąd deportowano matkę na sowiecką
Ukrainę lecz uciekła z transportu*



*Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. Poeta, urodził się w 1962 r. w Wólce Krowickiej koło Lubaczowa. Laureat Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej „Gdynia” (obie w 2009 r.) za tom „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”.

Mieszka w Warszawie, ale wychował się i dorastał w Przemyskiem, a także w Olsztyńskim, dokąd po akcji „Wisła” władze deportowały jego rodzinę.

Utwór za dwujęzycznym, polsko-portugalskim wydaniem jego wierszy „Algo que nos sobreviva”, które ukazało się w 2025 r. w Rio de Janeiro w oficynie Letras (przekład Henryka Siewierskiego).



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

z Braunem, ani z Bąkiewiczem, Bosakiem, Kowalskim, Michalkiewiczem czy Ziemkiewiczem. Nie odczuwam też wspólnoty z Karolem Nawrockim, choć nie da się zaprzeczyć, że to rodacy. Rodacy, bo z kolei wyrzucenie ich poza nawias polskości byłoby z jednej strony intelektualną łatwizną, a z drugiej strony fałszem, bo to jedna z twarzy naszego narodu.

Ale jak pisał Lipski – „między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasionicy (...) a »patriotyzmem« filipskich, gontarzów, kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna; tu znajdują się ci, o których dopiero toczy się walka”.

Tak jest i teraz, zwłaszcza w dobie platform społecznościowych, gdzie wszelkie nacjonalistyczne, ksenofobiczne, antysemityczne plugawe treści roznoszą się bez przeszkód i zatruwają młode umysły.

Pisał Lipski 45 lat temu: „Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zezadzeni są ksenofobią i megalomanią narodową, może jednak nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu – dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych”.

To wezwanie jest nieustająco aktualne, dlatego nie wolno nam opuszczać rąk. ●



NAJSŁYNNIEJSZY

hotel

NOWOCZESNEJ
EUROPY

Na stulecie spółki polski historyk napisze: „Inicjatorowie założenia Bazaru nie utrudniali sobie przedsięwzięcia przez wyraźne podkreślanie narodowych celów”.

Stanisław Zasada



• **Hotel Bazar wczoraj i dziś. Z lewej: na zdjęciu z początku XX wieku od ulicy Neuestrasse, dziś Ignacego Jana Paderewskiego. Z prawej współczesny widok od placu Wolności, w czasach pruskich Wilhelmsplatz**

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA, NAC

Do powstania zaciągnęło się kilka tysięcy ochotników z Wielkopolski. General Dezydery Chłapowski bije się pod Olszynką Grochowską i na Litwie. Służą pod nim Karol Marcinkowski, bracia Maciej i Seweryn Mielżyński, Karol Libelt, młodziutki Walenty Stefański. Emilia Szczaniecka i Klaudyna Potocka opiekują się rannymi, zbierają datki.

Po klęsce jedni wybiorą tułaczkę, inni pójdą do pruskich więzień. Chłapowski dostanie rok twierdzy i straci majątek – potem wyrok mu złagodzą. Szczaniecką od więzienia i sekwestru uratuje amnestia. Marcinkowskiego – na jakiś czas emigracja.

W Wielkim Księstwie Poznańskim nastala smuta.

książę Adam Jerzy Czartoryski daje mu instrukcję: „Naród bez własnych sił, własnych zasobów nigdy się nie podniesie”. Wraca, odsiaduje kilka miesięcy za powstanie.

Jest rok 1838. Odwiedza go Maciej Mielżyński. Przyjżnię się: lekarz odbiera porody od żony Macieja – Konstancji, obaj walczyli razem na Litwie. „Z nimi chyba nasamprzód omawiał projekt Bazarowy” – napisze historyk Adam Mieczysław Skalkowski.

„Budowla obejmuje hotel i sklepy”, a „fundusz na to ma być zebrany na akcje” – napisał Marcinkowski w akcie założenia Spółki Bazarowej. Na arkuszu data: 26 czerwca 1838.

Pierwsze akcje kupiło grubo ponad sto osób – głównie ziemian – Kwileccy, Mycielscy, Stablewscy. Na liście udziałowców sporo niedawnych powstańców. Są też nazwiska niemieckie. – Jeden z nich sprzedał Marcinkowskiemu parcelę pod budowę Bazaru

PO 1831 NAJDŁUŻSZA WOJNA

Zza filmowych kadrów sugestywny głos narratora: „Polakom groziło teraz coś gorszego niż utrata państwowości. Degradacja ekonomiczna, kulturalna i moralna”.

To z historycznego serialu „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”: o Wielkopolsce pod zaborem pruskim.

Wciąż lata trzydzieste dziewiętnastego stulecia, po przegranej powstaniu. „Trzeba sięgnąć po inną broń w tej wojnie” – zapowiada narrator na początku trzeciego odcinka.

Chłapowski w swoim majątku w Turwi już dawno zaprowadził nowoczesne metody rolnictwa, które podpatrzył w Anglii. Na przykład zamiast archaicznej trójpolówki wprowadził płodozmian. Teraz w pruskiej twierdzy pisze podręcznik rolnictwa.

Hrabia Edward Raczyński na zakupionej działce zbudował w Poznaniu pierwszą na ziemiach zaboru pruskiego bibliotekę publiczną.

„Marcinkowski organizuje polskie centrum handlowe – słynny potem Bazar” – narrator w „Najdłuższej wojnie nowoczesnej Europy” tłumaczy na czym polega „inna broń w tej wojnie”.

Za kilkadziesiąt lat filozof August Cieszkowski napisze: „Czegoż więcej dziś trzeba? Oto już nie rewolucji żadnej, ale ewolucji. Oto już nie wywrotu żadnego, lecz nowej wielkiej budowy”.

– Idea modernizacji modna była wówczas w całej Europie – przypomina profesor Łazuga. Zwyciężyła też w Wielkopolsce.

1838 MIĘDZY ARYSTOKRATAMI

„Syn szynkarza” – szydzą za jego plecami.

Ojciec Karola Marcinkowskiego miał karczmę. Syn studiuje w Berlinie medycynę, chodzi na wykłady Hegla, za działalność w tajnym stowarzyszeniu polskim trafi do więzienia. Wraca do Poznania z dyplomem lekarskim, biedaków leczy darmo. „Doktor Marcin” – nazywają go.

29 listopada 1830 roku w Warszawie porucznik Piotr Wysocki prowadzi podchorążych na Belweder, wybuch powstanie. Marcinkowski zaciąga się do oddziału Chłapowskiego. Za udział w bitwie pod Olszynką Grochowską dostanie złoty krzyż *Virtuti Militari*.

Potem emigracja. „Cały ogół tego kraju jest olbrzymim dziełem pracy i przemysłu ludzkiego” – pisze z Londynu do Chłapowskiego zafascynowany nowoczesnością brytyjskiego społeczeństwa. W Paryżu

Pierwsze akcje kupiło grubo ponad sto osób – głównie ziemian – Kwileccy, Mycielscy, Stablewscy. Na liście udziałowców sporo niedawnych powstańców. Są też nazwiska niemieckie. – Jeden z nich sprzedał Marcinkowskiemu parcelę pod budowę Bazaru – przypomina profesor Łazuga.

Niemieckie nazwiska można też potem znaleźć wśród bywalców Bazaru i tamtejszego Kasyna Towarzystwa. – W radzie udziałowców kasyna zasiadało kilku Niemców – mówi profesor. – Znamy ich nazwiska, adresy i życiorysy. Byli przedstawicielami lokalnej inteligencji: adwokaci, kupcy, lekarze. Jeden miał za żonę Polkę. Wszyscy należeli do masonerii.

Historyk nie wie, czy Karol Marcinkowski też był masonem. Od dawna zastanawia go język i stylistyka pism Doktora Marcina. – Często używał zwrotów o „bratniej miłości”, o „wyzwoleniu człowieka” czy „całej ludzkości”, a nie na przykład o wyzwoleniu „Polaka” czy „Polski”. Do tego był antyklerykałem. Więc idee masoniści były mu bliskie – mówi Łazuga.

Jest pewien: – U genezy Bazaru leżały motywy oświeceniowe i modernizacyjne, a nie narodowo-wyzwoleńcze.

Te przyjdą później.

1839-1841 DUCH POBOŻNY

21 listopada 1839 roku, pora obiadowa. Sędziwy dziedzic podpoznańskiego Strzeszyna wmurował kamień węgielny pod hotel. „Poświęcenie odbyło się w duchu pobożnym” – zanotował proboszcz pobliskiego kościoła Świętego Marcina, który kamień poświęcił.

Skałkowski sto lat później: „I sami inicjatorowie założenia Bazaru nie utrudniali sobie przedsięwzięcia przez wyraźne podkreślanie narodowych jego celów. Raczej uwydatniali ekonomiczne”.

– Wymowne, że prasa niemiecka cieszyła się, że miastu przybędzie nowoczesny hotel i restauracja, a różne formalności administracja pruska złatwiała od ręki – dodaje Waldemar Łazuga.

Gmach powstaje przy ulicy Nowej, która z Wilhelmskiej (główna arteria) opada do Starego Rynku. Nową dopiero wytyczono – założyciele Bazaru wiedzą, że będzie to miejsce prestiżowe.

Trzy piętra, styl – modny wtedy neoklasycyzm, z korynckimi pilastrami na głównej fasadzie. Wszystko w dwa lata. Marcinkowski miał narzekać na „wzniesienie w wielu względach niepraktycznego i niepotrzebnie przedrożonego gmachu” – pisał udziałowiec Julian Jarczewski.

Z którego balkonu przemawiał Paderewski? – zapytali przyjaciele z Suwałk.

Na drugim piętrze Bazaru Poznańskiego balkony są dwa. Nie umiałem wskazać, z którego.

– Ani z jednego, ani z drugiego – edukuje mnie prezes Jędrzej Twardowski. Zapewnia, że pianista przemawiał z okna na pierwszym piętrze.

– Z balkonu nikt by go nie słyszał.

Do mieszkania lekarza Karola Marcinkowskiego przyszło kilka osób. Założyli spółkę handlową.

Tak w czerwcu 1838 roku powstał słynny Bazar. „Ośrodek polskiego życia gospodarczego i politycznego pod zaborem pruskim” – głosi pamiątkowa tablica na fasadzie.

– Bazar założyło pokolenie Oświecenia, część należała do masonerii – uważa tymczasem poznański historyk Waldemar Łazuga. – I na początku wcale nie był to bastion antyniemieckości.

1831 WIESZANIE POWSTAŃCÓW

Lipiec 1831 roku. Przez Poznań przejeżdża generałowa Barbara Dąbrowska (wdowa po twórcy Legionów Polskich we Włoszech) z córką Bogusławą.

Przed więzieniem sądowym stangret wstrzymuje konie. Na szubienicy wiszą mężczyźni z wielkopolskich rodów. Bogusława rozpoznaje znajomych, wśród nich Gustawa Koszutkiego – rok temu tańczył z nią na balu u Radziwiłłów.

Powieszoni dawno zrzucili pruskie mundury, przedarli się przez graniczny kordon i przyłączyli do powstania listopadowego. Prusacy oskarżyli ich o zdradę stanu, olejne popiersia kazali wywiesić na widok publiczny – taka egzekucja na niby.

Ogłaszają się sklepikarze. „Wysokiej Szlachcie i Szanownej Publiczności” niejaki Leon Masłowski poleca „zapas paryskich i genewskich zegarków”. Sklepiki i warsztaty mają jubiler i złotnik, cukiernik, siodlarz, szewcy i krawcy. Jest skład cygar (hawańskie, breneńskie, hamburskie), win z Bordeaux, Burgundii, reńskich i węgierskich, gdańskiej wódki, angielskiego portera.

Demokrata Walenty Stefański ma swoją księgarnię, z której wychodzą rewolucyjne broszury i ulotki. Hipolit Cegielski otworzy „sklep żelazny” z narzędziami, a z czasem – warsztat naprawiający pługi i radła, z którego powstanie fabryka.

„Przez owe kramy bazarowe przeszło już kilka pokoleń kupców” – pamiętnikarz Marceli Motty pisze pod koniec stulecia w swoich „Przechadzkach po mieście”.

W wielkiej sali odbywają się odczyty, koncerty, bale. Księgarz Stefański przyprawdza na bal chłopów – część znamienitych gości ucieknie.

W Bazarze ma siedzibę Towarzystwo Naukowej Pomocy dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego – pierwsza na ziemiach polskich instytucja stypendialna. Marcinkowski i Mielżyński założyli je, żeby pomagać finansowo zdolnej, ale biednej polskiej młodzieży z zaboru pruskiego. „Wychowanie nasze jest to dług zaciągnięty u ogółu, z czego się w swym czasie wypłacać winniśmy” – tłumaczy Doktor Marcin.

Działa Kasyno Towarzystwie – by „połączyć w gronie osób zamkniętym zabawę z pożytkiem i dobroczynnością”. Szlachta i mieszczaństwo grają w bilard, rozmawiają o literaturze, sztuce, polityce. Pruska policja podejrzewa, że również spiskują – W 1846 roku zamknie kasyno.

Powstaną tutaj polskie tytuły prasowe: „Dziennik Poznański”, „Kurier Poznański” i „Orędownik”.

Pod koniec stulecia udziałowcy spółki kupią narożną kamienicę. Powstanie drugie skrzydło Bazaru.

To stąd przemawiał będzie Paderewski.

1842-1846 ZNOWU DAWAĆ?

Kłóć się. O dywidendy...

Znowu kadry z „Najdłuższej wojny...”: – Zawierając spółkę, wytyczyliśmy sobie obok korzyści osobistych także cele ogólne. Widzę wyjście następujące: abyśmy do czasu, aż Bazar na szersze wody nie wypłynie, zrzekli się dywidendy – Marcinkowski przemawia na walnym zgromadzeniu.

Sala się burzy.

– Protestuj!

– Panie, i co my tutaj zakładamy? Interes czy ochronkę dla biednych dzieci?

– To dyktatura, panowie.

– Po powstaniu mój majątek mocno podupadł. Mimo to, deklaruję zrzeczenie całej mojej dywidendy – Emilia Szczaniecka jest za.

Do rozsądku przemawia duchowny, na zebranie przyszedł w sutannie i w birecie.

– Jeżeli teraz rozdrapiemy wszystko, to nic nie zostanie na potem. Wolę później wziąć dużo niż dziś mało.

Głosowanie. Większość jest „za”.

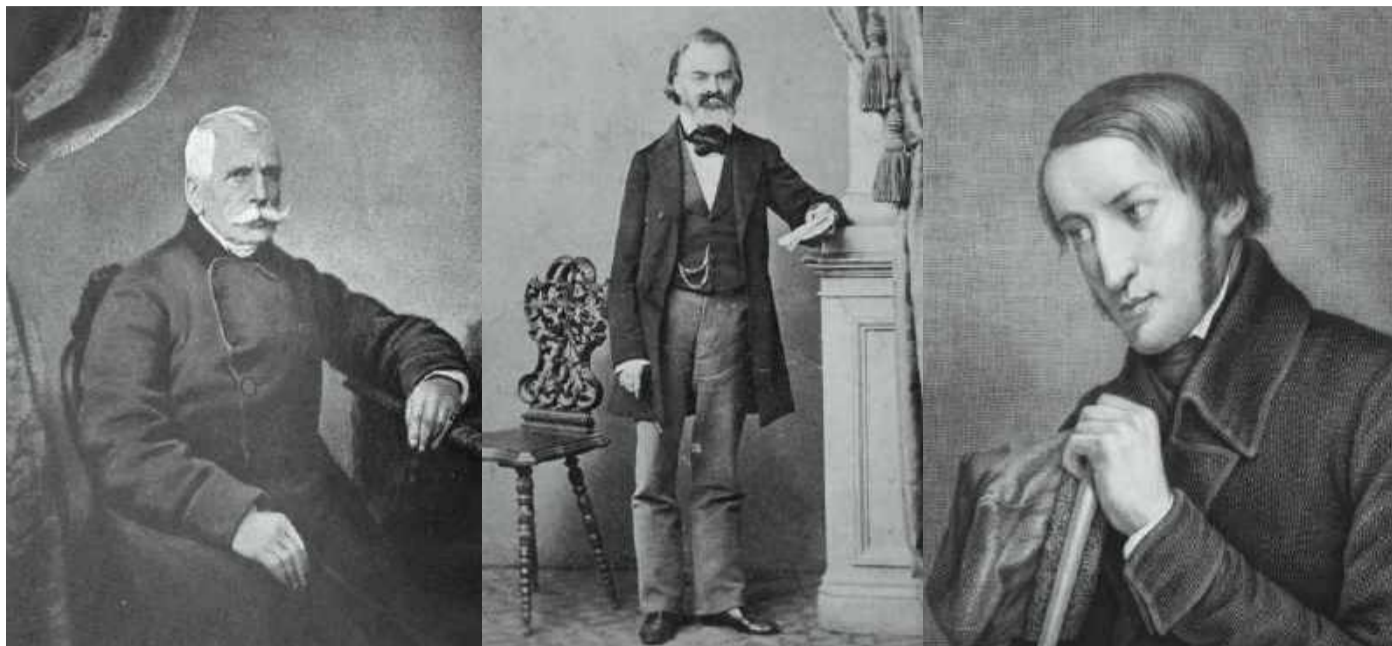
... i kłóć się ołożenie na szkolę agrarną w Turwi u Chłapowskiego.

W „Najdłuższej wojnie...” przy głosie znowu Marcinkowski, stoi na czele zarządu:

– Nie możemy obarczać pana generała całkowitym kosztem urządzenia szkoły. Należy w ramach naszej spółki utworzyć fundusz specjalny.

– Fundusz specjalny – pomruki z sali.

– Znowu dawać? – odzywa się ktoś.



• **Od lewej:**
Dezydery Chłapowski (1788-1879), generał napoleoński, powstaniec, ziemianin, innowator rolniczy.
August Cieszkowski (1814-1894), filozof i społecznik, twórca koncepcji pracy organicznej.
Karol Marcinkowski (1800-1846), lekarz, powstaniec, społecznik, inicjator budowy Bazaru

FOT. DOMENA PUBLICZNA

– Ależ panowie! Szkoła jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Na skutek nieznamość gospodarki, dobra przechodzą z naszych rąk w ręce niemieckie! – Marcinowski prawie krzyczy. Zarządza głosowanie.

– Kto jest za?

Kilka rąk.

– Kto przeciw?

Las rąk.

– Kto się wstrzymał?

Kilka rąk.

Zawsze popiera go młoda kobieta, na filmie wodzi za nim wzrokiem. Ich dialog:

– Dziękuję ci, Emilio – on.

– Przecież wiesz, że zawsze cię będę popierał – ona.

– Dlaczego?

– Bo zawsze masz rację – Emilia Szczaniecka na to.

1846 KILKA FUNTÓW MIĘSA

Szykuje się kolejne powstanie. Tym razem w trzech zaborach. W Wielkopolsce przygotowaniemi zajmują się Karol Libelt, dyktatorem ma być Ludwik Mierosławski – przybył już z Paryża.

„Najdłuższa wojna...”. Przy kawiarnianym stoliku Libelt namawia Marcinkowskiego, żeby przyłączył się do spisku. Rozmowa jest burzliwa.

Marcinkowski: – Pan chce znowu zbrojnego powstania. Ja natomiast nie chcę. Wierzę w pokojowe działania, pan natomiast nie.

Libelt: – I tak czekać pan będzie na cud. Sto lat czy może tysięcy?

Marcinkowski: – Bez fabryk nie ma karabinów, bez wykształcenia nie ma wiedzy, bez oświaty nie ma rozumnego ludu. Ale na to trzeba czasu. Czasu, którego nie chcecie nam dać.

Libelt: – Szkoda, że nie mogliśmy się porozumieć. Z panem bylibyśmy silniejsi.

Marcinkowski: – Bylibyście silniejsi o kilka funtów armatniego mięsa.

Nim powstanie wybuchnie, pruska policja wytropi spisek. Libelt i Mierosławski trafią do berlińskiego Moabitu. 22 lutego 1846 roku wojsko tłumi początek walk.

1848 WIOSNA W POZNANIU

„Bracia Polacy!” – 20 marca 1848 roku Poznaniacy czytają rozlepioną w mieście odezwę.

Zaczęło się w lutym w Paryżu, potem ruszył Berlin. W marcu Wiosna Ludów dociera do Wielkopolski. W Bazarze zawiązuje się Komitet Narodowy. Skład jest demokratyczny: przedstawiciele ziemian, rzemieślnik, ksiądz i chłop.

„Wybiła godzina i dla nas!” – piszą w odezwie. „Unikajcie niepotrzebnego rozlewu krwi” – nawołują. Przyrzekają starania, żeby „odzyskać niepodległość Ojczyzny”.

Walenty Stefański wydaje „Gazetę Polską” – organem prasowym Komitetu Narodowego kieruje Hipolit Cegielski. „Polska Zmartwychwstaje” – krzyczy tytuł w pierwszym numerze. Z budynków ludzie zrzucają pruskie symbole, wieszają polskiego orła.

Potem wszystko się rozmyje: polska delegacja do Berlina złagodzi żądania, pruski król wycofa się z obietnic. Mimo zwycięstw pod Książem i Miłosławiem – skończy się jak zawsze.

No, nie całkiem: z Moabitu wrócili Libelt i Mierosławski.

A Marcinkowskiego nie ma od dwóch lat: 11 listopada 1846 roku tłum odprowadził go na cmentarz. Skromną trumnę przewieziono wzdłuż Bazaru.

1871-1914 BISMARCK NIE DAŁ RADY

„W każdym razie jednak nie upadniemy na duchu i bronąć będziemy spotęgowanymi ducha siłami najdroższej nam po ojcach spuścizny” – przemawia Julian Bukowiecki spod Gostynia.

Koniec maja 1876. Do Bazaru zjechało półtora tysiąca osób. Przyjechali z Wielkopolski i Górnego Śląska. Ściągnął ich kanclerz Otto von Bismarck. Niechęć.

Od pięciu lat Niemcy są zjednoczone. „Żelazny kanclerz” rozpoczyna Kulturkampf: język polski usuwa ze szkół i urzędów, polskich nauczycieli zastępuje niemieckimi. Potem nawet religii zakazają uczyć po polsku: dzieci zamiast „Ojciec nasz” mają mówić „Unser Vater”.

To przeciwko tym ustawom 150 lat temu był w Bazarze tamten burzliwy wiec. Do końca zaborów spotykać się tu będą Polacy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska.

– Dopiero w czasach nasilonej germanizacji i nacjonalizmów Bazar stał się bastionem polskości i symbolem walki z Niemcami – mówi profesor Łazuga.

W 1871 roku w Bazarze zawiąże się spółka akcyjna budowy Teatru Polskiego. Cztery lata później narodowa scena wystawi „Zemstę” Aleksandra Fredry, ktoś zagra poloneza Chopina.

W Bazarze powstanie też Towarzystwo Czytelni Ludowych: w małych miasteczkach powstaje sieć polskich bibliotek. Działa tutaj Centralny Komitet Wyborczy – ustala polską listę kandydatów do Sejmu Pruskiego i Parlamentu Rzeszy.

Dawne kasyno zastąpiło Koło Towarzystwie: trzysta osób, część „skompromitowanych politycznie” – ocenia pruska policja. Wśród nich hrabiowie: August Cieszkowski, bracia Tytus i Jan Działyński, a także młynarz Józef Esman ze spolszczonej niemieckiej rodziny. Raz na zebranie wpada Marcin Kasprzak: zwolennik Ludwika Waryńskiego agituje za rewolucją. Wyrzucają go z sali.

W 1913 roku Bazar świętuje 50. rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Była msza, uroczysty obiad, na akademii recytują Jana Kasprzaka:

„Niech będzie wzgardzony

Kto tchu się tego zaparł,

Kto się w niewolniczym ugina służebnictwie

Przed celnym obliczem przemocy!”

Policja rozpędza zebranie. Wychodzący śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła”.

1914-1918 WOJNA TRZECH PANÓW

Marcinkowski pewnie by się ucieszył. Też marzył o „wojnie trzech panów”.

OGŁOSZENIE

Kraj/34427505

Powstanie Wielkopolskie
ISKRA ZWYCIĘSTWA

ORGANIZATOR

REKLAMA
PARTNER

wyborcza.pl

WIELKOPOLSKA
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Kiedy wybuchła, Bazar na wszystkim oszczędza: mniej gości hotelowych, kuchnię ratują zapasy, zakazano balów i rautów. Kryzys dotknął nawet personel: wysłanych na front mężczyzn zastępują kobiety. Straty lagodzi sprzedaż win, cygar i herbaty.

Za to politycznie się ożywiło. Od 1916 roku w Bazarze działa Naczelna Rada Ludowa – komisarz Wojciech Korfanty będzie miał tu swoją siedzibę. To nielegalny komitet Polaków w zaborze pruskim, współpracuje z Romanem Dmowskim.

Grudzień 1918. W Poznaniu zbiera się Polski Sejm Wielkopolski. Ponad tysiąc posłów z Wielkopolski, Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur chce przyłączenia do Polski. Delegaci obradują w kinie „Apollo”, mieszkają i stołują się w Bazarze.

1918

WIWAT PADEREWSKI!

Ubrał się ekstrawagancko: ciemne palto, kapelusz, długi do kolan biały szal, jak kapłańska stula. Prawą dłonią (a jakże! w białej rękawiczce) pozdrawia wiwatujących na peronie.

„Wiwat Paderewski!”, „Niech żyje wolna Polska!” – słychać z tłumu.

Co roku w drugi dzień Bożego Narodzenia na Dworcu Letnim odbywa się inscenizacja przyjazdu Ignacego Jana Paderewskiego do Poznania.

W grudniu 1918 pianista wyruszył w towarzystwie angielskiej delegacji z Londynu do Warszawy. Uparł się, że do polskiej stolicy pojedzie przed Gdańsk – chciał zaznaczyć prawo odradzającej się Polski do Bałtyku. Delegacja Poznaniaków zaprosiła go do swojego miasta. W Rogoźnie do pociągu wszedł niemiecki kapitan: zażądał, by Paderewski nie zatrzymywał się w stolicy Wielkopolski. Artysta żądanie odrzucił.

Był wieczór, gdy dotarł na poznański Dworzec Cesarski – tak nazywał się wtedy Dworzec Letni. Powozem udał się do Hotelu Bazar. Czekal tam tłum.

Na starych zdjęciach prawdziwy Paderewski (z gołą głową, bez szala) rozmawia z ludźmi.

W „Najdłuższej wojnie...” też bez kapelusza, biały szal widać spod palta. „Powstań Polsko, skrusz kajdany” – słychać „Warszawiankę”, gdy jedzie z żoną odkrytym powozem.

Następny kadr:

– Po długich latach niewoli Ojczyzna się odradza. Odbudować się musi na tych samych podstawach, na których tu pierwsza budowa poczta została – przemawia. A jednak z balkonu.

– Bo utarło się, że stąd przemawiał – tłumaczy mi Jędrzej Twardowski, gdy stojmy na tym samym balkonie. Prezes chce, żebym się przekonał, że Paderewski nie mógł być stąd usłyszany.

Piętro niżej stajemy przy oknie, z którego mówił, że po latach niewoli Ojczyzna się odradza.

Nazajutrz w Poznaniu wybuchło powstanie.

1918-1919

GWAR I CHAOS

To już 27 grudnia tamtego roku, zmierzcha się. Dyrektor Władysław Kontrowicz stoi z posłem Wojciechem Korfantym przed wejściem do Bazaru. „Wtem słyszymy wystrzał” – Kontrowicz opisze początek powstania.

W południe Niemcy urządzili manifestację: na ulicy Święty Marcin zrywali polskie, amerykańskie, brytyjskie i francuskie flagi. Wybuchły zamieszki. Dwieście metrów od Bazaru ginie Franciszek Ratajczak – pierwsza ofiara powstania wielkopolskiego.

– Dla bezpieczeństwa Paderewskiego przeprowadzono w głąb hotelu – opowiada Jędrzej Twardowski. Mówi, że w czasie remontu elewacji robotnicy znaleźli w piaskowcu kilka nabozi z tamtych czasów – dowód, że w stronę Bazaru też strzelano.

„W Bazarze panował gwar i chaos, mieszanina wojskowych z cywilami” – Kontrowicz opisuje pierwsze powstańcze dni. Hotel stał się składnicą broni, z ulic znosi się rannych, swoją kwaterę urządził tu naczelny dowódca generał Józef Dowbor-Muśnicki.

Tymczasem dyrekcja i obsługa zastanawia się, czym nakarmić gości. Trzeba urządzić pożegnalne przyjęcie dla Paderewskich, którzy w Sylwestra odjeżdżają do Warszawy.

A Paderewski leży w łóżku. Oficjalna wersja: zmoęła go choroba po przebytej hiszpance. A może niemoc była

dyplomatyczna – przyjechał z międzynarodową delegacją, a wywołał powstanie
Do Sylwestra z hotelu Paderewski nie wychodził.

1919-1939

TO BYŁY BALE

Trzeba zrezygnować z obrotowych drzwi – są zbyt kosztowne. Poznańska gospodarność każe oszczędzać, wydatków sporo: na odnowienie czekają pomieszczenia hotelowe.

W 1938 roku Bazar kończy sto lat. Na uczestników uroczystości patrzą z portretów Karol Marcinkowski i Maciej Mielżyński. – Do bardzo pięknego i starego Bazaru gazy zaborców nie doszły – przewodniczący rady nadzorczej Stefan Twardowski cytuje Wojciecha Kosaka.

Przez całe Dwudziestolecie odbywają się tu ważne narady, działają stowarzyszenia, zbierają się wielkopolscy działacze Obozu Zjednoczenia Narodowego.

– Czy w Dwudziestoleciu Bazar był endecki? – pytam Jędrzeja Twardowskiego.

– Spotykali się tutaj ludzie o różnych poglądach – odpowiada.

Jak dawniej, są sklepy, hotel, dobra restauracja. W piwnicach leżakują wyborne wina – wartość trunków dorównuje wartości hotelu. Nad całością czuwa nowy dyrektor Edward Kujaciński.

– A tutaj odbywały się słynne bale – Jędrzej Twardowski przyprowadził mnie do Sali Białej.

W karnawale bawi się na nich poznańska i wielkopolska elita. Bazarowe bale mają ziemianie, kupcy, literaci, dziennikarze, korporacje akademickie.

„Czarna, dżdżysta noc karnawałową rozświetlają błędne ogniki bajecznie złotych i lśniących szat” – w ówczesnej manierze opisywał bal z 1931 roku „Kurier Poznański”.

Za to Stanisław Krokowski z Korporacji Akademickiej Chrobria ułożył ironiczny wiersz:

„Młode babcie, hochsztaplerzy

Letnie piwsko, czysta whisky

Foksteriery, fordansery...

Brudne ręce i sumienia,

Zadzierzyste sztuczne loki,

W kółko, w kółko bez wytchnienia”.

Ostatni przedwojenny bal odbył się w czerwcu 1939 roku. Bawili się maturzyści.

1939-1945

KTO WYPIŁ WINO

Gauleiter Arthur Greiser każe oprowadzić się po Bazarze polskiemu dyrektorowi. Gdy Kujaciński odmówi, namiestnik Kraju Warty znajdzie usłużnych pracowników. Kujaciński trafi do obozu.

Posener Hof – tak Bazar nazwą okupanci. Wstęp mają tylko Niemcy. Winiarnię i piwnicę z winem przejmuje Greiser. Najlepsze roczniki wypija ze swoim dworem albo wysła do Kancelarii Rzeszy.

W styczniu 1945 roku na Bazar spadają bomby, wybuch pożar. W piwnicach zostało jeszcze wino.

Prezes Twardowski przypomina anegdotę, jak w ocallej części zakwaterował się oddział Armii Czerwonej. – Gdy żołnierze się popili, dowódca kazał wysadzić piwnice – opowiada. – Uznał, że jeśli nie zniszczy alkoholu, nie będzie miał kim walczyć.

1945-1987 i 1990-2026

STRÓŻ POTRZEBNY

Najważniejsze: odgruzować co się da i otworzyć sklepy na parterze. Za wszystko odpowiada znowu Kujaciński – ludowa władza mianowała go lokalnym pełnomocnikiem do spraw gospodarczych. Kujaciński zatrudnia stróża – zniszczony gmach trzeba pilnować przed szabrownikami.

W 1950 roku hotel przejmuje Orbis. Dopiero w wolnej Polsce budynek wraca do prawowitych właścicieli. Spółka do dziś przywraca Bazar do dawnej świetności: działa restauracja, są sklepy, firmy wynajmują lokale, powstaje prestiżowy hotel.

Jędrzej Twardowski to wnuk Stefana, ostatniego przedwojennego prezesa rady nadzorczej Bazaru.

– Czuję presję historii, żeby tego wszystkiego nie zlekceważyć – mówi.

Co czytał Sienkiewicz

Kogo tu nie było?

Z literatów między innymi Henryk Sienkiewicz – w 1880 roku czytał nowelę „Za chlebem”.

Artyści:

Franciszek Liszt – dał koncert.

Henryk Wieniawski – koncertował tu pięć razy.

Helena Modrzejewska – występowała na cele charytatywne, wydawano dla niej bankiety.

A jeszcze politycy:

Józef Piłsudski – w 1919 przyjechał fetować przyłączenie Wielkopolski do Niepodległej.

Władysław Grabski – dwukrotny premier, który wprowadził polską złotówkę, był dwa razy.

Charles de Gaulle.

Jędrzej Twardowski zapewnia: – Wbrew plotkom, na pewno nie gościł u nas Adolf Hitler. ●

Korzystałem z: Kronika Miasta Poznania, „Bazar”; Witold Jakóbczyk, „W poznańskim Bazarze 1838-1939”; Marcelli Motty, „Przechadzki po mieście”; Stanisław Karwowski, „Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego”.



• Przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego do Poznania, z prawej jego żona Helena, 26 grudnia 1918 FOT. NAC

PRZYPADKI

CZŁOWIEKA OSOBNEGO

Autobiografia Zygmunta Baumana „W pierwszej osobie” pochłonęła mnie, lecz jest szczególna, bo bardziej przypomina jego eseje socjologiczno-filozoficzne niż standardowe pisanie o sobie. Autor przede wszystkim objaśnia rzeczywistość, w jakiej przyszło mu dojrzewać i żyć, oraz docieka, co go kształtowało. A było to w znacznej mierze poczucie osobności, wykute jeszcze w dzieciństwie w konfrontacji z antysemityzmem Polski międzywojennej. Toteż w tym autobiograficznym eseju, idąc za swoją uwewnętrzną osobnością, Bauman niemal zupełnie pomija – poza rodziną – osoby, z którymi dzielił trajektorie życia. Nie przedstawia kręgu przyjaciół, współpracowników i współpracowników.

Sam zresztą określa się jako wieczny „wędrowiec” czy „wędrujący pielgrzym”, niepewny, dokąd pielgrzymuje. I skupia się na analizowaniu kontekstów tego wędrowania przez epoki, terytoria, lecz także wybory etyczne i ideowe.

Pisze Bauman, że los każdego człowieka to jego charakter oraz przypadki. I jak konstatuje z dozą goryczy, choć był dzielny, jakiejś dzielności mu w życiu zabrakło. Ale też świat uwikłał go w serię przypadków, stanowiących centrum naszej historii XX wieku. W żydowskość i antysemityzm, w Zagładę i ucieczkę przed nią do Związku Sowieckiego, w komunizm i kontestację tego systemu. W wypadki Marca 1968 i kolejną eksplozję antysemityzmu oraz polowania na środowiska intelektualne. Właśnie do 1968 roku doprowadza Bauman autobiografię, rzadko wyprawiając się w późniejsze lata na emigracji. Bo uformowało go polskie życie i przywiązanie do Polski, mimo że nader często, także współcześnie, chciano zrobić z niego, polskiego Żyda, obcego Żyda w Polsce.

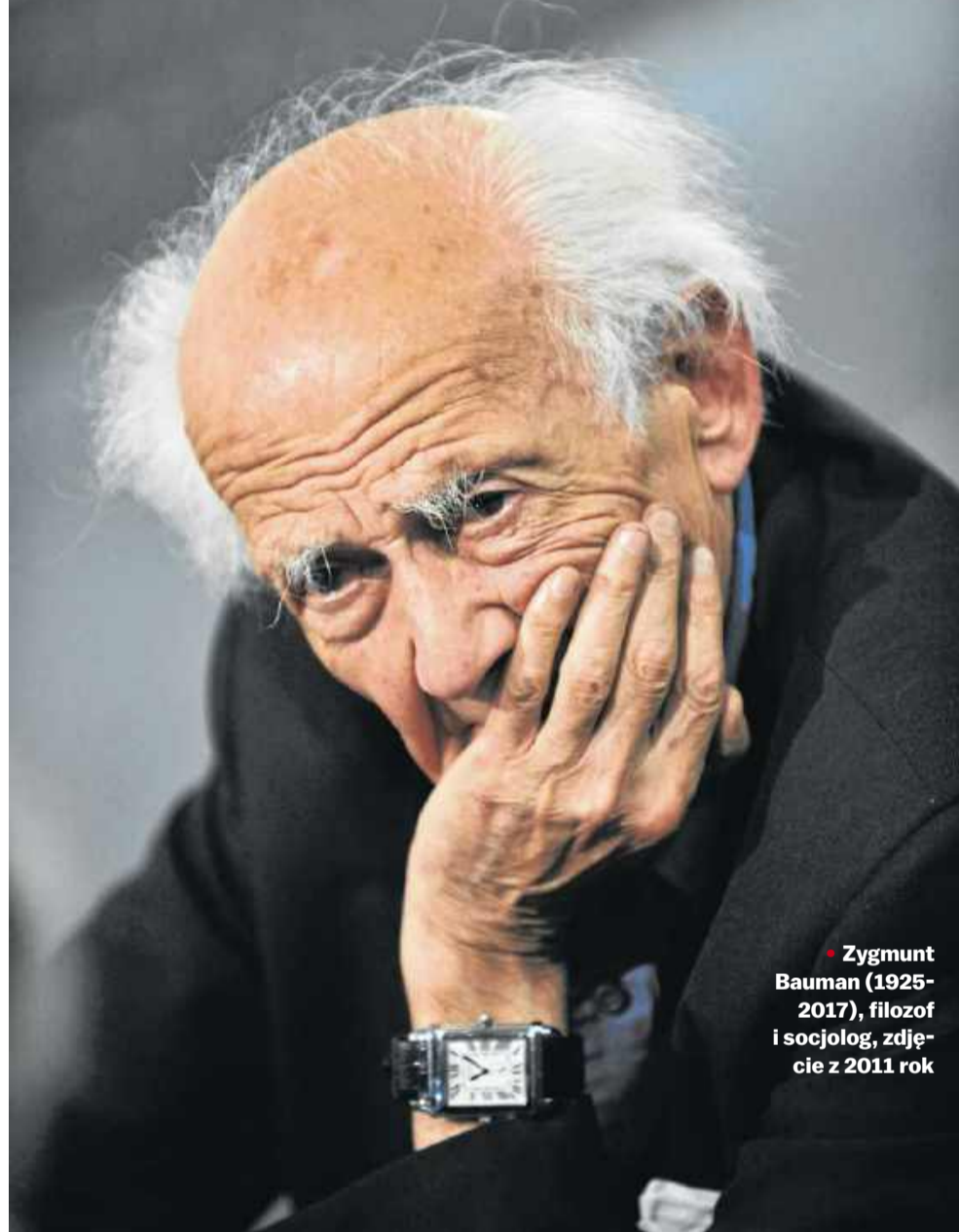
JEDYNY „ŻYDEK” W SZKOLE

Pierwszego doświadczenia obcości zaznał w dzieciństwie. Jego temperament i konstrukcja fizyczna zbiegły się z pochodzeniem. Urodził się w 1925 roku w rodzinie „żydowskiej z losu, a polskiej z wyboru”. Dla matki, córki przedsiębiorcy z Włocławka, kształconej w polskich szkołach, droga do „nowoczesności wiodła wprost do kultury polskiej”. Niemal nie znała języka żydowskiego.

Ojciec, pochodzący z żydowskiej klasy średniej w Poznaniu, uczył się w chederze, żydowskiej szkole, potem prowadził przedsiębiorstwo, lecz bez powodzenia, bo nie nosił tego swojego fachu. Co rekompensował sobie samouctwem, nauczył się, na przykład, biegle kilku języków. I był, jak pisze Bauman, syjonistą-marzycielem; wymarzył sobie Syjon, ojczyznę Żydów, jako piękne, demokratyczne i sprawiedliwe dla wszystkich państwo. Wpłynęło to na późniejszy krytyczny stosunek Baumana do realnego Izraela.

Asymilacyjne aspiracje matki sprawiły, że rodzina osiadła w poznańskich Jeżycach, eleganckim miejscu polskich elit.

„Byliśmy jedyną – pisze Bauman – na Jeżycach rodziną żydowską, więc należeliśmy do



Zygmunt Bauman (1925-2017), filozof i socjolog, zdjęcie z 2011 rok

Chętnie pospierałbym się z Zygmuntem Baumaniem w kwestii jego uniwersalnej niewiary w szansę na lepszy świat i przyzwoitą Polskę.

Marek Beylin

kategori, na którą z wysoka i z mało ukrywaną pogardą i drwiną spoglądali inteligenci i potomkowie rodów szlacheckich kształtujący charakter dzielnicę”.

W szkole nie było lepiej, młody Bauman, jedyny w niej Żyd, był sekowany przez rówieśników i z powodu żydostwa, i dlatego, że nie uprawiał żadnych sportów; „hańba otyłości dodała się do zmazy urodzenia”. Toteż nauczyciele, żeby chronić chłopca, nakazali mu siedzieć na przerwach w klasie. Co potęgowało jego odosobnienie. Niebezpieczne były też ulice, bo „paru młodzieńców z okolicznych domów jakby się zmówiło, by nie przepuścić wybornej okazji do puszczania wodzy językowi i rozruszania mięśni, jaką był jedyny w okolicy, a nadto opasły, niezdar-

ny i z pewnością niezdolny do stawiania oporu »żydek«”.

Toteż Bauman czytał i, jak pisze, szybko wyuczył się podstawowych polsko-żydowskich prawd tamtych czasów. Że, po pierwsze, samym swym istnieniem drażni otoczenie. I po drugie, „aby uzyskać równą innym ocenę, starać się musi o wiele od owych innych gorliwiej. A jeśli tak właśnie postąpi, będzie mu to za arogancję, nadgorliwość i natręctwo, a więc za powód do odmówienia uznania po czytane”.

DUMNY POLAK

Wybuchła wojna. Niemcy bombardowali Poznań i zbliżali się do miasta, więc Bau-

manowie uciekli do Włocławka, by znaleźć schronienie u rodziny matki. Była z nimi starsza siostra Zygmunta wraz z mężem, mieszkający w Palestynie, wówczas rządzonej przez Wielką Brytanię, którzy w końcu sierpnia 1939 roku przyjechali w odwiedziny do Poznania. Ale Włocławek szybko zajęli Niemcy i nastąpiła wstępna faza Zagłady, wtedy jeszcze tak nierozpoznana: Żydom kazano nosić przyszyte na plecach żółte trójkąty.

W tym horrorze zdarzył się cud, mechanizm Zagłady zmieszał się z biurokracją prawa. Niemcy pozwolili siostrze i jej mężowi wrócić do Palestyny. Zarezerwowali im miejsca w pociągu i dobry hotel w Berlinie. Zapewniali, że podczas podróży będą pod opieką rządu III Rzeszy. Toteż pewnego dnia Włocławek ujrzał egzotyczny orszak. Siostra z mężem szli na dworzec w towarzystwie esesmanów, zagadywani przez nich i traktowani jak ludzie. A za nimi podążała reszta rodziny, ignorowana, jak to podludzie, przez Niemców.

Głównie matka nie mogła ścierpieć statusu podczłowieka i wszystkich upokorzeń, Baumanowie postanowili więc uciec na wschód, pod okupację sowiecką. Co bez wątpienia ich ocaliło, bo, jak konstatuje Bauman, „procent Żydów polskich, którzy przyplacili niemiecką okupację życiem, był mniej więcej ten sam, jak procent nieżydowskich Polaków, którzy uszli z niej cało”.

Osiedli na terenie dzisiejszej Białorusi i jak na tamten czas, wiodło im się jako tako. Ojciec dostał posadę księgowego w przedsiębiorstwie i przerażało go, że wszyscy kradną; matka zdobyła renomę jako garnizonowa kucharka. A Zygmunt poszedł do szkoły i, jak notuje, po raz pierwszy uwolnił się od „żydowskiego garbu”, ponieważ nie było tam antysemityzmu, przynajmniej jawnego. Białoruski nacjonalizm istniał, lecz kierował się głównie przeciw Polakom. W efekcie – również po raz pierwszy – Zygmunt funkcjonował jako „prawdziwy Polak”, podejrzan z powodu swej polskości i polskiego wykształcenia. Napawało go to dumą.

I JAK TU NIE ZOSTAĆ KOMUNISTĄ?

Znów nastąpiła wojna, w czerwcu 1941 Hitler uderzył na Związek Sowiecki. Baumanów ewakuowano na południowy wschód Rosji, do Wachtanu, gdzie jak wielu innych, ciężko pracowali, cierpieli głód, zaś młody Bauman pilnie się uczył. W tej beznadziei wiosną 1943 roku przyszedł radosny moment: Zygmunt usłyszał w radio (we wszystkich domach były głośniki podłączone do centralnego radiowęzła), że w Moskwie powstał Związek Patriotów Polskich, który wydaje pisma „Wolna Polska” i „Nowe Horyzonty”. Zaprenumerował oba i czytając, doznał olśnienia. „Napawałem się wizjami – pisze – jakich przedtem sobie nie wyobrażałem: przyszłej Polski – kraju wolności i sprawiedliwości, nieznanym głodem, nędzą i bezrobocią”. Zachwycał się też zapowiedziami, jak „w sprawiedliwym społeczeństwie rozkwitnie i wzniesie się na niespotykane dotąd szczyty polska kultura”. Tak zaczął wierzyć w polski komunizm.

Pewnego dnia, tuż przed osiemnastymi urodzinami, otrzymał nakaz mobilizacyjny do moskiewskiej milicji. Miał regulować ruch uliczny na Arbacie. Ta uliczna milicja składała się w dużej mierze z podejrzanymi osobnikami: Polaków, Litwinów, Łotyszy, takich, którzy raczej nie nawiążą kontaktu z miejscową ludnością. Bauman wytrzymał kilka tygodni, źle się czuł, jak stwierdza, musząc nadzorować nieszczęsnych ludzi udręczonych wojną. Gdy więc dowiedział się, że w Charkowie organizuje się polskie wojsko, wystąpił z milicji, zgłaszając się do 1. Armii Wojska Polskiego.

O CO WALCZYLIŚMY POD KOŁOBRZEGIEM?

Nowe wojsko potrzebowało Polaków przynajmniej jako tako wykształconych, zaś Bauman, który zdążył zaliczyć rok studiów, wyróżniał się na tle innych. Skierowano go więc do pracy politycznej. A linia zwierzchnictwa, by w szeregach armii było jak najwięcej Polaków, zaowocowała nieoczekiwaną propozycją: „jesteśmy armią polską, a powiedziałaś, że czujesz się Polakiem. To, co byś myślał o ładnym a niezbitym polskim nazwisku?” – usłyszał. Odmówił. Uznał to za akt antysemityzmu, choć znacznie lżejszy niż to, czego doświadczał przed wojną.

Jako oficer polityczny był na pierwszej linii frontu, pod Kołobrzegiem, został ranny i odznaczony. Wspominając to, Bauman gorzko konstatuje: „pół wieku musiało od tego dnia minąć, bym się dowiedział z ojczy- stych gazet, że wszystko to, co wraz z towa- rzyszami broni robiłem, odbywało się w imię zniewolenia, a nie wyzwolenia ojczyzny... To pomówienie zabolalo okrutnie”. I cytuje tekst Jerzego Urbana z 2007 roku, że owi „przyradzieccy” żołnierze, którzy masowo ginęli w walkach z Niemcami, „nie wiedzieli, że odchodzą na tamten świat dla zniewole- nia swego kraju”.

Czy więc polskie oddziały, wchodząc na teren Niemiec, czyli przyszej Polski, „zniewalały owe niemieckie ziemie, czy też je już wyzwalały?”. Nie przywykłem do pozytywnego przywoływania Urbana, cóż jednak począć z tym, że to on opisał absurd takiego myślenia?

Tuż po wojnie dywizję Baumana wcielono do KBW (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego), specjalnej formacji wojskowej podporządkowanej Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Korpus zwalczał resztki poakowskiego i ukraińskiego podziemia, uczestniczył też w akcji „Wisła” w 1947 roku, czyli w etnicznej czystce ludności ukraińskiej, polegającej na masowych deportacjach w głąb Polski. Bauman nie brał udziału w zbrojnych akcjach. Chciał zresztą pójść do cywila, lecz uznał, że ważniejsze są obowiązki wobec kraju.

„W tym samym duchu – pisze – ostrzegłem propozycję wstąpienia do PPR, a także i współpracy z »informacją wojskową« [kontrwywiadem stanowiącym ważną część stalinowskiego aparatu terroru]”; „jak na żółtodzioba przystało, o tych sprawach wiedziałem tylko z powieści i sądziłem, że pomoc kontrwywiadowi jest dla oficera oczywistym patriotycznym obowiązkiem wobec sił zbrojnych i państwa, którego broni”.

NIEZŁOMNA WIARA W POLSKĄ DROGĘ

Szczęśliwie dla siebie, w 1953 roku został wydalony z KBW na fali antysemityzmu rozpętanego przez Stalina pod koniec jego życia. Za powód/pretekst posłużyło to, że ojciec Baumana odwiedzał ambasadę Izraela.

Tak stał się cywilem i mógł rozpocząć studia oraz karierę naukową. Jak widzi siebie w owym czasie? Długo trzymał się komu-

nistycznej wiary. Wprawdzie odpychały go różne praktyki władzy, ale nadzieja, że partia „zrozumie i uzna swoje błędy, zawróci z fałszywej drogi, kołatała się uparcie jeszcze i przez czas jakiś potem, gdy mądrzejsi ode mnie koledzy, jak Leszek Kołakowski, doszli już do wniosku, że nie o błędy tu idzie, ale o systemowe założenia”.

Jeszcze po referacie Chruszczowa w 1956 i „nazwaniu stalinowskich zbrodni po imieniu” spadła mu z oczu „kolejna luska, a nie ostatnia”. Wciąż wierzył w możliwość polskiej, niesowieckiej „drogi do socjalizmu”. A trzymały go w tej wierze dawne powody przystąpienia do komunizmu. I nadzieje na

Jako oficer polityczny był na pierwszej linii frontu. Wspominając to, Bauman gorzko konstatuje: „pół wieku musiało od tego dnia minąć, bym się dowiedział z ojczy- stych gazet, że wszystko to, co wraz z towarzyszami broni robiłem, odbywało się w imię zniewolenia, a nie wyzwolenia ojczyzny...”

kres wojen oraz bestialstw. I pamięć Polski przedwojennej. Bo nawet „patrioci niekoniecznie z komunizmem sympatyzujący, sądzili, że korzenie polskiej niedoli sięgały głęboko; a radykalna niedola, jak słusznie uważali, wymagała radykalnego lekarstwa”. W tym duchu Bauman przypomina, jak zwierzył mu się kiedyś wybitny socjolog, niekomunista Stanisław Ossowski: „gdy w sierpniu 1939 twierdzię w Modlinie, do której go skierowano w ramach mobilizacji, obiegała pogłoska, że Beck dogadał się z Ribbentropem i że wojny nie będzie, przeraził się i wpadł w rozpacz: a więc wszystko ma pozostać po staremu”.

STOSUJCIE „UPARTY IDEALIZM”

Radykalny kres tej wiary przyszedł w 1968 wraz z antysemitycznym pogromem i brutalną rozprawą ze zbuntowanymi studentami oraz z polską inteligencją. Bauman, publicznie znany socjolog i rewizjonista, profesor na Uniwersytecie Warszawskim, stał się jednym z głównych wrogów reżimu. Wylano na niego kubły pomyj, piętnowano go i demaskowano jako zdradzieckiego „syjonistę”, czytają: Żyda. Oczywiście, wywalono go z uczelni. Wraz z rodziną wyemigrował do Anglii i osiadł na uniwersytecie w Leeds.

Jak wynika z jego autobiografii, stracił wtedy resztki wiary. Nie tylko w „polską drogę do socjalizmu” czy socjalizm uniwersalny, lecz w ogóle w możliwość naprawiania świata. Tłumaczył nawet kiedyś swym kolegom, brytyjskim socjalistom, że takie naprawy próby źle się kończą, co spotkało się z bardzo chłodną reakcją. Już w podeszłym wieku, gdy pisze „Autobiografię”, wyrzuca sobie tę postawę, nazywając ją brakiem dzielności.

Bo „im bardziej jednostka wierzy, że brak jej mocy, tym jej trudniej w sobie się mocy doszukać i zdobyć na jej użycie”. Warto więc stosować w życiu „uparty idealizm” – pisze Bauman, przywołując sformułowanie Marii Janion. W Polsce takimi uparciuchami byli choćby Jacek Kuroń i Adam Michnik. „Ulepszyli świat przynajmniej na tyle, by niższą niż dawniej cenę wypadła dziś płacić za nadzieję, odwagę i upór, a więc łatwiej nieco było o życie zgodne ze wskazówkami, które dawali i którym sami byli posłuszni. Świat zbliżył się o parę kroków do spełnienia postulatów Jacka Kuronia: »prawda (w istocie różne, często sprzeczne prawdy) jest wła-

wychodzą z opresji bez skazy, uczą się czegoś od swych ciemiężców, marzą o tym, by się odplacić prześladowcom, a pod ich nieobecność, zastępczo, reszcie świata”. Żydom też grozi to, że „przekonani o swojej świeżo uzyskanej mocy, mocy pięści i miecza (...) zaczną raptownie zapominać o tym, co dla pociechy powtarzali za swymi świętymi księgami przez stulecia, że na przykład człowiek »powinien zawsze przylączyć się do tropionych, a nie do tropiących«, i że lepiej jest »być przeklętym niż tym, co przeklina«”.

Bo ofiary zbiorowych prześladowań, nie tylko Żydzi, lecz także mieszkańcy totalitarnych światów oraz ich następcy mogą popaść w „syndrom przeżytnika”, przechodzący na kolejne pokolenia. A polega on na życiu w lęku, że nas dopadną, co daje nam przyzwolenie, by w obronie sięgać po nieludzkie instrumenty. W skrajnych przypadkach „ceną pozostania przy życiu jest zabicie tych, którzy mogą i chcą, a więc mają cię zabić...”. W efekcie „syndrom przeżytnictwa» podpowiada, że sensem życia jest przeżycie”.

NIEWIARA NAJWYŻSZEGO LOTU

Przygląda się też Bauman współczesnej Polsce, malując ją głównie w czarnych barwach. W czym, jak sądzę, przejawia się przede wszystkim jego rozległa niewiara: i w sprawiedliwy socjalizm, i w sprawiedliwość poza socjalizmem. Ale też świeża pamięć podłości, jakich doświadczył w Polsce od skrajnej prawicy, poświadczających istnienie antysemityzmu i jego bezkarność. Antysemityzmu dziś coraz silniejszego.

Zwraca więc Bauman uwagę na moralne spustoszenia, jakich dokonał totalitaryzm. A wśród nich zajmują go trwałe, jak uważa, postawy manichejskie, sowieckie wzory życia publicznego, opartego na insynuacjach i donosach, oraz hipokryzja, zwłaszcza elit władzy. Hipokryzja prowadząca do tego, że władza nie interesuje się narodem, zaś naród nie słucha tego, co mówi władza. A wielką rolę w gruntowaniu owych spustoszeń odegrał PiS.

Chętnie pospierałbym się z Baumanem w kwestii jego uniwersalnej niewiary w szansę na lepszy świat i przyzwoitą Polskę. I w sprawie czarnej wizji człowieczeństwa, która wypełnia się głównie wielopokoleniową reprodukcją strachu i gotowości do przemocy. Bo zawsze żyłem w wierze, że rzeczywistość jest naprawialna, ale tylko wtedy, gdy są osoby, które tak sądzą i coś w tej sprawie robią. I w ten sposób przydają również człowieczeństwu blasku. Tyle że niewiara Baumana jest najwyższego lotu, w dodatku, ma za sobą niemało faktów, więc niełatwo „wierzącym” zmierzyć się z nią. Tym bardziej warto ją poznać i jej posmakować. Warto też ujrzeć Baumana w jego życiowej wędrówce przez nasze czasy. ●



W pierwszej osobie. Wspomnienia

Zygmunt Bauman

Wydawnictwo Agora 2026

STRACENIĄCZA MISJA KATE MARSDEN

Przejechała ponad 13 tysięcy kilometrów przez pustkowia rosyjskiego imperium, bo wierzyła, że w Jakucji rośnie ziele, którym można leczyć trąd.

Iwona Słabuszewska-Krauze

Jeśli Jakut zauważy u kogoś w swoim otoczeniu trąd, to nawet gdyby chodziło o ojca, matkę, brata, siostrę, syna czy córkę, chorego takiego natychmiast wyrzuca się z rodziny i przez resztę jego życia nikt z krewnych się z nim nie kontaktuje. Zostaje on odesłany 10-20 kilometrów w głąb lasu, gdzie musi zbudować sobie chatę i samotnie w niej zamieszkać, czekając na śmierć. Trąd, niemożliwy do wyleczenia, jest uważany za chorobę zesłaną przez diabła – notowała w podróży.

PRZEKŁĘTA GRUŻLIĆA

Kate Marsden urodziła się 13 maja 1859 roku w Edmonton, miasteczku leżącym na północ od Londynu. Jej ojciec Joseph Daniel Marsden był adwokatem z własną kancelarią i miał koneksje na dworze królowej Wiktorii. Matka Sophie Matilda Wellsted wychowywała ósemkę dzieci wedle wiktoriańskich zasad. Kate była najmłodsza spośród rodzeństwa.

Miała 14 lat, kiedy zmarł jej ojciec i rodzina znalazła się w trudnej sytuacji finansowej. Rodzeństwo Kate chorowało na gruźlicę i w kolejnych latach ta choroba zabrała szóstkę z nich. Kate obawiała się, że czeka ją ten sam los, założyła więc, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Zaczęła myśleć o pracy.

Od dziecka lubiła się opiekować innymi, w 1877 roku rozpoczęła więc w Tottenham szkolenie pielęgniarskie w szpitalu prowadzonym przez diakonisy. Panny ze zubożałych rodzin często wybierały zawód pielęgniarki, bo zapewniał wysoką pozycję społeczną i szacunek. Kate, poddana w szkole surowej dyscyplinie, osiągała świetne wyniki.

W nagrodę po ośmiu miesiącach nauki wysłano ją z grupą pielęgniarek do Bułgarii, gdzie pod auspicjami Czerwonego Krzyża udzielała pierwszej pomocy żołnierzom ran-

nym podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Po raz pierwszy zetknęła się tam z trądem. Podczas przeszukiwania zniszczonej wsi stanęła twarzą w twarz z chorymi mężczyznami, „ludzkimi wrakami, których odcięto od innych ludzi, obawiano się ich, pogardzano nimi...”. Było to dla niej szokujące doświadczenie, od tej pory nieustannie myślała, jak pomóc trędowatym.

Po powrocie do Anglii próbowała wyjechać na hawajską wyspę Moloka'i, do miejsca przymusowej zsyłki trędowatych, ale nie otrzymała pozwolenia. Obsesyjnie marzyła o spotkaniu z Louisem Pasteurem, który – jak sądziła – mógł opracować szczepionkę na trąd.

W 1884 roku wyruszyła z matką do Nowej Zelandii, gdzie jedna z jej siostr leczyła się na gruźlicę. Kuracja nie przyniosła efektów i siostra zmarła. Kate pozostała w Wellington, znalazła pracę jako przełożona pielęgniarek w miejscowym szpitalu, ale niestety, uległa wypadkowi – spadła z drabiny, co zmusiło ją do porzucenia stanowiska i rekonwalescencji trwającej kilka miesięcy. Wygłaszała jednak prelekcje o udzielaniu pierwszej pomocy i pomogła w zorganizowaniu pogotowia ratunkowego St. John's Ambulance.

NA SYBERIĘ Z PUDDINGIEM

W 1890 roku rosyjski rząd zaprosił Kate do Petersburga po odbiór odznaczenia za pomoc żołnierzom podczas konfliktu na Bałkanach. Uznała, że to świetna okazja, żeby zrobić coś dla chorych na trąd. Liczyła na wsparcie Rosji, więc przed wyjazdem dzięki rodzinnym koneksjom udało jej się uzyskać audiencję u królowej Wiktorii, a władczyni, poruszona opowieściami o losie trędowatych, wręczyła jej list polecający do carycy Marii Fiodorownej. Kate wyruszyła do Rosji w kwietniu 1890 roku okrężną drogą – przez Palestynę, Turcję i Kaukaz, żeby najpierw sprawdzić, w jakich warunkach żyją tam trędowaci.

W Jerozolimie cieszyło ją, że większość chorych jest dobrze traktowana. W Stambule



• Kate Marsden (1859-1931) opatulona podczas wyprawy do Jakucji i w uniformie Czerwonego Krzyża

FOT. ROYAL GEOGRAPHICAL SOCIETY VIA GETTY IMAGES (2)

W 1890 roku rosyjski rząd zaprosił Kate do Petersburga po odbiór odznaczenia za pomoc żołnierzom podczas konfliktu na Bałkanach. Uznała, że to świetna okazja, żeby zrobić coś dla chorych na trąd.

było z tym gorzej, jednak to podczas pobytu w Turcji pewien angielski lekarz opowiedział jej o tajemniczym ziele, które leczy trąd i rośnie w odległej Jakucji. „Gdyby to była Kamczatka albo biegun północny, też spróbowałabym tam dotrzeć”, powiedziała później.

Marię Fiodorownę wzruszyło poświęcenie angielskiej pielęgniarki i przekazała jej tysiąc rubli oraz list polecający, żeby mogła dotrzeć do Jakucji. List był ważniejszy, bo zapewniał pomoc władz wojskowych, administracji i urzędników na Syberii, miejscu zsyłki więźniów politycznych i przestępców, zamkniętym dla ciekawskich, zwłaszcza z Zachodu. Podczas trzymiesięcznego pobytu w Moskwie Kate zaprzyjaźniła się z angielską misjonarką Adą Field, która ewangelizowała zesłańców. Postanowiła towarzyszyć jej w drodze na Syberię. Razem przygotowywały się do wyprawy „jak panny młode tydzień przed ślubem” – pisała.

Kolej transsyberyjska jeszcze nie istniała. Do Jakucji można było dotrzeć tylko saniami pocztowymi albo wozem konnym. Klimat był zabójczy, a teren trudny. Zimą do pokonania bezkresy śniegu i lodu, temperatura czasem spadała do minus 50 stopni. Latem brnięcie przez błoto i mokradła z komarami. Łatwo

było paść ofiarą rabusiów. Na drodze stawały stada wilków. W samej Jakucji, u kresu wyprawy, brakowało wszystkiego.

Podróżnikom radzono, by zabrały konserwy, ale w bagażu Kate znalazły się przede wszystkim suchary, cukier, angielska herbata i 20 kg angielskiego puddingu bożonarodzeniowego, bo „ten pyszny deser jest odporny na mróz, a poza tym uwielbiam go”. Zabrała też kilkanaście kilogramów świec i pudełek z knotami do lamp oliwnych, bo słyszała, że w Jakucji to towar deficytowy. Sporo czasu zajęło skompletowanie garderoby. Jedno z archiwalnych zdjęć przedstawia Kate gotową do drogi – opisuje, że ma na sobie bieliznę myśliwską, stanik podbity flanelą, gruby pikowany płaszcz z puchu kaczego, na to zarzucony barani kozuch i obszerną pelerynę ze skóry renifera. Na stopach męskie skarpety owinięte onucami myśliwskimi i rosyjskie filcowe walonki sięgające powyżej kolan. Podczas jazdy wkładała jeszcze nogi do futrzanego worka. Nie było w tym stroju przesady. Jedyny problem stanowiło wsiadanie i wysiadanie z sań – Kate nie była w stanie zrobić tego sama.

UZNANA ZA SZPIEGA

1 lutego 1891 roku obie podróżniczki wyruszyły z miejscowości Zlatoust we wschodniej części Uralu. Dla ochrony towarzyszył im żołnierz, stangret powoził saniami. Nocowali na stacjach pocztowych, gdzie „fala smrodu i ciepła odrzucała od wejścia, a zimno i głód wpychały z powrotem...”. W Irbitcie spotkały handlarza jeżdżącego do Jakucka, ale ten o czarodziejskim ziele nic nie słyszał. Odwiedzały więzienia i obdarowywały skazanych smakołykami. Ada rozdawała egzemplarze Biblii, co jednak mijalo się z celem, skoro większość więźniów była niepiśmienna.

Kate zanotowała, że skazani żyją w strasznych warunkach. W jednym z więzień zgromadzono dwieście osób w celi przeznaczonej dla siedemdziesięciu, skazani byli skuci łańcu-

chami od pasa do kostek. Inni szli do obozów pracy w cienkich ubraniach. Widziała niemowlęta i dzieci jadące w saniach z matkami, które towarzyszyły w zesłaniu mężom. Bala się krytykować warunki życia na zsyłce, bo jej misja mogła się skończyć. Zresztą, mimo wsparcia carycy i tak uznano ją za szpiega. Tajna policja ani nikt inny przy zdrowych zmysłach nie wierzył, że dobrowolnie podjęła tak niebezpieczną wyprawę.

Najtrudniejszy okazał się odcinek od Irbitu do Tiumenta, bo droga wiodła przez teren przypominający „zbombardowane miasto”, pełen kraterów i lodowych złomów. Zajazd, w którym miały się zatrzymać, był drewnianą ruiną, a za posłanie ofiarowano im jeden materac. Innym razem ich sanie zapadły się w śnieg, koń się zerwał z zaprzęgu i uciekł w czerni nocy. Do Omska dojechały chore. Na szczęście gubernator zaprosił je do swojego pałacu, w którym leczyły się przez dwa tygodnie. Stan zdrowia Ady Field był jednak tak poważny, że lekarze kazali jej wracać do domu, Kate straciła towarzyszkę.

Kiedy śniegi zaczęły topnieć, zmieniła transport na tarantas, rodzaj wozu na wysokich kołach, który nie miał siedzeń i resorów, a podróżni jechali na swoich bagażach. Nie był to pojazd wygodniejszy od san. Pokonywanie nim rzek było igraniem z ogniem. „Krećło mi się w głowie, kiedy słyszałam, jak lód łamie się z trzaskiem – pisała – ale wiedziałam, że jestem w rękach Boga i nic mi się nie stanie, póki nie dotrę do celu podróży, do trędowatych”.

BŁOTO, KOMARY I MOKRADŁA

W Irkucku spotkała się z gubernatorem, który okazał się energicznym i chętnym do pomocy człowiekiem. Założył komitet, w którego składzie oprócz niego znaleźli się: Kate Marsden, naczelnik służby sanitarnej, dwóch arcybiskupów, komendant policji, burmistrz i kilku prominentnych członków społeczności. Pierwsze posiedzenie komitetu odbyło się 1 maja 1891 roku. „To był jeden z najszcześniejszych dni mojego życia”, pisała później Kate. Miała sprawdzić warunki życia trędowatych w dystryktach północnych i przedstawić raport, żeby komitet mógł podjąć decyzję, jak pomóc chorym. Przeczytała też dokumenty sprzed 60 laty – już wtedy wskazywano na konieczność budowy szpitala i domów dla trędowatych, ale nigdy nie podjęto w tym celu żadnych działań. Członkowie komitetu ze wstydem musieli przyznać, że dopiero przyjazd angielskiej pielęgniarki wybudził ich z biurokratycznego letargu.

Pojechała do Jakucka, gdzie miała otrzymać wsparcie podczas odwiedzania kolonii trędowatych. Pewien zamożny kozak wyposażył ją w konie pod wierzch, żeby mogła dotrzeć dalej do Wilujska, i sam zaferował się jako przewodnik. Nie przyznała się, że nigdy wcześniej nie siedziała na koniu.

Ekspedycja składała się z piętnastu osób, które miały ochronić podróżników przed niedźwiedziami w tajdze. Wyruszyli 22 czerwca 1891 roku – jedna kobieta w kapeluszu myśliwskim i męskich spodniach oraz czterem mężczyznom.

Droga z Jakucka prowadziła przez niedostępne mokradła i gęste lasy, konie co rusz zapadały się w błocie. Chmury komarów obsiadały podróżnych, mieli opuchnięte twarze od ukąszeń i poranione ręce. Pierwszego dnia przeżyli apokaliptyczną burzę, podczas której jeden z koni wiozących największą część prowiantu zapadł się w błoto. Od tej pory jedli suchy chleb maczany w herbacie. „Myśl, że trędowaci cierpią jeszcze bardziej niż ja, dodawała mi siłę do znoszenia wszystkiego” – pisała Kate.

W Wilujsku dowiedziała się, że w dystrykcie mieszka w rozproszeniu 70 tysięcy osób i leczy ich jeden lekarz. Nawet zwykli ludzie nie mogli liczyć na jego pomoc, a co dopiero

trędowaci. Już wtedy nie wierzyła w cudowne ziele – gdyby istniało, nie byłoby tu tylu chorych.

W sumie znalazła dwanaście kolonii trędowatych ukrytych w lasach. Cierpieli z powodu głodu i zimna, ropiejących ran i owrzodzeń, część z nich nie miała kończyn i nie mogła się poruszać, innym brakowało powiek, uszu. Była świadkiem konfliktu, kiedy w osadzie trędowatych urodził się noworodek bez oznak trądu, ale pozostawiono go wśród chorych, skazując na śmierć.

HONORY I ZARZUTY

Przejechała w końskim siodle trzy tysiące kilometrów. Mówiono, że nawet mężczyzna urodzony w tamtych stronach nie dokonałby takiego wyczynu. Jednak zmęczenie w końcu dało o sobie znać. Podczas jednej z wypraw leżce wypadły jej z rąk, ściągnięto ją z konia półprzymotną. Lekarz nakazał przerwanie misji.

W Jakucku przedstawiła raport ze swych badań, to samo zrobiła w Irkucku. Komitet miał fakty przed nosem. Zapadła decyzja – gubernator generalny wybuduje cztery tymczasowe baraki dla najciężej chorych, a po zebraniu środków porządnym szpital. Kate mogła wracać do domu.

Spotkała się jeszcze z Adą i przejechała kolejne trzysta kilometrów tarantasem. Wróciła do Moskwy po jedenastu miesiącach podróży. Z pomocą hrabiny Tolstoj oraz księcia następcy tronu założyła fundusz dla trędowatych. Maria Fiodorowna go wsparła. Kate kwestowała również po powrocie do Anglii, później w Ameryce. Zebrała 32 tysiące rubli, darowizna carska wyniosła kolejne 8 tysięcy rubli.

Dzięki zbiórkom 5 grudnia 1897 roku w Wilujsku otwarto wzorcowe leprozorium, z sześcioma budynkami dla pacjentów, laboratorium, cerkwią i mieszkaniem dla lekarza. W kolejnych latach dobudowano dom dla pielęgniarek, bibliotekę, warsztat, założono ogród. Leprozorium funkcjonowało do lat 60. XX wieku, zamknięto go z powodu braku pacjentów.

Kate Marsden została uhonorowana przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Londynie, co w tamtych czasach dla kobiety było ogromnym wyróżnieniem. Królowa Wiktoria podarowała jej złotą broszkę, symbol uznania za działalność humanitarną. W 1893 roku Kate wydała książkę „On Sledge and Horseback to Outcast Siberian Lepers” („Saniami i konno do wykluczonych trędowatych na Syberii”), z fotografiami z odbytej podróży.

Po pewnym czasie zaczęto jednak dyskredytować jej osiągnięcia. Nowozelandzka i amerykańska prasa, zwłaszcza tłumaczka Isabel Florence Haphood, usiłowały dowiedzieć, że opowieści Marsden z Syberii są nieprawdziwe. Zarzucano jej nieuczciwość i defraudację pieniędzy, pojawiły się pogłoski o odmiennej orientacji seksualnej, co w tamtych czasach było piętnem. Zachwiało to wiarygodnością Kate i mimo braku twardych dowodów poważnie nadszarpnęło jej dobre imię. Dziś uważa się, że chodziło bardziej o zniszczenie wizerunku niezależnej kobiety pionierki niż faktyczne zarzuty.

Zmarła 26 maja 1931 roku w Londynie, w wieku 72 lat. Podróż na Syberię trwale nadwyrężyła jej zdrowie i pod koniec życia była ubogą inwalidką. Pochowano ją w nieznanym grobie na cmentarzu w Hillingdon.

Dopiero w 2019 roku w Wilujsku wzniesiono pomnik upamiętniający 160. rocznicę urodzin Kate Marsden. Sfinansowali go mieszkańcy regionu i potomkowie tych, którzy pracowali z trędowatymi. W Londynie postawiono kamień nagrobny w miejscu pochówku Kate, dotąd gęsto zarośniętym chwastami. ●

Źródła m.in. Wolf Kielich „Podróżniczki”, wyd. 2004; Kate Marsden „On Sledge and Horseback to Outcast Siberian Lepers”, wyd. 1892

Stare dobre czasy

Znienawidzona Alfonsina

Stała się dla elit Florencji symbolem tyranii,
bo ukradła miastu jezioro.

Brzezińska



W 1527 roku cała Florencja, która właśnie po raz kolejny pozbyła się Medyceuszy i ogłosiła republikę, nienawidziła Alfonsiny Orsini de Medici – kobiety, która ukradła miastu jezioro. Zarzucano jej, że osuszyła je dla zysku, przez co wszyscy stracili dostawy wodnego ptactwa i ryb. Przekierowała strumienie, usunęła młyn wodny, wyrąbała lasy. Na dodatek nie zapłaciła za grunty. Była tak zachłanna i bezwzględna, że poskąpiła grosza nawet robotnikom wynajętym do siewu pszenicy i prosa na osuszonych polach.

Alfonsina stanowiła dla republikańskich elit użyteczny symbol tyranii, zwłaszcza że nie mogła przedstawić swojej wersji zdarzeń, gdyż zmarła kilka lat wcześniej. Pochodziła spoza Florencji, co w oczach w oczach lokalnych patriotów stanowiło paskudną przywarę. Co gorsza, wydano ją za męża Piotra, najstarszego syna Wawrzyńca Wspaniałego, by skonsolidować sojusz Florencji z Neapolem. Najgorsze jednak, że od połowy 1515 roku aż do roku 1519 faktycznie rządziła Florencją w imieniu swojego syna.

Zarzucono jej nieposkromioną chciwość, pychę i ambicję. Nie mogąc osiągnąć zmarłej, rozjątrzone władze republiki zażądały odszkodowania za zagrabione jezioro od jej wnuczki, Katarzyny, przyszłej królowej Francji, mimo że liczyła wówczas zaledwie osiem lat, nie miała nic wspólnego z tą sprawą i nawet nie była główną spadkobierczynią Alfonsiny. Kiedy te zabiegi zawiodły, rozstrzygnięto, że grunty powinny wrócić do komuny – i znów stać się jeziorem.

Republikanie pomstujący na złośliwość Alfonsiny, która dla własnej korzyści odebrała mieszkańcom Florencji świeżą wodę i świeże ryby, strategicznie przemilczali fakt, że jezioro też było całkiem świeże. Powstało niespełna wiek wcześniej, kiedy florenckie władze spiętrzyły rzekę nieopodal Fucecchio, wskutek czego zalano starorzecze oraz część gruntów uprawnych, zmieniając ekosystem regionu oraz życie okolicznych mieszkańców. Ci nie przyjęli zmian z entuzjazmem. Ślali petycje, żalili się na brak rekompensat i lamentowali, że zamiast jeziora powstało wielkie bagno, gdzie le-

gną się głównie żaby oraz szkodliwe miazmaty, które uszkadzają drzewa oliwne i owocowe, a miejscowych wędzają w choroby.

Florentyńczycy jednak cieszyli się dostawami ptactwa wodnego, węgorzy, szczupaków i linów, póki w początkach XVI wieku władze nie zorientowały się, że same pensje urzędników nadzorujących akwen wynoszą znacznie więcej niż wpływy z podatku od połowów. W 1515 roku jezioro postanowiono więc osuszyć. Alfonsyna użyła wtedy pięcioletnią dzierżawę większości osuszonego gruntu oraz monopol na połów ryb, zobowiązując się dostarczać ich do Florencji 22 tony rocznie. Okoliczni mieszkańcy sprzyjali zmianom, a Florentyńczycy niespecjalnie się mogli sprzeciwić, skoro Alfonsina rządziła miastem.

Niewątpliwie Alfonsina wykorzystała swoją szczególną pozycję, by zarobić na tej inwestycji, ale też energicznie przystąpiła do prac i nadzorowała je osobiście. Zdaje się, że początkowo zdołała poprawić przepływ wody i nawet ryb przybyło. Umarła jednak w 1520 roku, zanim dokończono prace. Jej spadkobiercy je zarzucili i nie zadbałi o wypłatę zaległych należności za wykonane roboty, ale oczywiście bezpiecznie było obwiniać o to zmarłą niż ówczesną głowę medycejskiego rodu, papieża Klemensa VII.

Medyceusze niebawem powrócili do władzy, lecz książę Kosma, nie chcąc rozjątrzać mieszkańców Florencji, zdecydował się otworzyć jezioro. Kiedy to uczyniono, ludzie znów zaczęli umierać na malarię, choć nie w samej stolicy, tylko w Fucecchio i pobliskich miejscowościach, a na to poświęcenie florenckich miłośników świeżych ryb byli gotowi. Ostatecznie w dwa stulecia i wiele epidemii malarii później inny wielki książę Toskanii zdecydował, że można się jednak bez tego jeziora obejść.

Jak przekonująco wykazała historyczka Catherine Kovesi, Alfonsina Orsini odegrała w historii jeziora Fucecchio rolę poręcznego kozła ofiarnego.

Opowieść o chciwej babie odwracała bowiem uwagę od sprzecznych interesów dwóch różnych grup – florenckich konsumentów sprzymierzonych z rybakami i właścicielami zatapianych pól wraz z okolicznymi mieszkańcami trapiionymi malarią – którzy naciskali na władze, usiłując przymusić do zlikwidacji jeziora dla siebie rozwiązanie.

Choć oczywiście i jedni, i drudzy krzyczyli głośno, że chodzi o dobro wspólne. Zaskakujące, jak pojemne się ono okazywało i w następnych stuleciach. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

weekend **ówka**OGRODNIK
I ARCHITEKT

„Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia; żółw jej odpowiedział:
Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda, nie jest wspaniały – szczupły, ale własny”
Ignacy Krasicki, „Żółw i mysz”

Co wiemy o żółwiach? Pierwsze skojarzenie – nie licząc tych popkulturowych, czyli głównie biegłych w sztuce ninjutsu Wojowniczych Żółwi Ninja względnie żółwia Franklina z bajki pod tym samym tytułem – to oczywiście powolne przemieszczanie się, choć żółw z paradoksu greckiego filozofa Zenona z Elei nie dał się doścignąć samemu Achillesowi.

Drugie to skorupa, w której żółw może się schować, wreszcie – długowieczność. Najstarszym z żyjących osobników jest niejaki Jonathan, zamieszkujący Wyspę Świętej Heleny. Napoleona wprawdzie nie pamięta, bo trafił tam w roku 1882, a urodził się, szacunkowo, około roku 1832, ale blisko 200 lat życia budzi duży szacunek. Zresztą, skoro już o wieku mowa, żółwie żyją na Ziemi od przeszło 250 milionów lat.

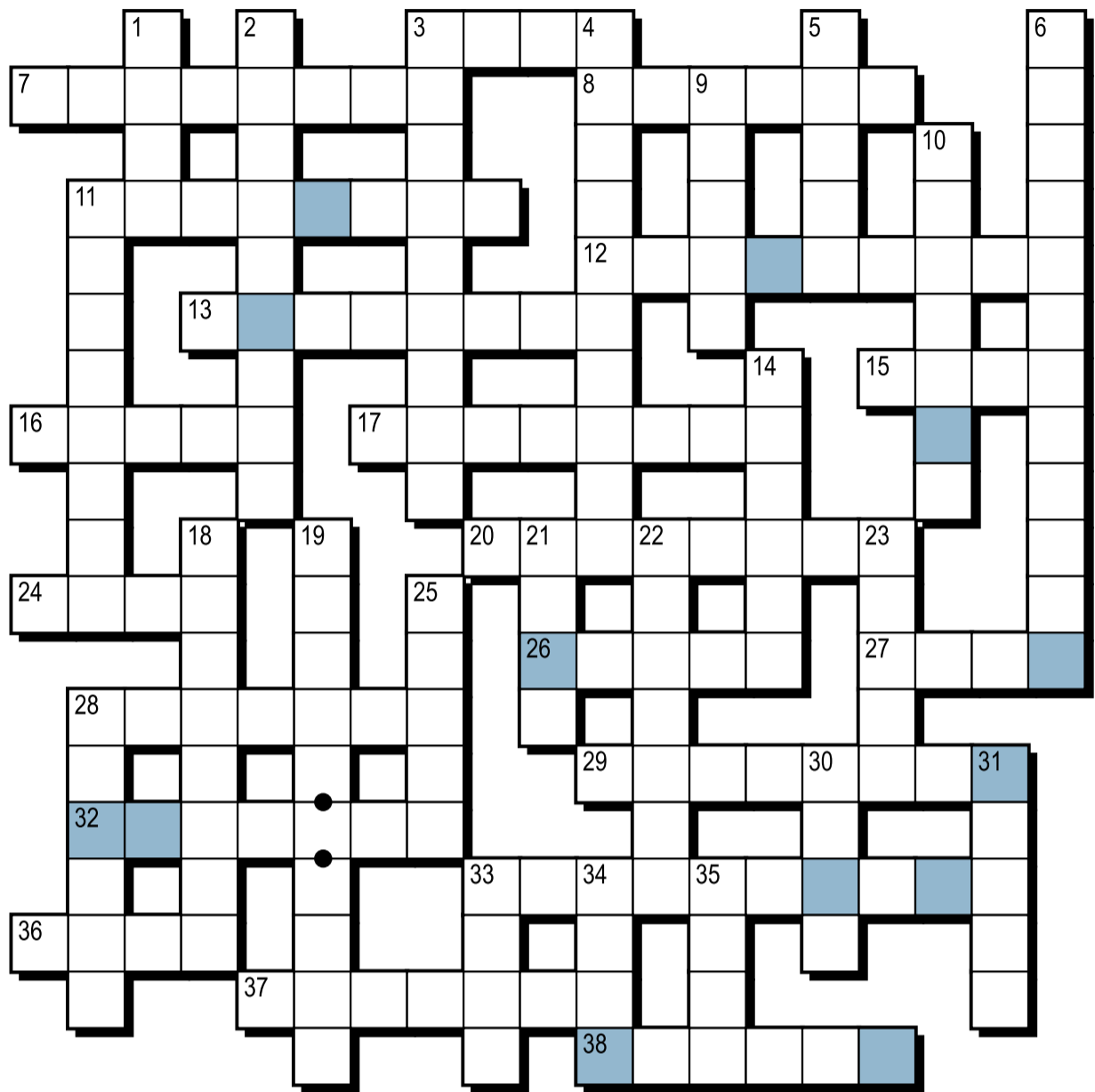
A co do skorupy, to całkiem niedawno dowiedziałem się, że nie jest to po prostu zbroja, w którą żółw się chowa, a część jego szkieletu, bowiem żebra i kręgosłup zwierzęcia są z nią zrośnięte.

Ale ze strony earth.com dowiedzieć się można jeszcze mnóstwa ciekawostek. Choćby takiej, że żółwie żywią się trawą morską i przez to działają jak takie podwodne kosiarzki. Przycięta w ten sposób trawa pozostaje krótką i zdrową, jest lepiej dotleniona, mniej gnije i szybciej odrasta. A dla oceanów jest arcyważna, bo produkuje tlen, pochłania dwutlenek węgla, a także stabilizuje dno morskie no i służy jako schronienie dla młodych ryb. Jednym słowem żółwie są ogrodnikami oceanów i przyczyniają się do prawidłowego funkcjonowania całych podwodnych ekosystemów.

Żółwie słodkowodne z kolei żywią się zdechłymi rybami czy podgniętymi roślinami, i w ten sposób czyszczą zbiorniki wodne. Żółwie żyjące w suchych regionach, by znaleźć trochę chłodu, kopią w ziemi jamy, które potem służą nie tylko im, ale i innym gadom, owadom czy ssakom. Te nory działają zresztą nie tylko jako „altanki” – podczas pożarów ratują zwierzętom życie.

Krótko mówiąc, żółwie to kapitalne i niezwykle pożyteczne stworzenia. Dlatego inicjatywom, takim jak ta amerykańskiej organizacji American Tortoise Rescue, by ustanowić 23 maja Światowym Dniem Żółwia, należy tylko przyklasnąć. I dołączyć się do niej, zapraszając Państwa do „żółwiowej Weekendówki”.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



ŻÓŁWIK!
Literey w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 3)** Świat ... Terry'ego Pratchetta, z Wielkim A'Tuinem – ogromnym żółwiem (w mianowniku)
7) jeden z Wojowniczych Żółwi Ninja
8) był nim Splinter – mentor Żółwi Ninja
11) imię żółwia uznawanego za najstarsze zwierzę lądowe świata (ma blisko 200 lat)
12) rzecz by można: dziecię w szylkrecie
13) ośnają ciała żółwi
15) prosty język programowania, w którym wydaje się komendy żółwiowi
16) żółwie ... wyścigu
17) żółwie do przytulania; maskotki

- 20)** sympatyczny żółw z opowiadań i filmów animowanych
24) „Gdzie jest ...?”, animacja, w której pojawia się żółw Luzak
26) polskie tłumaczenie słowa „loggerhead”, używanego dla jednego z gatunków żółwi
27) ... żółwiowa (w garnku)
28) ... rzymskie, potrafiły walczyć w formacji żółwia
29) grzbietowa część pancerza żółwia
32) wypadek na drodze (do ominięcia, zwykle w żółwym tempie)
33) tu można podziwiać żółwie wodne, rekiny, skorupiaki, meduzy
36) koniec wyścigu
37) np. Kournas na Krecie (można podziwiać m.in. żółwie)
38) narząd ruchu żółwia morskogo

Pionowo:

- 1)** bohaterka powieści Michaela Ende'go, miała żółwia o imieniu Kasjopeja
2) Wyspy Żółwie
3) jeden z Wojowniczych Żółwi Ninja
4) niejedna z przygodami 20 poziomo
5) pokrywają ciało wielu gadów
6) nauka o żółwiach
9) żółwia – z czterema kończynami
10) Godzilla (jaszczur) i Gamera (żółw) z filmów katastroficznych
11) pokarm, żywność
14) barwa charakterystyczna dla żółwi (zwłaszcza tych animowanych!)
18) azjatycki kraj ze Skatą Żółwia
19) filozof grecki kojarzony z paradoksem o Achillesie i żółwiu
21) udzielał ich Mistrz Oogway

- żółw z animacji „Kung Fu Panda”
22) zespół, którego piosenka „Sappy” ma ponoć wiele wspólnego z żółwiem Kurta Cobaina
23) miano
25) żółwia – zwykle długa i elastyczna
28) ... auta, pucowany np. produktami firmy Turtle Wax
30) Poleski ... Narodowy, miejsce występowania żółwi błotnych
31) żółwik z filmu animowanego poszukujący ukochanej Karoli
33) w tylnej części ciała żółwia
34) autor bajki o wyścigu zająca i żółwia
35) marka obuwia sportowego (kilka lat temu wypuściła serię „Turtle”)

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 205 z 16.05:

Poziamo: 4) suchy chleb 5) kupno 8) Andrzej Kopiczyński 12) motyl 13) Warszawa 15) róża 16) Rudzki 19) aktywizacja 22) kierownik 23) Irena 24) Karol 26) ustrój 28) Janusz Rewiński 29) ciotka 30) Madzia 31) aktorka 33) Dzieciot.

Pionowo: 1) dyrektor 2) zespół 3) kobieta pracująca 4) Seniuk 5) kryzys 6) posada 7) Ścibakówna 9) Roman Kłosowski 10) koleżanki 11) Jaworska 14) zęby 17) dieta 18) Marek 20) zwis 21) charakter 24) krawat 25) Stefan 26) ulica 27) mistrz 32) kac. **Hasło: DOBRA KOMEDIA**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992

**CODZIENNIE** w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!





**Pomoc po zawale i udarze.
Dla Ciebie też**

warta.

// **WARSAW PRESS.**

nr 05 / MAJ 2026



CHOROBY PRZEWLEKŁE

www.eksperciozdrowiu.pl

**"Mimo problemów
wynikających
z miastonii
i powikłań
sterydoterapii
nie poddaję się
i doceniam
każdą dobrą chwilę"**

Anna Kośmider

Choruje na ciężką postać
lekoopornej miastonii - str. 4

Choroby układu krążenia

Zagrożenie bez metryki

Str. 3

Miastenia Gravis

Zmienić oblicze choroby

Str. 4-7

Rzadkie zespoły padaczkowe

Nowoczesne leczenie

Str. 8

DEB i perspektywy jego leczenia

Dystroficzna postać pęcherzowego oddzielenia się naskórka wymaga leczenia często już od pierwszych dni życia.



Dr n. med. Hanna Ługowska-Umer
Specjalistka dermatologii i wenerologii

Pęcherzowe oddzielenie naskórka [EB, epidermolysis bullosa] to grupa chorób uwarunkowanych genetycznie. Najcięższą postacią kliniczną jest postać dystroficzna [DEB], wynikająca z mutacji w genie kodującym kolagen VII A1, czyli główne białko kołtujące naskórek do skóry właściwej.

Wadliwa budowa tego kolagenu lub jego brak sprawiają, że przyleganie naskórka do skóry właściwej staje się niewystarczające. Drobny uraz, a nawet zwykły dotyk, prowadzi do odwarstwienia naskórka i powstania pęcherzy. Po ich pęknięciu tworzą się rany, których przewlekły charakter stanowi ogromne wyzwanie zarówno dla pacjentów, jak i lekarzy. Najtrudniej gojące się rany lokalizują się w miejscach narażonych na ucisk, a więc na kolanach, łokciach, barkach, ramionach, kości ogonowej oraz plecach. W cięższych postaciach choroby zajmują również dłonie i stopy, błony śluzowe oraz spojówki. Ponieważ choroba dotyczy też błon śluzowych, choroba może także manifestować się w obrębie narządu wzroku oraz układu pokarmowego. Duże dolegliwości bólowe, ograniczenie aktywności fizycznej powoduje, że choroba wywiera znaczący negatywny wpływ na jakość życia

pacjentów. Z uwagi na ciężki i przewlekły charakter choroby, większość chorych zmaga się z depresją.

Rany w DEB to nie wszystko

Długotrwanie gojące się rany są częstym punktem wyjścia do rozwoju kolczystokomórkowego raka skóry. U pacjentów z DEB nowotwór ten ma niezwykle agresywny przebieg i cechuje się dużym ryzykiem wystąpienia przerzutów. Obecnie chorzy umierają przedwcześnie przede wszystkim z powodu nowotworu, nie zaś, jak dawniej, na skutek sepsy. Ryzyko sepsy udało się zminimalizować dzięki znacznej poprawie jakości opatrunków i środków do dezynfekcji. Niestety, codzienne, wielogodzinne zmiany opatrunków wiążą się z ogromnym bólem.

Objawy kliniczne DEB są zauważalne od razu przy narodzinach lub pojawiają się w pierwszych dniach życia dziecka. Każdy dotyk stanowi uraz, który skutkuje powstawaniem kolejnych pęcherzy i ran. Poważną konsekwencją powtarzających się uszkodzeń w obrębie dłoni i stóp jest wtórne zrastanie się palców oraz ich przykurcze co drastycznie utrudnia codzienne funkcjonowanie.

Uszkodzeniom ulega także błona śluzowa przewodu pokarmowego, co upośledza wchłanianie składników odżywczych. Prowadzi to do przewlekłego niedożywienia. Z tego powodu dzieci zmagające się z DEB mają niższą masę ciała i opóźnienie wzrostu, a także wymagają suplementacji białka oraz dożylnego podawania żelaza.

DEB i jego leczenie w praktyce

Do 2023 roku jedyną dostępną formą terapii było zabezpieczanie ran specjalistycznymi opatrunkami dedykowanymi dla chorych z EB. Ich kluczową cechą jest zminimalizowane przyleganie do skóry, co zapobiega zrywaniu naskórka podczas zmiany plastra.

Trzy lata temu na polskim rynku pojawił się pierwszy lek w postaci żelu, przeznaczony do nakładania bezpośrednio na rany. Preparat ten ma klinicznie udowodnione działanie przyspieszające gojenie zarówno nowopowstałych, jak i przewlekłych zmian. Z moich doświadczeń wynika, że terapia ta wyraźnie przyspiesza proces gojenia się ran (w tym tych wieloletnich) i w konsekwencji zmniejsza dolegliwości bólowe. Początkowo żel był dostępny w ra-

mach ratunkowego dostępu do technologii lekowych [RDTL]. Obecnie jednak, z uwagi na brak możliwości refundacji leku, nowi pacjenci nie mogą zostać włączeni do terapii.

W 2024 roku został zarejestrowany w Europie lek o charakterze miejscowej terapii genowej. Zmodyfikowany, pozbawiony właściwości zakaźnych wirus opryszczki służy w niej jako wektor przenoszący prawidłowy gen kodujący kolagen VII do komórek naskórka i fibroblastów. Od 2026 roku terapia ta jest dostępna również w Polsce, jednak tylko w ramach ratunkowego dostępu do terapii lekowych.

Oba nowe wspomniane leki otwierają zupełnie nowy rozdział w historii leczenia dystroficznej postaci pęcherzowego oddzielenia się naskórka. Po latach, w których medycyna mogła zaoferować chorym jedynie pielęgnację ran i łagodzenie objawów, preparaty te stanowią pierwsze narzędzia ingerujące w samą naturę choroby.

Pacjenci, jak i lekarze liczą na refundację obu leków, co przełoży się na poprawę zdrowia i jakości życia chorych zmagających się z DEB.

Pęcherzowe oddzielenie się naskórka (EB) w Polsce



EBPolska

Fundacja EB Polska

Pęcherzowe oddzielenie się naskórka [Epidermolysis Bullosa, EB] to grupa rzadkich chorób uwarunkowanych genetycznie, charakteryzujących się skrajną kruchością skóry i błon śluzowych, prowadzącą do powstawania pęcherzy oraz nadżerek nawet pod wpływem niewielkich urazów mechanicznych lub samoistnie.

Niewidzialne wyzwania

Jednym z największych problemów w Polsce pozostaje brak kompleksowej, skoordynowanej opieki nad pacjentami z EB. Leczenie ran stanowi podstawę terapii, jednak choroba wpływa na każdy aspekt życia pacjenta — od ciężkich powikłań wielonarządowych, takich jak niesprawność ruchowa, niedożywienie czy wysokie ryzyko agresywnych nowotworów skóry, po edukację, relacje społeczne oraz zdrowie psychiczne.

Cichym, ale ogromnym obciążeniem są również koszty życia z chorobą. Specjaliści zajmujący się EB są rozproszeni w kraju, dlatego wiele rodzin musi pokonywać setki kilometrów na wizyty, konsultacje czy hospitalizacje. To nie tylko koszty transportu i noclegów, ale także utraconych dni pracy

oraz konieczność mierzenia się przez dzieci z wielogodzinnym bólem i dyskomfortem związanym z podrażnieniami.

Brakuje ośrodków zapewniających opiekę wielospecjalistyczną m.in.: dermatologa, dietetyka, rehabilitanta, stomatologa, psychologa, okulisty oraz specjalisty leczenia bólu i ran. Rodzice bardzo często stają się jednocześnie opiekunami medycznymi, pielęgniarzami i koordynatorami leczenia. W praktyce ciężka postać EB niemal zawsze oznacza konieczność rezygnacji jednego z rodziców z aktywności zawodowej.

Dużym problemem pozostaje również bieżący dostęp do specjalistów mających doświadczenie w pracy z pacjentami z EB, szczególnie w zakresie fizjoterapii i stomatologii. Regularna rehabilitacja jest konieczna, aby zapobiegać przykurczom i utracie sprawności, jednak każda aktywność wiąże się z bólem i ryzykiem nowych ran. Równie trudna jest opieka stomatologiczna — delikatna śluzówka, ograniczone otwieranie ust i rany w jamie ustnej sprawiają, że wielu specjalistów obawia się leczenia pacjentów z EB i odmawia ich prowadzenia.

Ciche koszty choroby

O zdrowiu psychicznym w EB nadal mówi się zdecydowanie za mało. To choroba związana z przewlekłym bólem obecnym praktycznie każdego dnia życia. Ogromnym obciążeniem jest także wieloletni stres i wyczerpanie rodziców oraz opiekunów, którzy często rezygnują z pracy zawodowej i życia społecznego. Dlatego niezwykle potrzebne jest stałe wsparcie psychologiczne dla całych rodzin.

Pacjenci, szczególnie dzieci i młodzież, mierzą się również z wykluczeniem społecznym i ograniczonym dostępem do edukacji. Warto podkreślić, że osoby z EB, mimo codziennych ograniczeń związanych z chorobą, mogą uczestniczyć w edukacji i życiu zawodowym, jeśli otrzymają odpowiednie wsparcie i dostosowanie otoczenia do swoich potrzeb.

Drugim tematem, o którym nadal mówi się zbyt mało, jest ryzyko agresywnego raka kolczystokomórkowego skóry. Zmiany nowotworowe mogą przez długi czas przypominać przewlekłe rany, dlatego kluczowe znaczenie ma szybka diagnostyka

i regularny nadzór specjalistyczny. Takie wizyty są jednak bardzo trudne organizacyjnie i czasochłonne, a obecnie w Polsce brakuje ośrodków zapewniających możliwość prowadzenia tak kompleksowych konsultacji ambulatoryjnych.

System a dostęp do innowacji

Nowe terapie dla pacjentów z EB dają ogromną nadzieję i są pierwszą od wielu lat realną szansą na poprawę jakości życia oraz leczenie wpływające na proces gojenia ran. Dla wielu rodzin to prawdziwy przełom. Jednocześnie pacjenci nadal napotykają bariery systemowe — brak refundacji części terapii oraz ograniczony dostęp do leczenia w ramach RDTL. Dla rodzin każda dodatkowa procedura administracyjna oznacza czas, stres i niepewność. Dlatego konieczne jest uproszczenie ścieżek dostępu do innowacyjnych terapii, rozwój wyspecjalizowanych ośrodków referencyjnych oraz budowanie systemu kompleksowej opieki nad pacjentami z EB. Chorzy i ich rodziny potrzebują przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa oraz świadomości, że nie zostają sami z chorobą wpływającą na każdy aspekt codziennego życia.



Diagnostyka neurologiczna


LABORATORIUM.INFO.PL

PATRONAT NAD KAMPANIĄ OBJĘLI

PARTNERZY STRATEGICZNI



Chorobyrzadkie.edu.pl



Konsekwencje chorób układu krążenia

Na profilaktykę chorób kardiologicznych nigdy nie jest za późno, dlatego nawet jeśli wystąpił już zawał serca czy udar mózgu, trzeba zrobić wszystko, żeby zapobiec kolejnym takim zdarzeniom.



Prof. dr hab. n. med. Piotr Jankowski
Katedra Gerontokardiologii i Medycyny Rodzinnej, Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie

Zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca, zaburzenia rytmu serca, a nawet zgon to konsekwencje miażdżycy, które dotyczą nie tylko seniorów, ale też osoby młode, kobiety i mężczyźni.

Zagrożenie w każdym wieku

Choć ryzyko chorób kardiologicznych ogólnie rośnie z wiekiem i dotyczy obu płci, to u osób młodych i w średnim wieku schorzenia te znacznie częściej dotyczą mężczyzn. Dopiero w starszym wieku proporcje te się odwracają. Warto zaznaczyć, że dla aktywnych zawodowo dorosłych [25-44 lata] choroby układu krążenia stanowią bardzo realne zagrożenie. W tej grupie wiekowej nadciśnienie tętnicze – najczęstsze schorzenie kardiologiczne – występuje u panów aż dwukrotnie częściej niż u kobiet. Powszechnym problemem jest również podwyższone stężenie cholesterolu, które prowadzi do rozwoju miażdżycy, której konsekwencją bywa, na przykład, choroba wieńcowa, która może doprowadzić do zawału serca i poważnych zaburzeń jego rytmu.

Choroby układu krążenia nierzadko prowadzą do przedwczesnej śmierci, będącej zazwyczaj następstwem zawału serca, nie-

wydolności serca, czy udaru mózgu. Inne dramatyczne konsekwencje nadciśnienia tętniczego to przewlekła niewydolność serca i retinopatia. W przypadku udaru mózgu często dochodzi do upośledzenia mobilności i funkcji poznawczych, niedowładów czy porażań, które wymuszają przerwanie aktywności zawodowej.

Kompleksowa opieka

Po zawałe serca i po udarze mózgu trzeba przede wszystkim leczyć ich przyczyny – nadciśnienie tętnicze [najczęściej], hipercholesterolemię, cukrzycę, otyłość, nikotynizm i inne schorzenia. To niezmiernie ważne. Trzeba też wdrożyć odpowiednie leczenie powikłań oraz maksymalnie hamować postęp miażdżycy, gdyż najczęściej zawały serca i udary mózgu to jej skutki. Takimi lekami obniżającymi ciśnienie tętnicze, stężenie cholesterolu i przeciw cukrzycowym, w większości przypadków stosujemy leki rozrzedzające krew, wykazujące działanie przeciwpłytkowe [przeciwzakrzepowe]. Ważne, żeby leki były stosowane regularnie, codziennie. Niefrasobliwość w ich przyjmowaniu to jedna z głównych przyczyn występowania kolejnych zawałów serca, udarów mózgu i zgonów w okresie szpitalnym.

Bardzo ważne jest więc, żeby realizować zalecenia lekarskie skrupulatnie i konsekwentnie.

Po udarze mózgu czy zawałe serca kluczowa jest rehabilitacja – odpowiednio: neurologiczna i kardiologiczna – gdyż przynosi wiele korzyści. Choć obecnie w Polsce korzysta z niej więcej chorych niż 20 lat temu, wciąż jest ich o wiele za mało –zaledwie 35% osób po zawałe serca, a pacjentów po udarze mózgu jest rehabilitowanych jeszcze mniej. Bezpośrednio po zawałe serca lub udarze mózgu chory powinien mieć dostęp do koordynowanej opieki specjalistycznej [o co w Polsce wciąż niełatwo]. Takie wsparcie wyraźnie poprawia rokowania i obniża ryzyko zgonu w ciągu kilku kolejnych lat, a także chroni przed rozwojem niewydolności serca i innych powikłań.

Profilaktyka

Zawał serca i udar mózgu to zdarzenia potencjalnie śmiertelne, a osoby, które przeżyją i po hospitalizacji są wypisywane do domu, bywają w różnej formie zdrowotnej. Pełny powrót do sprawności zależy od sytuacji klinicznej chorego i tego, jak szybko zostały wdrożone leczenie i rehabilitacja po

zawałe czy udarze. W zależności od wieku pacjenta, wielkości zawału serca, jego powikłań, rodzaju schorzeń towarzyszących oraz rodzaju aktywności zawodowej pacjent może wrócić do pracy po kilku – kilkunastu tygodniach po hospitalizacji i zakończeniu trwającej przez 3-4 tygodnie kardiologicznej rehabilitacji stacjonarnej [o ile nie wykonuje ciężkiej pracy fizycznej bądź nie pracuje w warunkach ekstremalnych]. Po udarze mózgu rehabilitacja trwa dłużej, a pacjent – z uwagi na utrzymujące się dysfunkcje w funkcjonowaniu organizmu, np. afazję, paraliż, niedowład – nie zawsze może wrócić do poprzednio wykonywanej pracy. Szybko podejmowane właściwe leczenie i rehabilitacja po zawałe serca bądź udarze mózgu mają kluczowe znaczenie dla powrotu chorego do sprawności i zmniejszają ryzyko osobistych, społecznych i rodzinnych strat wynikających z choroby kardiologicznej. Ważne, żeby rehabilitacja była kompleksowa i służyła również profilaktyce pierwotnej i wtórnej schorzeń kardiologicznych, czyli nie polegała jedynie na usprawnieniu ruchem, ale obejmowała też edukację pacjenta w zakresie przyczyn choroby podstawowej i chorób współistniejących oraz leczenie tych chorób i w ten sposób przeciwdziałała ich progresji. To bardzo istotne.

Jak mądrze ubezpieczyć swoje serce

Choroby układu krążenia pozostają jedną z głównych przyczyn hospitalizacji i zgonów w naszym kraju. Choć opieka kardiologiczna stoi w Polsce na wysokim poziomie, nagły zawał czy udar to wciąż zdarzenia, które drastycznie zmieniają życie wielu rodzin.



Karolina Kołaszewska
Kierownik Biura Zarządzania Produktami w Towarzystwie Ubezpieczeń na Życie Warta S.A.

Skala zjawiska jest potężna: każdego dnia w Polsce blisko 400 osób doznaje zawału serca lub udaru mózgu¹. Na oddziały kardiologiczne coraz częściej trafiają pacjenci bardzo młodzi, będący u szczytu aktywności zawodowej. Rocznie ten problem dotyka około 9 000 osób przed 45. rokiem życia, co w praktyce oznacza średnio 19 zawałów każdego dnia w tej grupie wiekowej². Grunt pod taką diagnozę przygotowywany jest znacznie wcześniej – już co 20. młody Polak zmaga się z nadciśnieniem³. Dodatkowo, trudności z szybkim dostępem do kompleksowej opieki po przebytych incydencie drastycznie zwiększają ryzyko nawrotów, których rocznie notuje się ponad 1 700. Statystyki są więc bezwzględnie: choroby serca uderzają dziś w ludzi w pełni sił.

Świadomi, ale zaniedbujący

Skąd bierze się ta skala zachorowań? Wyniki badania Omnibus, przeprowadzonego przez ARC Rynek i Opinia na zlecenie Warty z lutego 2026 r. pokazują wyraźny dysonans: choć 64% z nas przyznaje, że nasze nawyki realnie wpływają na kondycję serca, codzienna praktyka pozostawia wiele do życzenia. Najczęściej zaniedbujemy regularną aktywność fizyczną [41%], zdrową dietę [34%] oraz regenerujący sen [32%]. Wciąż zbyt rzadko kontrolujemy masę ciała i zapominamy o badaniach profilaktycznych [po 29%]. Należy jednak pamiętać, że zdrowe nawyki to tylko połowa sukcesu – pełna profilaktyka to także zabezpieczenie finansowe na wypadek poważnej choroby.

Życie po diagnozie – czas to pieniądź

Poważny incydent kardiologiczny to moment, w którym walka o zdrowie nieoczekiwanie spleta się z walką o stabilność finansową. Choroba gwałtownie wyłącza z aktywności zawodowej, co przy spadku dochodów i stałych zobowiązaniach – takich jak raty kredytów, czynsz czy rosnące rachunki – staje się źródłem paraliżującego stresu. O ile system publiczny zapewni niezbędną pomoc w fazie ostrej na oddziale szpitalnym, o tyle powrót do domu bywa bolesnym zderzeniem z nową rzeczywistością. Kluczem do odzyskania sprawności jest tzw. 'okno rehabilitacyjne' – szybkie wdrożenie specjalistycznej opieki i precyzyjnej diagnostyki. Możliwość skorzystania z prywatnych wizyt i zabiegów pozwala ominąć wielomiesięczne kolejki, co ma fundamentalne znaczenie dla przyszłej jakości życia, ale wymaga natychmiastowego dostępu do dodatkowych środków finansowych. Skalę potrzeb w takich sytuacjach obrazują dane Warty – w 2025 roku ubezpieczyciel wypłacił z ubezpieczeń na życie świadczenia na kwotę 980 mln zł, realizując średnio 2 000 wypłat dziennie. Blisko 90% zdarzeń, za które Spółka wypłacała świadczenia, dotyczyły zdrowia klienta Warty i jego bliskich. Każdego dnia wsparcie trafiło średnio do 4 osób po zawałe i 2 po udarze, a rehabilitacja stała się najczęściej świadczoną usługą assistance.

Praktyczne wsparcie w chorobie

W razie zawału, udaru czy innych chorób sercowo-naczyniowych ubezpieczony klient

Warty może liczyć na szerokie wsparcie finansowe i medyczne. W zależności od wybranego zakresu i sumy ubezpieczenia wypłata może wynieść nawet 1 mln zł w przypadku diagnozy poważnej choroby. Co ważne, środki mogą trafić na konto osoby ubezpieczonej już następnego dnia po złożeniu wniosku. Pieniądże te chory może wykorzystać w dowolny sposób, przeznaczając je na najbardziej potrzebne mu w danej chwili wydatki – na leczenie i diagnostykę w prywatnych placówkach, prywatną rehabilitację i zakup nierefundowanych leków czy sprzętu rehabilitacyjnego, a także na pokrycie bieżących wydatków rodziny.

Mając ubezpieczenie na życie można ponadto otrzymać świadczenie do 50 tys. zł za leczenie specjalistyczne, na przykład za wszczęcie rozrusznika, oraz do 50 tys. zł za operacje serca i naczyń wieńcowych. W ofercie Warty jest również dostępna opcja leczenia za granicą, co w określonych przypadkach może zapewnić choremu większe szanse na wyleczenie. W ramach takiej polisy Warta zorganizuje i pokryje koszty leczenia za granicą nawet do kwoty 2 mln euro.

Ofertę ubezpieczeń na życie Warty uzupełniają praktyczne usługi medyczne, takie jak wspomniana rehabilitacja, badania, transport medyczny czy wizyty u lekarzy specjalistów. Wciąż wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy z praktycznego wsparcia w chorobie, jakie niesie ubezpieczenie na życie. Mając odpowiednio dobrane ubezpieczenie łatwiej przejść przez trudny okres związany z poważną chorobą – można skupić się na tym, co najważniejsze – powrocie do zdrowia.



Nawet taką kwotę można otrzymać po diagnozie poważnej choroby objętej ubezpieczeniem



Aż do takiej kwoty Warta może pokryć koszty organizacji i leczenia za granicą



Tyłu klientów ubezpieczyło już życie i zdrowie w Warcie

Jeżeli chcesz porozmawiać o możliwości ubezpieczenia, wejdź na stronę:
<https://www.warta.pl/znajdz-agenta/>

¹ <https://ezdrowie.gov.pl/19666> [dostęp: 17.01.2026].

² <https://ezdrowie.gov.pl/portal/home/badania-i-dane/zdrowe-dane/raporty/nfz-o-zdrowiu-udar-niedokrwienno-mozgu> [dostęp: 20.10.2025]

³ GUS, Ochrona zdrowia w gospodarstwach domowych w 2023 r., Warszawa, Kraków 2024.

Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczeń, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdują się w Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia dostępnych na [warta.pl](https://www.warta.pl) i u agentów Warty

Prawdziwe oblicze miastenu

Miastenu przez dekady była chorobą źle rozumianą, często bagatelizowaną, a jej leczenie – choć skuteczne – pozostawiało pacjentów z poważnymi skutkami ubocznymi. Dziś krajobraz zmienia się diametralnie. O tym, czym naprawdę jest miastenu, dlaczego diagnoza wciąż trwa zbyt długo i co nauka może już dziś zaoferować chorym – opowiada prof. James F. Howard Jr.



Prof. James F. Howard Jr.

Wybitny profesor neurologii, medycyny i nauk o zdrowiu oraz wieloletni kierownik Kliniki Chorób Nerwowo-Mięśniowych na Uniwersytecie Karoliny Północnej (UNC) w Chapel Hill. Poświęcił swoją znakomitą karierę badaniom nad miastenią (myasthenia gravis) oraz patologiami złączna nerwowo-mięśniowego, odgrywając kluczową rolę w projektowaniu i prowadzeniu przełomowych badań klinicznych nad innowacyjnymi terapiami celowanymi.

Wywiad przeprowadził: **Bartosz Danel**

Panie Profesorze, zacznijmy od absolutnych podstaw. Dla wielu ludzi miastenu wciąż brzmi obco i zagadkowo. Gdyby miał Pan wyjaśnić istotę tej choroby komuś zupełnie niezwiązanemu z medycyną – co właściwie dzieje się w ciele pacjenta i dlaczego własny organizm zaczyna walczyć przeciwko sobie?

Sam termin „miastenu” ma kilkaset lat. Pełna nazwa, Myasthenia gravis, oznaczała niegdyś „ciężkie osłabienie mięśni”. Dziś to określenie nie jest już trafne i wolelibyśmy posługiwać się po prostu nazwą „miastenu”. W tej chorobie zaburzona jest zdolność nerwu do komunikowania się z mięśniem. W normalnych warunkach nerw uwalnia substancję chemiczną, która przyłącza się do bardzo konkretnych miejsc na powierzchni mięśnia, umożliwiając mu skurcz. Gdy wszystkie włókna danego mięśnia robią to jednocześnie, mamy do czynienia z prawidłową siłą mięśniową. W miastenu ta komunikacja jest zerwana. Sam nerw jest zdrowy, mięsień również jest zdrowy – po prostu nie rozmawiają ze sobą.

Dzieje się tak dlatego, że punkt styku między nimi, który nazywamy złączem nerwowo-mięśniowym, jest przez organizm błędnie rozpoznawany jako coś obcego. Przypomina to przeszczep nerki – organizm natychmiast rozpoznaje, że nowy narząd do niego nie należy, i próbuje go odrzucić, produkując białka zwane przeciwciałami. W miastenu organizm robi dokładnie to samo ze złączem nerwowo-mięśniowym: produkuje przeciwciała, które zakłócają normalną komunikację, co skutkuje osłabieniem mięśni.

Jakie są pierwsze sygnały ostrzegawcze, które powinny skłonić pacjenta do wizyty u neurologa?

Charakterystyczną cechą miastenu jest to, że osłabienie ma charakter zmienny – jedne dni są lepsze, inne gorsze, a siła może się zmieniać z godziny na godzinę. Typowo pa-

cjent słabnie w trakcie wysiłku, odpoczynek przywraca mu siły w różnym stopniu, a gdy znów podejmuje aktywność, osłabienie powraca. Ten wzorzec jest absolutnie unikalny dla tej choroby. Najczęściej zaczyna się od opadania powiek (ptozy) i/lub podwójnego bądź zamazanego widzenia. Należy jednak pamiętać, że choroba nie oszczędza żadnej grupy mięśni podlegającej kontroli woli – może atakować mowę, polykanie, oddychanie czy używanie kończyn.

A jednak diagnoza często przypomina prawdziwą gehennę. Wielu lekarzy odsyła pacjentów do domu, twierdząc, że nic im nie dolega, co opóźnia rozpoznanie o lata.

To bardzo trafna obserwacja. Przypomina to sytuację, gdy oddajemy samochód do mechanika, bo coś skrzypi. Przyjeżdżamy tam wczesnym rankiem, a samochód przestaje skrzypieć. Mechanik mówi, że wszystko w porządku, wracamy do domu i wieczorem skrzypienie wraca. Właśnie tak wygląda miastenu.

Ponadto, ponieważ jest to choroba rzadka, wielu lekarzy nigdy się z nią nie zetknęło podczas kształcenia, więc po prostu o niej nie myślą i bagatelizują objawy. Dane z naszego rejestru pokazują, że postawienie diagnozy zajmuje średnio 1,9 roku, ale u wielu pacjentów czas ten jest drastycznie wydłużony. Mieliśmy pacjenta, którego postawienie diagnozy zajęło 60 lat!

W naszej kampanii kładziemy ogromny nacisk na toksyczne skutki uboczne leczenia. Czym dokładnie jest „obciążenie sterydami” i dlaczego odejście od nich jest dziś priorytetem?

Sterydy są mieczem obosiecznym, ostrym z obu stron. Z jednej strony to wspomniały lek, który od połowy lat siedemdziesiątych zaczął ratować pacjentów, pozwalając im odzyskać siły i nowe życie. Z drugiej jednak strony mają ogromne skutki uboczne: przyrost masy ciała, zmiany nastroju, wpływ na zdrowie kości, nadciśnienie tętnicze czy cukrzycę. Kiedyś godziliśmy się na to, bo

nie mieliśmy alternatyw, ale dziś wiemy, że obciążenie tym leczeniem jest nie do zaakceptowania.

Dlaczego więc nadal są stosowane? Nasze inne leki immunosupresyjne działają niezwykle powoli. Często trzeba czekać od 6 do 12 miesięcy, zanim w ogóle zaczną działać, a znaczące efekty obserwuje się dopiero po 24 do 36 miesiącach.

Porozmawiajmy o nowych metodach leczenia. Jedną z nich są inhibitory receptora FcRn. Ich historia brzmi niemal jak scenariusz filmowy.

Rzeczywiście, to fascynujące. Mechanizm ten odkryto już w latach pięćdziesiątych podczas badań nad tym, w jaki sposób matka przekazuje odporność płodowi. Do medycyny miastenu trafił jednak niemal przez przypadek. Dr Sally Ward prowadziła badania nad tym receptorem i podczas rozmowy w windzie z pracownikiem firmy farmaceutycznej zaproponowała pomysł, że mógłby on zostać wykorzystany w leczeniu. Tak narodziła się koncepcja „chemicznej plazmaferezy”.

W normalnych warunkach receptor FcRn pełni rolę „szlaku ratunkowego” – wychwytuje przeciwciała i zwraca je do krwiobiegu, przedłużając ich żywotność. Inhibitory FcRn blokują ten proces, powodując, że szkodliwe przeciwciała są niszczone wewnątrz komórki. Działa to niezwykle szybko – pacjenci odczuwają poprawę już po tygodniu lub dwóch, przy minimalnych skutkach ubocznych.

A co z drugą grupą leków – inhibitorami dopełniacza?

Tu mechanizm jest inny. Wyobraźmy sobie przeciwciała jako kotwicę, która przyczepia się do mięśnia. Aktywuje to końcowy układ dopełniacza, który dosłownie „wierci dziury” w złączu nerwowo-mięśniowym. Nasze leki blokują to niszczenie, zachowując architekturę złącza nerwowo-mięśniowego. To niezwykle precyzyjne narzędzia terapeutyczne.

Niestety wciąż brakuje nam biomarkerów – narzędzi, które pozwoliłyby z wyprzedzeniem przewidzieć, czy dany pacjent lepiej odpowie na inhibitor FcRn, czy na inhibitor dopełniacza itp. Wciąż działamy metodą prób i błędów, a to chcemy zmienić.

Z Pana doświadczenia – co jest dla pacjentów najważniejsze? Szybkie złagodzenie objawów, łatwość podawania leku, a może rzadsze wizyty w szpitalu?

Nie ma jednej odpowiedzi; zawsze jest to kwestia indywidualnego dialogu. Dla mnie jako lekarza celem jest to, by pacjent był wolny od objawów choroby i nie doświadczał poważnych skutków ubocznych leczenia.

Jeśli pyta Pan o preferencje pacjentów, są one niezwykle zróżnicowane. Z jednej strony mamy terapię doustną, która oferuje ogromną niezależność. Z drugiej strony moi starsi pacjenci wolą odwiedzać centrum infuzyjne, by otrzymywać kroplówki dożylnie. Dla nich to wydarzenie towarzyskie – spotykają ludzi, zawiązują znajomości, co jest dla nich bardzo ważne. Ludzie biznesu czy studenci oczekują jednak czegoś maksymalnie uproszczonego i szybkiego.

Panie Profesorze, na koniec – jakie jest Pana przesłanie do polskiej społeczności: pacjentów, organizacji pacjenckich i lekarzy?

Do pacjentów chcę powiedzieć: miejcie wiarę i nadzieję. Nauka pędzi naprzód i każdy rok przybliża nas do jeszcze skuteczniejszych i bezpieczniejszych rozwiązań. Nie jesteście sami w tej walce – budujcie i wspierajcie swoje organizacje, bo ich głos ma dziś w świecie medycznym ogromną moc. Chciałbym się też zwrócić do organizacji pacjenckich oraz do moich kolegów lekarzy i badaczy w Polsce. Wykonujecie bezcenną pracę. Moim wielkim marzeniem jest, byśmy wszyscy – naukowcy, klinicyści i pacjenci – pracowali razem i w ramieniu. Nie możemy i nie chcemy żyć w próżni. Musimy ze sobą rozmawiać i wymieniać się doświadczeniami, tworząc globalną sieć wsparcia.

Miastenu – test na wytrzymałość



Anna Kośmider
Choruje na ciężką postać lekoopornej miastenu

Mimo problemów wynikających z miastenu i powikłań sterydoterapii nie poddaję się i cieszę się każdą dobrą chwilą – dzięki leczeniu biologicznemu jest ich teraz więcej. Niech tak zostanie.

Prawie cały pierwszy rok od wystąpienia objawów byłam diagnozowana, a kolejne lata przeleżałam praktycznie w łóżku.

Oczy – zwierciadło miastenu

Pierwsze objawy choroby wystąpiły podczas aktywności fizycznej – ćwiczenia, które wcześniej nie sprawiały trudności, zaczęły być wyzwaniem. Traciłam siły, pojawiły się problemy z oddychaniem. Nawet krótki dystans – około 400 metrów drogi

do pracy – stawał się coraz trudniejszy do pokonania. Do tego dochodziło podwójne widzenie, opadanie powiek i problem z utrzymaniem głowy.

Szukałam pomocy u kolejnych specjalistów – od lekarza rodzinnego, przez kardiologa, pulmonologa, neurologa i neurochirurga. Pierwsze diagnozy były błędne. Z czasem mój stan się pogarszał – wieczorami nie miałam siły mówić, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Kryzys przyszedł nagle – straciłam kontakt z otoczeniem. Trafiłam do szpitala, jednak dopiero kolejna lekarka, zwracając uwagę na objawy ze strony oczu, postawiła właściwe rozpoznanie – miastenu.

Steryd – wróg i druh

Leczenie sterydami, choć konieczne, przyniosło bardzo poważne skutki uboczne, które odczuwam do dziś. Moja masa ciała początkowo wynosiła około 59 kg, a w krótkim czasie znacząco wzrosła. Towarzyszy mi przewlekły ból oraz bardzo nasilony, bo-

lesny trądzik obejmujący całe ciało. Pojawiła się martwica stawów, łamliwość kości, niewydolność kory nadnerczy, zaburzenia emocjonalne oraz ogromne problemy ze snem. Do tego dochodzą m.in. siniaki na ciele, wzrost apetytu, opuchlizna twarzy, nadmierne owłosienie, zatrzymywanie wody w organizmie, osłabione gojenie ran oraz ścieńczenie skóry. Na ciele pojawiły się rozległe rozstępy, a także przebarwienia i odbarwienia skóry. Występuje również obniżona odporność organizmu.

Mam silnie lekooporną miastenu i przeszłam wszystkie dostępne w Polsce terapie. Żadna nie przynosiła trwałej poprawy, a niektóre powodowały dodatkowe powikłania. Jedyną metodą doraźną pozostaje plazmafereza, stosowana wyłącznie w zastrzeżeniach choroby. W moim przypadku odstawienie sterydów nie jest możliwe. W wyniku ich długotrwałego stosowania doszło do martwicy stawów – jednego z najcięższych powikłań tej terapii. Przeszłam operację wszczepienia endoprotez – biodra i kolana, przy czym staw biodro-

wy był operowany trzykrotnie, ponieważ proteza nie utrzymywała się prawidłowo i dochodziło do jej wypadania. Mimo tak poważnych konsekwencji zdrowotnych neurologzy obecnie wykluczają możliwość odstawienia sterydów. Jak usłyszałam od lekarzy – w moim przypadku byłoby to „jak przyłożenie pistoletu do głowy”.

Obecnie przyjmuję lek biologiczny w ramach badania klinicznego – to pierwsza terapia, na którą mój organizm zareagował pozytywnie. Dzięki niej mogę cieszyć się codziennością – nawet drobnymi rzeczami, które dla innych są zwyczajne, jak podróż czy spotkanie z ludźmi.

Jestem członkiem Stowarzyszenia Face to Face, które aktywnie wspiera osoby chore, prowadzi działania edukacyjne i integruje pacjentów oraz ich bliskich. Daje mi to poczucie, że nie jestem w tej walce sama.

Nie wiem, co będzie dalej, ale nie poddaję się. Wiem, że po coś tu jestem i chcę ko-

Uniknąć steroid burden w miastenii

Staramy się szukać nowych rozwiązań terapeutycznych, żeby uniknąć steroid burden w miastenii – zjawiska wynikającego z długoterminowego stosowania sterydów.



Prof. dr hab. n. med.
Monika
Adamczyk-Sowa
Katedra i Klinika
Neurologii w Zabrzu
Śląski Uniwersytet
Medyczny

Miastenia gravis jest przewlekłą nabytą chorobą neuroimmunologiczną, której przyczyną jest nieprawidłowe funkcjonowanie układu odpornościowego, głównie zależne od limfocytów T, B oraz układu dopełniacza. Obserwujemy tu dwa piki zachorowań – u kobiet między 20-30. rokiem życia i u osób starszych, głównie mężczyzn około 70. roku życia.

Choroba z uśmiechem Giocondy

W miastenii powstają przeciwciała skierowane przeciw receptorom dla acetylocholino w złączy nerwowo-mięśniowym [synapsie] – miejscu przekazywania impulsu nerwowego do mięśni szkieletowych, który pobudza je do pracy. Przeciwciała niszczą te receptory, a ponadto dochodzi do spłaszczenia fałdów w błonie postsynaptycznej, w której te receptory są osadzone. Zmniejsza to efektywność przekazywania impulsu nerwowego do mięśni, czego konsekwencją jest ich męczliwość [nużliwość].

Objawy miastenii są zmiennie w ciągu dnia, a nasilają się stopniowo głównie po południu i wieczorem z powodu postępującego zmęczenia złącza nerwowo-mięśniowego. Powoduje to powstanie typowych dla miastenii objawów, takich jak opadanie powieki, podwójne widzenie, trudności z mówieniem czy połykaniem, krztuszenie się, mowa nosowa, tzw. uśmiech Giocondy, czyli uśmiech poprzeczny. Odpoczynek pod koniec dnia i sen najczęściej poprawiają samopoczucie

Choroba przewlekła jaką jest miastenia oznacza, że młode kobiety mogą być leczone sterydoterapią przez około 40-50 lat, z kolei u starszych mężczyzn występuje wielochorobowość, co rzutuje na ograniczenia stosowania sterydów.

cie pacjenta i zmniejsza się występowanie objawów, ponieważ w czasie odpoczynku pęcherzyki synaptyczne gromadzą acetylocholinę i zwiększa się liczba prawidłowo działających receptorów na synapsie, co poprawia przewodzenie impulsu z nerwów do mięśni.

Problematyczny steroid burden w miastenii

Steroid burden, czyli obciążenie sterydowe w leczeniu miastenii, wiąże się z długotrwałym stosowaniem glikokortykosterydów. Wynika nie tylko z sumarycznej dawki leków, ale także (a może przede wszystkim) ze wzrastającego ryzyka powikłań metabolicznych, kostnych i psychicznych w wyniku długotrwałego stosowania terapii. Nawet jeżeli pacjent stosuje niewielkie dawki sterydów, ale przez wiele lat, wiąże się to z istotnym obciążeniem dla jego organizmu, a także ze wzrastającym prawdopodobieństwem wystąpienia wielu różnych powikłań. Typowe komplikacje z zakresu narządu wzroku

to zaćma i jaskra, a wśród powikłań sercowo-naczyniowych najczęściej występuje nadciśnienie tętnicze, zaburzenia lipidowe, zwiększone ryzyko chorób serca; pojawiają się też zaburzenia psychiczne – wahania nastroju, depresja – i zaburzenia snu. Jako powikłanie kostne może wystąpić osteoporoza, która wiąże się ze zwiększonym ryzykiem złamań. Mogą powstać także zaburzenia metaboliczne – cukrzyca posterydowa, przyrost masy ciała, zespół metaboliczny, zaburzenia gastrologiczne, uszkodzenie błony śluzowej żołądka, refluks żołądkowo-przełykowy.

Leczenie miastenii z nowym celem terapeutycznym

Choroba przewlekła jaką jest miastenia oznacza, że młode kobiety mogą być leczone sterydoterapią przez około 40-50 lat, z kolei u starszych mężczyzn występuje wielochorobowość, co rzutuje na ograniczenia stosowania sterydów w tej grupie. Z uwagi na możliwość wystąpienia bardzo poważ-

nych powikłań sterydoterapii długoterminowej w miastenii, naszym głównym celem obecnie jest jej ograniczenie. Chcielibyśmy, żeby kontrola choroby była możliwa przy jak najmniejszej ekspozycji na te leki. Zmieniamy też definicję sukcesu terapeutycznego – do niedawna za sukces uznawaliśmy, że chory z miastenią przeżył i nie wystąpiły u niego ciężkie zaostrzenia, zaś obecnie chcemy ustabilizować chorobę i doprowadzić do odzyskania przez pacjentów pełnej sprawności, funkcjonalności i dobrej jakości życia, co przy przewlekłym charakterze miastenii ma ogromne znaczenie.

Nowoczesne leczenie miastenii preparatami biologicznymi może znacząco korzystnie wpływać na przebieg choroby. Czasem te poprawy bywają naprawdę spektakularne – u jednego z naszych pacjentów z miastenią zastosowaliśmy terapię biologiczną, a poprawa zdrowia u tej osoby zadziałała się praktycznie na naszych oczach.

Pacjenci bez wątplenia powinni posiadać optymalną wiedzę na temat swojej choroby i możliwości jej leczenia oraz świadomość ryzyka związanego z samą miastenią i stosowanymi terapiami, ponieważ są współodpowiedzialni za proces terapeutyczny. Natomiast chcę podkreślić, że odpowiedzialność za dobór terapii, jej prowadzenie i monitorowanie ponosi lekarz prowadzący – powinien mieć duże doświadczenie w stosowaniu preparatów biologicznych, ponieważ terapia taka jest związana z wpływem na układ immunologiczny pacjenta.



Prof. dr hab. n. med.
Anna
Kostera-Pruszczyk
Warszawski
Uniwersytet
Medyczny

Leki biologiczne w miastenii – konieczny lepszy dostęp

W miastenii należy dążyć do uzyskania pełnej kontroli choroby, czyli do uzyskania remisji bądź bardzo znaczącej poprawy z wykorzystaniem leków immunosupresyjnych, wspomagając się w miarę możliwości nowymi terapiami biologicznymi i zwiększając dostęp do nich.

Najważniejszą rzeczą w leczeniu miastenii jest zapewnienie choremu bezpieczeństwa, głównie przez redukcję ryzyka rozwinięcia przełomu miastenicznego, a także – jak najlepsza kontrola choroby. Jednak nie dla każdego pacjenta miastenia jest chorobą wymagającą leczenia przez całe życie. Około 50% chorych, dzięki terapiom, które są dostępne już od bardzo wielu lat także w Polsce, osiąga – czasem po kilku latach leczenia – stan remisji, w której objawy choroby nie pojawiają się i nie ma też konieczności przyjmowania leków.

Pewna grupa pacjentów wymaga nie tylko podawania leków o działaniu objawowym, ale także immunosupresyjnego. U tych chorych w pierwszej linii podaje się glikokortykoidy, potocznie nazywane sterydami, a nierzadko sięga się też po jeszcze inne leki. Przewlekła terapia sterydowa może powodować różne powikłania (m.in. zaburzenia metaboliczne, cukrzyce, nadciśnienie, osteoporozę z ryzykiem złamań) pojawiające się przy terapii przewlekłej, czasem prowadzonej przez wiele lat.

Obecnie w leczeniu miastenii pojawiły się również innowacyjne leki biologiczne. Nie zastępują one leków immunosupresyjnych, które dają szansę na całkowite wygaszenie aktywności miastenii, jednak bardzo znacznie łagodzą objawy choroby, wielu pacjentom dotychczas wymagającym licznych

hospitalizacji z powodu wysokiej aktywności miastenii lub wymagających stałej opieki przywracając bardzo dobre funkcjonowanie, możliwość powrotu do pracy, samodzielnego życia. Równocześnie możemy znacznie obniżyć dawki leków immunosupresyjnych, przede wszystkim sterydów, nawet jeśli są nadal potrzebne.

Poszerzyć dostęp do innowacyjnego leczenia miastenii

W Polsce funkcjonuje program lekowy BE-157. Umożliwił on leczenie niewielkiej, na razie, grupy chorych [ok. 100 pacjentów w skali całego kraju] trzema różnymi lekami o różnych mechanizmach działania. Obecnie leki te w ramach tego programu, zgodnie z decyzją refundacyjną Ministerstwa Zdrowia, mogą być podawane jedynie pacjentom z miastenią chorującym bardzo ciężko, którzy wyczerpali poprzednio dostępne linie leczenia i na dodatek mieli w ciągu ostatniego roku bardzo znaczące pogorszenie, które wymagało hospitalizacji i dodatkowego leczenia, tzw. terapii ratunkowej. Nie mamy jednak nadal możliwości leczenia bardziej licznej grupy pacjentów, u których wprowadzić udało się/udaje utrzymać w miarę bezpieczną dla nich kontrolę choroby i nie są to pacjenci, którzy trafiają do szpitala z powodu stanu zagrożenia życia, lecz zmagają się przez całe życie nie tylko z objawami choroby, ale

często także z kumulującymi się działaniami niepożądanymi leków, które przyjmowali wcześniej, na przykład leków z grupy glikokortykoidów. W tej grupie pacjentów zdecydowanie bardzo chcielibyśmy móc sięgać po innowacyjne terapie, bo jeśli np. lek sterydowy podawany będzie w niskiej dawce, skumulowanych działań niepożądanych będzie znacznie mniej. Jeśli tego leku nie możemy wzmocnić terapią innowacyjną, wówczas do kontroli objawów miastenii potrzebne są znacznie wyższe dawki sterydów.

Koszty związane z miastenią można zredukować

Z raportu przygotowanego kilka lat temu przez pacjentów z miastenią i ekspertów, wynika, że w Polsce łączne koszty tej choroby, pośrednie i bezpośrednie, to około pół miliarda złotych. Jeśli obecnie mamy dostępność innowacyjnych, wysoko skutecznych leków biologicznych, z całą pewnością leczenie bardzo wielu ludzi może sprawić – i my mamy już takie doświadczenia – że chorzy nie tylko nie będą wymagali terapii ratunkowych przy groźnych dla ich życia zaostrzeniach choroby, które wymagają hospitalizacji, ale będą mogli również wrócić do własnej aktywności i pracy zawodowej. Również ich bliscy, którzy dotychczas sprawowali nierzadko całodobową opiekę nad chorymi, mogą wrócić do swoich zajęć. Na

korzyści związane z włączaniem leków biologicznych do terapii chorych z miastenią trzeba więc patrzeć bardzo szeroko. Dzięki temu udaje się dostrzec, że terapie, które są wyjściowo znacznie tańsze (to klasyczne schematy leczenia aktualne od kilku dekad), mogą na długą metę generować duże koszty – pośrednie i bezpośrednie – związane chociażby z leczeniem różnego rodzaju powikłań, i niewystarczającą skutecznością klasycznych leków u niektórych chorych. Trzeba podkreślić bardzo szybko początek działania leków innowacyjnych, czasem poprawa zaczyna się już kilka godzin lub tygodni po podaniu leku. W przypadku leków „klasycznych” efekt leczenia staje się widoczny po kilku miesiącach a nawet dopiero po roku terapii.

Twarde dowody skuteczności terapii biologicznych, potwierdzone wynikami badań klinicznych, już są. Dużym problemem do rozwiązania pozostaje dostępność innowacyjnego leczenia dla chorych z miastenią, ponieważ na razie leczonych jest nawet mniej pacjentów niż szacowana grupa bardzo ciężko chorych. To skutek m.in. relatywnie krótkiego czasu realizacji programu, ale też z wielu ośrodków docierają informacje, że wysokość kontraktów, które są podpisywane na leczenie w tym programie, jest niewystarczająca, żeby można było włączyć do niego wszystkich pacjentów, którzy wymagają terapii innowacyjnych.



Czy wiesz, że?

Miastenia bywa nazywana „chorobą płatka śniegu”. Każdy pacjent przechodzi ją inaczej i nie ma dwóch osób, u których objawy wyglądałyby identycznie.

Neuroimmunologia zmienia neurologię

Od tradycyjnej obserwacji objawów do precyzyjnej diagnostyki na poziomie komórkowym – neuroimmunologia otwiera zupełnie nowy rozdział w leczeniu chorób układu nerwowego.



Dr n. med.
Małgorzata
Klimczak-Filippowicz
EUROIMMUN
POLSKA Sp. z o.o

Diagnostyka chorób neurologicznych zmieniła się nie do poznania dzięki dynamicznemu rozwojowi neuroimmunologii – dziedziny badającej rolę układu immunologicznego w chorobach układu nerwowego. Wiemy już, że w wielu przypadkach organizm wytwarza autoprzeciwciała, które przez pomyłkę atakują własny układ nerwowy. Ich wykrycie we krwi pomaga ustalić przyczynę objawów i jest jedną z najszybciej rozwijających się gałęzi diagnostyki immunologicznej.

Gdy około 25 lat temu rozpoczęłam pracę, znanych było zaledwie kilka przeciwciał **onkoneuronalnych** – skierowanych przeciwko nowotworowi, które jednocześnie atakują układ nerwowy. Dzięki ich wykryciu możliwe było skierowanie diagnostyki na nowotwór nieujawniający jeszcze typowych objawów, co przyspieszało leczenie onkologiczne. Z biegiem lat identyfikowano kolejne **przeciwciała antyneuralne** – dziś znamy ich kilkadziesiąt. Przykładem jest wykryte w 2007 roku **anty-NMDAR**, charakterystyczne dla autoimmunologicznego zapalenia mózgu. Choroba dotyka najczęściej młode kobiety, które nagle prezentują objawy ostrej psychozy, a następnie poważne deficyty neurologiczne. Badania anty-NMDAR dostępne dziś w całej Polsce pozwalają doprowadzić pacjentki do pełnego powrotu do zdrowia.

Nowe technologie skracają drogę do diagnozy

Postęp technologiczny to druga wielka zmiana. Dysponujemy dziś wieloparamet-

Neuroimmunologia przekształciła neurologię z dziedziny opartej na obserwacji objawów w obszar medycyny precyzyjnej.

trycznymi testami immunoblot, które pozwalają **jednocześnie zbadać kilkanaście autoprzeciwciał charakterystycznych dla konkretnej jednostki chorobowej**, skracając czas od pojawienia się objawów do postawienia diagnozy. Nadal szeroko wykorzystuje się też immunofluorescencję (IIFT), stanowiącą standardowy wstęp do dalszej diagnostyki.

Kilka lat temu pojawiły się nowatorskie metody oparte o modyfikacje genetyczne komórek, tzw. **cell-based assay (CBA)**. Jest to test laboratoryjny, w którym wykorzystuje się komórki zmodyfikowane genetycznie w taki sposób, że na swojej powierzchni mają identyczne białka jak te, które występują na powierzchni neuronów człowieka i są celem ataku autoprzeciwciał. Testy CBA są **bardziej czułe i precyzyjne** niż starsze metody – pozwalają wykryć przeciwciała nawet wtedy, gdy występują w bardzo niskiej ilości. Dla pacjenta oznacza to większą szansę na postawienie właściwej diagnozy, szczególnie w trudniejszych przypadkach. Testy CBA zrewolucjonizowały diagnostykę miastenii – dzięki wyższej czułości udaje się potwierdzić chorobę u większej liczby pacjentów niż przy zastosowaniu starszych metod. Nowe techniki pozwalają też oznaczać rzad-

sze przeciwciała charakterystyczne dla tej choroby. Oprócz najczęstszych **anty-AChR**, możemy dziś badać **anty-MuSK** czy **anty-LRP4**. Ma to ogromne znaczenie praktyczne: ujemny wynik jednego badania nie wyklucza miastenii. Jeśli objawy sugerują tę chorobę, a podstawowe badania nie dają odpowiedzi, zdecydowanie warto rozważyć dalszą diagnostykę – lekarz ma dziś więcej możliwości i może poszerzyć zakres badań, aby dokładniej określić przyczynę dolegliwości. Dzięki gwałtownemu rozwojowi badań neuroimmunologicznych możemy wykrywać przypadki, które wcześniej mogły pozostać nierozpoznane, i rozumieć patomechanizm wielu chorób – co stanowi klucz do rozwoju nowych terapii. Jednocześnie wiemy, że żaden pojedynczy test nie daje pełnej odpowiedzi – wyniki muszą być zawsze interpretowane w kontekście klinicznym, co podkreśla kluczową rolę współpracy między neurologiem a diagnostą laboratoryjnym. Neuroimmunologia przekształciła neurologię z dziedziny opartej na obserwacji objawów w obszar medycyny precyzyjnej.

Za postępem stoją ludzie

Ogromną rolę odgrywają tutaj lekarze **neurologzy** – środowisko niezwykle otwarte na

wiedzę, nowe markery i rozwiązania. Bardzo szybko adaptują najnowsze odkrycia, aktualne wytyczne oraz postęp naukowy do codziennej praktyki klinicznej. To dzięki zaangażowaniu neurologów osiągnięcia nauki są dostępne dla polskich pacjentów bez opóźnień.

Równocześnie chciałabym podkreślić rolę **diagnostów laboratoryjnych**. To środowisko, które w imponującym tempie implementuje nowe metody z zakresu immunologii – zarówno pod względem wdrażania nowych technologii, jak i szkolenia personelu. Od kilku lat w naszym centrum szkoleniowym we Wrocławiu jednym z najczęściej prowadzonych szkoleń są właśnie techniki wykorzystywane w neuroimmunologii.

Dzięki temu dostęp do zaawansowanej diagnostyki przeciwciał antyneuralnych w Polsce jest szeroki – wdrażamy te same parametry w tym samym czasie, co laboratoria w Niemczech i USA. Co istotne, wyniki badań neuroimmunologicznych mają realne przełożenie na system ochrony zdrowia: są uwzględniane w **programach lekowych do refundowanych terapii biologicznych**. To pokazuje, że nie tylko dysponujemy nowoczesną diagnostyką, ale potrafimy ją skutecznie integrować z decyzjami terapeutycznymi. Nie mówimy o nadrabianiu zaległości – to dobrze funkcjonujący, nowoczesny system spójny z globalnymi standardami.

Rewolucje w leczeniu miastenii

W leczeniu miastenii w centrum zainteresowania znajdują się leki biologiczne działające na różne elementy układu odpornościowego.



Dr n. med.
Marek Śmiłowski
Specjalista neurolog

Miastenia gravis, rzadka choroba autoimmunologiczna prowadząca do osłabienia mięśni, przez lata leczona była głównie niespecyficzną immunosupresją i sterydami. Dziś jednak medycyna znajduje się w punkcie przełomowym – rozwój terapii celowanych sprawia, że leczenie miastenii staje się coraz bardziej precyzyjne, skuteczne i bezpieczne.

Terapie celowane w miastenii

Jednym z najważniejszych kierunków nowoczesnego leczenia miastenii są inhibitory receptora FcRn. Leki te obniżają poziom patogennych przeciwciał IgG odpowiedzialnych za chorobę, blokując ich „recykling” w organizmie. Badania kliniczne potwierdzają szybkie działanie terapii i poprawę funkcjonowania pacjentów.

Równolegle rozwijane są terapie wpływające na układ dopełniacza – istotny element odpowiedzi immunologicznej. Leki anty-C5 już zmieniły standard leczenia ciężkich postaci choroby, a obecnie badane są kolejne generacje terapii, w tym blokery C1s, oraz wpływające na czynnik B, które mogą działać jeszcze bardziej precyzyjnie.

Kolejnym krokiem jest rozwój terapii skojarzonych. Szczególnie zainteresowanie budzi połączenie inhibitora układu dopełniacza C2 z inhibitorem FcRn. Taka strategia ma jednocześnie redukować poziom przeciwciał i blokować mechanizmy zapalne, co może przynieść silniejszy i bardziej trwały efekt kliniczny niż pojedyncza terapia.

Duże nadzieje wiąże się również z terapiami ukierunkowanymi na limfocyty B, które odgrywają kluczową rolę w produkcji autoprzeciwciał. Przykładem jest przeciwciało anty-CD19, które eliminuje szerokie spektrum limfocytów B i już wykazało skuteczność w badaniach klinicznych. Równolegle rozwijane są terapie celujące w szlak BLYS i APRIL – białka wspierające przeżycie limfocytów B.

Innym ważnym kierunkiem są inhibitory kinazy Brutona (BTK), które modulują aktywność komórek odpornościowych – są obecnie badane pod kątem możliwości stosowania w miastenii. Ich zalety to możliwość doustnej formy podania oraz selektywne działanie.

W kierunku personalizacji leczenia

Jednym z najbardziej innowacyjnych podejść są terapie komórkowe (m.in. CAR-T – komórkowa terapia DNA). Polegają one na „przeprogramowaniu” własnych limfocytów pacjenta tak, aby niszczyły komórki odpowiedzialne za chorobę. W przeciwieństwie do klasycznej formy terapii CAR-T, terapia Descartes-08 wykorzystuje mRNA i związana jest z tymczasową modyfikacją limfocytów T oraz nie wymaga chemioterapii przygotowawczej. Wstępne badania pokazują, że krótka kuracja pozwala na długą poprawę zdrowia, co u niektórych pacjentów może oznaczać tzw. funkcjonalne wyleczenie.

Warto podkreślić, że przyszłość leczenia miastenii zmierza w kierunku terapii speri-

sonalizowanej – dopasowanej do profilu immunologicznego pacjenta. Coraz częściej mówi się o łączeniu różnych mechanizmów działania, co może pozwolić na osiągnięcie głębszej remisji przy mniejszej liczbie działań niepożądanych.

Choć wiele z tych terapii znajduje się jeszcze w fazie badań klinicznych, kierunek zmian jest jasny: od leczenia objawowego do precyzyjnego wyciszenia choroby u jej źródła. Dla pacjentów oznacza to realną nadzieję na lepszą jakość życia, a w przyszłości – być może – nawet trwałą remisję choroby.

Koniec udziału w badaniu klinicznym – co dalej?

Uczestnictwo w badaniu klinicznym to dla chorego wyjątkowa szansa na dostęp do najnowocześniejszych metod leczenia – często bardzo skutecznych i wiążących się z mniejszym ryzykiem działań niepożądanych. Ponieważ jednak leki stosowane w badaniach klinicznych mają charakter innowacyjny, nie jest możliwe zapewnienie ciągłości leczenia nimi w ramach programów NFZ. Wynika to z natury prowadzenia badań klinicznych, a nie z braku odpowiednich regulacji prawnych. Zakończenie udziału w badaniu rodzi ryzyko nasilenia objawów choroby, co wymaga szczególnej czujności ze strony lekarza prowadzącego. Żeby temu zapobiec, konieczne jest odpowiednio wcześnie zaplanowanie modyfikacji leczenia, tak aby skutki odstawienia leku badanego były jak najmniej uciążliwe. Z tego względu proces przejścia na leczenie standardowe powinien być starannie

przygotowany oraz prowadzony pod ścisłą kontrolą lekarza. Dokładamy wszelkich starań, aby zapewnić chorym ciągłość leczenia w ramach dostępnych metod. Pacjenci mają możliwość kontynuowania terapii w ramach tzw. fazy przedłużonej badania (ang. extension phase), która może trwać kilka lat. Umożliwia to dłuższe stosowanie badanego leku, szczególnie w sytuacji, gdy terapia przynosi korzyści kliniczne i jest dobrze tolerowana.

Po zakończeniu fazy przedłużonej, w niektórych projektach możliwy jest udział w tzw. fazie post-clinical trial, ramach której pacjenci mogą nadal otrzymywać leczenie aż do momentu rejestracji leku w danym kraju, co pozwala na zachowanie ciągłości terapii. Jeżeli taka możliwość nie jest dostępna – na przykład w sytuacji, gdy leki o podobnym mechanizmie działania są już dostępne w ramach standardowej opieki – pacjentom można zaproponować leczenie w ramach programów NFZ. Kryteria kwalifikacyjne do programów lekowych są bardziej wymagające niż do badań klinicznych, więc w przypadku braku kwalifikacji do programu lekowego, pacjent może rozważyć udział w innym badaniu klinicznym, o ile spełnia kryteria włączenia do danego badania. Niejednokrotnie rozwiązanie to stanowi dla pacjenta najlepszą opcję, gdyż zapewnia ciągłość opieki i jest często stosowane po zakończeniu udziału w poprzednim badaniu. Pacjenci, którzy zakończyli udział w badaniu klinicznym, nie zostają zatem zostawieni sami sobie, lecz proponuje się każdemu choremu najlepszą dostępną dla niego leczenie.



Czy wiesz, że?

W badaniach klinicznych dobiera się już leki do konkretnego rodzaju przeciwciał u pacjenta. Medycyna personalizowana w miastenii staje się faktem.

Między oddechem a ciszą

Przez prawie trzydzieści lat walczyłam z miastenią. System mówił mi: „jeszcze nie”. Dopiero gdy mój stan bardzo się pogorszył, dostałam szansę na nowoczesne leczenie. Piszę to, żeby nikt inny nie musiał aż tak długo czekać.



Renata Machaczek
Przedstawiciel
Polskiego
Stowarzyszenia
Chorych na Miastenię
Gravis „Gioconda”
Członek Zarządu
Krajowego Forum na
Rzecz Terapii Chorób
Rzadkich Orphan
tel. 516 023 511,
www.miastenia.org.pl

Dziś już nie pamiętam, jak smakuje całkowita wolność od ciężaru własnego ciała. Zapomniałam, jak to jest budzić się z zapasem sił, który nie kończy się po zawiązaniu sznurowadeł. Moja codzienność stała się nieustanną matematyką sił: ile kroków mogę zrobić, zanim nogi staną się ciężkie jak z ołowiu? Czy starczy mi tchu, by dokończyć zdanie? Czy dzisiejszy uśmiech nie uwięźnię w połowie drogi, zmieniony w grymas bezwładu? To są pytania, które zadaje sobie każdego dnia. Pytania, które nigdy nie powinny być codziennością żadnego człowieka.

Ostatnie lata były czasem, w którym miastenia przestała być tylko uciążliwym towarzyszem. Stała się bezwzględny dyktatorem. Moje ciało zamieniło się w zbuntowane królestwo, które przestało słuchać poleceń umysłu. Ręce, które kiedyś unosiły się bez wysiłku, dziś tracą siły przy najprostszych czynnościach. Nogi, które niosły mnie przez życie, teraz potrafią odmówić posłuszeństwa po kilku krokach. Głos, który kiedyś był moją siłą, potrafi zgasnąć w połowie zdania. Standardowe leczenie, na którym opierałam swoje bezpieczeństwo przez lata, zaczęło zawodzić. Znalazłam się w zawieszaniu – między oddziałami szpitalnymi a pobytami w domu. Żyłam od wlewu do wlewu, od plazmaferezy do plazmaferezy, od jednego kryzysu do kolejnego.

Miastenia przysłała do mnie tak dawno temu, że nie pamiętam już siebie sprzed choroby. Czasem próbuję – zamykam oczy i szukam w pamięci tamtej dziewczyny, która biegła po schodach, śmiała się pełnym głosem, nie zastanawiała się, czy starczy jej sił na jutro. Ale ta dziewczyna jest jak zdjęcie sprzed lat – wyblakłe, nierzeczywiste, jakby należała do kogoś innego. Dziś budzę się nie z myślą „co zrobię?”, ale „czy dam radę?”. Każdy dzień zaczyna się od negocjacji z własnym ciałem. Każdy ruch jest decyzją. Każdy oddech – wysiłkiem.

To nie jest zwykłe zmęczenie. To jest zmęczenie, które wchodzi w kości, w myśli,

„**Stałam przed zamkniętymi drzwiami programów lekowych, słysząc, że moje cierpienie nie mieści się w rygorystycznych tabelach.**

w duszę. Zmęczenie, które odbiera godność. Moje życie od prawie trzydziestu lat to nie droga, to ciągła walka o prawo do bycia.

„**Jeszcze nie kwalifikuje się pani do programu**”

Nowoczesna medycyna miała klucz do moich kajdan. System nie pozwalał mi go użyć.

Stałam przed zamkniętymi drzwiami programów lekowych, słysząc, że moje cierpienie nie mieści się w rygorystycznych tabelach. System mówił: że muszę spełniać kryteria, że muszę być jeszcze bardziej chora. Że nie jestem „właściwym przypadkiem”. Że muszę poczekać. Nie teraz. Jeszcze nie. Jakby trzeba było umrzeć, żeby zasłużyć na życie. Z każdym dniem miastenia „wygaszała” we mnie kolejne funkcje życiowe. Czułam, jak życie wycieka ze mnie kropla po kropli. A jedyne pytanie, jakie potrafiłam sformułować w myślach, brzmiało: „Ile czasu mi jeszcze zostało?”

Miastenia nauczyła mnie rzeczy, których nigdy nie chciałam się uczyć. Nauczyła mnie,

jak wygląda strach, kiedy ciało przestaje być domem. Jak smakuje bezsilność, kiedy ręka nie unosi się choćby o centymetr. Jak brzmi cisza, kiedy głos więźnie w gardle. Ale nauczyła mnie też czegoś jeszcze – czegoś, co paradoksalnie stało się moją największą siłą. Nauczyła mnie, że nawet w najbardziej bezsilnym ciele może mieszkać nieprawdopodobnie silny duch. Że człowiek potrafi przeżyć więcej, niż kiedykolwiek by przypuszczał. I że nawet wtedy, gdy ciało się poddaje – dusza potrafi powiedzieć: „Jeszcze nie. Jeszcze nie koniec.”

Sierpień 2025. Godzina zero

Sierpień 2025 roku zapisał się w moim życiu jak czarna karta. To wtedy miastenia postanowiła zadać ostateczny cios. Nie ostrzegła. Po prostu przysłała – jak burza, która zrywa dachy, zanim człowiek zdąży zamknąć okna.

Najpierw było osłabienie, inne niż zwykle – takie, które nie pozwalało unieść nawet spojrzenia. Potem niemoc ogarnęła mnie całkowicie. Oddech stawał się coraz słabszy. Upadłam – dosłownie i symbolicznie. A potem zapadłam się w ciemność.

Obudziłam się w świecie bez czasu, kolorów ani dźwięków – poza rytmicznym szumem respiratora, który oddychał za mnie. Biel szpitalnych sufitów była jedynym, co widziałam. Przez tygodnie śpiączki byłam więźniem we własnej skórze. Sonda. Rurka tracheostomijna. Pampersy. Cewnik. Każde z tych słów to osobna rana. Każde odbierało mi kawałek godności.

Dopiero wtedy, gdy ciało całkowicie skapitulowało, system przestał pytać, czy kwalifikuję się do leczenia.

Ludzie, którzy nie pozwolili mi odejść

Pojawili się lekarze, pielęgniarki, rehabilitanci. Ludzie, którzy walczyli o mnie, kiedy ja nie mogłam walczyć sama. Dziękuję

dr. A. Kuładze, dr. J. Januszkowi i ich zespołom z KSS im. św. Jana Pawła II w Krakowie – to Wy przywróciście mi światło. To dzięki Wam mogę dziś pisać te słowa.

Powrót do życia nie wyglądał jak w filmach. Był sinusoidą – raz w górę, raz w dół. Uczylam się wszystkiego od początku: jak siedzieć, jak przełykać, jak oddychać bez paniki. Pierwszy oddech bez respiratora był jak wspinaczka na szczyt góry. Pierwsze słowo – jak przełamanie bariery, której nie da się opisać.

Czas na zmianę

Zwracam się do tych, którzy mają moc zmieniać system: Nie każcie nam czekać, aż będziemy umierać, by móc żyć.

Nowoczesne terapie biologiczne powinny być dostępne wtedy, gdy mogą zatrzymać chorobę – nie dopiero po przełamaniu miastenicznym. Koszt ratowania życia w stanie krytycznym jest wyższy niż koszt leczenia, które mogłoby temu zapobiec. To błąd i etyczny, i ekonomiczny.

Zmieńcie rygorystyczne kryteria kwalifikacji do programów lekowych. Wdróżcie Plan dla Chorób Rzadkich. Stwórzcie realne ośrodki eksperckie. System, który czeka na stan krytyczny, by uruchomić nowoczesną terapię, marnuje zarówno ludzkie życie, jak i publiczne pieniądze. Do tych, którzy walczą tak jak ja: nie pozwólcie chorobie zgasić Waszego światła. Nie definiujcie nas słabością mięśni – definiujcie nas siłą ducha.

Nikt nie powinien słyszeć „jeszcze nie kwalifikuje się pani do programu”, kiedy każdy dzień jest walką o przetrwanie. Nikt nie powinien czekać na przełom miasteniczny, by dostać leczenie, które mogło mu zapobiec.

Żyję po to, by walczyć razem z Polskim Stowarzyszeniem Chorych na Miastenię Gravis „Gioconda” o tych, którzy wciąż stoją przed zamkniętymi drzwiami. Niech mój powrót będzie dowodem, że warto walczyć. Niech mój apel będzie początkiem zmiany.

Szczepienia w miasteni – dylematy a fakty

Szczepienia są dla chorych z miastenią swoistą inwestycją we własne zdrowie – chroniąc przed infekcjami, mogą jednocześnie chronić przed zaostrzeniami choroby.



Prof. dr hab. n. med. Monika Adamczyk-Sowa
Katedra i Klinika
Neurologii w Zabrzu
Śląski Uniwersytet
Medyczny

Diagnoza miasteni często budzi u pacjentów ogromny lęk przed stymulowaniem układu odpornościowego, m.in. poprzez szczepienia. Wielu chorych obawia się, że szczepionka może wywołać rzut choroby. Obawy te są zrozumiałe, lecz aktualna wiedza nie potwierdza, że szczepienia stanowią istotne ryzyko zaostrzenia choroby. Owszem, miastenia jest chorobą autoimmunologiczną, jednak większość dostępnych szczepionek, zwłaszcza inaktywowanych, uznaje się za bezpieczne dla dotkniętych nią chorych.

Zagrożeniem zdecydowanie poważniejszym od ewentualnego pobudzenia układu odpornościowego przez szczepienie jest dla pacjenta z miastenią sama infekcja. Choroby zakaźne stanowią udowodniony czynnik ryzyka pogorszenia objawów miasteni i mogą prowadzić do przełomu miastenicznego – stanu bezpośrednio zagrażającego życiu. Z tych powodów szczepienia są w większości przypadków rekomendowane jako forma ochrony chorych z miastenią.

Szczepienia jako profilaktyka zaostrzeń miasteni

Leczenie miasteni oparte na glikokortykosteroidach i lekach immunosupresyjnych skutecznie kontroluje chorobę, ale jednocześnie – z uwagi na jego długoterminowość i szeroki wpływ na układ odpornościowy – osłabia naturalne mechanizmy obronne organizmu. W efekcie pacjenci stają się bardziej podatni na zakażenia; są one zarówno częstsze, jak i o cięższym przebiegu. Dotyczy to szczególnie infekcji dróg oddechowych, które u chorych na miastenią mogą szybko prowadzić do pogorszenia objawów, a nawet do przełomu miastenicznego.

Profilaktyka zakażeń – obejmująca szczepienia ochronne, unikanie ekspozycji na patogeny i szybkie reagowanie na pierwsze objawy – jest zatem u tych chorych nie tylko ochroną przed samą infekcją, ale kluczowym elementem stabilizacji choroby. Nieufność wobec szczepień u chorych na miastenią ma zwykle konkretne źródło

– lęk przed utratą kontroli nad chorobą, którą dopiero zaczęli oswajać. Moim zadaniem nie jest przekonywanie pacjenta za wszelką cenę, lecz dostarczenie mu rzetelnych informacji, na podstawie których podejmie świadomą decyzję. Tłumacząc, że szczepionka nie zagraża stabilności choroby – zagraża jej infekcja, której szczepionka ma zapobiec. Dotyczy to tym bardziej pacjentów kwalifikowanych do nowoczesnych terapii celowanych, których profil bezpieczeństwa wymaga wcześniejszej ochrony. Szczepienie jest wtedy nie formalnością, lecz warunkiem skutecznego i bezpiecznego leczenia.

Kiedy wykonać szczepienie w miasteni?

Decyzja o szczepieniu powinna być zawsze podejmowana w porozumieniu z lekarzem prowadzącym. Najlepszy moment to okres stabilizacji choroby, kiedy objawy są dobrze kontrolowane, a leczenie nie wymaga intensyfikacji. Szczególnie istotne jest, aby szczepienia przeprowadzić

przed planowanym włączeniem terapii silnie immunosupresyjnej (w tym steroidowej) lub leczenia celowanego, ponieważ wtedy odpowiedź immunologiczna na szczepionkę jest najbardziej efektywna, a pacjent uzyskuje optymalną ochronę. Modelowa, bezpieczna kwalifikacja powinna mieć charakter indywidualny i uwzględniać ocenę aktualnej aktywności choroby oraz ryzyka jej zaostrzenia, analizę stosowanego leczenia, w tym rodzaju i dawek leków immunosupresyjnych, a także weryfikację dotychczasowego statusu szczepień. Należy również wykluczyć przeciwwskazania do szczepienia, jak np. ostra infekcja, oraz dobrać odpowiedni rodzaj szczepionki, preferencyjnie – inaktywowanej.

Kluczowa jest współpraca neurologa z lekarzem podstawowej opieki zdrowotnej lub specjalistą chorób zakaźnych. Takie skoordynowane podejście pozwala bezpiecznie zaplanować szczepienia, minimalizując ryzyko działań niepożądanych i jednocześnie zapewniając pacjentowi maksymalną ochronę przed infekcjami.

Nowe leki na rzadkie zespoły padaczkowe

Życzyłbym sobie ułatwienia dostępu do nowoczesnego leczenia rzadkich zespołów padaczkowych, zmniejszenia obciążeń dla placówek, mniej rygorystycznych metod monitorowania i więcej zaufania do lekarzy, że leczą zgodnie ze sztuką medyczną i dopasowują terapie do potrzeb pacjentów.



Prof. dr hab. n. med.
Konrad Rejdak
Uniwersytet Medyczny
w Lublinie

Brak odpowiedniego leczenia zespołów padaczkowych jest bardzo kosztowny – dla chorego i systemu państwowego; obejmuje nie tylko koszt choroby, ale wiąże się też z wykluczeniem z rynku pracy rodziców/opiekunów chorych [głównie dzieci].

Czym jest padaczka?

Padaczka wynika z zaburzeń funkcji mózgu i związana jest z nadmierną aktywnością bioelektryczną tego narządu. Nie jest chorobą, lecz jej objawem – w postaci napadu będącego konsekwencją wspomnianej nadaktywności w konkretnym obszarze mózgu lub całej strukturze mózgu [odpowiednio: napad ogniskowy lub uogólniony]. Padaczka może mieć różne przyczyny – wrodzone lub nabyte. Może wynikać z nieprawidłowej budowy mózgu, będącej konsekwencją zaburzeń w okresie rozwojowym, bądź jest to wynik istnienia określonych mutacji, skutkujących nadpobudliwością neuronów. U niektórych chorych mogą występować zarówno mutacje genetyczne, jak i nieprawidłowa budowa mózgu. Przyczyną może być też nabyte uszkodzenie mózgu – w okresie rozwojowym bądź już po nim. Każdy zespół padaczkowy ma swoistą konstelację cech – charakterystycznych pod względem manifestacji klinicznych, jak i zapisu bioelektrycznego powstającego podczas badania elektroencefalograficznego.

„ **Niekontrolowane napady padaczkowe mogą prowadzić do uszkodzenia mózgu, a nawet – nagłej śmierci.** ”

Rzadkie zespoły padaczkowe i ich rozpoznanie

Rzadkie zespoły padaczkowe rozwijają się od urodzenia lub w dzieciństwie. Należą tutaj m.in. zespół Dravet i Lennox-Gastauta. Zespół Dravet to wynik mutacji wpływającej na pracę kanałów sodowych. Jest złożoną chorobą dotyczącą różnych sfer życia z ciężką, często występującą padaczką [główny objaw] oraz zaburzeniami rozwojowymi, umysłowymi, w zachowaniu, budowie i funkcjonowaniu narządów obwodowych, dlatego wymaga kompleksowego podejścia leczniczego. Mniej poznany jest zespół Lennox-Gastauta – to choroba nabyta, wynikająca z uszkodzenia mózgu, którego przyczyny z reguły nie potrafimy określić; może to być uraz okołoporodowy czy niedotlenienie mózgu w trakcie rozwoju płodowego bądź też już po urodzeniu. Rozpoznanie padaczki następuje szybko, często od razu, gdy wystąpią jej napady, ale szczegółowa diagnoza może być opóźniona, gdyż trzeba poznać podłoże choroby oraz rozpoznać konkretny zespół

chorobowy. Chory może mieć przez wiele lat rozpoznanie ogólne padaczki ciężkiej, lekoopornej, lecz bez stwierdzonego konkretnego zespołu chorobowego. Diagnozowanie rzadkich zespołów padaczkowych [przeprowadzane w ośrodkach mających w tym doświadczenie] było dotychczas dość utrudnione, gdyż nie mieliśmy łatwego dostępu do badań genetycznych – szczególnie w zespole Dravet [obecnie jest łatwiejsze, szczególnie w neurologii dziecięcej]. Diagnozowanie zespołu Lennox-Gastauta bywa trudne, gdyż najczęściej nie ma konkretnego czynnika przyczynowego; chorobę potwierdzają objawy i specyficzny zapis elektroencefalograficzny.

Nowoczesne leczenie to konieczność

Chorzy, u których występują napady padaczkowe, nawet jeśli nie mają szczegółowej diagnozy, muszą być leczeni z użyciem rozmaitych leków przeciwpadaczkowych. Niekontrolowane napady padaczkowe mogą prowadzić do uszkodzenia mózgu, a nawet –

nagłej śmierci [zespół SUDEP – ang. Sudden Unexpected Death in Epilepsy]. Niedawno pojawiły się nowe leki, skuteczne w łagodzeniu przebiegu rzadkich zespołów padaczkowych. Nie działają na przyczynę choroby, ale na jej mechanizmy. Ich skuteczność jest poparta badaniami klinicznymi – wykazano, że zmniejszają częstość napadów i poprawiają funkcjonowanie chorych. Nowe terapie zostały w Polsce wpisane do programów lekowych [lek zwiększający uwalnianie serotoniny czy lek działający na układ kanabinoidowy] i podlegają refundacji – na określonych warunkach terapeutycznych i po spełnieniu wymogów związanych z monitorowaniem choroby.

Osoby z zespołami padaczkowymi, głównie dzieci, zdane są na opiekę innych, gdyż w większości przypadków nie są zdolne do samodzielnej egzystencji. Opieka nad nimi to ogromny wysiłek dla opiekunów. Cieszymy się więc, że nowe leki weszły do refundacji, a pacjenci mogą z nich korzystać. Dzięki skutecznemu leczeniu na twarzach opiekunów pojawia się uśmiech, dziecko może przespać noc, komunikować się w jakiejś formie z najbliższymi i nie jest dotknięte serią napadów, które całkowicie dezorganizują funkcjonowanie zarówno pacjenta, jak i opiekunów. Pamiętajmy, że musi być zachowana ciągłość terapii, gdyż pacjenci młodociani dorastają, a leczenie musi być kontynuowane.



Innowacyjne metody leczenia. Pacjent zawsze w centrum naszych działań. Profesjonalny, pełen pasji zespół.

Swixx BioPharma to firma farmaceutyczna reprezentująca portfolio spółek międzynarodowych oferujących produkty biofarmaceutyczne, produkty dostępne bez recepty oraz wyroby medyczne, zastępująca ich spółki zależne lub jednostki organizacyjne na rynkach, na które nie chcą one wkraczać, lub z których chcą się wycofać.

Nasz oddany zespół, który za cel stawia sobie poprawę wyników leczenia pacjentów, niestrudzenie dąży do zapewnienia potrzebnym dostępu do nowoczesnych leków od naszych partnerów.

Swixx BioPharma specjalizuje się w czterech strategicznych obszarach leczenia, wprowadzając wysoce innowacyjne, nowe terapie w zakresie chorób rzadkich, onkologii/hematologii, opieki specjalistycznej i szczepionek.

SWIXX BIOPHARMA SP. Z O.O.
UL. PROSTA 51, 00-838 WARSZAWA
TELEFON: +48 22 460 07 20
E-MAIL: poland.info@swixxbiopharma.com

PM-PL-2024-6-3845
Data zatwierdzenia materiału 21.06.2024 r.

04 / Wywiad

To one
namierzyły
„polskiego
Pelicota”

24 / Design

Porcelana
z piaskami

KAROLINA PLUTA

Matka, która *zartuje* z ADHD

– rozmowa Ewy Jankowskiej

Wstyd musi zmienić stronę

**MONIKA
TUTAK-GOLL**



Bylam jak szmaciana lalka. Nigdy nie będę w stanie zapomnieć o tym, co się stało. Blizna jest głęboka. Ale teraz zadaję sobie pytanie: „Co zrobić z tym całym syfem?”. To było jak zanurzenie w potoku błota. Podjęłam decyzję, by przywrócić mojemu życiu kolor. Trzeba z tego wszystkiego zrobić coś szlachetnego. Dziś odradzam się z popiołów” – powiedziała w jednym z wywiadów Gisèle Pelicot. Jej słowa, jej odwaga i determinacja dały nadzieję tysiącom ofiar seksualnych nadużyć. Gisèle jest bohaterką, symbolem walki o prawa ofiar. Zdecydowała, że nie będzie anonimowa. Przełamała obezwładniający wstyd. „Wstyd musi zmienić dziś stronę” – powiedziała.

Historia Gisèle Pelicot wydawała się nam wszystkim nieprawdopodobna. Myśleliśmy wtedy, że to przestępstwo niepowtarzalne. Mąż, który odurza żonę, wykorzystuje ją seksualnie, zaprasza innych i pozwala im ją gwałcić? Mąż, który filmy z nieprzytomną żoną wrzuca do internetu? Przypadek ekstremalny. Dziś okazuje się, że takich przypadków są tysiące. Dziennikarki CNN – Saskya Vandoorne i Niamh Kennedy – mówią w rozmowie z Natalią Waloch: „Wiedziałyśmy, że to wierzchołek góry lodowej”. To właśnie dzięki ich śledztwu udało się namierzyć Piotra, „polskiego Pelicota”, który odurzał swoją żonę i nagrania z wykorzystywania wrzucał na grupy internetowe. Taki był warunek: żeby wejść do gru-

py, trzeba podzielić się nagraniami lub zdjęciami z gwałtu na żonę. Piotr został włączony do „wspólnoty”, dołączył do grona przestępców seksualnych. Grupa nie była trudno namierzalna: funkcjonowała na ogólnie dostępnych stronach, wszystko tam działało jak w dobrej organizacji: grupa miała strukturę, była uporządkowana, budowano relacje mistrz–uczeń, za streaming można było zapłacić powszechnie znanymi metodami płatności. Mężczyźni dzielili się radami: co podać, w jakiej dawce, żeby dobrze usnąć partnerkę.

Mężowie, partnerzy, niektórzy w związkach od kilkunastu lat (jak Piotr – dziennikarki nie podają jego prawdziwego imienia, żeby chronić rodzinę i wykorzystywaną żonę), na co dzień żyli zupełnie zwyczajnie: odprowadzali dzieci do szkoły, robili zakupy, jeździli z rodziną na wakacje. Kiedy dziennikarki wyśledziły Piotra, jadł z żoną obiad w restauracji. Gisèle Pelicot też nie mogła uwierzyć: dopóki nie zobaczyła zdjęć. Mąż, z którym była 50 lat, odurzał ją przez dekadę.

W sprawie Piotra polska policja zareagowała szybko i odpowiednio: potraktowano tę sprawę bardzo poważnie. Zrobiono wszystko, by ochronić ofiarę.

Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że seks bez zgody to gwałt i że gwałt może występować także w małżeństwie. ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Michelle Pfeiffer: Aktorka wszechstronna • Agnieszka Żulewska: Z piaskiem w butach ■ **TEMAT NUMERU:** Gaslighting to manipulacja. Anna Wendzikowska, Ania Rusowicz, Joanna Racewicz, dr Małgorzata Gamian-Wilk ■ **TWARZE:** David Attenborough, Lisa Kudrow, Anna Starmach, Wojciech Tochman, Dawid Ogrodnik, Maria Przybyłko-Potocka
- **PSYCHOLOGIA:** Powrót do matki - reportaż. Felietony: Katarzyna Kucewicz, Olga Woźniak
- **KULTURA:** Agnieszka Drotkiewicz, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Boćkowska
- **MODA:** Koreańskie inspiracje ■ **PODRÓŻE:** Austria ■ **KUCHNIA:** Pastaman

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczyńska,
Agata Luszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejewska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Lukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sasz

PRODUKCJA:
Dorota Jezerska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFE PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 17, 23, 28 zamieszczony
jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 21 (1392)
NA OKŁADCE:
KAROLINA PLUTA
FOT. ALICJA SZULC





e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
 adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
 telefon: 22 555 43 26

LIST TYGODNIA

Mamo, jestem wdzięczny

Moja Mama to osoba niezwykle ciepła, serdeczna, zaradna i pracowita. Nigdy nie narzekala na swój los, nie użalała się nad sobą. Zawsze dzielnie walczyła. Nigdy nie prosiła żadnej osoby o wsparcie, ale sama starała się pomóc człowiekowi w potrzebie, w tym starszym samotnym sąsiadom, niosła pomoc w robieniu zakupów i zapraszała ich na kawę. Nigdy nie oczekiwała niczego w zamian. Zawsze powtarzała: „Gość w domu to Bóg w domu”. Mama jest osobą głęboko wierzącą, wiara pomogła jej przetrwać ciężkie chwile. Nieraz mierzyła się z cierpieniem, chorobą, bywały chwile, gdy sytuacja wyglądała „na nie do przejścia”. Nigdy nie okazywała przed ludźmi swoich słabości, często ukrywała swój ból, tak jest do dziś. Chociaż widzę, że dzisiaj coraz częściej coś jej dolega i jest to wynikiem ciężkiej pracy, którą mama wykonywała przez długie lata, opiekując się mną i schorowaną babcią. Mama była i jest osobą bardzo pozytywną, zawsze mówiła, że lepiej się śmiać niż płakać, żartować z samego siebie niż chorować. Jednak nigdy nikogo nie obrażała. Zawsze dodawała, że najlepiej pośmiać się z samego siebie. Było to szczególnie potrzebne, gdy jechaliśmy na rehabilitację lub na konsultacje lekarskie: wtedy dawka pozytywnej energii była niezbędna. Zamiast narzekać, wspólnie śpiewaliśmy piosenki, ponieważ trzeba było jakoś sobie umilić ten ciężki czas. Nigdy nie lubiła, gdy ktoś się nad nią litował. Mówiła, że to i tak w niczym jej nie pomaga. Bar-

dzo się cieszę, że los postawił na mojej drodze taką wspaniałą Mamę, która dzielnie o mnie walczyła przez długie lata. Nigdy mnie nie trzymała pod kloszem, nie mówiła: „nie idź tam, bo stanie ci jakaś krzywda”. Zawsze wspierała mnie w pokonywaniu barier, nie raz cała drżała ze strachu, gdy szedłem do szkoły lub na roraty z innymi dziećmi po operacji na lewą nogę. Dzisiaj mogę tylko okazywać jej wdzięczność i pomagać mamie każdego dnia, ale to i tak za mało w stosunku do tego, co ona dla mnie zrobiła przez tyle lat. Dziękuję Ci, Mamo. ▲ (Krystian)

NAGRODY

Autor listy otrzyma zestaw kosmetyków Bielenda Revital Derm oraz książkę „Grom z jasnego nieba. Opowieść o sztuce, życiu i nagłej śmierci” Laury Cumming, Wydawnictwo Literackie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE



PRENUMERATA
 Z PŁATNOŚCIĄ
 CYKLICZNĄ
 CO WYDANIE
 KAŻDY EGZEMPLARZ
 ZA JEDYNE 18,90 ZŁ



ZAMAWIASZ RAZ, A MY DOSTARCZAMY KOLEJNE WYDANIA
 ZESKANUJ I SPRAWDŹ

SASKYA VANDORNE
I NIAMH KENNEDY

Efekt *Gisèle* *Pelicot*

Żeby móc liczyć na zaufanie mężczyzn z grupy, było się na wejściu proszonym o wideo lub zdjęcie odurzonej żony. Nasze śledztwo nie odpowiedziało na pytanie, dlaczego oni to robią





Z SASKYĄ VANDORNE I NIAMH KENNEDY,
DZIENNIKARKAMI CNN,
ROZMAWIA NATALIA WALOCH

d

Dzięki wielomiesięcznemu śledztwu dziennikarek i dziennikarzy CNN udało się zatrzymać „polskiego Pelicota”. Mężczyzna z Lubelszczyzny odurzał, gwałcił i nagrywał swoją nieprzytomną żonę, a następnie wrzucał nagrania do internetu. Dziennikarze CNN przez wiele miesięcy tropili w internecie „akademię gwałtu” – mężczyzn, którzy doradzali sobie jak odurzać partnerki, a następnie je wykorzystywać. Saskya Vandoorne, Kara Fox, Niamh Kennedy, Eleanor Stubbs i Marco Chacona dostali się pod fałszywym nickiem do prowadzonych w internecie grup, gdzie setki mężczyzn z całego świata dzielili się doświadczeniami z krzywdzenia swoich odurzonych lekami i narkotykami żon i partnerek. Saskya Vandoorne i Niamh Kennedy opowiadają dziś „Wysokim Obcasom”, jak wyglądało ich śledztwo.

Jak zorientowaliście się, że sprawa Dominique’a Pelicota to tylko wierzchołek góry lodowej?

SASKYA VANDORNE: Zaczęło się, gdy brałam udział w procesie Pelicota. Wiadomo było, że serwis Coco, jakiego używał do rekrutowania mężczyzn, którzy gwałcili potem jego żonę, został zamknięty, ale wiedzieliśmy, że jego miejsce zajęły inne strony. Zaczęłyśmy je badać, natknęłyśmy się na relacje dziennikarzy z Kanady czy Niemiec, które mówiły o stronach porno, na których mężczyźni wymieniali się wskazówkami, jak odurzać i wykorzystywać partnerki.

W opublikowanym przez nas materiale mówimy tylko o serwisie Motherless [od 9 maja strona jest czasowo zawieszona] i komunikatorze Telegram, ale warto podkreślić, że tych stron było oczywiście dużo więcej.

Jak zaczęło się wasze śledztwo?

NIAMH KENNEDY: Motherless.com to serwis pornograficzny, gdzie użytkownicy wrzucają swoje filmy, ma około 60 milionów wizyt miesięcznie. Spędziłyśmy z Saskyą sporo czasu na tworzeniu fejkowego profilu, jednocześnie zapoznając się z różnymi treściami. W naszym raporcie wyjaśniamy, że ten serwis był czymś w rodzaju landing page dla filmów pokazujących stosunki seksualne, które odbyły się bez zgody kobiet wyglądających na zdecydowanie nieprzytomne. Te posty były otagowane jako „nieprzytomna”, „chloro-dziewczyna”, „sleepy girl”. Video pokazywały też coś, co nazywa się „eye check” [sprawdzanie oka – red.]: leżącej na łóżku śpiącej kobiecie mężczyzna podnosi powiekę, żeby pokazać, że

jest naprawdę nieprzytomna. Zaczęłyśmy wysyłać tam wiadomości do użytkowników, a potem znalazłam link do prywatnej grupy na Telegramie i to ona stała się głównym tematem naszego śledztwa.

Co się działo na tej grupie?

Było tam około tysiąca mężczyzn z całego świata, którzy dzielili się wskazówkami, jak odurzać i gwałcić kobiety. Zaczęłyśmy wysyłać do nich wiadomości, zadając pytania i próbując zrozumieć, co się dzieje w tym ich świecie.

Piszecie, że wrzucane na grupę filmy pokazujące gwałty były pewnego rodzaju walutą. Wyjaśnijcie, proszę, co to znaczy.

SV: Żeby móc liczyć na zaufanie mężczyzn z grupy, było się na wejściu proszonym o wideo lub zdjęcie odurzonej żony. Dlatego nasze początkowe rozmowy z użytkownikami nie zaszły zbyt daleko, bo z oczywistych względów nie mogłyśmy wymieniać się z nimi żadnymi materiałami.

Na grupie odbywały się transmisje na żywo. Jeden z mężczyzn reklamował swój streaming: za 20 dolarów można było zobaczyć, jak wykorzystuje swoją nieprzytomną żonę, można było też prosić go, by robił z nią konkretne rzeczy. Inny użytkownik mówił, że sprzedaje środki uspokajające w płynie. Napisałam do niego prywatną wiadomość, prosząc o dowód, że rzeczywiście prowadzi taki handel – wysłał nam mnóstwo zdjęć paczek, które rozsyłał na cały świat. Wtedy zobaczyłyśmy, że zjawisko jest globalne, bo na paczkach były adresy w Niemczech, USA, Francji. Wszystko to działało jak dobrze naoliwiona maszyna: grupa miała strukturę, była uporządkowana, mogłaś zapłacić za streaming powszechnie znanymi metodami płatności.

Zdobycie zaufania tych ludzi nie było łatwe. Jak sądzicie, dlaczego Piotr, mężczyzna nazwany potem „polskim Pelicotem”, zaczął dzielić się z wami szczegółami tego, co robił? Chciał się popisać, szukał widowni?

SV: Myślę, że po prostu chciał z kimś porozmawiać. Działaliśmy bardzo ostrożnie, nikogo nie zachęcałyśmy, po prostu zadawałyśmy pytania. Piotr bardzo się cieszył, że ktoś go słuchał, więc zaczął nam wysyłać zdjęcia i filmy ze swoją żoną. Oczywiście czasem pytał mnie o moją żonę, ale odwracałam jego uwagę, zadając mu jeszcze więcej pytań. Byłam obserwatorką, próbowałam zrozumieć motywację. Czy to realizacja fantazji? Kink? Rodzaj zemsty? Jeden mężczyzna powiedział mi, że robi to swojej dziewczynie, z którą uprawiał też normalny seks, bo to daje mu całkowitą, absolutną dominację nad nią. Robił, bo mógł – tak mi powiedział. Nasze śledztwo nie odpowiedziało na pytanie: dlaczego oni to robią.

NK: Dla tych mężczyzn ważna była obecność w tej grupie, to, że znaleźli tam braci, przyjaciół, którzy lubili to samo. Mieli przestrzeń, w której to, co robili, nie było potajemne, wstydlive, było prawie jak wspólne hobby. Oni sobie to nawzajem normalizowali. Grupa była aktywna, wiadomości przychodziły o każdej porze: ktoś pytał, jakie leki stosować, inny odpowiadał, czego on używał, jeszcze ktoś pisał: „Mam problem, bo lek nie zadziałał” albo: „Boję się przedawkować”. Oni sobie tam odpowiadali na pytania, w pewien dziwny sposób była to społeczność.

W waszych materiałach pojawiło się określenie „akademii gwałtu”.

Tego określenia użyła posłanka, którą odurzył pewien senator. Zaobserwowałyśmy też, że między mężczyznami występowała dynamika nauczyciel–uczeń. Mieli bardzo różny poziom doświadczenia, byli tacy, którzy nigdy wcześniej tego nie robili, oni po prostu słuchali historii, którymi dzielili się bardziej doświadczeni; byli też tacy, którzy – widziałas to – byli w tym ekspertami. Ci podawali szczegóły dotyczące dawek, wskazywali momenty, gdy coś mogło się nie udać, mówili o metabolizmie partnerek, o tym, jak lek działa zależnie od masy ciała. Wydawało się, że to jest niemal ścisła nauka i że oni używali swoich żon lub dziewczyn jako królików doświadczalnych. Robiłam wywiad z psychologą, która badała połowę oskarżonych w sprawie Pelicota. Ona po-

wiąć. Chętnie dzielił się informacjami i nie był podejrzliwy, co nam bardzo pomogło w potwierdzeniu jego tożsamości. Ostatecznie, jak wiesz, trafiliśmy do restauracji [w Polsce – red.], w której przebywał.

Co myślałaś i czułaś podczas podróży do Polski, w drodze na spotkanie z Piotrem?

Nie wiedziałyśmy, czy uda się nam znaleźć tę restaurację, czy będziemy z nim w jednym pomieszczeniu. Przed wyjazdem dużo rozmawialiśmy o tym, czy powinniśmy Piotra konfrontować, czy należy rozmawiać z jego żoną, jak się mamy zachować. Przyjechaliśmy uzbrojeni w wiedzę. Ale to było niepokojące i dezorientujące znaleźć się w tym samym pomieszczeniu, zdać sobie sprawę, że wszystko, co pisał w wiadomościach, było prawdą. Bo do tej pory nie mogliśmy być tego

Wszystko to działało jak dobrze naoliwiona maszyna: grupa miała strukturę, była uporządkowana, *mogłaś zapłacić za streaming powszechnie znanymi metodami płatności*

wiedziała, że ci mężczyźni czerpią dreszcz emocji nie tylko z odurzania i gwałcenia partnerek, ale też z dzielenia się tym doświadczeniem.

Tego typu śledztwo wiąże się dla dziennikarza z wieloma wyzwaniem etycznymi. Opowiedzcie, proszę, o dylematach moralnych, z którymi mierzyliście się podczas śledztwa.

NK: Najważniejsze dla nas było utrzymanie roli dziennikarza, czyli zadawanie pytań i uzyskiwanie odpowiedzi. Istotne było niezachęcanie nikogo do nielegalnych zachowań, niepodżeganie ich do złych czynów. Byliśmy wszyscy bardzo, ale to bardzo ostrożni. Przez cały czas współpracowałyśmy z niesamowitym zespołem prawnym, fact checkingowym oraz weryfikującym zgodność ze standardami. Miałyśmy też z Saską znakomitych redaktorów i od strony wideo, i od strony tekstowej; wszyscy byliśmy w nieustannym dialogu ze sobą.

SV: Mieliśmy określone ramy, w których działaliśmy, wszystko było sprawdzane pod kątem prawnym. Na każdym etapie śledztwa wszyscy byli zaangażowani, żeby nikt nie czuł, że działa samotnie w ciemności. Zawsze w rozmowie z Piotrem pamiętajmy, że to jest rozmowa między nim a CNN, bo tak wiele osób było w to zaangażowanych.

Wydaje mi się niesamowite, że udało się wam zdobyć adres Piotra. Jak do tego doszło?

SV: Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale musisz wiedzieć, że Piotr był osobą bardzo ufną, nie potrzebował dużo, by zechcieć mówić, bardzo pragnął mieć kogoś, z kim mógłby porozma-

wieć. Pisać mógł ktoś, kto przejął jego tożsamość, kto miał jego telefon, jakiś stary numer. Był to ważny, ale niekomfortowy moment. Niamh, jak ty się czułaś?

NK: Bardzo podobnie. Wjeżdżając do Polski, martwiłam się głównie o to, czy mamy namierzone właściwe miejsce. Wiesz, robisz research, prowadzisz rodzaj dochodzenia, podczas którego próbujesz poskładać razem wskazówki z wiadomości, ale dopiero ta podróż sprawiła, że wszystko stało się prawdziwe, choć wcześniej spędziłam miesiące, śledząc poczynania na grupie. Jednak wszyscy się ukrywali pod nazwami użytkowników, nie byli do końca prawdziwymi ludźmi, byli tajemniczy. Piotr wysyłał nam zdjęcia, więc wiedzieliśmy, jak wygląda, i kiedy widział, że osoba na żywo pasuje, to jest moment „eureka”. Przeszedł mnie dreszcz, gdy zrozumiałam, że jest prawdziwą osobą.

SV: Mimo że dzielił się ze mną naprawdę wieloma bardzo intymnymi szczegółami, to kiedy zapytałam – wciąż działając pod przykrywką – czy chciałby spotkać się w prawdziwym życiu, odmówił. Myślę, że podobało mu się to poczucie dystansu, oddzielenia. On chyba nie chciał myśleć o tym, że ten mężczyzna, za którego się podawałam, może być prawdziwy. Podobało mu się, że istnieje w jego telefonie, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek chciał spotkać mnie w realu. Myślę, że w ten sposób rozdzielał różne części swojego życia. Myśmy pewnego dnia próbowali dzwonić do wielu z tych mężczyzn i oni mówili, że chętnie porozmawiają, a potem wszyscy się wycofywali.

Zdecydowaliście nie konfrontować się z Piotrem ze względu na jego żonę i rodzinę, zamiast tego poszły-

ście na komisariat. Jak zareagowała polska policja, gdy nagle weszły dwie dziennikarki CNN z informacją, że mają „polskiego Pelicota”?

SV: Potraktowali to bardzo poważnie i działali niewiarygodnie szybko. Pracuję nad tym tematem wystarczająco długo, żeby widzieć poważne zaniechania policji w innych krajach. Często pracuje się tam zbyt powoli, bo myślą sobie: „To tylko internet”. Wiesz: to tylko nazwisko, facet może nie być prawdziwy, ona mogła się na to zgodzić. Polska policja od razu się tym zajęła.

Rozmawialiście też z kobietami, które były odurzane i gwałcone.

NK: Tak, przeprowadziliśmy wywiady z trzema niesamowitymi ocalałymi, dwiema w Wielkiej Brytanii i jedną we Włoszech. Każda z nich była na innym etapie drogi w próbach

ro dzieci. Jest trudne i dezorientujące zaakceptować, że popełnił przeciwko niej przestępstwo. Próbowaliśmy racjonalizować, mówiąc, że i tak uprawia z nim seks, więc czy to naprawdę takie złe, że on to robi, usypiając ją.

Myszę, że to był sposób na chronienie nie tylko siebie, ale też rodziny. Zoe przez cały wywiad nie była w stanie wypowiedzieć słowa „gwałt”. Jedyny raz, gdy go użyła, to wówczas, gdy cytowała męża: „Robię ci zdjęcia, usypiam cię i gwałcę”. To pokazuje, dlaczego jest to tak okrutne przestępstwo: bo w osobie, która go doświadcza, panuje ogromny wewnętrzny chaos. Ogromnego wysiłku wymaga przyjęcie do wiadomości tego, co się wydarzyło. Niemal we wszystkich przypadkach to nie pokrzywdzone idą na policję, tylko ktoś z rodziny, który wspiera i mówi, że trzeba to zgłosić. Wniesienie zarzutów przeciwko mężowi czy partnerowi bywa długą i bolesną drogą.



poradzenia sobie z tym, co je spotkało. Robiły też to na różne sposoby. Wspólna rzecz, o której teraz pomyślałam, to to, że trauma przejawiała się u kobiet fizycznie. To zjawisko jest wyjątkowe o tyle, że na ogół kobiety nie pamiętają, co się im przydarzyło, bo były odurzone.

Wszystkie mówiły o tym, jak odkryły prawdę. Zoe z Sidmouth na zachodnim wybrzeżu Anglii opowiedziała, jak mąż wyznał jej wszystko po nabożeństwie. Wymienił rzeczy, które robił, opowiadał, jak ją ogłuszał, gwałcił i nagrywał. Ona mówi, że w momencie, gdy się niejako przebudziła psychicznie, poznawszy prawdę, zaczęła też mieć objawy fizyczne, doświadczała okresów osłabienia, zmęczenia, lęku.

Z kolei Amanda, druga Angielka z północy kraju, miała bardzo trudną relację z sypialnią. Gdy dowiedziała się, że w tym miejscu robiono jej wszystkie te rzeczy, nie mogła spać w łóżku i nadal tego nie potrafi.

I wreszcie ostatnia kobieta, Valentina, mówiła o tym, że wspomnienia wywoływał w niej na przykład zapach jakiegoś napoju lub ustawienie szklanki. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że to wiąże się ze wspomnieniami bycia odurzoną.

SV: Myszę, że jednym z powodów, dla których to przestępstwo jest niedostatecznie zgłaszane, jest to, że wielu kobietom dużo czasu zajmuje rozpoznanie, że to faktycznie była przemoc. Jak mówiła Zoe: to nie obca osoba zgwałciła ją w załuku, tylko jej mąż, z którym żyła 16 lat i z którym ma czwo-

Amanda w rozmowie z tobą mówi: „To więcej niż zwykle zło”. A jednak te kobiety zdecydowały się z wami rozmawiać, dwie z nich wystąpiły pod nazwiskiem, pokazały twarz. Czy możemy mówić o czymś w rodzaju „efektu Gisele Pelicot”?

Uwielbiam tak to nazywać i zdecydowanie jest to efekt Gisele Pelicot. Jak spojrzymy na to wszystko za 10-15 lat, to będziemy widzieli rzeczywistość przed i po Gisele Pelicot, ona jest punktem zwrotnym. Mówią o tym ocalałe. Amanda i Zoe mówią, że wcześniej nie zrezygnowałyby z prawa do anonimowości, nie ujawniłyby swojej tożsamości. To ona wytyczyła drogę, pokazała, że nie ma się czego wstydzić i że jeśli nie zabierzemy głosu, to takie przestępstwa będą się powtarzały dzięki zasłonie tajemnicy.

NK: Ważną rzeczą w naszym materiale było to, że z jednej strony mieliśmy tam odważne kobiety, które wychodziły na światło dzienne, obnażały się i mówiły o traumie, a drugiej byli ci mężczyźni wciąż ukryci za nazwami użytkownika, czujący się bezpiecznie na grupowych czatach. Sądzę, że to, co było ważne w naszym śledztwie – też w kontekście tego, jak potoczyła się sprawa Piotra [„polski Pelicot” został zatrzymany przez policję – red.] – to to, że chcieliśmy zburzyć przekonanie, że takie zachowania są w porządku i że mężczyźni mogą myśleć, że w takich przestrzeniach są bezpieczni i ujdzie im to na sucho. Że mogą się ukrywać pod nicka-

mi i dopuszczać się przemocy bez konsekwencji. Chciałyśmy wyciągnąć ich na światło dzienne, czy tego chcieli, czy nie.

Gdy w przestrzeni publicznej mówi się o kobietobójstwach, przemocy domowej i seksualnej, wielu mężczyzn mówi: „Ale przecież nie wszyscy tacy są”, co mnie bardzo frustruje, bo naprawdę uważam, że kobiety potrzebują męskich sojuszników. Co byście im powiedziały?

NK: Myślę, że niestety faktycznie istnieje próżnia, jeśli chodzi o męskich sojuszników.

Co dla mnie było ciekawe, to to, że podczas takiej pracy miałam okazję do rozmów z mężczyznami i zawodowo, i prywatnie. Myślę, że mężczyźni mają ogromny poziom dyskomfortu, choć przecież oczywiście w naszym materiale nie mówimy, że wszyscy mężczyźni chcą uczestniczyć w grupach takich jak ta, którą opisałyśmy. Próbuujemy tylko powiedzieć, że jest ich tam więcej, niż ktokolwiek wcześniej przypuszczał. Sądzę, że jest potrzeba, żeby mężczyźni mocniej zabierali głos i wyraźniej potępiali takie zachowania, bo to zaczyna się już w bardzo młodym wieku i wpisuje się w szerszy ruch społeczny, tzw. Manosferę. Są to przestrzenie w internecie, gdzie powielane są bardzo toksyczne postawy wobec kobiet, które znów stają się coraz bardziej obecne w przestrzeni publicznej.

Byłoby wspaniale, gdyby jakiś męski polityk wyszedł i skomentował śledztwo takie jak nasze. Szczerze? Nie widziałam czegoś takiego. Największe zaangażowanie, jakie widzieliśmy, było ze strony polityczek, kobiet. To rozczarowujące i wygląda trochę tak, jakby kobiety po prostu wiedziały, jak jest. W naszym materiale na pewno jest rys edukacyjny dla osób, które mogą nie zdawać sobie sprawy, że takie rzeczy się dzieją, ale generalnie kobiety w 2026 r. wiedzą, że żyją w świecie, w którym muszą bardzo uważać na swoje bezpieczeństwo. Byłoby miło, gdyby więcej mężczyzn uznawało ten stan rzeczy i o nim mówiło.

SV: Zgadzam się, że potrzebujemy więcej mężczyzn. Wszystkie osoby z ministerstw, organizacji pozarządowych, stanowiące prawo, z którymi rozmawialiśmy, były kobietami.

Jak powiedziała Gisele Pelicot, trzeba zacząć od edukacji. Od seksistowskich komentarzy. Bo komentarz ustawia pewien ton i nie wiesz, dokąd to zaprowadzi, do jakich rozmów i jakich wzorców.

Nasze śledztwo pokazało, że nie dojdziemy do niczego, jeśli będziemy mieć kobiety po jednej stronie, a mężczyzn po drugiej. Musimy ze sobą rozmawiać. Myślę, że mężczyźni naprawdę powinni zobaczyć nasz materiał i w swoim gronie – bez kobiet – porozmawiać, spróbować zrozumieć, co może pchać niektórych mężczyzn do popełniania takich przestępstw. Jest naprawdę sporo przestrzeni, gdzie mężczyźni produkują ogromną nienawiść do kobiet, które poniżają i odczłowieczają. Coś tu jest głęboko zepsute i wymaga naprawy.

Piotr został aresztowany. Wasze śledztwo pokazuje sprawczość dziennikarstwa. Jak to jest być kimś, kto może zmienić kawałek świata?

NK: Interesujące jest to, jak zareagowali ustawodawcy w niektórych krajach, którzy uznali, że tego rodzaju raporty mogą być okazją do zmian w prawie, które zapewnią kobietom więcej bezpieczeństwa. Wspaniale było spotkać się z polity-

kami, którzy chcą poważnie traktować problem przemocy wobec kobiet i dziewcząt i którzy chcieli usłyszeć o naszych doświadczeniach, żeby wykorzystać je w swoich działaniach w przyszłości. W Wielkiej Brytanii byliśmy właśnie w Izbie Lordów i spotkałyśmy się z baronessą Heleną Kennedy, która jest także prawniczką i zaczęła zastanawiać się nad lukami w brytyjskim prawie oraz rozważać, co by się stało, gdyby można było ścigać osoby, które oglądają transmisje na żywo na grupach takich jak ta z naszego materiału. To otwiera zupełnie nową dyskusję w Europie.

SV: Pierwszą reakcją ludzi zapoznających się z naszym materiałem jest zaskoczenie, że to wszystko nie dzieje się w dark webie, tylko na zwykłym serwisie, gdzie można wejść w każdej chwili, nie trzeba mieć nawet adresu e-mail do zalogowania. Ci mężczyźni się nie ukrywają i działają całkowicie bezkarnie. To pokazuje, dlaczego potrzeba regulacji odnośnie do takich platform. Jeśli są mężczyźni, którzy otwarcie dzielą się poradami, jak odurzać i gwałcić swoje partnerki, a o tym, co można wrzucić i co jest legalne, decyduje właściciel strony, to widzimy, że tu są luki w prawie, że to w ogóle jest możliwe. Najczęstsze pytanie, jakie dostajemy, brzmi: „Jak to możliwe, że ta platforma nie została zamknięta?”. O tym serwisie pisały też świetne dziennikarki z Niemiec, nie jest tak, że nikt o sprawie nie wie, a mimo to strona nadal swobodnie działa.

Z jednej strony mamy więc szybką reakcję polskiej policji i aresztowanie Piotra, z drugiej działającą stronę Motherless.com, więc można odnieść wrażenie, że śledztwo wciąż trwa, bo sprawa nie została rozwiązana.

Jak widzicie rolę i przyszłość dziennikarstwa w świecie pełnym dezinformacji, postprawdy i influencerów, którzy próbują zastąpić dziennikarzy?

SV: Dziś wiele treści tworzy się, by przyciągać uwagę bez dbania o dokładność. Jak dodasz dezinformację, to trudno się zorientować, komu ufać. Nasze śledztwo było sprawdzane i kwestionowane linijka po linijce przez bardzo wiele osób. Nie wyobrażasz sobie, ile pracy i dokładności włożono w sprawdzanie tego materiału, bo to była realna odpowiedzialność. Właśnie dlatego pracujemy w CNN – bo chcesz, żeby twoje śledztwo było dopracowane, dokładne. Tego nie da się odtworzyć jednym wiralowym postem, takie śledztwo trwa miesiącami i wymaga całego systemu, by na końcu powstało coś rzetelnego, czemu można zaufać. Dlatego potrzebujemy takich redakcji i takiego poziomu dziennikarstwa.

NK: Mamy dziś obsesję na punkcie szybkich treści i natychmiastowej gratyfikacji. Do śledztwa takiego jak nasze potrzeba struktur i rygoru, zwłaszcza przy tak wrażliwych tematach. Istotne jest to, że policje na świecie na ogół same nie szukają takich grup i sieci, reagują po fakcie, a przecież, skoro dziennikarze potrafią wytropić takie zjawiska, to rządy i organy ścigania też są w stanie. To nie powinno być zadanie tylko dla dziennikarzy.

SV: Rola dziennikarstwa się nie zmieniła, zmienił się krajobraz medialny. Każdy szczegół naszej historii musiał zostać sprawdzony, tego nie da się zrobić samemu, to zabiera dużo czasu, dużo zasobów, dużo pieniędzy. Mam nadzieję, że takie śledztwa przypominają, dlaczego dziennikarstwo jest wciąż potrzebne. ▲



Stand-up ma rozbrajać

Żartuje z matek dzieci z ADHD. Czyli z siebie. „O trudnych sprawach mówię tak, że się śmieją”

Z KAROLINĄ PLUTĄ, STAND-UPERKĄ,
ROZMAWIA EWA JANKOWSKA
ZDJĘCIE ALICJA SZULC

Zartu „ze sklepu” długo nie zapomnę. Starsza pani krytykuje matkę za jej niewychowane dziecko, bo biega po sklepie. Matka odpowiada, że to zaiste niedopuszczalne, i że już ma umówione spotkanie u egzorcysty.

– Tego doświadczyła jedna z mam, z którymi rozmawiałam. Ja z kolei przeżyłam inną: gdy mój syn wdrapał się na Warszawską Syrenkę, oburzona kobieta zaczęła wykrzykiwać, że to przecież pomnik i zaraz wezwie policję. Więc ja na to: „No właśnie, dla czego jeszcze ich tu nie ma!”. Nazywam to strategią na głupią babę. Bardzo pomocna.

Równie zabawna była opowieść o stosunku rodziców dzieci z ADHD do SOR-ów.

– Bywamy na nich dość często. Z czasem perspektywa SOR-u nie wywołuje w tobie myśli pełnych przerażenia, jak w przypadku większości dzieci neurotypowych. Stwierdzamy: „O, znowu, naprawdę?”.

Mówisz podczas stand-upu: „Wszystkie historie wydarzyły się naprawdę, na szczęście nie jednej matce”.

– Na szczęście! Choć wiem, że rodzice potrafią bardzo dużo wytrzymać. Mój stand-up to nie jest historia jednej matki, tylko sceniczne zagęszczenie wielu opowieści. W życiu, gdy następuje kumulacja nieszczęśliwych zdarzeń, zaczynasz czuć, że już nie dasz rady, że jesteś najgorszą matką na świecie. Mimo że odrobiłaś wszystkie lekcje z psychoedukacji, masz wsparcie w psychologach, psychiatrach...

„Bo życie jest czujne...”

– Dokładnie. Kiedy już czujesz, że zaczynasz ogarniać, że wiesz, o co w tym ADHD chodzi, dzieje się coś, co kompletnie wywraca twój spokój i pewność siebie do góry nogami.

Stand-up to forma autoterapii?

– Do pewnego stopnia pewnie tak, ale nie nazwałabym tego głównym celem. Nie zaczynałam pracy nad tym stand-upem od potrzeby autoterapii, tylko od potrzeby opowiedzenia o doświadczeniu, które zwykle zostaje w domach, gabinetach, szkołach, na korytarzach poradni. Jestem pedagogką teatru i wierzę w moc twórczego opowiadania o własnym doświadczeniu.

Teatr jest dla mnie sztuką społeczną: spotkaniem osób z różnych światów, z różnymi doświadczeniami i światopoglądami. Scena może dawać widoczność tym, których głos na co dzień rzadko wybrzmiewa. Robię go dla tych wszystkich rodziców dzieci z trudnościami, którzy choć przez chwilę chcą poczuć, że nie są sami. Obsmiewam to, co wydaje się tak trudne i niemożliwe do zniesienia na co dzień.

Podczas sobotniego występu zauważyłam, że w pierwszym rzędzie siedzi para – kobieta i mężczyzna. Może małżeństwo, możliwe, że rodzice. Trzymali się za ręce. Zauważyłam, że w niektórych momentach gdy czułam, że to, co mówię, budzi na sali silne emocje, jeszcze mocniej się za te ręce ściskali. Myślałam wtedy: „Nie mogę na to patrzeć, bo zaraz się rozplaczę!”. Po występie podeszli do mnie i mi podziękowali.

Ale najpierw w mojej głowie pojawił się „stand-up”, dopiero potem temat o matkach dzieci z trudnościami.

Zawsze miałam siebie za poważną osobę, w dodatku nieśmiałą.

Uważałam, że jak *mówić o rzeczach ważnych, to na serio*

Jak to?

– W liceum, żeby poznać ludzi, pobyć z nimi w fajnych okolicznościach, zapisałam się na zajęcia teatralne.

I gdy już w ten teatr weszłam, to z niego już nie wyszłam. Z ludźmi, których wtedy poznałam, mam kontakt do dziś. Jedną z osób była moją suflerką na występie, a jej mąż nagrywał całe show. Po studiach trafiłam do Stowarzyszenia Pedagogów Teatru, poznałam ludzi, z którymi do dziś robię spektakle, warsztaty wokół różnych tematów społecznych.

Byłaś więc już na scenie, ale jeszcze nie jako komiczka.

– Bardzo długo byłam przekonana, że ja i komedia to hasła, które zupełnie się ze sobą nie łączą. Zawsze miałam siebie za poważną osobę, w dodatku nieśmiałą. Uważałam, że jak mówić o ważnych rzeczach, to na serio, raczej dramatycznie niż na wesoło. Że jestem takim typowym Koziorożcem: ciężka praca, poważne tematy, a nie jakieś tam ceregiele.

Potem, w wieku 37 lat, pojechałam do teatru Archa w Pradze, aby wziąć udział w szkole letniej – International Summer School of Theatre in Social Context. Tam dowiedziałam się, że potrafię być... zabawna. W dodatku w języku angielskim, w którym bardzo bałam się mówić.

Dostałam feedback od grupy, że o bardzo trudnych sprawach potrafię mówić w taki sposób, że wszyscy się śmieją. Wzięłam to ze sobą.

I wtedy zapragnęłaś zrobić stand-up?
– Jeszcze nie. Pomysł na stand-up pojawił mi się po „Fuck-up night” pedagogów teatru.

Czym?

– Koleżanka z branży, Kasia Pągowska, organizowała dla pedagogów teatru forum, podczas którego mogliśmy się wymieniać naszymi doświadczeniami, inspirować się nawzajem. Częścią forum był format

pod hasłem „Fuck-up night” [z ang. noc porażek – przyp. red.], czyli zamiast mówić o tym, co nam wyszło, mieliśmy opowiadać o tym, co się nam kompletnie nie udało. Bardzo się stresowałam. Z drugiej strony, dysponowałam naprawdę świetnym materiałem.

Miałam wtedy za sobą bardzo trudny rok i wpadek było bez liku. Był 2022 rok. Wznawialiśmy spektakl o Aleksandrze Piłsudskiej („Piłsudska: Unmuted”), który robiłam, gdy pracowałam w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Tuż przed jednym ze spektakli doszło do serii niefortunnych zdarzeń – okradli oświetleniowca ze sprzętu. Zadzwoiłam więc do koleżanki, której chłopak też się tym zajmował, zapytać, czy „jej Kuba” mógłby go zastąpić. A ona na to: „Ale to już nie jest mój Kuba...”. Później dziewczyna, która specjalnie przyleciała z Londynu, żeby robić nam wizualizacje, trafiła na SOR z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Tymczasem dźwiękowiec złapał COVID-19. Zadzwoiłam do niego: „Maciek, ale o tym, że masz covid, wiem tylko ja i ty”. Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, pomyślałam: „Nie mogę tak zrobić, jak ktoś się dowie, wyleją mnie!”.

Mimo tremy opowiedziałam o tym wszystkim. Pomyślałam, że najwyżej mi nie wyjdzie, w końcu to „Fuck-up Night”. Tymczasem pod koniec wieczoru mój przy-

jiaciel powiedział: „Czekam na twój program stand-upowy.” Wtedy zaczęłam myśleć o tym na poważnie.

Ale nie o pedagogach teatru zrobiłaś stand-up.

– Nie! Długo nie wiedziałam, o czym chciałabym ten stand-up zrobić. Któregoś dnia dowiedziałam się, że Warszawa organizuje konkurs na stypendia artystyczne. Postanowiłam dla treningu zgłosić się ze stand-upem. Miałam trzy tygodnie na wymyślenie, o czym miałyby być. Pamiętam to doskonale – leżałam w wannie, relaksowałam się i nagle to do mnie przyszło. Pierwsze, co wymyśliłam, to tytuł.

„Policz do 10”.

– Tak. Który odnosi się do doskonale znanej wielu rodzicom, pewnie nie tylko dzieci z różnymi trudnościami, metody na od stresowanie się, uspokojenie. Ciągłe to od kogoś słyszałam, nieustannie sobie to powtarzałam w różnych emocjonalnie ekstremalnych sytuacjach. Dwie koleżanki z teatru – wspaniałe reżyserki, Justyna Sobczyk i Pamela Leonczyk – napisały mi rekomendacje. I się udało.

Dlaczego tak długo ten pomysł nie przychodził ci do głowy? Zakładam, że matczynych zmagani miałaś mnóstwo. Zresztą rodzicielstwo to ostatnio mocny trend w stand-upie.

– Wiesz co, sama nie wiem, ale masz rację. Rok, w którym składałam wnioski o stypendium, był hardkorowy, jeśli chodzi o moje doświadczenie rodzicielstwa. Czulałam, że jako matka zawodzę na każdym polu. Że się do tego nie nadaję, choć „na papierze” wszystko się zgadza – bo teoretycznie jestem osobą empatyczną, potrafię słuchać, znam komunikację bez przemocy, pracuję jako trenerka, mediatorka, prowadziłam warsztaty teatralne dla dzieci i rodziców, jestem osobą refleksyjną. Ale z moim synem, który ma ADHD, moje CV absolutnie traciło na znaczeniu.

Ile razy słyszałam złotą radę: „Musisz postawić granice!”. Ale ja stawiam i nic to nie daje. Mam mur z cegieł w domu wybudować? Zdecydowanie łatwiej przechodzą ludziom przez usta słowa krytyki i nieproszone porady niż po prostu „Widzę, że ci trudno”. Nawet od takich specjalistów jak psychiatrzy...

Musieliśmy zmieniać szkołę, ponieważ w niepublicznej, do której go zapisałam, brakowało kompetencji i wspar-

KAROLINA PLUTA

– pedagożka teatru, coachka, artystka społeczna i performerka. Jest specjalistką w zakresie przeciwdziałania wypaleniu zawodowemu, produkcji spektakli oraz tworzenia i realizacji projektów społeczno-artystycznych. Łączy edukację ze sztuką. Jest mamą dwunastolatka, z którym cały czas uczy się dogadywać. Prowadzi warsztaty, procesy twórcze i sesje indywidualne. Na stałe współpracuje ze Stowarzyszeniem Pedagogów i Pedagożek Teatru oraz Fundacją Culture Shock. Konsekwentnie rozwija swoje umiejętności komediowe na warsztatach, m.in. w Szkole Impro, a niebawem także za oceanem.

cia ze strony kadry. Dostawałam telefony alarmujące: „Pani dziecko leży na ziemi, wpadło w histerię!”. Myślę sobie, no OK, to dlaczego go nie uspokoić? Ale psycholog tam nie było.

Szukaliśmy więc innej placówki. Pamiętam spotkanie z panią dyrektorem w jednej z ogólnodostępnych szkół publicznych. Przeglądała dokumentację syna i, nie patrząc mi w oczy, powtarzała: „No nie, on się tutaj nie odnajdzie. Takie dzieci w systemie nie mają szans”. Pomyślałam sobie: „O ty, su*o”. I sobie poszłam. Ostatecznie trafiliśmy do zwykłej rejonówki, która jest ekstra!

Czy twój syn wie, że o nim opowiadasz na występach?

– Wie, ale pamiętaj, że nie zdradzam, które historie są moje. Zanim napisałam tekst stand-upu, spotkałam się z ośmioma mamami, z którymi zrobiłam pogłębione wywiady. Część historii jest z naszej rodziny, część zacerpnięta z historii innych matek.

Mężowi też się troszkę dostaje...

– Tylko troszeczkę.

Myślę, że mogłoby więcej.

– Tak?

Bo czy nie tego właśnie oczekujemy od stand-upu? Prawdy, zajrzenia do czyjeś życia, poznania tych wstydlivych elementów tego życiowego obciachu, którymi głupio nam się dzielić. Wtedy możemy się zidentyfikować.

– Nigdy nie czulałam, że przekraczam czyjeś granice. Lubię subtelniejszy humor, rzad-

ko używam wulgaryzmów, to nie moje. Jeśli czuję, że w danym fragmencie mogłabym kogoś urazić czy zanadto odsłonić, konsultuję to z nim. Z mężem i synem też. Każda historia, która pojawia się w moim show, została wykorzystana za zgodą matek, z którymi rozmawiałam.

Poza tym mam silne przekonanie, że ja nie opowiadam o moim synu, o mojej rodzinie, opowiadam o sobie. O tym, że mi jest ciężko, że ja nie daję rady. Że to dla mnie pewne sytuacje są bardzo trudne. O mnie w konfrontacji z systemem, z ludźmi, ze światem, z opiniami innych.

Nie boisz się, że ktoś z klasy syna mógłby powiedzieć – a twoja matka opowiada o tobie na scenie...

– Nie boję się. Bo tacy właśnie jesteśmy. I chyba trochę chodzi mi o to, abyśmy przestali się bać. Tego, jacy jesteśmy, żebyśmy przestali udawać, że jest inaczej, i dali sobie przyzwolenie na to, aby pokazywać ten nasz miękki brzuszeczek. Nie, aby się nad sobą użalać, narzekać, ale w tym trudzie szukać sprawstwa i siły.

Pamiętam jeden z takich trudniejszych momentów, opowiadałam o nim w stand-upie, kompletnie się rozpadłam i nagrałam przyjaciółce głosówkę. I mówię do niej: „Mam już dość tego, że wszyscy mówią mi, jaka jestem dzielna. Ja już wiem, że jestem dzielna, i bardzo chciałabym przestać musieć nią być”. I ona wtedy powiedziała: „Tego ci życzę, żebyś już nie musiała być dzielna!”. Bardzo chciałabym się umieć od siebie na chwilę odpiąć**lić.

Nie jest to łatwe.

– Tym bardziej jeśli ktoś ciągle powtarza ci, że musisz odpuścić. Kolejne zadanie do wykonania! Trudno mi to zrobić. Mój perfekcjonizm i potrzeba kontroli nie pomagają w stand-upie. Wczoraj na przykład cały dzień myślałam, że mogłam wypaść w sobotę lepiej, że potrafię być bardziej zabawna.

To ciekawe, że o tym wspominasz. Bo kobietom – są na to badania! – trudniej być zabawnymi niż mężczyznom. Kobiety rzadziej żartują w sytuacjach towarzyskich, a żartujące menadżerki są postrzegane jako infantylne, nieprofesjonalne. Gdy myślimy o osobach żartujących, to raczej przychodzą nam też do głowy mężczyźni, a nie kobiety. – Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo mam wrażenie, że dopiero trafiłam do

stand-upowego świata i samą siebie w nim rozpoznaję. Na pewno jest we mnie dużo zwątpienia co do tego, czy robię to dobrze, czy w ogóle powinnam to robić. To też nie było tak, że po prostu uznałam: „No dobra, jestem zabawna, będę stand-uperką”. O nie! Wiedziałam, że muszę się do tego odpowiednio przygotować. Zapisalam się na kurs z pisania dramatu, warsztaty impro – które cały czas kontynuuję. Jestem typem pilnej uczennicy, która nie wyjdzie z materiałem do ludzi, dopóki nie będzie czuła, że wszystko jest na tip-top.

Gdy robiłam spektakle, zawsze działałam w zespole. Na scenie nie byłam sama. A teraz wszyscy skupiają się tylko na mnie. To moment, w którym mój wewnętrzny krytyk zaczyna coraz bardziej dochodzić do głosu.

Myślę, że ten wewnętrzny krytyk to bardzo kobieca przypadłość.

– Pracuję dużo z kobietami jako coachka i tutorka. Wspieram osoby pracujące w kulturze i sztuce, głównie kobiety, m.in. w rozwijaniu własnych projektów twórczych, wzmacnianiu sprawczości i wy-

chodzeniu z kryzysu wypalenia zawodowego. Mam wrażenie, że wiele kobiet, szczególnie w Polsce, wciąż nosi w sobie dużo strachu przed wyjściem z przysłowiowego kąta, w który zostały zapędzone w procesie wychowania. Najlepiej, jakby siedziały cicho, były miłe, opiekuńcze, pomocne, nie zajmowały za dużo miejsca i raczej śmiały się z cudzych żartów, niż wymyślały własne. Moja praca z tymi kobietami to przede wszystkim praca nad daniem sobie prawa, aby coś zrobić swojego, odpuścić konwenanse, przestać myśleć o tym, co wypada, a czego nie. Bardzo długo przecież twórcami byli przede wszystkim mężczyźni.

Jednocześnie obecnie jest mnóstwo wspaniałych kobiet stand-uperek. Bardzo ważna jest dla mnie Noam Shuster Eliassi, komiczka i aktywistka, która tworzy osobisty i polityczny stand-up o walce o równość w Izraelu/Palestynie. Była też pierwszą żydowską osobą występującą na Palestine Comedy Festival. Po obejrzeniu filmu dokumentalnego „Coexistence, My Ass!” naprawdę dotarło do mnie, że stand-up może być społecz-

nie zaangażowany. Lubię Laurę Ramoso i Celeste Barber.

Z polskich twórczyń niezwykle cenię Agnieszkę Matan. Bardzo bawi mnie też Paulina Potocka. Dużo się dzieje w świecie kobiecej komedii i oby działa się jeszcze więcej. Bo kobiety są superzabawne!

Swój stand-up grałaś dopiero trzy razy. Co dalej?

– Dostaję propozycje wystąpienia na różnych wydarzeniach. Kolejny występ odbędzie się w Krakowie na festiwalu Mamy Wolne 23 maja dedykowanemu matkom-artystkom.

Czujesz się już stand-uperką?

– Mój syndrom oszustki podpowiada mi, że nie, ale może powinnam mówić, że tak, aby oswajać się z tą nową rolą. To niesamowite, jak bardzo świadoma jestem tych wszystkich mechanizmów, które utrudniają mi życie, i jak wieloma narzędziami dysponuję, aby sobie z nimi radzić. A jednocześnie notorycznie z nich nie korzystam. Szewc bez butów chodzi! Co za szczęście, że mogę to wszystko obrócić w żart. ▲

OGŁOSZENIE



*Wyjątkowy prezent
na Dzień Matki*

**Roczna prenumerata
wysokieobcasy
extra**

Zamów na: prenumerata24.pl



Zanim powiesz dziecku: „nie mam *pieniędzy*”

Dzieci, które mają ciepłych i wspierających rodziców, też mogą stać się materialistami, jeśli będą otrzymywać głównie materialne nagrody i prezenty

Z PROF. AGATĄ GAŚSIOROWSKĄ
ROZMAWIA EWA PAĞOWSKA
RYSUNEK ADA BUCHHOLC

Chciałam cię zapytać, jak wychować dziecko na dorosłego, który ma zdrowy stosunek do pieniędzy, ale nie jestem pewna, co to właściwie znaczy.

– Zdrowy stosunek jest wtedy, gdy po pierwsze: pieniądze nie są celem samym w sobie, tylko narzędziem do realizowania celów. Celów, które są albo użytkowe, albo hedonistyczne, ale nie związane z budowaniem samooceny czy z kompensowaniem sobie czegoś.

Celem użyteczno-hedonistycznym mogłyby być np. wakacje.

– Pod warunkiem, że jedziemy spędzić fajnie czas i odpocząć. Jeśli chodzi nam o to, by wrzucić zdjęcia z podróży na Instagram, i żeby inni nam zazdrościli, to już jest budowanie samooceny dzięki pieniądżom. Po drugie: musimy umieć nimi zarządzać, mieć kompetencje i chęci, by oszczędzać na bieżące wydatki i na przyszłość.

Często stawia się znak równości między materializmem a umiejętnością zarządzania pieniędzmi.

– I to jest absurd, z którym od lat walczę! Przebadalam tysiące ludzi i z tych badań jasno wynika, że te dwa aspekty naszego stosunku do pieniędzy są od siebie niezależne. Możliwe są różne kombinacje: możemy umieć pieniędzmi zarządzać i podchodzić do nich emocjonalnie; możemy umieć nimi zarządzać i nie podchodzić do nich emocjonalnie; możemy nie umieć nimi zarządzać... itd. Kombinacja: brak emocji plus umiejętność zarządzania jest najlepsza.

Tylko czy przeciętny człowiek jest w stanie ocenić, czy ma emocjonalny stosunek do pieniędzy?

– Polecam książkę, którą napisałam z Kasią Sroczyńską „Pieniądze albo życie.” Na końcu znajduje się test psychologiczny, za pomocą którego można to ocenić i sprawdzić, jak pod tym względem wypadamy na tle innych Polaków.

A bez dodatkowych narzędzi?

– Zamiast pytać siebie o „emocjonalny stosunek do pieniędzy” – co dla wielu osób mało znaczy – można pytać: „Czy pieniądze to dla mnie miara wartości człowieka?”, „Czy bogaci mają z zasady rację?”. To już każdy potrafi ocenić.

Rozumiem, że odpowiedzi „tak” na te pytania świadczą raczej o emocjonalnym stosunku?

– Tak.

Jak bardzo podejście rodziców do pieniędzy ma wpływ na podejście dziecka? A może więcej zależy od temperamentu potomka?

– Tego nie wiemy, ale są ciekawe badania, które mówią, co przyczynia się do tego, że ludzie wyrastają na materialistów. Przeprowadziły je Lan Chaplin i Deborah Roedder John – to duże nazwiska w psychologii materializmu i konsumpcji, zwłaszcza u dzieci. One testowały między innymi hipotezę, że materializm bierze się z emocjonalnego odrzucenia przez rodziców. Wiadomo, że dziecko powinno móc polegać na rodzicach. Jeśli w relacji z nimi nie dostaje ciepła, wsparcia, nie ma konsekwencji, to musi sobie jakoś radzić i w końcu brak poczucia bezpieczeństwa kompensuje sobie posiadaniem różnych rzeczy. Przedmiot go nie opuści, dopóki sam tak nie zdecyduje. Torebka nie powie, że nie ma dla niego czasu.

Hipoteza okazała się prawdziwa?

– Tak, ale ona akurat została udowodniona także w wielu innych badaniach. Natomiast w innym badaniu Chaplin i Roder-Jones, dowiodły, że dzieci, które miały ciepłych i wspierających rodziców, też mogą stać się materialistami, jeśli będą otrzymywać głównie materialne nagrody i prezenty. To mogło być doświadczeniem wielu dzieci dzisiejszych 50-latków. Nasze pokolenie – bo ja też jestem nieco po pięćdziesiątce – mogło kompensować sobie braki z dzieciństwa czasów PRL-u, zasypując swoje dzieci zabawkami. Nie chodzi o to, żeby w ogóle nie dawać prezentów materialnych, tylko żeby one nie przeważały. Można zapytać: „Co dawać w zamian?”.

Wycieczkę? Wspólny czas?

– Tak. Zauważ, że dokładnie ta sama rzecz może być i prezentem czysto materialnym, i czymś, co ma także wartość relacyjną. Jeśli kupię dziecku klocki i zostawię je z nimi, to dam mu tym samym prezent materialny. Ale jeśli będę razem z nim je układać, to ten prezent nabierze dodatkowego znaczenia.

Na co jeszcze powinniśmy uważać?

– Na to, co mówimy. Jeśli rodzice się kłócą: „Za dużo wydajesz”, „A ty za mało zarabiasz”, to dziecko słyszy, że pieniądze budzą dużo emocji. Podobnie jak wtedy, gdy dorośli snują marzenia, co zrobią, jak będą mieli dużo pieniędzy, np. kiedy wygrają w Lotto. Niebezpieczne jest także częste i nieadekwatne używanie pieniędzy jako argumentu. Traktowanie ich jak ostatniej deski ratunku w rozmowie, tak jak ekonomiści podczas dyskusji traktują PKB. „Całkowity zakaz handlu w niedzielę? O nie! Tego nie możemy zrobić, bo nam PKB spadnie!” „Nooo jak nam PKB spadnie, to rzeczywiście nie możemy tego zrobić!”.



A co rodzice mówią?

– „Nie mogę ci tego kupić, bo nie mam pieniędzy” i za chwilę podchodzą do kasy, wyjmują portfel i płacą za zakupy. Lepiej, żeby powiedzieli np.: „Nie kupię ci tego, bo masz już pięć takich w domu” albo „Nie kupię ci tego, bo uważam, że tego nie potrzebujesz”. Dzieci są o wiele bardziej czujnymi obserwatorami, niż nam się wydaje. Szybko wyłapują sprzeczności i kłamstwa. Już 8-miesięczne dzieci wiedzą, że istnieje grawitacja – mają świadomość, że jeśli coś zsunie się z blatu, musi spaść, a jeśli nie spadnie, jest to coś dziwnego. No a skąd one to wiedzą? Z tego, że obserwują rzeczywistość.

Inna sytuacja: mama idzie do pracy, a 3-letnie dziecko nie chce jej puścić, więc mama mówi: „Muszę iść do pracy, żeby zarabiać pieniądze i móc kupować różne rzeczy”. Jest ryzyko, że dziecko pomyśli: „Pieniądze są ważniejsze ode mnie”. Zamiast mówić o pracy tylko w kontekście zarobkowym, można powiedzieć np.: „Mama idzie do pracy, a ty idziesz do przedszkola – takie są nasze obowiązki”.

Co sądzisz o płaceniu dzieciom za wykonywanie obowiązków domowych?

– Wszystkie badania, jakie znam, pokazują jednoznacznie, że płacenie dzieciom za wykonywanie obowiązków domowych jest kontrskuteczne. Jeżeli ktoś jest wewnętrznie zmotywowany do jakiejś czynności i my zaczniemy mu za nią płacić, to jego motywacja zmieni się na zewnętrzną. To oznacza, że aby dalej wykonywać daną czynność, będzie musiał być wystarczająco dobrze wynagradzany. Jeśli uzna, że nie jest, przestanie mu się chcieć to robić. A poza tym rodzicowi nikt nie płaci za gotowanie obiadu dla rodziny. Dlaczego więc moje dziecko ma dostawać pieniądze za to, że wynosi śmieci? Każdy domownik ma obowiązki adekwatne do swojego wieku i kompetencji, i powinien je wykonywać dlatego, że mieszkamy razem.

Jesteśmy wspólnotą, a nie firmą.

– Tak, a jeśli dziecko chce zarobić pieniądze, wynosząc śmieci – świetnie – niech poszuka na osiedlu osoby, która z chęcią zapłaci komuś za to kilka złotych.

A kiedy już będzie miało pieniądze, musimy je nauczyć nimi zarządzać. To już wymaga od nas bardzo konkretnej wiedzy, którą czasem sami najpierw musimy uzupełnić.

– Sama wiedza to nie wszystko. Oczywiście ważne jest, żeby umieć odpowiedzieć

**PROF. DR HAB.
AGATA GĄSIOROWSKA**

jest psycholożką, profesorką na Uniwersytecie SWPS i autorką książki „Psychologiczne znaczenie pieniędzy” oraz współautorką razem z Katarzyną Sroczyńską książki „Pieniądze albo życie”. Naukowo zajmuje się psychologią ekonomiczną i zachowaniami konsumenckimi.

na podstawowe pytania ekonomiczne, np. „Jeśli zarabiasz 1000 zł, inflacja wynosi 10 proc., a ty dostaniesz 5 proc. podwyżki, to będziesz mogła sobie kupić więcej, mniej czy tyle samo?”, ale istotna jest też umiejętność podejmowania określonych zachowań. To z kolei ułatwiają nam nawyki.

Jaki uważasz za najważniejszy?

– Zbieranie paragonów i spisywanie wydatków. Można to robić w zeszycie, aplikacji, Excelu – wszystko jedno, byle regularnie, np. codziennie lub co tydzień. Jedni będą wpisywać, że kupili pomidora czy paprykę, inni napiszą „warzywa”, a jeszcze inni „jedzenie”. Każdy musi sobie sam określić, jaki poziom szczegółowości go interesuje. Chodzi o to, żeby się skonfrontować z tym, ile na co wydajemy, określić, gdzie nam wyciekają pieniądze i co możemy z tym zrobić. Kiedy dziecko będzie widziało, że mama regularnie siada i rozkłada te paragony, prędzej czy później zapyta ją, co robi.

Jest szansa, że zacnie robić, to samo.

– Natomiast jeśli rodzice będą rozrzutni, dziecko może pójść w ich ślady i nic nie pomoże mówienie mu, że należy oszczędzać. To będzie tak samo przekonujące jak tata, który leżąc na kanapie i pijąc Colę, mówi, że nie należy pić słodkich napojów.

Mówisz o oszczędzaniu, tymczasem, jak wynika z ubiegłorocznego badania przeprowadzonego na zlecenie Krajowego Rejestru Długów, około 20 proc. Polaków nie ma w ogóle oszczędności.

– Ludzie uważają, że nie oszczędzają, bo ich na to nie stać, ale prawda jest taka, że zwykle nie potrafią lub nie chcą, bo co to jest oszczędzanie? To jest budowanie nawyku odkładania stałej kwoty. To może być 10 zł miesięcznie. Wprawdzie po roku nie da nam to dużej sumy, ale da nam nawyk. Chociaż jeśli mamy naprawdę niewielki budżet, to nawet 120 zł na Boże Narodzenie może nam uratować samopoczucie.

Co zrobić, jeśli mamy naprawdę bardzo mało pieniędzy, a dziecko funkcjonuje wśród rówieśników, którzy mają majątnych rodziców?

– Nie wiem, nie mam na to odpowiedzi. To jest bardzo trudna sytuacja.

Pytam, bo czasem rodzice niewiele zarabiają, ale decydują się posłać dziecko do prywatnej szkoły. Nie stać ich już jednak na fundowanie mu tego wszystkiego, co mają jego znajomi z klasy.

– Teraz opisujesz problemy pierwszego świata. Kiedy ktoś ma mało pieniędzy, to szkoła prywatna nawet mu do głowy nie przyjdzie. Ale jeśli już miałabym odnieść się do sytuacji, którą przedstawiłaś, powiem: „To nie brzmi dobrze.” Jeśli dajemy dziecku obietnicę pewnego życia, a wysyłając je do prywatnej szkoły, tak robimy, to nie możemy jednocześnie wystawiać je na ciągłe porównania z tymi, którzy mają więcej.

To może negatywnie wpłynąć na jego samoocenę.

– Tak, szczególnie jeśli mówimy o nastolatkach.

No właśnie, czy możemy coś zrobić, żeby dzieci w tym wieku nie oceniały ludzi na podstawie ich stanu posiadania?

– 12-13-latki doświadczają dużego spadku samooceny. To jest rozwojowe i wynika z tego, że w tym wieku budują swoją tożsamość. Jakoś więc muszą sobie tę niską samoocenę kompensować. Jeśli do tej pory, budując ją, opierały się głównie na dobrach, jakie posiadają, to w tym krytycznym okresie tym bardziej będą to robić. Natomiast jeśli do tej pory zostały wyposażone przez rodziców w wiele możliwości radzenia sobie ze spadkiem samooceny i cały czas dostają wsparcie od rodziny, jest duże prawdopodobieństwo, że będą mieć o wiele mniej materialistyczne podejście. Jak zwykle więc w przypadku dzieci, trzeba zacząć myśleć o tym wszystkim, kiedy są jeszcze malutkie. ▲



Zaczytaj się na wiosnę książkami w najlepszym stylu



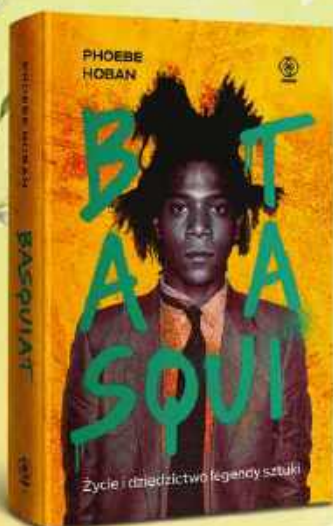
Poruszająca biograficzna
opowieść o głębokiej
więzi pisarza i kota



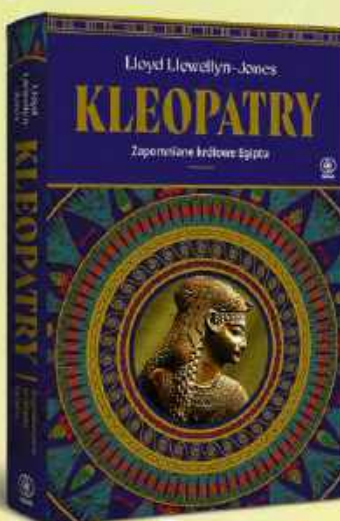
Wstrząsająca historia
o miłości, uzależnieniu,
poszukiwaniu siebie
i wyzwoleniu



Wypełniona emocjami
powieść pełna pasji,
rywalizacji i tajemnic



Od nastoletniego twórcy
graffiti do międzynarodowej
gwiazdy sztuki



Prawdziwa historia Kleopatry
oraz urzekająca i tragiczna
legenda ostatniej królowej Egiptu



O relacjach, trudnych
wyborach i marzeniach,
o które trzeba walczyć



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



[fb/DWREBIS](https://www.facebook.com/DWREBIS)



[@dom_wydawniczy_rebis](https://www.instagram.com/dom_wydawniczy_rebis)



FILM

Co widziała miłorząbka

To chyba pierwszy film w historii kina, w napisach po którym wymieniono rośliny, które w nim występują. I chyba pierwszy film fabularny, w którym widzimy zapłodnienie drzewa. Pierwszy, w którym dostojny, stary miłorząb odgrywa tak ważną rolę. Film, który przypomina nam, lub uświadamia, że wokół nas żyją cisi świadkowie, którzy nie tylko śledzą nasze życie, lecz emocjonują się naszą obecnością. Jeśli teraz myślisz, że nie masz ochoty na smętne, medytacyjne opowieści o drzewie i jego przeżyciach, to spieszę donieść, że nie jest to film nudny – nawet ja, która szybko przysypiam w kinie, ani razu nie przymknęłam oka, lecz dałam się wciągnąć w tę opowieść o drzewach i ludziach.

„Milcząca przyjaciółka” rozgrywa się w trzech planach czasowych – w 1908, 1972 i 2020 roku, bo ginkgo biloba, miłorząb dwukłapowy, to drzewo długowieczne. Jego potoczna nazwa – miłorząb japoński – jest myląca, endemicznie rośnie w Chinach, do Europy przybyło w połowie XVIII wieku. Taki miłorząb, zasadzony w 1832 roku na terenie starego uniwersyteckiego ogrodu botanicznego w Marburgu, w Niemczech, jest bohaterem, a właściwie bohaterką (bo miłorzęby mają płeć, a to drzewo jest kobietą) filmu węgierskiej reżyserki Ildikó Enyedi.

To epicki, a jednocześnie intymny film, który łączy fascynujące historie trójki badaczy, związanych z uniwersytetem w Marburgu. W planie współczesnym śledzimy losy neurologa (Tony Leung Chiu-wai, znany głównie z filmów Wong Kar-waia, dla którego Enyedi specjalnie napisała tę rolę), któremu pandemia zakłóca plany naukowe i który – trochę

z nudów – zamiast badać mózgi ludzi, podejmuje się badania tego, co przeżywa stare drzewo, które zapewne „pamięta” młodą naukowczynię, która na początku XX wieku postanawia zostać pierwszą studentką-kobietą na uniwersytecie i która, choć zostaje przyjęta, przeżywa szereg upokorzeń. Greta (znakomita Luna Wedler uhonorowana nagrodą Marcello Mastroianniego za tę rolę na festiwalu filmowym w Wenecji) przekracza wiele granic tego, co wypada kobiecie, zajmując się nie tylko naukami przyrodniczymi, ale też tańcem nowoczesnym i fotografią, w której szybko wkracza ze ścieżki realizmu na ścieżkę awangardy. Pomiędzy tymi historiami wybrzmiewa opowieść z lat 70. o pewnym samotniku, miłośniku poezji, który deklaruje, że nie cierpi roślin, bo wychował się na wsi, ale zakochuje się w badacze roślin i podejmuje się opieki nad pewną rezolutną pelargonią, którą tamta bada. Relacja z rośliną zaskoczy jego (i widzów).

„Milcząca przyjaciółka” to opowieść o więziach, które moglibyśmy mieć z roślinami, gdybyśmy zwracali na nie więcej uwagi, ale też o relacjach pozawerbalnych, jakie praktykujemy z ludźmi, często nieświadomie, komunikując się z nimi bez słów. To film, który przypomina nam, że obok nas są wrażliwe istoty czujące, przeżywające emocje (co udowadniają badania naukowe) – radość, stres, ból, ekstazę. Po prostu nie znamy ich języka.

Już nigdy nie spojrzycie tak samo na drzewo, a nawet na wasze rośliny domowe. ▲ Paulina Reiter

„MILCZĄCA PRZYJACIÓŁKA”, reż. Ildikó Enyedi.
W kinach od 22 maja

FILM

Zbrodnia i zwątpienie



Oto historia prawdziwa. W piątek przed Bożym Narodzeniem 1996 roku Sophie Toscan du Plantier przyjechała z Paryża do swojego domu wakacyjnego w West Cork, w Irlandii. W sobotę niejaka Marie Farrell zaobserwowała, że Sophie była śledzona przez mężczyznę w czarnym, długim płaszczu. To samo w niedzielę. W poniedziałek martwe ciało Sophie zostało znalezione na drodze prowadzącej do jej domu. Marie Farrell rozpoznała w mężczyźnie w płaszczu dziennikarza Iana Baileya, który następnie został aresztowany, jednak na koniec nie postawiono mu zarzutów; uznano, że jest za mało dowodów. Jednak 20 lat później, bez jego obecności, francuski sąd uznał go za winnego i zażądał od Irlandczyków jego ekstradycji. Irlandia odmówiła. Jim Sheridan, irlandzki reżyser i scenarzysta, któremu największą sławę przyniósł debiut „Moja lewa stopa” (1989) z Danielem Day-Lewisem w roli głównej, czy „W imię ojca” również z Day-Lewisem, który od jakiegoś czasu mieszka i tworzy w USA, wraca „Werdyktem” do historii irlandzkich. Wychodzi od prawdziwej historii morderstwa Sophie Toscan du Plantier, ale następnie konstruuje wyobrażoną sytuację, w której śledzimy obrady ławy przysięgłych, które mogłyby mieć miejsce, gdyby Irlandczycy zdecydowali się na sprawę sądową. Aby stworzyć jak najbardziej wiarygodny scenariusz, twórcy filmu zebrali zapiski policji, nagrania audio i zeznania świadków, zamówili raporty kryminalistyczne i ekspertyzy anali-

tyków śledczych. I stworzyli Europejską Ławę Przysięgłych. Członków tej rady – której przewodniczącego odgrywa sam Sheridan – poznajemy w chwili, gdy są już po obradach i mają wydać werdykt. Są prawie jednogłośnie: Bailey jest winny. Tylko jedna osoba ma wątpliwości i je podnosi. To kobieta, przysięgła nr 8, która nie umie wyjaśnić dokładnie, skąd biorą się jej wątpliwości, czy oskarżony powinien do końca życia być w więzieniu, mówi jedynie, że ma „przecucie”. W tej roli oglądamy znakomitą aktorkę Vicky Krieps, której przez cały przebieg filmu będzie nam raczej żal, że utknęła w tym dramacie. Niestety film, mimo tego, że zapowiadany jest na dzieło równie trymające w napięciu co „Dwunastu gniewnych ludzi” Sidneya Lumeta (1957), obietnicami jest to wciągające, gdy śledzimy, jak w kolejnych przysięgłych budzi się zwątpienie i zmieniają zdanie, lecz na koniec czujemy się znudzeni tą debatą, chyba tak bardzo jak jej bohaterowie, którzy wielokrotnie podkreślają, że chcieliby ją już zakończyć i wrócić do domu. „Chcesz to ciągnąć dalej?” – pyta w pewnej chwili jeden z przysięgłych, wściekły, że przysięgła nr 8 zachwiała ich już prawie pewną decyzją, i my również zastanawiamy się, czy naprawdę ciekawi nas, jaki wydadzą werdykt, skoro cała sprawa jest w gruncie rzeczy wymyślona. Momentami miałam wręcz poczucie, że film jest niesmaczny – bo wykorzystał prawdziwą tragedię ludzką, by stworzyć dramat, który ma nas w pewnym sensie zabawić, dostarczyć rozrywki intelektualnej. Może i stawia on ważne pytania etyczne, ale odpowiedzi pozostają płytkie. Nie zdradzam, jaki będzie werdykt, pozostawiając widzom, których jeszcze nie zniechęciłam, resztkę przyjemności. ▲ (Paulina Reiter) **„WERDYKT”, reż. David Merriman, Jim Sheridan, w kinach od 22 maja**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Wypis ze straty

I nadejdzie błogosławione lato, piszę dla ciebie i za ciebie w imię rzeczy, których nie dane ci było zobaczyć. A będzie to fraza długa i wylewna, na przekór wysychającej Wissie (patrz, nawet na naszym zadupiu praktykowano złodziejstwo nazywania). A będzie to fraza opasła, jak opasłe bywają brzuchy flipperów, bo oprócz biurka i materaca wyłącznie ją posiadam na własność. Tobie podaruję opowieść o świerkach przypominających katedry; są strzeliste i przerosną dom, to jedyny dowód na upływ czasu. Czas? Musi się domknąć, to pewne – był oknem, a stanie się drzwiami. Piękne pustelnie czy wielkie katedry? Hegeżjasz i bilans ludzkiej egzystencji [jego też upchniemy do frazy]. Ustęp o naszym ojcu na zawsze dzielonym przez pięć i dzień, w którym ukradłeś paliwo z baku. Czyżbyśmy byli jednako pierdolnięci? Wszystkie opasłe pytania, a na nie wąż odpowiedzi zapisane chybikiem, kursywą, na drżącym kolanie. Za Carpentierem nie wiem, bo nie moją rzeczą jest wiedzieć. Skoro padło słowo o drzwiach, to pora na dobre je zamknąć, wyjaśnić. Artefakty? Twoja bluza z Elmo i niechlujna zawieszka ze stopu metali [zawieszkę zagubiłam w grudniu, zaś tkanina bluzy zaczęła rozpadać się pod palcami]. Wystarczy, oszczędzę sobie dalszych prób wejścia z buta, oszczędzę barków na wyważanie. Niech będzie o najważniejszym, o błogosławionym lecie, niech będzie o pokracczym porządku rzeczy, przed którym gdzieś się zgiąć kark, bo do niego należy nasze pożegnanie.

JUSTYNA KULIKOWSKA jest poetką, a jej wiersze zebrane opublikowało właśnie wydawnictwo WBPiCAK

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE





Z misiem i *podpaską*

Coraz częściej doświadczają dojrzewania,
gdy wciąż jeszcze czują się dziećmi

TEKST IWONA DOMINIK

10-letnia Zośka dostała miesiączki tydzień po rozpoczęciu czwartej klasy. – Przez wakacje bardzo urosła i przybrała na wadze. Czułam, że to się zbliża, ale gdy przybiegła zapłakana ze szkoły, wpadłam w panikę. Żal mi jej, bo 10 lat to nie jest jeszcze wiek na podpaski i tampony... A ona nawet nie chce słuchać o miesiączce; mówi, że jest głupia i że jej nienawidzi – mówi mama Zosi.

W Polsce średni wiek pierwszej miesiączki (menarche) to około 12 lat. Norma jest jednak szeroka – rozciąga się od 9. do 17. roku życia. Z medycznego punktu widzenia miesiączka u 9- czy 10-latkki nie jest więc anomalią. Jednak z perspektywy życia – szkolnej toalety, plecaka, WF-u i komentarzy rówieśników – bywa doświadczeniem, które przychodzi za wcześnie.

– Wiek dojrzewania w ostatnich latach wyraźnie się obniżył – przyznaje dr n. med. Katarzyna Skórzewska, ginekolożka i endokrynolożka. – Dziś za przedwczesne dojrzewanie uznajemy pojawienie się u dziewcząt jego oznak przed 8. rokiem życia, a u chłopców przed 9. rokiem życia. To obowiązujące normy, ale trwają dyskusje nad ich przesunięciem. Niektórzy badacze, m.in. z USA i Danii, postulują, by mówić już o granicy 6-7 lat.

Ważne: nie mówimy tu o samej miesiączce. Wielu rodziców błędnie utożsamia początek dojrzewania z jej wystąpieniem, tymczasem to końcowy etap. Proces zaczyna się dużo wcześniej, wtedy, gdy pojawiają się tzw. wtórne cechy płciowe: rozwój piersi, owłosienie łonowe, zmiana zapachu ciała i nagły przyrost wzrostu, czyli tzw. skok wzrostowy.

– Jeśli dziecko ma mniej niż 8 lat i widać pierwsze objawy dojrzewania, trzeba iść do lekarza, najlepiej endokrynologa dziecięcego. Im wcześniej, tym większe są możliwości działania – podkreśla dr Skórzewska.

NAJWYŻSZA W KLASIE, NAJWCZEŚNIEJ DOROSŁA

W przypadku 7-letniej Sylwii sygnał przyszedł z gabinetu lekarskiego. Pediatra podczas bilansu rozwojowego zauważyła związki piersi. Dała skierowanie do endokrynologa dziecięcego.

– Sylwia jest bardzo wysoka jak na swój wiek, ma 148 cm wzrostu, ostatnio tak śmignęła do góry. Ale ja mam 178 cm wzrostu,

a mąż ponad dwa metry. Uznałam, że to normalne. Przestraszyłam się, gdy lekarka powiedziała, że może więcej nie urosnąć i dlatego trzeba działać – mówi mama. – Teraz jesteśmy pod kontrolą endokrynologa.

Dojrzewanie przed 8. rokiem życia może przyspieszać dojrzewanie układu kostnego i prowadzić do wcześniejszego zakończenia wzrastania. To dlatego lekarze sprawdzają tzw. wiek kostny dziecka – badanie RTG nadgarstka i dłoni pomaga ocenić, czy ciało „biegnie do przodu” szybciej niż metryka.

– Jeśli wiek kostny jest znacznie przyspieszony względem metrykalnego, oznacza to przedwczesne dojrzewanie – mówi dr Skórzewska. – Kluczowe jest wtedy działanie przed zarośnięciem nasad ko-

łożka z Warszawskiego Instytutu Zdrowia Kobiet. – Niepokój rodzica zawsze powinno wzbudzić szybkie przyspieszenie wzrostu u bardzo małego dziecka, rozwój piersi oraz krwawienie. W takiej sytuacji należy jak najszybciej zgłosić się do lekarza.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Dlaczego dojrzewamy wcześniej? Nie ma prostej odpowiedzi. Jednym z powodów są lepsze warunki życia: dzieci są dobrze odżywione, rzadziej chorują, a to biologicznie sprzyja wcześniejszemu dojrzewaniu.

Powód następny: tyjemy, a tkanka tłuszczowa produkuje hormony, m.in. leptynę i estrogeny, które mogą przyspieszać rozwój płciowy. Badania publikowane

w „Pediatrics” pokazały, że u dziewczynek z BMI powyżej 85. centyla piersi zaczynały się rozwijać nawet o półtora roku wcześniej niż u rówieśniczek z prawidłową masą ciała. Według raportu HBSC (Health Behaviour in School-Aged Children) z 2024 r. nadwaga lub otyłość dotyczy 41 proc. chłopców i 19 proc. dziewcząt w wieku 11 lat. W badaniu COSI z 2025 r. (Childhood Obesity Surveillance Initiative), obejmującym dzieci w wieku wczesnoszkolnym, nadmierną masę ciała miała już co czwarta siedmio- i ośmiolatka.

Tropy prowadzą też do środowiska. Tzw. dysruptory endokrynne (np. ftalany, bisfenol A, polichlorowane

bifenyle, dioksyny) mogą działać podobnie do estrogenów i przyspieszać rozpoczęcie dojrzewania. Są obecne w tworzywach sztucznych, opakowaniach do żywności, kosmetykach, środkach czyszczących i wielu przedmiotach codziennego użytku.

Na lawie oskarżonych jest też stres, choć tu nauka nie daje jednoznacznych odpowiedzi. – Dotyczy to dzieci, które we wczesnym okresie życia doświadczyły przemocy, trudnych warunków życiowych czy przewlekłego napięcia. Częściej obserwujemy u nich wcześniejsze dojrzewanie, ale nie jest to jedyna ani dominująca przyczyna – przyznaje dr Skórzewska.

Jak działa na dzieci mieszanka przewlekłego stresu, braku ruchu, przyrostu ma-

Jak działa na dzieci mieszanka
przewlekłego stresu, braku
ruchu, przyrostu masy ciała oraz
zmiany stylu życia (wiele godzin
spędzanych przed ekranami),
pokazała pandemia COVID-19.

*Naukowcy po lockdownach
z 2020 roku odnotowali duży
wzrost przypadków przedwczesnego
dojrzewania*

ści długich, bo po ich skostnieniu wzrost na długość jest już niemożliwy. W praktyce leczenie polega na czasowym „zatrzymaniu” dojrzewania. Podaje się leki, które wyciszają układ hormonalny.

Endokrynolodzy próbują też ustalić przyczynę zbyt wczesnego dojrzewania. Wykonuje się badania hormonalne, USG miednicy mniejszej, niekiedy badania obrazowe mózgu.

– Przyczyną mogą być zaburzenia hormonalne, choroby tarczycy, choroby nadnerczy czy rzadkie zespoły genetyczne. Często jednak nie udaje się wskazać konkretnej przyczyny, proces „uruchamia się” na poziomie mózgu i osi hormonalnej – wyjaśnia dr Sylwia Szcześniewska, gineko-

sy ciała oraz zmiany stylu życia i wiele godzin spędzanych przed ekranami, pokazała pandemia COVID-19. Naukowcy w wielu krajach po lockdownach z 2020 roku odnotowali duży wzrost przypadków przedwczesnego dojrzewania.

ZA WCZEŚNIE NA DOROSŁOŚĆ

Przedwczesne dojrzewanie to jednak nie to samo co wczesne. Miesiączka w wieku 9-10 lat może być trudna, ale nie jest chorobą, zwłaszcza jeśli w rodzinie już występowały takie przypadki. Dlatego zawsze warto sprawdzić, ile lat miałyśmy my same i nasze mamy, gdy pojawiła się pierwsza miesiączka. Nie zmienia to jednak faktu, że u wielu matek wczesne miesiączkowanie córki wywołuje poczucie winy. – Nie dając córce niezdrowego, wysokokalorycznego jedzenia, nie zaniedbujemy jej emocjonalnie. A kiedy zapytałam na forum w internecie, czy to normalne, że dostała okresu w wieku 10 lat, wylała się na mnie fala hejtu, że to nie jest normalne i że nic z tym nie zrobiłam – mówi jedna z mam. – Ale co niby miałam zrobić?

Internet mocno straszy konsekwencjami zbyt wczesnej miesiączki. Ma zwiększać ryzyko nowotworów związanych z estradiolem (piersi, jajników, macicy), cukrzycy typu 2, nadciśnienia, a nawet depresji i zaburzeń lękowych w dorosłości.

– Ale to są bardzo odległe konsekwencje, na które wpływa wiele innych czynników, choćby styl życia – uspokaja dr Skórzewska. – Warto skupić się raczej na tym, co dzieje się tu i teraz. Przedwczesne dojrzewanie niesie ze sobą stygmatyzację i problemy psychiczne. Z powodu wcześniejszych zmian w ciele te dzieci są inne niż rówieśnicy – co może oznaczać wyśmiewanie, odrzucenie i poczucie wstydu oraz brak samoakceptacji.

Laura ma 10 lat i 161 cm wzrostu. Nosi buty w rozmiarze 39. Miesiączkuje od roku. Koleżki z klasy sięgają jej do ramion, wygląda jak ich starsza siostra. Na zdjęciach klasowych stoi z tyłu, zawsze chowa stopy pod krzesło, żeby nie było widać, jakie są duże. – Wstydzi się ich – mówi mama. – Do tego zaczęła się garbić, żeby ukryć rosnące piersi, i nosi workowate ubrania. Spędza teraz godziny wpatrzona w lusterko, wypatrując trądziku.

Agnieszka, mama Ingi, nie ma wątpliwości, że wczesna miesiączka odebrała córce dzieciństwo. – Ma niecałe 10 lat, śpi z mieniem w piżamce w słoniki i ma okres.

UMÓW WIZYTĘ U LEKARZA JEŚLI:

- u dziewczynki poniżej 8. roku życia zauważył powiększenie piersi, owłosienie łonowe lub pachowe,
- u chłopca poniżej 9. roku życia zauważył powiększenie jąder, owłosienie łonowe, zmianę głosu,
- u dziecka w każdym wieku pojawi się szybki, nietypowy skok wzrostu (nagle wyrosta ponad rówieśników),
- u dziecka pojawi się wyraźny trądzik, zmiana zapachu potu lub przetłuszczanie włosów przed typowym wiekiem dojrzewania

To ją przerasta. Brzydzi się podpasek, wstydi się je zmieniać...

Tosia Kopyt, psycholożka oraz edukatorka seksualna i menstruacyjna, zwraca jednak uwagę, że to, jak dojrzewająca dziewczynka zareaguje na miesiączkę, częściej wynika z czynników społecznych niż biologicznych.

– Dojrzewanie to duża zmiana, a każda duża zmiana jest z definicji trudna, choćby dlatego, że zmienia się nasze ciało, sposób funkcjonowania i to, jak jesteśmy postrzegani przez innych – mówi. – Dlatego o dojrzewaniu najlepiej rozmawiać już z przedszkolakami. Zresztą dzieci często same o to pytają, bo widzą w domu produkty menstruacyjne albo obserwują mamę. To dobry moment, żeby wyjaśniać, co się dzieje. Wtedy nawet jeśli miesiączka przyjdzie wcześniej, to dziecko jest przygotowane.

Tak samo uważa dr Sylwia Szcześniewska: – Fizycznie dzieci mogą dojrzewać szybciej, ale emocjonalnie nadal są dziećmi. Często nie są gotowe na zmiany w ciele, na miesiączkę czy na reakcje otoczenia. Dlatego najważniejszą rolę odgrywa rodzic. To od jego podejścia zależy, jak dziecko odbierze tę zmianę. Można ją przedstawić jako coś naturalnego i pozytywnego albo jako problem – i to w dużej mierze kształtuje reakcję dziecka.

Wyzwaniem jest raczej to, że wiele dziewczynek w wieku 9–10 lat nadal ma bardzo niewielką wiedzę na temat tego, czym jest menstruacja. – A jeśli dochodzi do tego negatywny przekaz od dorosłych, zwłaszcza od matek, które czasem same mają trudne skojarzenia z miesiączką, to lęk się tylko nasila – podkreśla Tosia Kopyt.

Badania zrealizowane w ramach kampanii społecznej #OkresNoStres pokazują, że aż 33 proc. młodych dziewcząt w Pol-

sce nie może liczyć na wsparcie dorosłych i musi radzić sobie z pierwszą miesiączką na własną rękę.

PIERWSZA MIESIĄCZKA W PLECAKU

Dla wcześnie dojrzewających dziewczynek największym wyzwaniem bywa miesiączkowo-szkolna logistyka. Jak zmienić podpaskę, by nikt z klasy tego nie zauważył? Gdzie wyrzucić zużyty? Czy nie widać plam na ubraniu? – Starajmy się, żeby pierwsza miesiączka nie zaskoczyła dziewczynek. Pomaga choćby mała kosmetyczka, tzw. okresówka, noszona do szkoły z podpaską, bielizną na zmianę i mokrymi chusteczkami. Daje poczucie kontroli sytuacji – podpowiada Tosia Kopyt.

Wyzwaniem są też zmiany ciała, które stają się widoczne dla otoczenia. – Zośka ma 10 lat i spore piersi. Ciągłe skacze, gra w piłkę, wszędzie jej pełno – mówi mama. – Kupiliśmy stanik, ale mówi, że ją „gryzie”. A ja się boję, że te rosnące piersi są takie... widoczne.

Tosia Kopyt zwraca uwagę, by nie tworzyć narracji, że dojrzewające ciało dziewczynki wysyła jakieś seksualne „sygnały”.

– Bo nie wysyła. Jeśli dorosły tak to odbiera, to jest to poważny problem tego dorosłego – mówi. – Nie wolno seksualizować dziewczynek i wypychać ich w poczucie winy, bo ich ciało się zmienia. Jeśli pojawiają się trudne sytuacje, np. nieodpowiednie zachowania dorosłych, trzeba o nich rozmawiać w kontekście granic i odpowiedzialności innych osób, a nie ciała dziecka – podkreśla ekspertka.

Zmiana granic dotyczy też relacji rodzinnych. To, co jeszcze niedawno było naturalne, nagle zaczyna krępować. Dziecko ma prawo czuć wstyd, a my mamy obowiązek go uszanować. Nie wszystkie dziewczynki chcą celebrować pierwszą miesiączkę i dzielić się tym ze światem. To bardzo intymna informacja. Jeśli rodzice ignorują tę granicę, mogą podważyć poczucie sprawczości dziecka.

Zamiast tego lepiej dać mu czas i narzędzia. Mogą to być książki, podcasty, rozmowy, ale też wspólna wyprawa do drogerii, żeby zobaczyć różne produkty menstruacyjne, przetestować podpaski, zobaczyć, co tampon ma w środku. Oswojona miesiączka przestaje być „głupia” i „straszna”. Staje się czymś, co po prostu jest. I z czym, nawet mając 9 lat, można sobie dobrze poradzić. ▲



W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEM Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU

- + Czy to Shakespeare napisał te wszystkie arcydzieła? Rozmowa z najśłynniejszym szekspiologiem świata Stephenem Greenblattem
- + To miała być optymistyczna rozmowa o sukcesie. Agata Romaniuk opowiada Tomaszowi Kwaśniewskiemu o tym, jak to się stało, że utrzymuje się z pisania książek
- + Tragiczna i bezwzględna. Zapowiedziała w książce własną śmierć i słowa dotrzymała. Pół roku po publikacji przedawkowała tabletki nasenne. Portret Tove Ditlevsen

Ceramika merda ogonkiem

Pieski wzięły się z potrzeby serca. Pierwsza była figurka jamnika, potem pojawiły się kubki, miseczki i talerze

TEKST MAGDALENA KACALAK

Wszystko zaczęło się od marzeń i piesków. Pomysł na SOIL pojawił się, gdy jedna z klientek zapytała Martę Cylwik (29 lat), czy nie zrobiłaby jej kubka z jej własnym pieskiem. Swoje pierwsze poważne prace wystawiała w concept store Cloudmine na Paryskiej 17 w Warszawie, gdzie wówczas pracowała. Marta była wtedy po studiach na wzornictwie. Ciągnęło ją do świata artystycznego i kontaktu z twórczym. W ceramice wpadła trochę przypadkiem, towarzysząc koleżance na warsztatach. Pod koniec zajęć wiedziała już, że to materiał do pracy dla niej. Gdy nadeszła pandemia i jej stanowisko w sklepie zlikwidowano, skoczyła na głęboką wodę i założyła własną pracownię.

Miała pomysł na ceramikę z pieskami i jej personalizację, czego nikt wtedy nie robił. Wówczas istniało tylko kilka ceramicznych marek, był już Fenek i Trzask Ceramics, ale większej konkurencji na rynku nie było. Pieski wzięły się z potrzeby serca. Ówczesny partner Marty nie chciał zwierzątko w domu, tęsknotę za pieskami tłumila, pracując po godzinach jako petsitterka. Pierwsza była figurka jamniczka, z czasem pojawiły się kubki, talerze, miseczki, dzbaneczki i puzderka, a na nich inne pieski – pudelki, dalmatyńczyki i całe rasowe towarzystwo, w którym właściciele mogli odnaleźć podobizny swoich psiaków. Kundelkom w ich specyficznym pięknie pozostały portrety na specjalne zamówienia, jeszcze piękniejsze. Bywa że w drzwiach pojawi się ktoś zapłakany, kto stracił zwierzątko i prosi o wykonanie urny z wizerunkiem pupila. Takie zamówienia są najbardziej wzruszające. Najwięcej zleceń indywidualnych przychodzi drogą online – Marta maluje i lepi ze zdjęć, bywa jednak, że modele osobiście pojawiają się w drzwiach i merdają ogonkiem, co dla obu stron jest przyjemniejszym doświadczeniem. Pieski z Saskiej Kępy podobno lubią zaglądać do SOIL przez otwarte drzwi, chyba wiedzą, że czeka tu na nie pełna miska.

Nim Marta trafiła na Saską, pierwszy adres miała na Żąbkowskiej. Praga-Północ okazała się trudnym miejscem. Wynajęty od miasta lokal był w oplakany stan, nie było w nim nawet wstawionych okien. Nie zawsze historia o lepieniu gliny jest bajką, i gdyby Marta mogła dać sobie sprzed kilku lat kilka rad, zadbałaby o plan biznesowy i jakąkolwiek poduszkę finansową. Miała w sobie wtedy niezwykłą energię i dużą spontaniczność, ale to za mało na budowanie firmy. A że w glinie tkwiła po uszy, nawet sny miała ceramiczne, to trochę na wariata założyła SOIL, organizując zbiórki w sieci, by kupić pierwszy piec do wypieku gliny. Pomogli rodzice i życzliwi znajomi, a że widziała tendencję wzrostową w zamówieniach, by-







ła dobrej myśli. Gdy kupiła bilet na podróż do Portugalii, Marianna z Cloudmine, dawnego miejsca pracy, zaproponowała jej przejęcie marki i lokalu. Po dwóch miesiącach Marta wróciła i znów zawitała w progi na Paryskiej. Trwała wtedy zima, do nowej pracowni mało kto przychodził, a odsetki od nowych kredytów na dostosowanie miejsca do przestrzeni ceramicznej rosły. Bardzo prędko przygniotła Martę rzeczywistość i niezapłacone rachunki. Bywało że brakowało jej na podstawowe rzeczy. O glinie plastycy mówią często, że jest jak żywy organizm. Wyczuwa niecierpliwość, wahanie, zły nastrój. Gdy na sercu ciężko, a w glinie uwieczony jest twój los, jej efekt terapeutyczny przestaje działać. Co dawało radość, stało się udręką.

Były dwa wyjścia. Ogłosić upadłość albo wziąć się za siebie i poszukać pomocy. Marta wybrała to drugie, zgłosiła się do doradców finansowych, by oszacowali, czy da się firmę podnieść, zaczęła uczyć się biznesplanu i szacowania kosztów. Wtedy też zmieniła trochę profil działania, skupiając się na tym, co daje jej największy zarobek. Oddzieliła też lepienie służbowe od prywatnego, które potrzebne jest, by się zawodowo nie wypalić. Choć pracownia SOIL powstała dla niej, dziś rzadko lepi w niej dla siebie. Ta część twórczości zostaje w domu. Wtedy powstają ceramiczne rzeźby, które nie są na sprzedaż. To osobisty pamiętnik, na ty-

Jest lepienie służbowe i to prywatne. Jedno służy ludziom, *drugie utrzymaniu higieny duszy*

le intymny, że artystka nie lubi ich nawet pokazywać. Przestrzeń SOIL jest za to w całości nakierowana na ludzi. Marta mówi, że nie chodzi w niej o kontakt z gliną, tylko o kontakt z innymi ludźmi. U niej najlepiej sprawdzają się warsztaty ceramiczne, które dziś traktowane są jak rodzaj terapii. Praca z dorosłymi to często rodzaj napięcia między ambicjami i oczekiwaniami, praca z dziećmi jest pełna spontaniczności. W weekendy w SOIL odbywają się warsztaty rodzinne, gdzie dorośli i dzieciaki lepią obok siebie. To mocno spaja ich relację, nawet gdy każdy zajmuje się swoją pracą.

Lepienie z dziećmi jest dla Marty wielką radością, widzi u nich większą swobodę niż u dorosłych, brak lęku przed porażką i nieograniczoną wyobraźnię. Podczas gdy dorośli robią zwykłe kubki – celem użyteczności – dzieciaki tworzą formy abstrakcyjne lub organiczne i lepiej potrafią wsłuchać się w siebie. Interesuje je zabawa, a nie efekt. Od niedawna Marta „bawi się” też w Muzeum Etnograficznym, gdzie jest edukatorką dziecięcą i również prowadzi warsztaty ceramiczne. Pomyślała kiedyś, co chciałaby robić, gdyby nie miała SOIL, i wysłała maila do muzeum ze swoim CV. Teraz ma więc dwa miejsca, w których czuje się dobrze. Druga praca pozwoliła jej zdjąć ciśnienie z SOIL i dzięki niej finansowo wychodzi powoli na prostą. Odważa się już marzyć, co znaczy, że jest dobrze. Nieśmiało mówi, że jest szczęśliwa. Planuje podróż do Afryki Zachodniej, od czterech lat gra na bębnach i tańczy afro, to jej pozaceramiczne pasje. Wkrótce wypuści kolejny kubek z serii „SOIL on the way”, z którego dochód przeznaczy na realizację marzenia o zakupie kampera.

Od czterech lat Marta jest opiekunką suczki Gai, której portret zdobi pracownię. Gaja w wolnych chwilach pozuje Marcie. W przygotowaniu jest kubek z Gają spoglądającą tęsknie przez okno na kampera. Kto pomoże dziewczynom ruszyć w drogę? ▲



DLA BUNTOWNICZEK

Stworzona przez młodego Koreańczyka marka BORNSTANDOUT wyrosła z buntu przeciwko konformizmowi i narzuconym definicjom. Zapachy są niekonwencjonalne, spodobają się niepokornym. Od maja dostępne w perfumeriach Galilu. (Dirty Milk, Nuts, Sin & Pleasure, EDP, 50 ml/879 zł)



USTNA OBIETNICA

Nowe tinty do ust Inglota łączą intensywną pielęgnację z delikatnym efektem koloryzującym. Usta stają się nawilżone, wygładzone i pełniejsze. Balsamy Lip Volume zawierają: peptydy biomimetyczne, ekstrakt ze niebielistki, estry masła shea, olej z nasion truskawki. Osiem odcieni. (2 g/69 zł)



Z ANGIELSKIEGO OGRODU

Historia Creed zaczyna się w 1760 r. w Londynie, kiedy James Henry Creed dostarcza królowi Jerzemu III parę perfumowanych rękawiczek. Kolejne będą perfumy robione wg tradycyjnych metod. Ostatni zapach to drzewno-kwiatowy Wild Vetiver. (50 ml/946 zł, Douglas)

KOJĄCE I ODMŁADZAJĄCE

NEURIAÉ powstało w 2024 r. Kosmetyki młodszej siostry marki Sisley zawierają roślinne neuroskładniki, zapachy i mają konsystencje opracowane w celu poprawy emocjonalnego samopoczucia, co wpływa na wygląd skóry. Krem Energia poprawia napięcie, Emulsja Radość dodaje blasku, Balsam Spokój koi. (50 ml/555 zł, Douglas)



NOWE I NISZOWE

We współpracy z paryską szkołą perfumiarstwa Givaudan powstała niszowa linia perfum Oriflame Top Scents. Jedną z kompozycji stworzył polski perfumiarz – Jacek Laszczyński. Rose Mode EDP nowoczesna, kwiatowo-drzewna róża; Neon Oud EDP. (50 ml/159,90 zł)

GASLIGHTING, czyli manipulacje w naszych relacjach

Rodzice to robią dzieciom, kobiety kobietom,
mężczyźni kobietom, i na odwrót

PSYCHOLOGIA: Powrót do matki

URODA: Rytuały w menopauzie

DAVID ATTENBOROUGH kończy 100 lat



**DWIE
OKŁADKI
DO WYBORU!**